

**LAURA LIPPMAN**

**Co wiedzą zmarli**

*Ponieważ żyjący wiedzą, że umrą,  
a zmarli niczego zgoła nie wiedzą,  
zapłaty też więcej już żadnej nie mają,  
bo pamięć o nich idzie w zapomnienie.*

*Tak samo ich miłość,  
jak również ich nienawiść, jak też ich zazdrość – już dawno zanikły,  
i już nigdy więcej udziału nie mają żadnego  
we wszystkim, cokolwiek się dzieje pod słońcem.*

Księga Koheleta, 9, 5-6

## Rozdział 1

Na widok wieży ciśnień, górującej ponad wciąż *jeszcze* bezlistnymi drzewami, ścisnął się jej żołądek. Budowla wyglądała jak statek kosmiczny przybywający na Ziemię. Wieża ciśnień służyła kiedyś jako wskazówka w starej rodzinnej grze, choć w zasadzie nie stanowiła konkretnego punktu orientacyjnego. Kiedy dostrzegało się biały dysk na pałakowatych podporach, wiadomo było, że czas się szykować, jak biegacz w bloku startowym. Do biegu, gotowi...

Ale na początku to nie miało nic wspólnego z zabawą. Wypatrywanie sklepu wielobranżowego usadowionego na tym zakręcie obwodnicy było dla niej rywalizacją z samą sobą sposobem walki z nudą dwudniowej drogi powrotnej z Florydy. Jak daleko sięgała pamięcią jechali tam zawsze pod koniec zimy, chociaż nikt z rodziny nie lubił wizyt u babci. Jej mieszkanie w Orlando było zagracone, śmierdzące, psy złośliwe, a posiłki niejadalne. Wszyscy czuli się podle, nawet ojciec, zwłaszcza ojciec, chociaż udawał, że wcale nie, i bardzo się obrażał, jeśli ktokolwiek zasugerował, że jego matka jest, jaka jest – złośliwa, dziwaczna, nieprzyjemna. Ale nawet on nie potrafił ukryć ulgi, kiedy już zbliżał się do domu, i podśpiewywał na granicy każdego mijanego stanu. Najpierw mruczał *Georgia*, naśladując Raya Charlesa. Noc spędzali w Georgii w jakimś bezimiennym motelu, wyruszyli przed wschodem słońca i szybko docierali do Karoliny Południowej. *Nothing could be finah!* – śpiewał, a potem żartował na temat Karoliny Północnej i Wirginii, gdzie jedynymi ciekawymi rzeczami były, kolejno: postój na lunch w Durham i tańczące pudełka na billboardzie gdzieś pod Richmond. No i wreszcie Maryland, cudowne Maryland, słodki

dom Maryland – jeszcze tylko ze sto kilometrów, niecała godzina podróży. Dzisiaj, wlokąc się główną drogą, potrzebowała aż dwa razy więcej czasu, ale ruch uliczny powoli już się uspokajał i wracał do normalnych prędkości.

Start!

Hutzler był największym sklepem wielobranżowym w mieście. To, że zbliża się Boże Narodzenie, obwieszczał wielkim sztucznym kominkiem, na którego krawędzi siedział okrakiem Święty Mikołaj. Właściwie to wchodził czy schodził? Nigdy nie wiedziała. Nauczyła się wypatrywać tej czerwonej plamy, obiecującej, że dom już blisko, odpowiednika morskich ptaków wskazujących żeglarzom niedaleki brzeg. Zrobiła z tego swój tajny rytuał, coś jak liczenie odcinków pasa, znikających pod przednimi kołami wozu, żeby pokonać chorobę lokomocyjną, z której nigdy do końca nie wyrosła. Później też trzymała buzię na kłódkę, kiedy próbowano wyciągnąć od niej informacje o niej samej, świadoma różnicy między ekscentrycznością, która mogła nawet być interesująca, a natręctwami, czyniącymi ją równie dziwaczną jak babcia – albo, mówiąc już zupełnie szczerze, taką jak ojciec. Jednak pewnego dnia takie zdanie samo jej się wymknęło, wesoło i bez skrępowania, kolejna część sekretnego dialogu, który prowadziła ze sobą, uciekając przed światem.

– Widzę sklep Hutzlera.

Ojciec natychmiast zrozumiał, o co chodzi, w przeciwieństwie do matki i siostry. Chyba zawsze potrafił dostrzec ukryte znaczenie jej słów, co wydawało się nawet wygodne, gdy była mała, a kiedy urosła, stawało się straszne. Problem polegał jednak na tym, że on nalegał, by zmieniała ten swój okrzyk towarzyszący powrotowi do domu w grę, jakiś konkurs dla

całej rodziny. Ojciec dużą wagę przykładął do dzielenia się, czynienia z prywatnej własności wspólnego dobra. Widział sens w długich, chaotycznych dyskusjach rodzinnych, które nazywał „sesjami szturchania”, wierzył w ideę otwartych drzwi i uważał za naturalne chodzenie na co dzień w negliżu, chociaż ich matka zmusiła go do porzucenia tego ostatniego zwyczaju. Jeśli zatrzymywało się coś tylko dla siebie – czy to torebkę słodyczy kupioną za własne pieniądze, czy też uczucie, którego nie chciało się wyrażać, wtedy oskarżał o skąpstwo. Kazał usiąść, patrzył prosto w oczy i pouczał, że w rodzinie tak się nie robi. Rodzina to zespół, drużyna, samodzielne państwo, jedyna część tożsamości, która pozostaje niezmienną przez resztę życia.

– Zamykamy frontowe drzwi przed obcymi, ale nigdy przed sobą nawzajem – mawiał.

I tak oto zaanektował zdanie: „Widzę sklep Hutzlera” do wspólnego rodzinnego dobra, zachęcał wszystkich do rywalizacji o to, kto powie je pierwszy. Gdy reszta rodziny postanawiała wziąć udział w zabawie, ostatni kilometr po obwodnicy stawał się nieznośny z powodu ogarniającego ich napięcia. Siostry wyciągały szyje, wychylały się w starych pasach bezpieczeństwa, zapinanych tylko na dłuższe trasy. Tak właśnie wtedy było. W pasach jeżdżono tylko w dłuższe trasy, nie noszono rowerowych kasków, a deskorolki robiło się ze starych wrotek i desek pełnych drzazg. Ściśnięta swoim pasem czuła wtedy, jak jej żołądek się kurczy, a puls gwałtownie przyspiesza – ale, w sumie, po co? Tylko po to, żeby zyskać pustą sławę tej, która pierwsza głośno wypowie słowa, choć i tak zawsze pierwsza mówiła je sobie w myślach? Tak jak we wszystkich proponowanych przez ojca konkursach, nie było żadnej nagrody, żadnego

celu. Nie mając więc zagwarantowanego zwycięstwa, robiła to co zwykle – udawała, że nic ją nie obchodzi.

Ale teraz znalazła się tutaj znowu, z gwarancją, że wygra, jeśli tylko zechce – równie pustą, jak takie zwycięstwo, a mimo to jej żołądek wciąż się kurczył. Nie wiedziała, że sklep dawno już zniknął, że w tej kiedyś znajomej okolicy całkiem się pozmieniało. O tak, pozmieniało i potaniało. Spokojny pawilon Hutzlera był teraz tandetnym sklepem z tanioczą sieci Value City. Naprzeciwko, po drugiej stronie autostrady, Quality Inn przekształciło się w magazyn. Z tego miejsca nie dawało się już zobaczyć, czy restauracja Howard Johnson, tam gdzie co tydzień chodzili całą rodziną zjeść na obiad rybę z frytkami, nadal stała przy skrzyżowaniu. Ale jakoś wątpiła, by ten lokal przetrwał. Czy sieć restauracji Howard Johnson w ogóle jeszcze istnieje? Czy ona sama w ogóle jeszcze istnieje? I tak, i nie.

To, co zdarzyło się potem, rozegrało się w ciągu sekund. Zresztą, wszystko dzieje w ciągu sekund, jeśli dobrze się nad tym zastanowić. Tak powiedziała później, na przesłuchaniu. „Epoka lodowcowa stanowiła tylko kwestię sekund; po prostu tych sekund było bardzo dużo”. Och, jeśli okazywało się to absolutnie konieczne, potrafiła sprawiać, że ludzie ją kochali, i chociaż tego rodzaju taktyka teraz nie miała już znaczenia dla jej przetrwania, ciężko przychodziło zerwać z przyzwyczajeniem. Ci, którzy ją przesłuchiwali, udawali rozdrażnienie, ale widziała, że na większości z nich wywierała pożądane wrażenie. Jak dotąd, jej relacja z wypadku stanowiła zapierającą dech, barwną i wygładzoną opowieść. Spojrzała na prawo, ku wschodowi, próbując sobie przypomnieć wszystkie znane z dzieciństwa punkty orientacyjne. Zapomniała o starej przestrodze „mosty

mogą zamarznąć pierwsze” i poczuła coś dziwnego, prawie jakby kierownica wyślizgnęła jej się z rąk, ale to samochód tracił przyczepność, chociaż nie spadł jeszcze deszcz ze śniegiem, a chodnik wyglądał na całkowicie suchy. Wjechała na olej, nie lód, tego dowiedziała się później, na pozostałość po wcześniejszym wypadku. Cóż można poradzić na plamę oleju, niewidoczną w marcowym półmroku, na zaniechanie lub niedokończoną pracę ludzi, których nigdy nie spotkała, nigdy nie poznała? Gdzieś w Baltimore jakiś człowiek siadł tego wieczoru do kolacji, nieświadomy, że zniszczył życie komuś innemu. A ona zazdrościła mu tej niewiedzy.

Kurczowo złapała kierownicę i z całej siły nacisnęła pedał, ale samochód jej nie słuchał. Kwadratowy sedan ześlizgnął się w lewo, poruszał się jak igła w sfiksowanym obrotomierzu. Uderzyła w mur odgradzający Jersey, odbiła się, zawirowała i przesunęła na drugą stronę autostrady. Przez chwilę zdawało się, że tylko ona po niej jedzie, tak jakby pozostali kierowcy zastygli oszołomieni. Stary valiant – nazwa auta znaczyła „waleczny” i zdawała się dobrym znakiem przywołującym wspomnienie Księcia Walecznego, bohatera coniedzielnego komiksu, oraz wszystkiego, o co walczył – poruszał się z gracją, jak tancerz wśród beznamiętnych, mocno przywiązanych do ziemi ludzi, wracających z pracy pod koniec godzin szczytu.

I wtedy, właśnie wtedy, gdy zdawało jej się, że odzyskała już kontrolę nad swoim valiantem, kiedy opony znowu złączyły się z nawierzchnią, poczuła miękkie uderzenie z prawej strony. Bokiem zahaczyła o biały sportowo-terenowy samochód, a chociaż jej wóz był znacznie mniejszy, tanto auto zatoczyło się jak słoń trafiony z procy. Przez chwilę widziała

twarz jakiejś dziewczynki, nie tyle wystraszoną, ile zdziwioną odkryciem, że coś mogło gwałtownie wtargnąć w jej spokojne, ułożone życie. Dziewczynka miała narciarską kurtkę, okropnie nietwarzowe okulary, a co jeszcze gorsze, białe, futrzane nauszники. Jej usta stały się okrągłą, czerwoną bramą zdumienia. Miała jedenaście lat, może dwanaście, a właśnie w wieku dwunastu lat... I wtedy biała terenówka zaczęła leniwie staczać się w dół pobocza.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam, pomyślała. Wiedziała, że powinna zwolnić, zatrzymać się, zobaczyć, co z tym wozem, ale coraz głośniej rozbrzmiewał za nią chór piszczących hamulców, falanga dźwięków, która pchała ją do przodu wbrew jej samej. To nie była moja wina! Wszyscy powinni już wiedzieć, że sportowe auta są wywrotne. Przecież takie lekkie szturchnięcie nie powinno wywołać tak dramatycznie wyglądającego wypadku. Zresztą dzień był tak długi, a ona znajdowała się tak blisko celu. Do następnego zjazdu został kilometr. Wciąż jeszcze mogła wtopić się w tłum jadący trasą 1-70 i jechać dalej na zachód.

Ale już na długiej drodze dojazdowej na I-70 złapała się na tym, że gwałtownie skręca w prawo zamiast w lewo, w stronę znaku z napisem „Droga lokalna”, na tę dziwną, niewykończoną trasę, którą jej rodzina nazywała autostradą donikąd. Zawsze mieli niezły ubaw, tłumacząc, jak dojechać do ich domu.

– Trzeba jechać międzystanową do samego końca.

– Jak autostrada międzystanową może się kończyć?

I wtedy ojciec triumfalnie opowiadał o protestach, o obywatelach, którzy zjednoczyli się w całym Baltimore, aby ocalić park i dziką przyrodę, a także skromne domki szeregowe, pierścieniem przylegające do



zatoki. Stanowiło to jeden z niewielu sukcesów w jego życiu, chociaż był tylko płótką – kolejną osobą, która złożyła podpis pod petycją, maszerowała w demonstracji. Nigdy nie przemawiał na żadnym wiecu, choć bardzo by tego pragnął.

Valiant wydawał straszliwe odgłosy, coś drapało o prawe tylne koło, chyba strzaskany błotnik. Była bardzo zdenerwowana i sensowne wydało się jej zostawienie samochodu. Poszła dalej na piechotę, chociaż właśnie zaczął padać deszcz ze śniegiem, z każdym krokiem uświadamiała sobie, że coś jest z nią nie w porządku. Żebra bardzo bolały. Przy najpłytszym oddechu czuła, jakby ktoś dźgał ją maleńkim nożem, z trudem trzymała torebkę – tak jak zawsze ją uczono – blisko ciała, żeby nie kusić bandytów i złodziei. Jechała bez zapiętych pasów, więc się poobijała, uderzając w kierownicę i drzwi valianta. Na twarzy miała krew, jednak nie była pewna skąd. Z ust? Z czoła? Czuła ciepło, czuła zimno, widziała czarne gwiazdy. Nie, nie gwiazdy. Raczej wirujące trójkąty, które zwisały z drutów niewidzialnych dekoracji.

Szła nie dłużej niż dziesięć minut, kiedy obok niej zatrzymał się radiowóz, zamigotał światłami.

– Czy tamten valiant należy do pani? – zawołał policjant przez opuszczoną szybę po stronie pasażera, nie wychylając się z wozu.

Czy jest mój? Pytanie było znacznie trudniejsze, niż młody policjant mógłby sądzić. Mimo to pokiwała głową.

– Ma pani dokumenty?

– Jasne. – Pogrzebała w torebce, ale nie znalazła portfela. Dlaczego... Zaczęła się śmiać, uświadamiając sobie, jak to wszystko doskonale się układało. Oczywiście, że nie miała dokumentów, nie miała żadnej

tożsamości, żadnej prawdziwej.

– Przepraszam. Nie, ja... – Nie mogła przestać się śmiać. – Nie ma ich. Wsiadł z radiowozu. Pewnie chciał pomóc jej szukać. Krzyk, jaki z siebie wydała, zaskoczył ją samą bardziej niż mężczyznę. Poczowała straszliwy ból w lewym przedramieniu, kiedy próbował zsunąć torebkę z łokcia. Policjant powiedział coś przez ramię; wezwał wsparcie. Wyjął z torebki kluczyki, ruszył do valianta i pogrzebał w nim trochę, potem wrócił i stanął obok niej, w deszczu ze śniegiem, który wreszcie się na dobre rozpadał. Wymamrotał kilka znajomych uspokajających słów.

– Jest źle? – zapytała.

– To już oceni lekarz. Zawieziemy panią na ostry dyżur.

– Nie, nie o mnie chodzi. Tam.

Daleki terkot helikoptera odpowiedział jej na pytanie. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Ale to przecież nie była jej wina.

– To nie była moja wina, straciłam nad nim panowanie, ale naprawdę nic nie zrobiłam...

– Przeczytam pani prawa – oznajmił. – To, co pani od teraz powie, ma znaczenie. Opuściła pani miejsce wypadku.

– Szłam po pomoc.

– Ta droga jest ślepa, kończy się parkingiem. Jeśli naprawdę chciała pani im pomóc, powinna pani zjechać na bok albo pojechać zjazdem awaryjnym, na Security Boulevard.

– W Forest Park i Windsor Mills jest stara apteka Windsor Hill. Myślałam, że stamtąd zadzwonię.

Zaskoczyła go, używając dokładnych nazw, dowodzących, że zna okolicę.

– Nic nie wiem o żadnej aptece. W pobliżu jest stacja benzynowa. Nie ma pani komórki?

– Nie do osobistego użytku. Korzystam z jednej w pracy. Nie kupuję niczego, póki nie działa porządnie. Komórki tracą zasięg. Muszę przez pół rozmowy krzyczeć, a wtedy wszyscy wokół słyszą, co mówię. Kiedy komórki będą działać tak jak telefony stacjonarne, wtedy jakąś na pewno sobie kupię.

W swoich słowach usłyszała echo głosu ojca. Po tylu latach wciąż tkwił jej w głowie, jego stwierdzenia jak zwykle rozstrzygające. „Nie kupuj nowych technologii dopiero co wprowadzonych na rynek”. „Pamiętaj, żeby noże mieć zawsze ostre”. „Jedz pomidory tylko w sezonie”. „Bądź miła dla siostry. Pewnego dnia twoja matka i ja odejdziemy, wtedy będziecie miały tylko siebie”.

Młody policjant słuchał jej uważnie, z poważnym skupieniem, jak grzeczne dziecko. Śmieszne, że zachowywał się tak sceptycznie. Teraz, w tym świetle, kiedy deszcz wyprostował jej krótkie, sterczące loki, pewnie wyglądała na młodszą niż w rzeczywistości. Ludzie, oceniając jej wiek, zawsze odejmowali dziesięć lat, nawet przy tych rzadkich okazjach, kiedy ubierała się odświętnie. Jej włosy uparcie trzymały się koloru blond, w wieku, w którym większość kobiet musiała już używać farby, aby utrzymać taki odcień. Jakby kędziory rozeźliły się latami uwięzienia pod orzechowym kolorem aplikowanym domowym sposobem. Jej włosy mogły czuć się tym dotknięte, zupełnie jak ona.

– Bethany – powiedziała. – Jestem jedną z sióstr Bethany.

– Co?

– Nie wie pan? – zapytała. – Nie przypomina pan sobie? No, ale

zgaduję, że ma pan... ile lat? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć?

– Za tydzień skończę dwadzieścia sześć – wyjaśnił.

Próbowała się nie uśmiechnąć, ale był jak mały brzdąc, oznajmiający, że ma nie dwa, a dwa i pół roku. W jakim wieku przestajemy już dodawać sobie lat? Uznała, że zwykle około trzydziestki, chociaż jej zdarzyło się to znacznie wcześniej. Mniej więcej kiedy skończyła dziewiętnaście lat. Wtedy zrobiłaby wszystko, aby wyrzec się dorosłości i dostać szansę na kolejne dzieciństwo.

– Więc pana jeszcze nawet nie było na świecie, kiedy... no i pewnie nie jest pan stąd, zresztą nie, to nazwisko i tak nic by panu nie powiedziało.

– Według dokumentów wóz należy do Penelope Jackson z Asheville w Karolinie Północnej. To pani? Sprawdziłem, samochód nie jest kradziony.

Pokręciła głową. On nie słuchałby tej opowieści. Musiała poczekać na kogoś, kto potrafiłby ją docenić, zrozumiałby wagę spraw. Dokonywała już wstępnych kalkulacji, co zresztą robiła od dawna. Kto był po jej stronie, kto by się nią zaopiekował? Kto był przeciwko niej, kto mógł ją zdradzić?

W szpitalu St. Agnes nadal trzymała język za zębami, odpowiadała tylko na bezpośrednie pytania, o to, co i gdzie ją boli. Odniosła niewielkie obrażenia – na ciętą ranę czoła założono cztery małe szwy, przy czym zapewniono, że nie zostanie żadna blizna; w lewym przedramieniu miała coś naderwane i złamane.

Ramię teraz można było usztywnić i obandażować, ale potem należy zoperować. Młody policjant z pewnością podał w szpitalu jej nazwisko, bo pracownik rejestracji próbował wydobyć z niej więcej na ten temat, odmawiała jednak powiedzenia czegokolwiek, nieważne jak bardzo

naciskano. W zwyczajnych okolicznościach opatrzone by ją i wypisano, ale tym okolicznościom daleko było do zwyczajnych. Pod drzwiami jej sali stanął umundurowany policjant, który oznajmił, że pacjentka nie może opuścić szpitala, nawet jeśli okaże się to możliwe ze względów zdrowotnych.

– W tym wypadku prawo jest jednoznaczne, musimy wiedzieć, kim pani jest – oznajmił drugi gliniarz, starszy, z drogówki. – Gdyby nie obrażenia, dzisiejszą noc spędziłaby pani w areszcie.

Ona wciąż nic nie mówiła, chociaż myśl o areszcie ją przerażała. Nie móc przychodzić i odchodzić, tak jak jej się podobało, być gdzieś przetrzymywaną – nie, nie znowu. Lekarze wpisali jej do karty imiona „Jane Doe”, w rubryce na nazwisko „Bethany”. Zgodnie z jej rachubą to już jej czwarte imię, może nawet piąte. Łatwo było się pogubić.

Znała szpital St. Agnes. Albo raczej kiedyś go znała. Tyle wypadków, tyle wizyt. Głęboko rozcięta łydka, kiedy upuściła słoik ze świetlikami. Packa na muchy przyłożona do zainfekowanego szczepienia na ospę, zresztą w jak najlepszych intencjach. Kolano otwarte niczym kwiat po upadku w krzaki, ukazujące swe przerażające wnętrze, krew i kości. Goleń zahaczona pordzewiałym zaworem ze starej opony, wielkiej dętki jakiegoś ciągnika czy ciężarówki, w zbudowanej przez ojca domowej wersji dmuchanego zamku – ukłon w stronę angielskich korzeni ich matki. Wyprawy na ostry dyżur były sprawą całej rodziny, bardziej niż wymuszane przez ojca poczucie wspólnoty. Przerazenie rannej, niepokój towarzyszących jej osób, ale potem i tak wszyscy szli na lody do Mr G, więc w sumie się opłacało.

Nie tak wyobrażałam sobie powrót do domu, pomyślała, leżąc w

ciemnościach, pozwalając, aby ogarnęła ją litość nad samą sobą jej stara przyjaciółka.

A więc myślała o powrocie. Wiedziała, że wróci, chociaż nie akurat dzisiaj. Kiedyś, w końcu, na własnych warunkach, nie dlatego, że ktoś ją zmusił. Trzy dni temu z takim trudem uzyskany ład życia rozsypał się bez ostrzeżenia, straciła nad nim panowanie, dokładnie jak nad swoim groszkowym valiantem. Samochód zachowywał się, jakby miał duszę i pchał ją na północ, mijała dawne punkty orientacyjne, ku chwili, której ona sama nie wybrała. U wyjazdu z I-70, kiedy zdawało się, że tak łatwo skrócić na zachód, właśnie tam, gdzie pierwotnie się kierowała, żeby uniknąć wykrycia, samochód skręcił w prawo i zatrzymał się, sam z siebie. Książę Waleczny przewiózł ją większość drogi do domu, starając się wplątać w zrobienie tego, co należało zrobić. To właśnie dlatego wymknęło jej się to nazwisko. Przez wypadek, a może przez ranę głowy, wydarzenia ostatnich trzech dni albo obawę o tamtą małą dziewczynkę w samochodzie.

Unosząc się na środkach przeciwbólowych, fantazjowała na temat poranka, jak to będzie po raz pierwszy od lat podać swoje imię, prawdziwe imię. Udzielić odpowiedzi na pytanie, kim jest.

Potem uświadomiła sobie, jakie pytanie będzie następne.

# Część I

Środa

## Rozdział 2

To twój telefon dzwoni? Pomarszczona od snu kobieta wpatrująca się w Kevina Infante'a była zła, zresztą nie ona pierwsza. Nie za bardzo pamiętał, jak ma na imię, chociaż czuł umiarkowaną pewność, że za chwilę to sobie przypomni. Zresztą też nie pierwszy raz.

Nie, właśnie takie zestawienie – jakaś dziwna kobieta i złowrogi wzrok – uczyniło ten poranek niepowtarzalnym w tym, co jego sierżant lubił nazywać „dziennikami Infante'a”. Przy czym nazwisko niezmiennie wymawiał z przedłużonym „a”. Skoro Infante nie znał tej kobiety na tyle dobrze, aby pamiętać jej imię, co zrobił, że zasłużył na takie umęczone spojrzenie? Zazwyczaj potrzebował trzech, czterech miesięcy, by doprowadzić kobietę do furii.

– To twój telefon dzwoni? – powtórzyła pytanie. W głosie miała takie samo napięcie i groźbę, jak w wyrazie twarzy.

– No tak – odparł z ulgą, że zaczyna od łatwego pytania – Oczywiście.

Dotarło do niego, że powinien spróbować odnaleźć telefon, może nawet odebrać, ale dzwonek ucichł. Kevin czekał, aż teraz rozdzwięczy się telefon stacjonarny, i wtedy przypomniał sobie, że przecież nie jest w swojej sypialni. Lewą ręką pogmerał pod łóżkiem, bo prawą wciąż miał uwięzioną pod kobietą. Odnalazł spodnie, telefon był przyczepiony do paska.

Kiedy chwycił komórkę, zawibrowała mu w dłoni, ćwierknęła, z kolejną naganą pełną rozczarowania.

– To z pracy. – Zerknął na numer.

– Coś nagłego? – zapytała kobieta.



Gdyby teraz podążył tym tropem, mógłby ją okłamać, przytaknąć, potem zabrać ubranie i uciec.

Jednak wciąż otumaniony snem odparł:

– W moim wydziale nie ma nagłych spraw.

– Myślałam, że jesteś gliną.

Usłyszał złość osadzającą się na krawędziach słów, powstrzymaną urazę.

– Detektywem.

– To jedno i to samo, prawda?

– Zasadniczo tak.

– To co, u glin nie ma nagłych spraw?

– Cały czas są. – To, z czym właśnie teraz miał do czynienia, też dałoby się do nich zaliczyć. – Ale w mojej pracy... – Ugryzł się w język, mało nie powiedział, że pracuje w wydziale zabójstw. Przestraszył się, że ona uznałaby takie zajęcie za bardzo ciekawe i chciała jeszcze kiedyś się z nim spotkać, utrzymywać znajomość. Policjanci mieli wiele fanek, z czego zresztą zwykle się nawet cieszył.

– Ci ludzie, z którymi zazwyczaj stykam się w pracy, są bardzo cierpliwi.

– To jest praca przy biurku?

– Można tak powiedzieć... – Miał biurko. Miał pracę. Czasem pracował przy tym biurku. – Debbie. – Starał się ukryć w głosie dumę z tego, że wreszcie przypomniał sobie jej imię.

Wzrokiem omiół pokój, szukając zegara, ale także by zorientować się w otoczeniu. Jakaś sypialnia, oczywiście, na ścianach artystyczne plakaty z kwiatami. Wszystko dobrane według tego, co jego była żona, ta ostatnia,

nazywała „schematem kolorystycznym”. Mówiła tak z pochwałą, jednak w uszach Infante’a to określenie nigdy dobrze nie brzmiało. Schemat kojarzył mu się z planem mającym na celu dotarcie do określonego celu. Taki schemat kolorystyczny, jeśli tylko się zastanowić, był też elementem pułapki, która zaczynała się od zbyt drogiego pierścionka, wiodła do kredytu hipotecznego, a potem kończyła się, jak dla niego o dwa razy za dużo, w sądzie hrabstwa Baltimore, w towarzystwie kobiety, która zabierała majątek i pozostawiała cały dług. Jeśli zaś chodzi o schemat kolorystyczny tego właśnie pomieszczenia, były tutaj jasna żółć i zieleń, może nawet do przyjęcia, ale nieco przyprawiało go to o mdłości. Kiedy oddzielił już swoje ubranie od jej rzeczy, zaczął dostrzegać inne dziwne szczegóły pokoju, elementy, które nie całkiem mu pasowały. Wbudowane biurko pod oknem, kwadratowa minilodówka udrapowana sukniem, na tym mała mikrofalówka, a nad biurkiem chorągiewka wychwalająca Towson Wildcats... O cholera, pomyślał. O jasna cholera.

– No więc, co studiujesz? – zapytał.

Dziewczyna pewnie nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat. Co prawda ktokolwiek, kto skończył szesnaście lat, mieścił się już w legalnym menu, to jednak Infante trzymał się kilku zasad. Kobieta rzuciła detektywowi lodowate spojrzenie i przeczołgała się nad nim, owijając żółtozieloną kołdrą. Ze znacznie już większym wysiłkiem zdjęła z haczyka i włożyła puszysty szlafrok. Opuściła kołdrę, gdy zawiązała pasek. Jednak Kevin zdołał rzucić szybkie spojrzenie i tak przypomniał sobie, co go tutaj sprowadziło. Na Boga, nie jej twarz, choć mniej skrzywiona pewnie wyglądałaby bardziej atrakcyjnie. W świetle poranka Debbie była jedną z tych zbyt bladych blondynek, których oczy znikają pozbawione makijażu.

Wzięła kubek stojący na podłodze w toalecie, a przez głowę Infante'a w ułamku sekundy przemknęły paniczne myśli. Czy zamierzała go uderzyć? Wylać mu coś na głowę? Jednak nie, Debbie po prostu obrażona wyszła z pokoju i ruszyła ku prysznicom. Prawdopodobnie chciała zmyć z siebie wszelki ślad wieczoru spędzonego z Kevinem Infante'em. Jak bardzo źle mogło być? Postanowił nie czekać, aby się dowiedzieć.

Jak na standardy college'u, wciąż jeszcze panowała wczesna pora. Wychodząc z akademika, natknął się na inną studentkę: pulchną, wielkooką dziewczynę, która zdawała się wystraszona pojawieniem obcej osoby: nie dość, że mężczyzny, to jeszcze ubranego w garnitur; z pewnością nie był studentem ani nawet wykładowcą.

– Jestem z policji – oznajmił. – Policja hrabstwa Baltimore. To jej nie uspokoiło.

– Coś się stało?

– Nie, po prostu rutynowa kontrola. Proszę pamiętać o zamykaniu drzwi i unikaniu nieoświetlonych miejsc na parkingach.

– Tak, proszę pana – zapewniła uroczyście.

Marcowy poranek był chłodny, kampus opustoszały. Kevin znalazł swój samochód zaparkowany w niedozwolonym miejscu, blisko akademika. Kiedy zeszłej nocy przywiózł tu dziewczynę, myślał, że to zwykły blok mieszkalny. Przypomnił mu się miniony wieczór. Pojechał do Souris, bo chciał zajrzeć gdzie indziej niż jak zwykle do Wagnera, tam gdzie chadzali jego koledzy z pracy. Przy krańcu baru zobaczył grupkę wesołych dziewcząt i chociaż obiecał sobie, że przyszedł tylko na szybkiego drinka, wkrótce poczuł nieodpartą chęć, by wyrwać jedną owieczkę z tego stadka. Nie dosięgnął! najlepszej, ale złapana też okazała

się całkiem niezła. W każdym razie chętna. Obciągnęła mu w jego samochodzie na Allegheny Avenue. Odwiózł ją do tego zaniedbanego bloku, cichego, spokojnego o drugiej nad ranem. Zamierzał poczekać, aż dziewczyna przekręci klucz w zamku, i zatrąbić klaksonem na pożegnanie, ale najwyraźniej oczekiwała czegoś więcej, więc poszedł z nią do pokoju i zabrał się do rzeczy. Był pewien, że zanim zasnął, dał całkiem niezły popis. Skąd więc ta kwaśna mina o poranku?

Gliniarz z kampusu już się szykował, aby zatrzymać jego samochód, ale Infante mignął mu swoją blachą i mężczyzna się cofnął. Z pewnością aż go świerbiło, by się trochę pokłócić. Pewnie spór o mandat byłby dla tego biedaka główną atrakcją szarego dnia.

Kevin zerknął na komórkę – dzwoniła Nancy Porter, jego dawny partner z policji. Nagrała pytanie wypowiedziane natarczywym szeptem: „Gdzie się podziewasz?”. Cholera, znowu nie był na porannej odprawie. Jeśli chciał dotrzeć do roboty, nie spóźniając się ponad miarę, to musiał teraz wybrać między prysznicem a śniadaniem, takim prawdziwym, które uspokoi mu żołądek. Uznał, że lepiej mieć przez kilka godzin mdłości z głodu, niż znosić własny smród. Pojechał do mieszkania w północnozachodniej części Baltimore. Jakby co, zawsze mógł powiedzieć, że wpadł na jakiś trop... Na przykład w sprawie McGowan, to by było całkiem niezłe. Ten pomysł przyszedł mu do głowy pod prysznicem, mył się więc dłużej, niż powinien. Pozwolił, aby smagała go gorąca woda, a odór nocy ulotnił się z porów skóry. Powie szefowi, że szukał byłego chłopaka tej dziewczyny, nie ostatniego ani nawet przedostatniego, ale tego, którego miała jeszcze przedtem. Pomysł wydawał się całkiem dobry. McGowan została zadźgana nożem, w starym stylu. Na taką brutalność

rzadko zdobywali się mordercy będący dla ofiary kimś obcym. Zabójcy nie wystarczyło, że japociał. Podpalił ciało, wznecając niewielki pożar trawy, który ściągnął wozy straży pożarnej. Gdyby nie to, zwłoki pewniegniłyby nieodnalezione całe dni, tygodnie, miesiące. Ludzie zawsze siędziwili, gdy gliniarze nie potrafili odnaleźć ciała, ale przecież mimo ciągłego rozrastania się baltimorskiej aglomeracji, wciąż jeszcze nie brakowało hektarów dziewiczego terenu. Co jakiś czas myśliwi potykali się o kupkę kości, które okazywały się szczątkami człowieka zaginionego przed pięcioma, nawet dziewięcioma laty.

Na początku swojej kariery zawodowej Infante pracował właśnie nad taką sprawą. Namierzono podejrzanego, jednak nie znaleziono ciała. Rodzina ofiary, bogata i z koneksjami, miała wystarczająco dużo pieniędzy oraz wpływów, aby nieźle potrząsnąć całym departamentem. Kiedy krewni zabitej słyszeli, że to, czego chcą – poszukiwania, długotrwała praca w laboratorium – pochłonęłoby większość rocznego budżetu wydziału, tylko wzruszali ramionami i pytali „no to co?” Ciało znaleziono dopiero po trzech latach, mniej niż dziesięć metrów od stanowej autostrady. Odkrył je jakiś człowiek, który poszedł wysikać się w krzakach. Lekarz sądowy orzekł, że zgon spowodowały ciosy tępym narzędziem, więc na pewno popełniono morderstwo. Jednak niczego więcej nie dawało się dowiedzieć ani z badań ciała, ani z oględzin okolicy, natomiast mąż zabitej, przez cały czas główny podejrzany, wtedy już nie żył. W głowie Infante’a wciąż tkwiło jedno pytanie. Czy śmiertelny cios był wypadkiem, efektem domowej bójki? Czy też zadano go celowo? Detektyw spędził mnóstwo czasu z mężem zamordowanej kobiety, zanim ten umarł na raka przełyku. Mężczyzna zaczął nawet sądzić, że Infante

odwiedza go z sympatii albo życzliwości. Dał niezły pokaz żalu po zaginionej żonie, Kevin uznał, że facet chyba sam uważa się za ofiarę. Twierdził, że tylko popchnął kobietę, potrącił, nie mocniej niż przy innych okazjach przez ostatnie dziesięć lat, ale tym razem ona już nie wstała. Mężulek podniósł ją, porzucił w lasach i przez pozostałą część życia wierzył, że jest niewinny. Można pomyśleć, że rodzina żony ucieszy się z jego śmierci, szybkiej i paskudnej, ale to im nie wystarczyło. Niektórzy nigdy nie mają dosyć.

Wyszedł spod prysznic. Teoretycznie spóźnił się tylko trzydzieści minut. Ale niemal mdliło go z głodu. Jedzenie w przydrożnym barze nie uspokoiłoby żołądka. Poszedł do BelLoc Diner, gdzie kelnerka mu nadskakiwała, upewniając się, czy dostał stek z jajkami dokładnie taki, jak chciał, jajka właśnie tak mało ścięte, jak lubił. Wcisnął w nie zęby widelca, by żółtko wypłynęło na mięso i zastanowił się raz jeszcze: „Co ja, do diabła, takiego zrobiłem, że wkurzyłem Debbie?”

– W szpitalu St. Agnes mamy jakąś bełkoczącą wariatkę. Mówi, że wie coś o morderstwie sprzed lat – oznajmił mu sierżant Lenhardt. – Jedź tam.

– Ja się teraz zajmuję sprawą McGowan. Mówiąc szczerze, musiałem dzisiaj rano w tej sprawie wyhaczyć jednego faceta. Dlatego się spóźniłem.

– Muszę kogoś wysłać, żeby z nią pogadał. Kto późno przychodzi, sam sobie szkodzi.

– Mówiłem, że ja...

– Jasne. Wiem, co mówiłeś. Ale to wciąż nie jest powód, żeby opuścić odprawę, palancie.

Lenhardt w zeszłym roku był partnerem Infante'a, gdy wydziałowi brakowało ludzi. Od kiedy jednak wrócił na pełny etat sierżanta, stał się jeszcze większym betonem. Jakby Kevin potrzebował, by mu przypominano, kto tu rządzi.

– O co chodzi? Przecież ona jest psychiczna.

– Albo wciska jakieś pierdoły, żeby odwrócić uwagę od tego, że uciekła z miejsca poważnego wypadku.

– Czy my w ogóle wiemy, jaką sprawę obiecała dla nas rozwiązać?

– Ostatniego wieczoru mamrotała coś o Bethany.

– Bethany Beach? To na pewno nie jest w tym stanie, nie mówiąc już o hrabstwie.

– Siostrach Bethany, cwaniaczku. Zaginięcie sprzed lat.

– A ty jesteś się gotów założyć, że ona wciska kit?

– No.

– Chcesz, żebym stracił pół dnia? St. Agnes jest straszny kawał drogi stąd. Naprawdę mam z nią pogadać?

– No.

Infante odwrócił się do wyjścia, zirytowany, zły. Dobra, zasłużył, żeby lekko przykręcić mu śrubę, ale Lenhardt na pewno o tym nie wiedział, więc i tak działa się niesprawiedliwość.

– Hej, Kev? – zawołał za nim sierżant.

– Tak?

– Znasz takie powiedzonko: „robić sobie jaja”? Zawsze myślałem, że to metafora, ale dzisiaj rano przypomniałeś mi, że można to rozumieć dosłownie. Rozmawiałeś z różnymi ludźmi przez cały ranek i nikt ci nie powiedział, że masz twarz upapraną żółtkiem?

Infante gwałtownie podniósł dłoń, odnalazł zdradliwą drobinę jajka w kąciku ust.

– Spotkanie przy śniadaniu – wyjaśnił. – Pracowałem z informatorem, który może coś wiedzieć o McGowan.

– Ty już tak odruchowo kłamiesz? – Głos sierżanta wcale nie był niezyczliwy. – A może po prostu starasz się nie wyjść z sprawy przed następnym małżeństwem?



### Rozdział 3

Łodemu doktorowi wybranie sobie ciastka zajęło sporo czasu. Najpierw wskazał pączka, potem duńskie ciastko, jednak w końcu wrócił do pączka. Kay Sullivan stojąca za nim w kolejce wręcz czuła to jego oczekiwanie na przyjemność, ale także poczucie winy w związku z podjętą decyzją. Przecież on miał nie więcej niż dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat, był chudy jak chart i napędzany adrenaliną. Całe lata dzieliły go od martwienia się o to, co je – zakładając, że w ogóle kiedyś będzie miał taki problem. Niektórzy nigdy się tym nie przejmowali, zwłaszcza mężczyźni, a ten lubił zjeść. Pączek stanowił dla niego najwyraźniej główną atrakcję poranka, nagrodę po długiej nocy. Przyjemność u tego człowieka była tak namacalna, że Kay niemal miała wrażenie, że sama wybiera sobie ciastko, dlatego czuła się mniej pokrzywdzona, kiedy kupiła wreszcie codzienną czarną kawę i dwie paczuszki słodzika.

Usiadła przy stoliku na rogu i zabrała się do noszonej przy sobie, na wszelki wypadek, taniej powieści. Kay wtykała tanie wydania książek w każdy kąt swojego życia – do torebki, do biura, do samochodu, kuchni, łazienki. Pięć lat temu, kiedy ból rozvodu był jeszcze świeży i dojmujący, książki stanowiły dla niej sposób, aby zapomnieć, że nie ma własnego życia. Jednak z biegiem czasu zaczęła sobie uświadamiać, że woli powieści od towarzystwa innych ludzi. Czytanie stało się po prostu jej sposobem bycia. W domu musiała bardzo uważać, aby nie uciekać w książki od swoich dzieci. Odkładała tom, próbowała oglądać w telewizji program, jaki akurat wybrali Grace i Seth, ale cały czas rzucała tęskne spojrzenia na powieść, tak blisko, tak pod ręką. W trakcie przerwy w pracy

albo na lunchu mogła dołączyć do znajomych, ale zawsze siadywała sama i czytała. Koledzy za plecami nazywali ją pracownikiem antysocjalnym – lub tak o niej myśleli. Jednak Kay, mimo że zdawała się wciąż zatopiona w lekturze, dostrzegała bardzo wiele z tego, co działo się wokół.

Na przykład tego ranka, kiedy przyjechała i otworzyła drzwi do biura, przechwyciła kilka szczegółów historii Jane Doe. Ogólnie uznawano, że kobieta to oszustka, w desperacji wygadująca bzdury; miała jednak też małą ranę głowy, która mogła podziałać na pamięć. Czekają ją badania psychiatryczne, lecz Kay ponad rok temu przeniosła się z wydziału do takich spraw, więc to już nie było jej zmartwienie. Obrażenia nieznajoma miała świeże, odniesione wskutek wypadku, nie była też bezdomna, bezrobotna albo prześladowana przez partnera – czyli nie podpadała pod żadną ze specjalności Kay. Co prawdą odmawiała też odpowiedzi na pytanie, czy ma ubezpieczenie medyczne, ale póki co, to pozostawało problemem administracyjno-księgowym. Jeśli jednak okaże się, że ranna nie jest ubezpieczona, co zdaniem Kay było prawdopodobne, to właśnie jej jako pracownikowi socjalnemu mogło przypaść zadanie znalezienia sposobu pokrycia kosztów, wykombinowania, czy da się wystawić rachunek, korzystając z programu stanowego albo federalnego.

Ale tymczasem Jane Doe stanowiła problem kogoś innego, a Kay przebywała bezpiecznie w świecie Charlotte Bronte. Czytała *Jane Eyre*, pozycję z klubu książki na ten miesiąc. Tak naprawdę nie przejmowała się tym klubem, sąsiedzkim przedsięwzięciem, do którego przyłączyła się, gdy jej małżeństwo wydawało już ostatnie tchnienie. Dzięki niemu miała dobry pretekst do ustawicznego czytania. „Klub książki”, mogła wyjaśnić, pokazując trzymany tom, „a ja jak zwykle go popieram”. W klubie więcej

czasu spędzano na plotkach i jedzeniu niż na dyskusji o lekturach, ale Kay to nie przeszkadzało. Rzadko czuła potrzebę dzielenia się refleksjami o tym, co czytała. Rozmowa na temat postaci z ciekawej książki była niestosowna, jak plotki o przyjaciółkach.

Zgraja młodych lekarzy rozsiadła się przy sąsiednim stoliku. Kay zwykle z łatwością potrafiła odciąć się od otaczającego hałasu, ale jedna kobieta w grupie miała niezwykle ostry głos, czysty, tnący powietrze.

– Jakieś morderstwo!

„Minął tydzień, a nie było żadnych wieści o panu Rochesterze. Minęło dziesięć dni, a on wciąż się nie zjawiał”.

– Coś takiego to w Baltimore niezła nowinka. Ile jest tutaj morderstw? Zaledwie pięćset rocznie?

Mniej niż trzysta w samym mieście, poprawiła w myślach Kay. I jedna dziesiąta tego w hrabstwie. A w świecie Jane Eyre młoda guwernantka walczyła z uczuciami, których nie mogła żywić do swojego pracodawcy.

„Od razu przywołałam swoje uczucia do porządku; i to było cudowne, jak zapanowałam nad tymczasowym oszołomieniem”.

– Moi rodzice byli przerażeni, gdy usłyszeli, że zamierzam tutaj pracować. Jeśli planowałam przenieść się do Baltimore, to dlaczego nie do Hopkinsa? Dlaczego nie na uniwersytet? Okłamałam ich, powiedziałam, że St. Agnes leży w bardzo ładnej podmiejskiej okolicy.

Słowa te skwitowano śmiechem pełnym uznania. St. Agnes było dobrym szpitalem z niezłym budżetem, trzecim co do wielkości pracodawcą w Baltimore, ale jego sukces wcale nie pomógł rejonowi. Ostatnimi czasy okolica podupadła, z zamieszkaną przez uczciwych robotników zmieniała się w obskurną i zapuszczoną. Baltimoreczycy z tych

bliskich przedmieść, które rozrosły się we wczesnych latach ucieczki białych z dzielnic pełnych kolorowej ludności, przekonali się, że problemy miasta nie zważają na linie wytyczone na mapie. Narkotyki, przestępstwa – wszystko wytoczyło się z najstarszej części miasta i przekroczyło granice centrum. Ci, którzy mieli pieniądze, przenosili się więc ciągle dalej i dalej. Dziś jednak śródmieście rozkwitło, bo yuppies oraz waszyngtończycy wzbogaceni na nieruchomościach uznali, że chcą widoku na wodę oraz porządnych restauracji. A kto by się tam martwił, że okoliczne szkoły są do bani? Kay cieszyła się, że twardo trzymała się swojego domu na Hunting Ridge i została w centrum, postępując, jak się wówczas wydawało, niepraktycznie i katastrofalnie. Wartość domu wzrosła ponad trzykrotnie, dzięki czemu miała pieniądze, gdy przyszły trudne czasy. A jej były mąż zdecydował się na prywatną szkołę dla dzieci. On dobrze sobie radził, gdy chodziło o płacenie za drogie rzeczy, ale nie miał pojęcia o codziennych kosztach związanych z dzieckiem, o tym, ile pieniędzy rocznie pochłaniają batoniki, masło orzechowe i prezenty urodzinowe.

– Słyszałam, że ona ma ze czterdziestkę? – Nacisk położony na te słowa dawał jasno do zrozumienia, że czterdziestolatek to ktoś bardzo, bardzo stary. – I mówi, że to zdarzyło się trzydzieści lat temu? To co, zabiła kogoś, jak miała dziesięć lat, i aż do teraz nikomu nic nie powiedziała?

– Ona chyba nie stwierdziła, że coś takiego zrobiła – wtrącił jakiś niższy męski głos. – Mówiła tylko, że wie o jakiejś głośnej nierozwiązanej zagadce kryminalnej.

– Coś o dziecku Lindbergha?

Dla Kay nie było jasne, czy ta młoda kobieta używa figury retorycznej, czy rzeczywiście sądzi, że dziecko Lindbergha porwano trzydzieści lat temu. Młodzi lekarze, znakomici w swoich specjalnościach, często okazywali się wręcz szokującymi ignorantami, jeśli chodziło o inne sprawy. Wszystko zależało od tego, jak bardzo zawężali pole zainteresowań.

Wtem z nagłością migreny Kay uświadomiła sobie, jak mało pewności siebie ma ta młoda kobieta. Opryskliwość stanowiła u niej przykrywkę kogoś, komu brak zdolności utrzymywania chłodnego dystansu, wymaganej przez zawód, jaki sobie wybrał. Och, jeszcze będzie z nią ciężko. Powinna specjalizować się raczej w sekcjach zwłok, bo tam pacjenci już nie żyją. I to nie dlatego, że była nieczuła, lecz dlatego, iż tej czułości miała aż nadto. Emocjonalny nadwrażliwiec. Kay czuła się teraz niemal fizycznie chora, wyczerpana, obolała jak przy grypie. Jakby ta dziwna młoda kobieta weszła jej na kolana i prosiła, by ją przytulić. Nawet *Jane Eyre* nie mogła Kay od tego odgradzić. Chwyliła więc torebkę i wyszła.

Kiedy miała dwadzieścia lat i jeszcze potem, niedługo po trzydziestce, sądziła, że nagłe przebłyski dostrzegania tego, co dzieje się w cudzych duszach, odnoszą się tylko do jej kontaktów z własnymi dziećmi. Ich uczucia wnikały w nią, tak jakby nie istniały żadne fizyczne bariery. Doświadczała ich radości, frustracji oraz smutku. Ale kiedy Grace i Seth dorośli, odkryła, że czasem docierają do niej też uczucia innych osób. Zazwyczaj ci ludzie byli bardzo młodzi, bo tacy nie umieją jeszcze ukrywać swoich emocji. Jednak w odpowiednich warunkach uczucia dorosłych też do niej przenikały. Taka daleko posunięta empatia stanowiła,

paradoksalnie, dla pracownika socjalnego niedogodność. Kay nauczyła się więc trzymać empatię w ryzach; ta jednak wymykała się spod kontroli właśnie w takich chwilach spokoju, kiedy Kay dawała się zaskoczyć z opuszczoną gardą.

Wróciła do swojego biura i złapała Schumeiera z psychiatrii na tym, jak zostawia jej kartkę na drzwiach. Zdawał się rozzłoszczony spotkaniem. Zastanowiła się, czemu ryzykował przybycie tu, kiedy wszystko mógł załatwić emailem. Schumeier stanowił chodzący przykład tego, że psychiatria często przyciąga osoby, które najbardziej potrzebują psychoterapii. Kiedy tylko się dało, unikał bezpośredniego kontaktu, nawet głosowego. Emaile były dla niego prawdziwym darem niebios.

– Chodzi o tę kobietę, którą do nas przywieziono wczoraj w nocy... – zaczął.

– Jane Doe?

– Tak. – Wcale go nie zaskoczyło, że Kay już o niej słyszała, wręcz przeciwnie. Zapewne szukał Kay właśnie dlatego, że wiedział, iż nie trzeba będzie jej dużo tłumaczyć i w związku z tym długo rozmawiać.

– Odmówiła poddania się badaniu psychiatrycznemu. To znaczy, wymienili kilka zdań, ale kiedy konwersacja przestawała być ogólnikowa, pacjentka oznajmiła, że nie będzie rozmawiać bez prawnika. Tyle że ona nie chce współpracować z obrońcą z urzędu, a mówi, że nie ma żadnego pełnomocnika.

Kay westchnęła.

– A ma pieniądze?

– Podobno tak, ale ciężko stwierdzić, bo nawet nie podała nazwiska. Powiedziała, że niczego nie zrobi bez obecności prawnika.

– A ty chcesz, żebym...

– Przyjaźnisz się z prawniczką, prawda? Tą, o której ciągle piszą w gazetach.

– Chodzi ci o Glorię Bustamante? Znam ją, ale nie jesteśmy przyjaciółkami. Po prostu obie zasiadamy w zarządzie Domu Rut.

I ja nie jestem lesbijką, miała jeszcze ochotę dodać, pewna, że właśnie w tę stronę powędrowały myśli Schumeiera. Skoro Gloria Bustamante, prawniczka o niejasnych upodobaniach seksualnych kolegowala się z Kay Sullivan, która nie umawiała się na randki od czasu rozwodu, znaczyło, że Kay z pewnością też jest lesbijką. Czasem myślała sobie, że chyba powinna nosić taki znaczek z napisem: „Wcale nie jestem lesbijką, ja tylko lubię czytać”.

– Mogłabyś do niej zadzwonić?

– Myślę, że najpierw powinnam się zająć Jane Doe. Nie chcę tutaj ściągać Glorii, póki ta kobieta nie będzie miała zamiaru z nią porozmawiać. Przy stawkach Glorii sama wizyta kosztowałaby prawie sześćset dolarów.

Schumeier się uśmiechnął.

– Zaciekawiała cię ta tajemnicza kobieta, która pojawiła się w naszym szpitalu, co? Chciałabyś się jej przyjrzeć, tak?

Kay schyliła głowę, szukając w torebce miętówek, które schowała tam, gdy ostatnim razem zaszalała i poszła z Grace oraz Sethem do restauracji. Nigdy nie lubiła pełnych emfazy oświadczeń Schumeiera o tym, co inni myślą albo czują. To był właśnie kolejny powód, dla którego wyniosła się z jego wydziału. „Jesteś psychiatrą, nie psychologiem”, miała ochotę mu powiedzieć. Zamiast tego wymruczała tylko:

– W której sali leży?

Młody umundurowany policjant, który stał pod salą numer 3030, przepytował Kay niemal bez końca, podekscytowany, że wreszcie ma coś do roboty, ale koniec końców pozwolił jej wejść. W sali było ciemno, rolety zasunięto, odcinając jaskrawe promienie zimowego słońca. Kobieta wyglądała, jakby zasnęła na siedząco. Głowa opadła jej niezgrabnie w bok, jak u dziecka na siedzeniu samochodu. Włosy miała dosyć krótkie – ryzykowna fryzura dla kogoś niemającego ładnie uformowanej czaszki. Taka moda czy rezultat chemioterapii?

– Cześć – powiedziała nieznajoma, nagle otwierając oczy.

Kay, która udzielała już porad ofiarom poparzeń i wypadków oraz kobietom z twarzami zmasakrowanymi przez mężów, poczuła się zszokowana jasnym spojrzeniem pacjentki. W kobiecie na łóżku ujrzała niemal bolesną kruchość, coś więcej niż tylko zwykłe roztrzęsienie ofiary kolizji. Nieznajoma zdawała się jednym wielkim sińcem, jej skóra powstrzymywała ból świata równie słabo, jak skorupka jajka. Świeża rana na czole była niczym w porównaniu ze zranionym spojrzeniem.

– Nazywam się Kay Sullivan, jestem tutejszym pracownikiem socjalnym.

– Po co mi pracownik socjalny?

– Doktor Schumeier sądzi, że pomogę pani w znalezieniu sobie prawnika.

– Nie chcę żadnego obrońcy z urzędu. Potrzebuję kogoś dobrego, kto skupi się tylko na mojej sprawie.

– To prawda, mają dużo pracy, ale są...



– Nie o to chodzi, że ich nie szanuję. Po prostu potrzebuję kogoś niezależnego od administracji. Obrońcy z urzędu są przecież opłacani przez państwo. Koniec końców, jak zawsze mówił mój ojciec, nigdy nie zapominają o tym, z której strony chleb jest posmarowany masłem. Pracownicy państwowi. On też był jednym z nich. Kiedyś. I bardzo ich nie lubił.

Kay nie potrafiła precyzyjnie określić wieku kobiety. Młody lekarz powiedział, że pacjentka jest około czterdziestki, ale mogła mieć też pięć lat więcej albo mniej. Tak czy owak, za stara, by mówić o swoim ojcu z takim szacunkiem, jak gdyby był wyrocznią. Większość osób nabierała dużego dystansu do rodziców w wieku dziewiętnastu lat.

– Tak – zaczęła, próbując znaleźć punkt zaczepienia do dalszej rozmowy – To był wypadek. Spanikowałam. Różne myśli przelatywały mi przez głowę, wcale nie widziałam tego odcinka autostrady... Co z dzieckiem? Widziałam jakąś małą dziewczynkę. Chybabym się zabiła, gdyby... No, nawet nie chcę tego mówić głośno. Ja jestem trucizną... Samym swoim istnieniem przynoszę ból i śmierć. To klątwa. Nie potrafię od niej uciec.

Kay nagle przypomniała sobie festyn stanowy w Timonium, namiot z cyrkiem dziwadeł. Miała trzynaście lat, aż trzęsła się z emocji, żeby tam wejść, a kiedy już znalazła się w środku, zobaczyła tylko trochę dziwacznych ludzi: grubych, wytatuowanych, chudych, wysokich; siedzieli spokojnie. Schumeier ją jednak przejrzał: w tym, co robiła tutaj, było odrobinę podglądactwa, chęci przypatrzenia się, nic poza tym. Ale ta kobieta mówiła teraz do niej, przyciągała ją, paplała o różnych sprawach, tak jak gdyby Kay wiedziała lub powinna wiedzieć na jej temat wszystko.

Kay wiele razy pracowała z takimi osobami, ludźmi przybywającymi z „głębokiego kontekstu”, zachowującymi się jak gwiazdy, których każda chwila życia została udokumentowana w tabloidach i telewizyjnych show.

Ale przynajmniej kobieta w łóżku dostrzegała Kay, co stanowiło już więcej, niż zdołali uczynić niektórzy zapatrzeni w siebie pacjenci.

– Jesteś stąd? – spytała pacjentka.

– Mieszkam tu całe życie. Dorastałam w północnozachodnim Baltimore.

– A ile masz lat? Czterdzieści pięć?

Ach, jak to boli. Kay przyzwyczała się już do tej wersji siebie, która odbijała się w lustrach i szybach, a nawet ją polubiła, ale teraz musiała zastanowić się nad tym, co widzieli obcy – krótki, przysadzisty korpus, siwe włosy do ramion, bardzo ją postarzające. Nieźle się trzymała, jeśli chodziło o zdrowie i kondycję, ale ciężko było swoim strojem albo w trakcie przygodnej rozmowy pokazać dobre ciśnienie krwi, właściwą gęstość kości i odpowiedni poziom cholesterolu.

– Właściwie trzydzieści dziewięć.

– Powiem nazwisko.

– Swoje nazwisko?

– Nie, jeszcze nie teraz. Powiem nazwisko.

– Tak?

– Może je znasz. A może nie. To zależy od tego, jak je wypowiem. To nazwisko dziewczynki, ona nie żyje. Przynajmniej tak sądzono przez wiele lat. I jest jeszcze druga dziewczynka, ta żyje i jest już trudniej wytłumaczyć.

– Jesteś...

– Siostry Bethany. Wielkanoc, 1975 rok.

– Bethany... och. Och.

Kay wszystko się przypomniało. Dwie siostry, które gdzieś poszły, tylko gdzie, do kina? Do centrum handlowego? Widziała, jak są do siebie podobne; starsza z gładkim kucykiem, młodsza z warkoczykami. Przypomniała sobie panikę, która wtedy ogarnęła miasto. Dzieciom pokazywano filmowe przestrogi: „Uważajcie, dziewczęta”, „Uważajcie, chłopcy”. Dopiero po latach Kay zrozumiała zawarte tam eufemistyczne ostrzeżenia: „Sały poszła z nieznanymi chłopcami na plażowe przyjęcie, potem się odnalazła – wędrowała pieszo po autostradzie, bosa i oszołomiona”. „Rodzice Jimmiego powiedzieli mu, że to nie jego wina, że Greg się z nim zaprzyjaźnił i zabrał go na ryby; ale wyjaśnili, że taka przyjaźń z kimś starszym nie jest czymś normalnym”. „Wsiadła do obcego samochodu i od tej pory ślad po niej zaginął”.

Były także plotki – podobno widziano dziewczynki gdzieś w Georgii, przysłano fałszywe żądanie okupu, obawiano się, że w grę wchodzi sekty i kontrkultury. Cóż, ledwie rok wcześniej porwano Party Hearst. W latach siedemdziesiątych często porywano ludzi. Żonę jakiegoś biznesmena wypuszczono za sto tysięcy dolarów, co zdawało się wtedy fortuną. Bogatą dziewczynę zakopano w skrzyni z tubą do oddychania. Ale państwo Bethany wcale nie byli bogaci, w każdym razie z tego, co Kay pamiętała; zresztą im dłużej ta sprawa nie miała żadnego oficjalnego zakończenia, tym w ogóle mniej o niej pamiętano. Ostatni raz nad tym, gdzie są siostry Bethany, Kay zastanawiała się, kiedy szła do kina przy Security Square, co najmniej dziesięć lat temu. To stało się właśnie tam – centrum handlowe przy Security Square było wówczas nowe, dzisiaj

przypominało wymarłe miasto.

– Tak, słucham... ?

– Kay, przyprowadź mi prawnika. Jakiegoś dobrego.

## Rozdział 4

Infante popędził do szpitala jak na skrzydłach, jechał prosto przez miasto, nie obwodnicą. Cholera, śródmieście Baltimore zaczynało wręcz lśnić. Kto by pomyślał? Prawie żałował, że nie kupił tam sobie mieszkania dziesięć lat temu, choć pewnie już by go nie miał. Zresztą wychował się na przedmieściach, w Massapequa, na Long Island i miał słabość do tamtejszej plataniny drugorzędnych szos i skromnych bloków, gdzie mieszkał w Parkville. IHOP, Applebee, Target, Toys'r'Us, stacje benzynowe, sklepy dla majsterkowiczów – dla niego tak właśnie wyglądał dom. Nie żeby zamierzał wracać tam, gdzie praktycznie nie można było utrzymać się z pensji policjanta. Nadal jednak kibicował drużynie Jankesów i ku uciechu kolegów zgrywał zuchwałego chłopaka z Nowego Jorku. Ale jakoś podskórnie czuł, że to miasto, ta praca są w sam raz dla niego. Był dobry w swoim fachu, miał prawie najwięcej w wydziale rozwiązanych spraw. Zwykł mawiać: „slang baltimorskich ulic to mój drugi język”. Lenhardt chciał, żeby Kevin zdawał na sierżanta. Ludzie zawsze sądzą, że powinienesz robić właśnie to, czego oni chcą. „Zostań strażakiem na wyspie”, mawiał jego tata. Pierwsza żona zachęcała: „Chodź, obejrzyj ze mną *Prawo i porządek?*’. Pragnęła, by jej ulubiony program stał się też jego ulubionym programem, jej ulubiona potrawa jego ulubioną. Próbowwała nawet namówić Kevina, aby z budweisera przerzucił się na rolling rock i porzucił jamesona dla bushmillsa. To wyglądało, jakby pracowała nad ich małżeństwem, idąc wstecz. Próbowwała stworzyć logiczny ciąg pasujący do tego, co od samego początku było tylko namiętnością i pożądaniem. Infante'owi przypomniały się lata nauki w

liceum. Sam wybrał sobie szkołę – Nassau Community College, nie żaden znaczący ośrodek. Na nic więcej nie mogli sobie pozwolić. Potem dał szkolnej pedagog takie informacje, że jej komputer wypuł nazwę właśnie tej szkoły. Tak oto jego jedyna opcja stała się wyborem, a nie przymusem.

Pędząc przez miasto jak wichur, dotarł do szpitala w niecałe czterdzieści minut. Ale i tak to nie wystarczyło. Na korytarzu była już Gloria Bustamante – najgorsza żoła sądowej obrony, jakie znał spośród wszystkich, mężczyzn i kobiet, hetero – i homoseksualnych.

O jasna cholera.

– Wyglądasz na totalnie przybitego – przywitała go stara przepita żmija. – Normalnie jesteś załamany jak sójka, której gniazdko zwisa z muru.

Pociągnęła za kosmyk grzywki, zabłąkane czerwonobrazowe włosy, z dużymi siwymi odrostami. Jak zwykle była wrakiem samej siebie. Szminka na i poza linią ust. Brak guzika w zakiecie. Buty, kiedyś drogie, teraz powycierane i wypchane na palcach, jakby ciągle kopała w coś bardzo twardego. Pewnie piszczał jakiegoś detektywa.

– To ona cię wynajęła?

– Cóż, zawarłyśmy pewien układ.

– Glorio, „tak” czy „nie”? Jesteś jej prawnikiem?

– Na razie tak. Przejmuję sprawę wraz z zapewnieniem tej kobiety, że zdoła zapłacić mi honorarium. – Błysnęła do niego oczyma. – Jesteś tu z powodu zabójstwa, prawda? Nie wypadku drogowego?

– Pieprzę to, co ona zrobiła ze swoim wozem.

– Jeśli powie ci o morderstwie, czy możemy odstawić na bok te sprawy związane z ruchem drogowym? Naprawdę, nikt tam nie zawinił, ona

spanikowała...

– Cholera, Glorio. Za kogo ty się masz, żeby ze mną dobijać targów? Wypadek w zamian za to, co jest jakąś tajemnicą? Na każdy układ musi być zgoda prokuratora. Wiesz o tym.

– No dobra, to może zabronię ci się z nią spotkać. Jest wyczerpana, ma uraz głowy. Chyba w ogóle nie powinna rozmawiać z kimkolwiek, dopóki lekarz nie stwierdzi, czy uraz mógł mieć wpływ na pamięć.

– Zbadali ją ostatniej nocy.

– Zajęto się obrażeniami i przeszła badanie psychiatryczne. Ale ja chciałabym przyprowadzić neurochirurga. Ona może nawet nie pamiętać kolizji, tego, że opuściła miejsce wypadku.

– Zachowaj te pierdoły do podsumowania sprawy, a teraz kawa na lawę. Chcę wiedzieć, jaką zagadkę obiecała rozwiązać i czy ona podlega naszej jurysdykcji.

– Och, jak najbardziej jest w twojej jurysdykcji, detektywie. – Kiedy Bustamante rozmawiała z mężczyznami, często w jej głosie pojawiały się nutki nieprzyzwoitości.

Gdy Infante ją poznał, sądził, że takie podteksty są tylko maską w kontaktach z innymi ludźmi, sposobem na ukrycie orientacji seksualnej. Ale Lenhardt upierał się, że to bardzo rozwinięta ironia, rodzaj gadania-pieprzenia, którym Gloria stale się posługuje, żeby nie wyjść z wprawy.

– I co, mogę z nią porozmawiać?

– O tej starej sprawie, ale nie o wypadku.

– Glorio, do cholery, jestem z wydziału zabójstw. Gównu mnie obchodzi kraksa na obwodnicy. Chyba że... Poczekaj, czy ona to zrobiła specjalnie? Próbowwała zabić ludzi jadących drugim autem? Kurczę, to

może mój szczęśliwy dzień i rozwiązę dwie sprawy za jednym zamachem, właśnie tak. – Pstryknął palcami.

Gloria udawała znudzoną.

– Kevin, zostaw takie żarciki dla swojego sierżanta. On jest wesołkiem, a ty lalusiem.

Kobieta na szpitalnym łóżku miała mocno zaciśnięte powieki, jak dziecko udające oposa. Światło w pomieszczeniu ukazywało też delikatne włoski na jej ramieniu i na boku twarzy, jasny meszek. A także wory pod oczyma, ślad długotrwałego wyczerpania. Otworzyła oczy na chwilę, potem zamknęła.

– Jestem taka zmęczona – wymamrotała. – Glorio, nie mam siły...

– On tu długo nie zostanie, słodziutka. Słodziutka?

– Jemu chodzi tylko o pierwszą część. Pierwsza część? To co było drugą?

– Ale to jest najtrudniejsze. Nie możesz po prostu ty mu powiedzieć i dać mi spokój?

Musiał sam wziąć sprawy w swoje ręce, nie czekać, aż Gloria go przedstawi, czego zresztą najwyraźniej nie miała zamiaru zrobić.

– Nazywam się Kevin Infante, jestem detektywem z wydziału zabójstw policji hrabstwa Baltimore.

– Infante? Tak jak „dziecko” po włosku?

Oczy ciągle zamknięte. Chciał, żeby je otworzyła. Aż do tej chwili nigdy się nie zastanawiał, jak ważne w tym, co robi, są otwarte oczy. Jasne, pamiętał o kontakcie wzrokowym, wiedział, co to znaczy, gdy ktoś unika twojego spojrzenia. Ale jeszcze nigdy nie miał do czynienia z taką osobą jak tutaj, ściśle mówiąc, jak z leżącą tutaj, z kimś tak mocno



zaciskającym powieki.

– Jasne – powiedział, jakby nigdy tego wcześniej nie słyszał, jakby jego dwie byłe żony ciągle mu o tym nie przypominały.

Otworzyła oczy. Miały kolor niebieski, bardzo intensywny, aż go było szkoda dla blondynki. Niebieskooka brunetka to jego ideał, jasność i ciemność.

– Nie wyglądasz na dziecko – oznajmiła. – W jej głosie, inaczej niż w przypadku Glorii, nie wyłowił nawet cienia flirtu. Nie prowadziła z nim takich gier. – Śmieszne, ale przez chwilę wyobraziłam sobie pewną postać z kreskówki, olbrzyma w pieluszkach i z małą czapeczką.

– Hyzia – powiedział.

– Taak. On był kaczorem? Czy kurczakiem?

– Chyba kurczakiem. – Może jednak powinni ją pokazać neurochirurgowi. – Słyszałem, że wie pani o morderstwie sprzed lat popełnionym tutaj, w hrabstwie Baltimore. O tym właśnie chciałbym z panią porozmawiać.

– To się zaczęło w hrabstwie Baltimore. Zakończyło się... Nie jestem pewna gdzie. I czy w ogóle się zakończyło...

– Twierdzi pani, że ktoś zaczął kogoś zabijać w hrabstwie Baltimore, a skończył gdzieś indziej?

– Nie jestem pewna... Na końcu... No, nie na końcu, ale wtedy, kiedy wydarzyły się złe rzeczy. Chwilowo, nie wiem, gdzie byliśmy.

– Dlaczego po prostu mi pani nie opowie swojej historii? Może sam rozwikłam tę zagadkę.

Odwróciła się do Glorii.

– Czy ludzie... To znaczy, czy o nas wciąż jest głośno?

– Gdyby tutaj byli, przypomnieliby sobie – odpowiedziała stara żmija, znacznie łagodniejszym głosem niż zazwyczaj.

Ona na nią leciała? Bo inaczej dlaczego ryzykowałyby wzięcie sprawy, za którą mogła nie dostać pieniędzy? Czasem trudno było rozgryźć męski gust co do kobiet, ale jeszcze trudniej kobiecy. Gloria, jak wynikało z obserwacji Infante’a, raczej nie była sentymentalna.

– Może nie nazwisko, ale chwilę, w jakiej usłyszeli o tych wypadkach. A detektyw Infante nie jest stąd.

– No to po co z nim rozmawiać? – Zamknęła oczy i ułożyła się z powrotem na poduszce.

Gloria wymownie wzruszyła ramionami. Infante jeszcze nigdy nie widział jej tak uprzejmej w stosunku do klienta, tak usługowej. Zawsze dobrze zajmowała się ludźmi, których reprezentowała, ale nalegała na to, by rządzić. A teraz to ją przepełniał szacunek dla klienta. Skinęła na detektywa, aby wyszli razem na korytarz. Pokręcił głową nie ruszył się z miejsca.

– To ty mi wszystko powiedz – zwrócił się do Glorii.

– W kwietniu 1975 roku dwie siostry wyszły z domu i udały się do centrum handlowego Security Square. Sunny i Heather Bethany. Nigdy ich więcej nie widziano. Policja nawet się nie domyślała, co się stało. Inaczej jak w sprawie Powers.

Sprawa Powers była zagadką sprzed dziesięciu lat. Zaginęła młoda kobieta, nikt jednak nie miał wątpliwości, że za tym zniknięciem stał jej porzucony mąż. Po prostu nie potrafiono tego udowodnić. Tajemnicą poliszynela było, że facet kogoś wynajął i mu się poszczęściło, bo trafił chyba na najbardziej małomównego i najbardziej lojalnego zabójcę świata.

Typa, który nigdy nie miał powodu, aby sprzedać tę informację. Nigdy nie wylądował w pace albo po pijanemu nie wypaplał swojej dziewczynie: „Tak, ja to zrobiłem”.

– Ona wie, co się stało?

– Słyszę was – odezwała się kobieta na łóżku. – Cały czas jestem tutaj.

– Proszę, może pani śmiało włączyć się do rozmowy – zachęcił Infante.

Wyraz jej twarzy trochę się zmienił, tak jakby była wkurzoną nastolatką, która właśnie chce, żeby mama i tata zostawili ją wreszcie w spokoju. Jednak nic nie powiedziała.

– Początkowo zdawało się, że jest kilka tropów. Próba wyłudzenia okupu. Namierzyliśmy jakieś podejrzane osoby. Nie znaleźliśmy dosłownie żadnego śladu.

– Sunny to było zdrobnienie od Sunshine – oznajmiła kobieta na łóżku.

– Ona tego nie cierpiała.

Zaczęła szlochać, ale zdawało się, że nie zauważyła łez spływających po twarzy. Infante wciąż starał się rozwikłać łamigłówkę. Trzydzieści lat temu, dwie siostry. Jak bardzo młode? Gloria nie powiedziała. Młode, no jasne. Na tyle, że wykluczono ucieczkę z domu i przyjęto założenie, że to morderstwo. Dwa morderstwa. Kto bierze do razu dwie dziewczyny? Dość ambitne przedsięwzięcie. Łatwo mogło się zakończyć niepowodzeniem. Czy porwanie dwóch sióstr nie sugerowało jakiejś osobistej rozgrywki, zemsty na rodzinie?

– Arthur Goode porwał więcej niż jednego chłopca – odezwała się Gloria, jakby czytała mu w myślach. – Ale to jeszcze nie było za twoich czasów. Porwał tutaj, w Baltimore, chłopca roznoszącego gazety i kazał mu patrzeć na... Tak czy siak, wypuścił go całego i zdrowego. Goode

został później stracony na Florydzie za podobne przestępstwa.

– Pamiętam – odezwała się kobieta na łóżku. – Bo to było tak jak z nami, ale jednak inaczej. My byłyśmy siostrami. I...

Urwała. Przyciągnęła kolana do piersi, objęła niezabandażowanym ramieniem i płakała tak, jakby złapały ją wymioty. Łzy i szloch, bez przerwy, aż Infante zaczął się martwić, że kobieta się odwodni.

– To jest Heather Bethany – oznajmiła Gloria. – A może była, wiele lat temu. Najwyraźniej dużo czasu minęło, od kiedy ostatnio używała prawdziwego nazwiska.

– Co się stało z jej siostrą?

– Została zabita – wyłkała kobieta. – Zamordowana. Jej kark trzasnął na moich oczach.

– A kto to zrobił? Gdzie to się stało?

Infante do tej pory cały czas stał, ale teraz przysunął sobie krzesło. Mógł tu spędzić długie godziny. Powinien przynieść magnetofon, nagrać oficjalne zeznanie. Zastanawiał się, czy ta sprawa naprawdę była tak sensacyjna, jak twierdziła Gloria. Ale nawet jeśli prawniczka przesadzała, cała historia mogła przecież zmutować w stek bzdur, gdy tylko wieści się rozejdą. Należało zajmować się tym powoli, delikatnie.

– Gdzie pani była i dlaczego dopiero po tak długim czasie zdecydowała się o tym mówić?

Heather, chwytając się za prawe ramię, podniosła się znowu do pozycji siedzącej, potem otarła oczy i nos wierzchem dłoni, jak dziecko.

– Przepraszam, ale nie mogę tego wyjaśnić. Po prostu nie mogę. Żałuję, że w ogóle cokolwiek powiedziałam.

Infante rzucił Glorii zdezorientowane spojrzenie. Znow bezradnie

wzruszyła ramionami.

– Ona nie chce być Heather Bethany – stwierdziła Gloria. – Pragnie wrócić do życia, jakie sobie stworzyła, a tamto zostawić za sobą. Jej siostra nie żyje. Jej rodzice podobno też nie żyją, a to pasuje do mojej teorii. To nie jest Heather Bethany.

– Jakkolwiek o sobie mówi, gdziekolwiek była, to według swoich słów jest świadkiem morderstwa... *Ile lat miała pani siostra?*

– Piętnaście. A ja prawie dwanaście.

– Zabójstwo piętnastoletniej dziewczyny. – Ona nie może podłożyć tu takiej bomby i ot tak sobie stąd wyfrunąć.

– Kogo chcecie aresztować? – zapytała pacjentka. – Jego już dawno nie ma. Wszystkich już dawno nie ma. To bez sensu. Uderzyłam się w głowę, powiedziałam coś, czego nigdy nie zamierzałam powiedzieć. Po prostu o tym zapomnijmy, dobrze?

Infante skinął na Glorię, by wyszła z nim na korytarz.

– Kto to jest?

– Heather Bethany.

– Nie, chodzi mi o to, jakiego teraz używa nazwiska. Gdzie mieszka? Czym się zajmuje? Gliniarz, który ją przywiózł, mówił, że samochód był zarejestrowany na Penelopę Jackson. To ona?

– Nawet gdybym miała takie informacje, a nie mówię, że mam, nie jestem upoważniona, żeby ci ich udzielać.

– Pieprzyć upoważnienia. Glorio, prawo jasno o tym stanowi, aż po zasrany Sąd Najwyższy. Prowadziła samochód, miała wypadek. Musi pokazać dowód tożsamości. Jeśli tego nie zrobi, to prosto stąd pójdzie do aresztu.

Na chwilę Gloria porzuciła całe swoje zmanierowanie: uniesione brwi, uśmiezek. Dziwne, zrobiła się jeszcze mniej atrakcyjna.

– Wiem, wiem. Ale posłuchaj. Ta kobieta przeszła piekło i chce złożyć ci zeznanie stulecia. Musisz być tylko trochę bardziej cierpliwy. Dlaczego nie zaspokoisz jej zachcianek przez dzień, dwa? Z tego, co widzę, kobieta jest piekielnie przerażona perspektywą wyjawienia swojej tożsamości. Ona musi ci zaufać, zanim będzie mogła się wynurzyć.

– Dlaczego? I to jest ten wielki układ? No, chyba że jest poszukiwana za inne przestępstwo.

– Przysięgała na wszystko, że nie, jedyne, czym się martwi, to to, że stanie się „dziwadłem tygodnia”, przytaczając jej słowa, w dzienniku kablówki. Kiedy ujawni się jako Heather Bethany, jej życie, takie, jakie zna, skończy się. Chce znaleźć sposób wyjawienia ci rozwiązania tej sprawy bez zdradzania własnej tożsamości.

– No, nie wiem. To nie moja działka. Coś takiego powinno przejść całą drogę służbową, a oni wciąż mogą mnie odesłać, żebym ją przymknął.

– Zrób to, a ona ci nie poda rozwiązania sprawy sióstr Bethany. Powie, że to wszystko było złudzenie, efekt wypadku. Słuchaj, powinienesz szaleć z radości, że kobieta stawia takie warunki. Ona nie chce upublicznienia sprawy, a twój wydział nie cierpi mediów. To ja tracę, bo nie zyskam rozgłosu, a może nawet nie dostanę pieniędzy.

Wróciła do swojej zwykłej postaci. Zatrzepotała rzęsami i złożyła wargi w dzióbek. Cholera, jeśli ktoś tutaj przypominał Hyzia, to właśnie Gloria, z tymi rybimi ustami i nosem jak dziób. Dziób – właśnie, teraz już miał w głowie tamten obrazek. Hyzio był bez wątpienia kaczką. Kaczką sraczką.

## Rozdział 5

Gdzieś grało radio. A może telewizor w sąsiednim pokoju? Jej sala była pogrążona w grobowej ciszy. Światło wreszcie zgasło, co przyjęła z ulgą. Myślała o swojej pracy. Czy już tam za nią tęsknili? Wczoraj zadzwoniła, że jest chora, ale dzisiaj nie wiedziała, co robić. To było międzystanowe połączenie, ale nie miała karty telefonicznej. Poza tym musiałyby skorzystać ze szpitalnej centrali. Nie mogła też dostać się do płatnego telefonu w holu, tak by nie minąć policjanta stojącego pod drzwiami. Czy karty telefoniczne w ogóle pozwalały ukryć, skąd rozmówca dzwoni? Nie wolno ryzykować. Musiała chronić tę jedyną rzecz, jaką miała – szesnaście lat egzystencji zbudowanej na czyjejś śmierci. Zresztą wszystko w jej życiu stawało się możliwe za sprawą czyjejś śmierci. Bo to było jej prawdziwe życie, na dobre i na złe, najdłuższe życie, jakim do tej pory żyła. Przez szesnaście lat starała się utrzymać to, co inni nazywali normalnością i nie zamierzała z niej rezygnować.

Na pewno to życie nie dawało jej zbyt wiele. Nie miała prawdziwych przyjaciół, tylko bliskich kolegów oraz urzędników, którzy znali ją na tyle dobrze, by się do niej uśmiechnąć. Nie miała nawet zwierzątka. Ale cieszyła się własnym mieszkaniem, małym, skromnym i schludnym. Zakup samochodu, swojej cennej camry, usprawiedliwiła dojazdami do pracy – godzina drogi przy dobrych wiatrach.

Słuchała książek na taśmach, opasłych kobiecych powieści. Maeve Binchy, Gail Godwin, Marian Keyes, Pat Conroy – no, ten ostatni akurat nie był kobietą, ale pisał historie tego samego rodzaju, nie bał się wielkich emocji i wielkich opowieści. Cholera, przecież musiała w sobotę oddać

trzy taśmy do biblioteki. Przez szesnaście lat nigdy się z niczym nie spóźniła – z opłatami, zwrotem książki, spotkaniem. Nie odważyłaby się. No bo co, jeśli spóźni się z oddaniem taśm? Jeżeli naliczą karę? Czy gdzieś na nią nie doniosą?

Ironią losu, biorąc pod uwagę jej pracę związaną z problemem roku 2000, od dawna żyła w strachu przed centralizacją. Przed dniem, w którym maszyny nauczą się komunikować ze sobą, samoistnie porównywać dane.

Chociaż płacono jej, aby zapobiegła totalnemu krachowi systemu, po kryjomu na to liczyła, na coś, co wymaże zapisy, zniszczy każdy okruch instytucjonalnej pamięci. Kawałki układanki już bowiem czekały, aż ktoś złoży je w całość. „Ta kobieta nosi nazwisko dziecka, które zmarło na Florydzie w 1963 roku”. „To dziwne, bo ta kobieta nazywa się tak samo, jak dziecko zmarłe w Nebrasce w 1962 roku”. „Chwileczkę, dziecko o tym nazwisku zmarło w Kansas w 1964 roku”. „A ta kobieta?” „Ona była z Ohio, urodzona też w 1962 roku”.

Przynajmniej łatwo pamiętać, kim jest teraz: Heather Bethany, urodzoną trzeciego kwietnia 1963 roku. W latach 1966-1978 zamieszkała przy Algonquin Lane. Prymuską w szkole podstawowej Dickey Hill. Gdzie wcześniej mieszkała jej rodzina? Chyba w Randallstown, ale nikt się nie spodziewał, że będzie cokolwiek pamiętała z tamtych czasów. To skomplikowane. Nie chodziło o to, aby wiedzieć to, co powinna wiedzieć, ale pamiętać, czego nie wie.

I co jeszcze? Szkoła numer 210, Dickey Hill. Plac zabaw z drabinkami, metalowe drążki do podciągania się, o trzech wysokościach. W czerwcowe dni rozgrzewały się tak, że nie dawało się ich dotknąć. Miejsce do gry w klasy i czworokątna kratka wymalowana żółtą farbą. Tam stała też



karuzela, nie taka z konikami, ale chybocząca się, malowana. Chwileczkę, tego nie było w szkole, lecz gdzieś niedaleko. Na osiedlu Wakefield otaczającym szkołę? Przede wszystkim pamiętała ścieżkę, bo częściej pchała tę karuzelę, niż na niej jeździła. Z głową pochyloną jak koń w zaprzęgu, chwyciła lewą ręką metalowy drążek i zaczęła biec, a ci na karuzeli piszczeły z radości. Zobaczyła swój duży palec u nogi – musiała chwilę się zastanowić, aby przypomnieć sobie, jakie miała bury. Nie nosiła butów sportowych, dlatego wpadła potem w tarapaty. Włożyła swoje szkolne obuwie, brązowe, bo to praktyczny kolor. Ale nawet praktyczny brąz nie wytrzymał pomarańczowego błota z placu zabaw, zwłaszcza po kwietniowych ulewach. Przyszła do domu z błotem na czubkach butów. Matka bardzo się rozzłościła.

I co jeszcze mogłaby im powiedzieć? W tamtym roku szóstą klasę uczyło ośmiu nauczycieli. Wychowawczynią Heather była miła pani Koger. Mieli test wiedzy podstawowej, uzyskała dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Ostatniej jesieni zajmowali się naukami przyrodniczymi. Wyłowila raki z Gwynn Falls, zrobiła im specjalni akwarium, ale wszystkie cztery zdechły. Ojciec wysunął teorię, że czysta woda wywołała szok po mrocznym, zanieczyszczonym strumieniu. Dzięki swoim rozważaniom na temat tej hipotezy dostała piątkę. Trzydzieści lat później zaczęła rozumieć, jak czuły się tamte raki.

Ale, oczywiście, nie będą od niej oczekiwać opowieści o Heather Bethany sprzed 1975 roku. Oni pragną się dowiedzieć o kolejnych trzydziestu latach, detale ich nie zadowolą. Nie zaspokojej ich ciekawości, powiedzmy, anegdotami o swoim pudełkowym jaskrawoczerwonym magnetofonie, który wyglądał jak torebka. To był pierwszy nabytek, na

jaki jej pozwolili, nagroda za sześć miesięcy życia według ich reguł, za udowodnienie, że można jej ufać. Nie mieli nic przeciwko magnetofonowi, ale przeraziły ich taśmy, które sobie kupiła. The Who, Jethro Tuli, nawet kilka pierwszych zespołów punkowych. Kładła się na szorstkiej, kordonkowej kapie, wciąż w szkolnym mundurku, i słuchała New York Dolls oraz The Clash. „Wyłącz to”, „Zabieraj buty z kapy”, rozkazywali. Wykonywała polecenia, ale i tak ciągle byli niezadowoleni. Może wiedzieli, że ona, tak jak Holly w piosence Lou Reeda, knuła, aby wsiąść w autobus i pojechać w siną dal.

Ironią losu właśnie oni wsadzili ją do autobusu, odesłali jak przestępcę. Chcieli być mili. No, on był. A ona? Cieszyła się z jej odejścia. Irenę nigdy nie spodobała się jej obecność w domu. Utyskiwała na buty na kapie i nalegała, by ściszyć muzykę. Nigdy nie dawała pocieszenia, nie okazywała współczucia z powodu siniaków, nawet nie pomogła wymyślić sensownego wyjaśnienia tych śladów stawianego oporu – rozciętej wargi, podbitego oka, utykania. „Sama się w to wpakowałaś”. Nie mówiła tego głośno, ale okazywała swoim spokojnym zachowaniem. „I przy okazji zniszczyłaś moją rodzinę”. A ona, w swojej głowie, odkrzykiwała: „Jestem tylko dzieckiem. Małą dziewczynką!” Jednak dobrze wiedziała, że na Irenę lepiej nie podnosić głosu.

Smutki i żale topiła w muzyce – nawet ściszona sprawiała, że wszystkie troski odchodziły w dal – napastowanie, duchowe i fizyczne, wyczerpanie podwójnym, a nawet potrójnym życiem. Smutek na jego twarzy każdego ranka. „Zakończ to”, prosiła go bez słów poprzez okrągły stół w kuchni, tak pełnej domowego ciepła, wszystkiego, czego, jak sądziła, chciał.

„Proszę, zakończ to”. Jego oczy odpowiadały: „Nie mogę”. Ale oboje

wiedzieli, że to kłamstwo. On zaczął wszystko i był jedyną osobą, która mogła znaleźć zakończenie. Dowiedział w końcu, że ocalenie jej od samego początku leżało w jego mocy, ale przyszło za późno. Gdy pozwolił jej wreszcie odejść, była już mocno pokiereszowana, bardziej popękana niż główki cennych porcelanowych lalek Irene, które pewnego pięknego jesiennego popołudnia strzaskała pogrzebaczem. Irene wtedy nareszcie straciła panowanie nad sobą rzuciła się na nią z wrzaskiem. I nawet on musiał udawać, że nie rozumie, dlaczego dziewczynka zrobiła coś takiego.

– Ciągłe na mnie patrzyły – wyjaśniła.

Prawdziwy problem polegał jednak na tym, że nikt na nią nie patrzył, nikt niczego nie widział. Codziennie wychodziła na zewnątrz, mając jako przebranie tylko imię i kolor włosów – a nikt nigdy niczego nie zauważał. Podchodziła do stołu w kuchni, obolała w takich miejscach, o których istnieniu ledwie wiedziała, a jedyne, co ktokolwiek powiedział, to: „Chcesz dżemu na tosta?” Albo: „Ranek jest chłodny, zrobiłam gorącą czekoladę”. „Zobacz mnie”, śpiewał Roger Daltrey w jej małym magnetofonie. Irene wołała z dołu: „Ściszej te hałasy”. Wtedy odkrzykiwała: „To opera, słucham muzyki poważnej”. „Nie pyskuj. Masz domowe obowiązki”.

Domowe obowiązki. Tak, miała ich mnóstwo, a one wcale nie kończyły się o zmierzchu. Czasem robiła sobie taką listę: Ci, których najbardziej nienawidzę, a Irene nigdy nie znajdowała się niżej niż na trzecim miejscu, czasem trafiała nawet na drugie.

Jednak numerem jeden była ona sama, i tylko ona.

## **Część II**

Człowiek z niebieską gitarą  
(1975)

## Rozdział 6

Weź ze sobą siostrę – powiedział ojciec. Usłyszały to obie dziewczynki, więc Sunny nie mogła potem skłamać. Heather dobrze wiedziała, że w innym wypadku starsza siostra pokiwałaby głową, zgodziła się, a potem, tak czy siak, zostawiła ją w domu. Sunny była cwana. Albo próbowała być, bo Heather i tak zawsze potrafiła przejrzeć jej intrygi.

– Dlaczego? – Starsza dziewczynka zaprotestowała. Wiedziała jednak, że przegrała spór już na długo, zanim się rozpoczął. Nic jej nie da kłótnia z ojcem, chociaż, w przeciwieństwie do matki, nie oponował, kiedy dzieci wyrażały własne zdanie. Bardzo lubił prowadzić długie dyskusje, podczas których rozprawiali nad spornymi kwestiami. Nawet pomagał nadawać konkretne kształty ich punktom widzenia, budować sprawy jak prawnicy, zawsze przypominając dzieciom, że może nimi kiedyś będą. Ojciec często mawiał, że mogą stać się, kimkolwiek chcą. Chociaż dyskutując z nim, nigdy nie potrafiły wygrać. Inaczej niż kiedy grały z nim w warcaby. Naprowadzał rękę rywala i kiwał głową, pozwalając dziewczynkom unikać fatalnych ruchów, które poskutkowałyby podwójnym albo nawet potrójnym zbiciem. Mimo to ostatecznie zawsze wygrywał, nawet zjedną bierką.

– Heather ma tylko jedenaście lat – oznajmił moralizatorskim tonem. – Nie może zostać sama w domu. Wasza matka już poszła do pracy, a ja muszę siedzieć w sklepie do dziesiątej.

Heather miała głowę zwieszoną nad talerzem, patrzyła na nich spod zmrużonych powiek, cicha jak kot przyglądający się wiewiórcce. Czowała się

rozdarta. Zazwyczaj domagała się większej swobody przy każdej możliwej okazji. Nie była już maluchem. Za tydzień miała skończyć dwanaście lat. Powinni jej pozwolić zostać samej w sobotnie popołudnie. Od kiedy zeszłej jesieni mama poszła do pracy, dziewczynka zostawała sama w domu przynajmniej godzinę po południu, a jedyne, co jej kazano, to nie dotykać piecyka i nie zapraszać kolegów. Heather lubiła tę godzinę. Oglądała wtedy w telewizji, co chciała, zwykle *Wielką dolinę*, i jadła tyle żytnich ciasteczek, na ile miała ochotę.

Ten okrucuch wolności został jednak na rodzicach wymuszony. Chcieli, by córka czekała po lekcjach w szkolnej bibliotece, póki Sunny jej nie odbierze, tak jak przez ostatnie lata. Ale Dickey Hill zamykano o trzeciej, a Sunny wracała z gimnazjum dopiero po czwartej, bo tak długo jechała autobusem. Dyrektorka Dickey Hill bez ogródek – tak właśnie mówiła matka, wspominając całą sprawę, a ta fraza wbiła się Heather w pamięć – stwierdziła, że bibliotekarz nie jest opiekunem do dzieci. Rodzice dziewczynki – którzy zawsze starali się, aby nie postrzegano ich jako ludzi wymagających specjalnego traktowania – zdecydowali więc, że mała może sama zostawać w domu. A jeśli mogła siedzieć sama przez godzinę dziennie, od poniedziałku do piątku, co by szkodziło, gdyby została na trzy godziny w sobotę? Przecież pięć to więcej niż trzy. Poza tym jeśli udałoby jej się uzyskać prawo pozostania w domu tego dnia, może nie musiałyby już nigdy spędzać nudnego sobotniego popołudnia w sklepie ojca albo w biurze handlu nieruchomościami u mamy.

Jednak ta odległa perspektywa zbledła w porównaniu z sobotą w centrum handlowym Security Square, miejscu będącym dla Heather wielką nowością. Przez ostatni rok Sunny walczyła, aż wywalczyła sobie

prawo spędzania tam raz w miesiącu sobotniego popołudnia. Szła wtedy z przyjaciółmi do kina. Starsza dziewczynka dorabiała jako opiekunka do dziecka, dostawała 75 centów za godzinę. Heather miała nadzieję, że ona też tak będzie pracować, gdy tylko skończy dwanaście lat, czyli już za tydzień. Sunny marudziła, że całe lata starała się, aby otrzymać rozmaite przywileje, a jej siostra dostaje je w znacznie młodszym wieku. No i co z tego? Taka była cena postępu. Heather nie pamiętała, gdzie usłyszała to powiedzenie, ale przyswoiła je sobie. Nie można przeciwstawiać się postępowi. Chyba że chodzi o budowę autostrady przez park. Wtedy można. Ale to dlatego, że w parku żyją sarny i inne dzikie zwierzęta; jest środowiskiem naturalnym, czymś znacznie ważniejszym niż postęp.

– Wybieraj. Albo idziesz do centrum handlowego ze swoją siostrą, albo zostajesz z nią w domu – oznajmił ojciec.

– A jeśli zostanę w domu z Heather, to nie powinnam dostać pieniędzy za opiekę nad dzieckiem? – rzuciła Sunny.

– Członkowie rodziny nie płacą sobie za przysługi – odparł ojciec. – Właśnie dlatego nie dostajesz kieszonkowego w zamian za prace domowe. Możesz wydawać pieniądze, bo twoja matka i ja sądzymy, że potrzebujesz jakichś własnych funduszy, nawet jeśli nie zawsze pochwalamy twoje zakupy. Rodzina to jedność połączona wspólnym dobrem. Nie licz więc na zapłatę za opiekę nad własną siostrą. Ale dam wam obu na autobus, jeśli zdecydujesz się pójść do centrum handlowego.

– Sraty taty – mruknęła Sunny. Zawzięcie kroiła swoje naleśniki, ale ich nie jadła.

– Co powiedziałaś? – zapytał ojciec złowieszczym głosem.

– Nic. Zabiorę Heather do centrum handlowego.

Heather był uszczęśliwiona. Przejazd autobusem to zaoszczędzonych dodatkowo trzydzieści pięć centów. Nie żeby za to dało się dużo kupić, ale nie musiała wydać z własnej kieszeni. Heather знаła się na oszczędzaniu. Ojciec nazywał to skąpstwem i podchodził do tego krytycznie, ale dziewczynka się nie przejmowała. Miała trzydzieści dziewięć dolarów w metalowym pudełku, tak zabezpieczonym skomplikowanym systemem naciągniętych gumek recepturek, że od razu by wiedziała, jeśli ktoś chciałby dostać się do środka. Dzisiaj jednak nie weźmie swoich pieniędzy do centrum handlowego, żeby nie kusiło jej, by je wydać. Nie, porówna ceny i obejrzy promocje, dopiero potem wróci z pieniędzmi, które dostanie na urodziny, kiedy już podejmie przemyślaną decyzję, czego chce, a czego nie. Nie wyda gotówki pod wpływem impulsu, co często robiła Sunny. Ostatniej jesieni Sunny kupiła sweter, beżowy, z czerwoną kieszonką. Czerwona lamówka zafarbowała przy pierwszym praniu, tworząc na plecach dwie bliźniacze linie. Była to rzecz kupiona na wyprzedaży, więc nie uwzględniano reklamacji. Dziewczynka straciłaby jedenaście dolarów, gdyby matka nie poszła do sklepu i nie zrobiła awantury sprzedawcy, wprawiając córkę w tak wielkie zakłopotanie, że ta nawet nie podziękowała.

Ojciec położył naczynia na ociekaczu i pogwizdując, wyszedł z kuchni. Tego ranka miał dobry humor, znacznie lepszy niż zazwyczaj. Zrobił naleśniki z bisquickiem i nawet posypał tartą czekoladą, prawdziwą, a nie taką sztuczną, jak to zwykle miał w zwyczaju, kiedy brał się do gotowania. Pozwolił też Heather nastawić dowolny program w radiu i chociaż potem śmiał się z jej wyboru, to dziewczynka wiedziała, że takiej samej stacji słucha Sunny w swoim pokoju późną nocą. W ogóle wiedziała mnóstwo



rzeczy o starszej siostrze i o tym, co się u niej dzieje. Uznawała, że szpiegowanie leży w jej własnym interesie. Stanowiło kolejną przyczynę tego, że lubiła tę swoją samotną godzinę w powszednie dni tygodnia. Właśnie tak odnalazła wczoraj w biurku Sunny rozkład jazdy autobusów, ze starannie zaznaczonymi sobotnimi kursami piętnastki.

Swego czasu Heather szukała pamiętnika siostry, miniaturowej książeczki oprawionej w wytłaczaną skórę i zamykanej na prawdziwą kłódkę. Ale i tak każdy doszedłby do tego, jak otworzyć zamek bez klucza. Pamiętnik znalazła tylko raz, ponad sześć miesięcy temu. Okazał się wręcz przygnębiająco nudny. Gdy go czytała, prawie zrobiło jej się żal siostry. Życie Heather okazało się znacznie bardziej ciekawe. Może o to właśnie chodziło – ludziom mającym ciekawe życie brak czasu, aby opisywać je w pamiętnikach. Potem jednak Sunny przechytrzyła siostrę, wciągając ją w rozmowę związaną z jednym z zapisków tylko po to, aby wytknąć, że Heather wie o pewnym zdarzeniu w autobusie, o którym wiedzieć nie powinna; no, chyba że czytała pamiętnik. Heather miała przez to trochę kłopotów, chociaż w sumie nie rozumiała dlaczego. Jeśli rodzina ma się wszystkim dzielić, dlaczego Sunny pozwalano zamykać swoje myśli na kłódkę?

– Heather po prostu bardzo podziwia starszą siostrę – tłumaczyła Sunny matka. – Chce być taka jak ty, robić wszystko co ty. Tak właśnie dorastają młodsze siostry.

Wcale nie, zamierzała odpowiedzieć Heather. Sunny była chyba ostatnią osobą, jaką stawiałyby sobie za wzór. Chociaż już prawie w liceum, starsza dziewczynka nie miała nawet chłopaka, natomiast o Heather starało się kilku. Jamie Altman siadał obok niej na wycieczkach i

zawsze był z nią w parze, kiedy nauczycielka łączyła chłopców z dziewczynkami. Dał jej też na walentynki opakowanie czekoladek marki Whitman. Małe, z czterema czekoladkami, a w żadnej nie było orzechów, ale tylko ona, jako jedyna w całej szóstej klasie, dostała słodycze od chłopca. Mile jato polechtało. Heather wcale nie potrzebowała Sunny za przewodnika po życiu.

Wzięła ostatnią stronę dodatku do porannej gazety i przeczytała horoskop. Już za pięć dni pojawi się horoskop specjalnie dla niej i innych osób urodzonych trzeciego kwietnia. Nie mogła się doczekać, aż go przeczyta. I w przyszłym tygodniu odbędzie się przyjęcie, pójdą na kręgle do Westview Lanes, będzie też tort – czekoladowy, z białym lukrem i niebieskimi różyczkami. Może powinna kupić sobie jakiś ciuch? Nie, jeszcze nie. Ale zdecydowała, że weźmie do centrum handlowego swoją nową torebkę, prezent na ostatnie urodziny, ze sklepu ojca. Właściwie to kilka torebek, przyczepianych do jednego, drewnianego uchwyty. Pozwalało to dobrać sobie torebkę odpowiednio do reszty ubrania. Wybrała dzinsową sakwę z czerwoną zygzakowatą lamówką, wełnianą w paski i jeszcze taką w wielkie pomarańczowe kwiaty. Ojciec nie planował sprzedawania torebek, lecz matka zauważyła, że młodsza córka bacznie przygląda się próbkom tego towaru, i nakłoniła męża, by uwzględnił torby w zamówieniach na luty. Tej wiosny właśnie one najlepiej się sprzedawały ze wszystkich nowości w sklepie. Zdawało się jednak, że ojcu nie za bardzo to w smak.

– Przelotna moda – oznajmił dziewczynce. – Za rok nie będziesz już chciała jej nosić.

Oczywiście, pomyślała Heather. Za rok najmodniejsza będzie inna

torebka, którą każdy zapragnie kupić, i ojciec powinien się właśnie z tego cieszyć. Nawet mając jedenaście lat, wiedziała, że nie sposób z powodzeniem prowadzić sklepu, jeśli ludzie wciąż nie przychodzą po nowe rzeczy, rok w rok.

Sunny, niemal ze łzami w oczach, w ciszy patrzyła, jak ojciec wychodzi z kuchni. Dzisiaj rano jakoś dziwnie się zachowywał, robił naleśniki, pozwolił Heather słuchać w radiu stacji WCBM, podśpiewywał, a nawet komentował piosenki.

– Lubię to – mówił przy każdym utworze. – Ta dziewczyna...

– Minnie Riperton – podpowiedziała Heather.

– Ma głos jak ptak, nie sądzisz?

Zaczął wydobywać z siebie trele i Heather śmiała się z tego, jak słabo mu idzie, a Sunny po prostu czuła się zakłopotana. Ojciec nie powinien znać współczesnych piosenek, a tym bardziej ich śpiewać. Sam fakt, że utwór znajdował się na liście Top 40, czyli był popularny – obojętnie, muzyka, film, program – dyskwalifikował go w oczach ojca. Przez słuchawki w gabinecie słuchał jazzu, a także Boba Dylana i Grateful Dead, którzy Sunny zdawali się równie beznadziejni jak jazz. Słuchanie radia wspólnie z ojcem i siostrą sprawiało, że czuła się nieswojo, jakby ktoś czytał na głos jej pamiętnik albo jakby oni wiedzieli, o czym myśli późną nocą, kiedy kładzie się do łóżka, z wetkniętą w ucho słuchawką od swojego tranzystorowego radia. Jej gust się zmieniał, ale wciąż uznawała niektóre piosenki miłosne za po prostu nie do zniesienia: *You are so Beautiful*, *Poetry Man*, *My Eyes Adored You*. Wierząc się na krześle, tnąc naleśniki na coraz niniejsze kawałeczki, nabierała straszliwej chęci, by podskoczyć i wyłączyć odbiornik.

Wtedy Ringo zaśpiewał *The NoNo Song* i ojciec zrobił to za nią, ze słowami:

– Tylko tyle człowiek da radę wytrzymać. Kiedy tak sobie myślę...

– O czym myślisz, tato? – zapytała zaczepnie Heather.

– O niczym. Co moje dziewczyny zaplanowały sobie na dzisiaj? I właśnie wtedy Heather oznajmiła:

– Sunny idzie do centrum handlowego.

Powiedziała to, sepleniąc jak małe dziecko, głosem, z którego dawno już wyrosła, którym zazwyczaj nigdy nie zaczynała rozmowy. Kiedy Heather prosiła o większą swobodę dla siebie – na przykład zezwolenie na przejazd rowerem do sklepów w Woodlawn – mówiła zwyczajnie. Gdy jednak starała się wystawić Sunny, udawała małą dziewczynkę. Ale i tak matka zauważała podstęp. Kiedyś powiedziała komuś, że Heather ma jedenaście lat, a zachowuje się jak czterdziestka. Sunny to podsłuchiwała. Czekwała jeszcze, by się zorientować, w jakim wieku jest tamten znajomy matki, ale niczego się nie dowiedziała.

Sunny dołożyła swoje naczynia do stosu, który ojciec zostawił na ociekaczu. Próbowwała przekonać ojca, by nie musiała teraz zmywać, ale wiedziała, że to nie w porządku w stosunku do mamy, która po długim dniu pracy miałyby uporać się jeszcze ze stosem brudnych naczyń. Tata nigdy nie zmywał, ale i tak w porównaniu z innymi ojcami był całkiem wyluzowany. Dzieci z sąsiedztwa przezywały go „hipis”, przez ten jego sklep, włosy i furgonetkę volkswagena, zresztą w zwykłym seledynowym kolorze, nie żadnym psychodelicznym. Chociaż gotował – kiedy miał taki nastrój jak dziś – i jak mówił, „wsparł” żonę w jej postanowieniu rozpoczęcia pracy jako sprzedawcy nieruchomości, to istniały obowiązki

domowe, których nigdy się nie tykał.

Gdyby musiał codziennie zmywać naczynia, pomyślała Sunny, zdrapując do kosza resztki naleśników, nie byłby tak bardzo przeciwny kupieniu zmywarki. Pokazała mu reklamy kilku przenośnych modeli, wyjaśniając, jak się ich używa. On jednak stwierdził, że maszyny to marnotrawstwo, zużywają zbyt wiele wody i energii. A jednocześnie wciąż ulepszał swoje stereo – ale przecież gabinet stanowił dla niego miejsce kontemplacji, o czym zawsze przypominał Sunny, kiedy marudziła. Tam właśnie odprawiał rytuały przy wschodzie i zachodzie słońca, nazywane Agnihotra, stanowiąc część Pięciokrotnej Ścieżki. To nie była religia, ale według ojca coś znacznie lepszego.

– Szpiegowałeś mnie? – zapytała Sunny siostrę, która pomrukiwała sama do siebie i owijała kosmyk włosów wokół palca, zatopiona w potajemnej radości. Matka często mawiała, że dziewczynki powinny zamienić się imionami, bo Heather zawsze była wesoła i rozszczebiotana, a Sunny oschła jak oset.

– Skąd wiedziałaś, że chciałam pojechać do centrum handlowego autobusem?

– Zostawiłaś rozkład na biurku, z podkreślonymi odjazdami.

– A co ty w ogóle robiłaś w moim pokoju? Wiesz, że nie wolno ci tam wchodzić?

– Szukałam swojej szczotki do włosów. Zawsze mi ją zabierasz.

– Wcale nie.

– Nieważne. – Heather beztrąsko wzruszyła ramionami. – Widziałam rozkład i domyśliłam się.

– Jak tam przyjedziemy, ty pójdziesz swoją drogą, a ja swoją. Nie

będziesz za mną łązić. Dobra?

– Nawet nie zamierzam. Przecież ty tylko ciągle chodzisz do sklepu Singera i przeglądasz wykroje, a w zeszłym roku i tak oblałaś egzamin w Rock Glen.

– Maszyny są rozklekotane, bo tyle bachorów ich używa. Igły ciągle się łamią.

Właśnie tak Sunny tłumaczyła się matce ze słabego stopnia z prac ręcznych. A matka to kupiła. Rozkojarzenie było dla rodziców najlepszym usprawiedliwieniem możliwym do zaakceptowania. „Nie przykłada się do ćwiczeń”, napisał jednak nauczyciel.

– Ta krótka sukienka, którą uszyłam w domu z pomocą mamy, była świetna – przypomniała Sunny siostrze.

Heather spojrzała na nią wymownie. Zasadniczo sukienka została uszyta całkiem porządnie. Siostra wręcz finezyjnie poradziła sobie z trudnymi detalami – zaszewkami, dopasowaniem elementów wzoru. Ale Heather już chyba od urodzenia dostrzegała szczegóły, które umykały Sunny. Nigdy nie wybrałaby ciężkiego materiału zdobionego wizerunkiem kolb kukurydzy w ukośnych rządках. Łatwo dało się przewidzieć docinki, jakie usłyszała jej siostra. „Kolba”. „Kukurydzka”. A przecież tamtego poranka czuła się taka ładna, włosy miała spięte w dwa warkocze i przewiązane zieloną wstążką – wyglądały jak błyszczące złote kolczyki na zielonych szypułkach. Nawet matka pomyślała, że Sunny wygląda ładnie. Jednak w chwili gdy wysiadała z autobusu, jeszcze zanim rozległy się przezwiska, dziewczynka już wiedziała, że ta sukienka to błąd. Sprawę dodatkowo pogorszyły zaszewki, choć prawidłowo wykonane. Miały przecież sprawić, by materiał ciasno opinał biust, którego ona jeszcze nie

miała.

– Tak czy inaczej, jak tam dojedziemy, to nie będziesz się za mną szwendać. Tata powiedział, że zabierze nas spod sklepu o piątej. Spotkamy się w Karmelkom za dziesięć piąta.

– A kupisz mi cukierki?

– Co? Jasne. Karmelkorna albo Baskin Robbins, jeśli chcesz. Cokolwiek. Dam ci nawet pięć dolarów, jeśli obiecasz, że zostawisz mnie samą.

– Całe pięć dolarów? – Heather kochała pieniądze i rzeczy, ale nie cierpiała wydawać pieniędzy na rzeczy. Rodzice przejmowali się tym skapstwem. Wszystko próbowali obrócić w żart, nazywali ją sroczką, mówiąc, że zwraca oczy na wszystko, co się błyszczy i jest nowe. Nietypowa cecha dla Bethanych. Sunny wiedziała, że rodzice martwią się o córkę.

„Zbyt szybko popada w zachwyty, żadna rzecz jej nie zadowoli”, oznajmił ponuro ojciec, cytując wiersz o jakiejś księżniczce.

– A więc w ogóle nie tkniesz swoich oszczędności. – Poza tym, dodała w myślach Sunny, nie będziesz musiała otwierać swojego metalowego pudełka, więc nie zobaczysz, że pożyczyłam sobie z niego pieniądze. Te pięć dolarów, które ci daję, i tak są twoje.

Nie tylko Heather zakradała się do cudzych pokojów i grzebała w nie swoich rzeczach. Sunny nawet domyśliła się, na czym polega system, w jakim Heather zakładała gumki na pudełko.

Dobrze jej tak, szpiegowi.

## Rozdział 7

W motelu stał automat ze słodyczami – i to w pokoju, nie w holu, nie wetknięty gdzieś w łączniku między budynkami. Miriam stała przy maszynie, sprawdzała gałki, przebierała palcami w pojemniku na resztę, jak dziecko. Opakowania wyglądały na trochę wyblakłe. Chociaż tutaj trzeba było płacić siedemdziesiąt pięć centów za batonik, który w automatach w holu kosztował tylko trzydzieści pięć, a jeszcze taniej w sklepiku po drugiej stronie ulicy, to zapewne sporo czasu minęło, od kiedy ktoś wychwalał możliwość kupienia słodyczy bezpośrednio w pokoju. Jednak Sunny i Heather zakochałyby się w tej maszynie, bo tyle zakazanych cudów zgromadzono tu w jednym srebrzystym pudle – cukierki sprzedawane po astronomicznych cenach były twoje już po szybkim pociągnięciu dźwigni. Gdyby kiedyś zatrzymali się wszyscy w takim motelu – co było mało prawdopodobne, biorąc pod uwagę upodobanie Dave’a do schronisk i kempingów, miejsc „prawdziwych”, jak mawiał, a przy okazji tanich – to dzieci prosiłyby o monety, aby wrzucić je do automatu. A Dave zrzędziłby i marudził coś o marnotrawstwie. Miriam dałaby się uprosić, a mąż robiłby jej wyrzuty, że nie tworzy razem z nim jednego frontu, a potem przez resztę wieczoru byłby chłodny i zdystansowany.

Co jeszcze mogłoby się wydarzyć podczas takiej wymyślonej wizyty w motelu, który nie stał nawet dziesięć kilometrów od miejsca, gdzie mieszkali? Oglądaliby telewizję, tak jak w domu – każda dziewczyna wybrałaby inny program, a potem wyłączyliby odbiornik i czytali aż do zaśnięcia. Gdyby w pokoju było radio, Dave nastawiłby jazz albo sobotni



show Mr. Harleya, gdzie grano różne standardy. Wyobraziła sobie, jak chronią się w takim miejscu przed burzą albo huraganem. Trzy lata temu w czasie huraganu Agnes podniesione wody zatopiły kilka przecznic. Byli uwięzieni na Algonauin Lane. Siadła elektryczność, ale wtedy zdawało im się to niemal przygodą. Czytali przy latarkach i słuchali wiadomości z zasilanego bateriami radia Dave'a. Miriam prawie poczuła się rozczarowana, kiedy woda cofnęła się i włączono prąd.

W zamku przekręcił się klucz. Wzdrygnęła się. Ale to był przecież Jeff, wracał z wiaderkiem pełnym lodu.

– Galio – powiedział i przez chwilę sądziła, że to jakiś sposób zabawnego przekręcenia „halo”, potem uświadomiła sobie, że tak nazywa się wino, które właśnie przyniósł. – Trochę potrwa, zanim się schłodzi – dodał.

– Jasne – odparła, chociaż знаła trik pozwalający to przyspieszyć. Należało włożyć butelkę do wiaderka z lodem, potem kręcić nią zgodnie z ruchem wskazówek zegara, dokładnie sto razy – i *voilà*, mamy chłodne wino. To właśnie wtedy, gdy o drugiej po południu kręciła butelkę niecierpliwymi palcami, Miriam uznała, że powinna znaleźć sobie pracę. Tak, potrzebowali pieniędzy. Nawet bardzo. Ale to był znacznie mniej palący powód niż perspektywa stania się pozbawioną celu w życiu kurą domową, zionącą alkoholem, która zmywa po dzieciach, gdy zjedzą po powrocie ze szkoły i opowiedzą, jak minął im dzień.

Jeff ujął jej podbródek w dłoń. Rękę wciąż miał zimną od wiaderka z lodem, ale nie wzdrygnęła się ani nie odsunęła. Zaczęli się nieporadnie całować, jakby nigdy wcześniej tego nie robili. Śmieszne, że udawało im się tak zgrabnie kochać w rozmaitych ciasnych i niewygodnych miejscach

– ubikacji w biurze, łazience w restauracji, na tylnym siedzeniu małego sportowego samochodu; a teraz, kiedy mieli tak dużo przestrzeni, to czasem zachowywali się bardzo niezgrabnie.

Próbowała wyłączyć swój umysł, poddać się nagłemu pożądaniu do Jeffa. Zaczynało działać. Kochali się już... co?, siódmy raz. Zdziwiał ją, że przynosiło jej to dużo radości. Seks z Dave'em był ponury, tak jakby on ciągle starał się udowodniać swoje feministyczne zapatrywania. Ciągłe zasypywał ją przy tym bardzo poważnymi pytaniami. Sokratejski seks, tak w myślach nazywała to Miriam. „Jak to odczuwasz?” „A jeśli zrobię tak?” „A może coś zmienię?” Gdyby próbowała wytłumaczyć przyjaciółkom, co jej przeszkadzało, gdyby w ogóle miała przyjaciółki, to wyszłaby przed nimi na niewdzięczną zołzę.

Nie umiałyby nawet odpowiednio wyrazić, że podejrzewa, iż Dave, udając troskę o jej przyjemność, tak naprawdę stara się, aby ona nie miała żadnej przyjemności. Zawsze wydawało się, jakby jemu było żal Miriam i jakby uważał się za podarunek, który ofiarował właśnie jej, ciemnej, wychowanej pod kloszem dziewczynie z północy.

Jeff przewrócił Miriam na brzuch, splótł swoje palce z jej palcami i wślizgnął się w nią od tyłu. To nie było dla Miriam czymś nowym – Dave też pilnie studiował Kamasutrę, jednak milczenie i bezpośredniość Jeffa sprawiały, że wszystko stawało się takie świeże. Nie fizjologiczne, jak dla Dave'a. O tak, Dave zawsze wyjaśniał żonie jej własną anatomię. Fizjologicznie to ona w ogóle nie powinna mieć orgazmu w takiej pozycji. A jednak z Jeffem zdarzało się to regularnie. Chociaż jeszcze nie teraz. Mając przed sobą całe popołudnie w motelowym pokoju, zabierali się do tego powoli. Albo przynajmniej próbowali.

Miriam, kiedy wkraczała w świat życia zawodowego, w ogóle nie myślała ani o romansie, ani nawet o biurowym flircie. Seks nie był ważny, przynajmniej tak sobie wmówiła, kiedy postanowiła wyjść za Dave'a. Doświadczenia erotyczne miała ograniczone, zgodnie z obyczajowością swoich czasów. Właściwie nie obyczajowością, a ryzykiem – antykoncepcji wiele brakowało wtedy do doskonałości, a samotnej dziewczynie było o nią trudno. Jednak Miriam straciła dziewictwo, zanim spotkała Dave'a. Jezu, o nie, miała wtedy już dwadzieścia dwa lata i raz nawet chodziła z chłopakiem przez pół roku, sympatią z college'u, z którym uprawiała cudowny seks. Totalnie porażający, jakby stwierdzono dzisiaj. Miriam totalnie poraziło jednak tylko wtedy, gdy jej ukochany zniknął nagle i bez wyjaśnień, spełniając ponure przepowiednie matki o krowach oraz darmowym mleku.

Nazwali to później załamaniem nerwowym. Miriam uznała, że ten termin dobrze oddawał to, co się z nią działo. Zdawało się, że jej system nerwowy przestał działać. Dostał skurczów spastycznych, wszystkie podstawowe funkcje życiowe – sen, jedzenie, wypróżnianie się – zostały zaburzone. W jednym tygodniu mogła spać nie więcej niż cztery godziny, niczego przy tym nie jedząc. W następnym wstawała z łóżka tylko po to, aby napychać się przeróżnym jedzeniem, jakby miała zachcianki ciężarnej kobiety. Pochłaniała całe opakowania surowej masy do czekoladowych ciasteczek, gotowane jajka razem z lodami, marchewki i dżemy. Rzuciła szkołę, wróciła do domu w Ottawie, gdzie rodzice przyczyny jej problemów upatrywali nie w rozstaniu z chłopakiem, którego lubili, ale w samych Stanach Zjednoczonych. Nie pochwalali pomysłu Miriam, aby uczyć się w amerykańskim colleg'u. Może podejrzewali, że to jej pierwszy

krok do opuszczenia Kanady, a także ich na zawsze.

Od „trochę potrwa, zanim się schłodzi”, Jeff nie powiedział jeszcze ani słowa, prawie nie pomrukiwał. Teraz przewrócił Miriam na plecy, tak łatwo jak przewraca się naleśnik, i zatopił twarz między jej nogami. Czowała się tym zakłopotana, co stanowiło kolejną rzecz, o którą winiła Dave’a.

– Jesteś Żydówką, prawda? – zapytał, kiedy pierwszy raz tego spróbowali – To znaczy, wiem, że nie ortodoksyjną, ale to przecież twoje dziedzictwo.

W oszołomieniu była zdolna tylko przytaknąć, .

– No tak, mykwa to dobra sprawa – mówił dalej. – Sporo jest rzeczy w twojej religii, których nie lubię, ale dokładne mycie się po menstruacji jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

Dave miał od czasu do czasu takie dziwne antysemickie zagrywki, choć zawsze twierdził, że jego niechęć ma podłoże gospodarcze, nie religijne, stanowi reakcję na zamożne sąsiedztwo, w którym wychowywał się jako jedyne ubogie dziecko.

Miriam co prawda nie kąpała się w mleku, ale na krótki czas stała się chyba największym na świecie użytkownikiem dezodorantów i płynów do higieny intymnej. A potem przeczytała w gazecie, że wszystkie te środki to jedna wielka bzdura, kolejne sztucznie wymyślane rozwiązanie problemów, które nie istnieją. Jednak nigdy nie uporała się z myślą, że smakuje krwią, rdzą i metalem. Ale jeśli nawet, Jeffowi to nie przeszkadzało.

Reprezentował sobą wszystko, czego nienawidził Dave: bogaty Żyd z Pikesville, członek miejscowego klubu towarzyskiego, z wystawnym domem i trzema rozwydrzonymi dzieciakami. Miriam wcale nie kierowała

się stereotypami; po prostu spotkała kiedyś te dzieci w biurze, rzeczywiście były potworne. Jednak nie zdecydowała się na związek z Jeffem dlatego, że tak zgrabnie zawierał w sobie wszystko, czego nie cierpiał Dave. Wybrała go dlatego, jeśli w ogóle można było taką decyzję nazwać wyborem, bo on jej pragnął, a Miriam tak się to podobało, że nie potrafiła odmówić.

Ryzykowali, spotykając się dzisiaj. Ich małżonkowie nie byli głupi. No, jej nie był. Jutro, jeśli Dave przeczyta niedzielną gazetę, może zauważy brak informacji o prezentacji nieruchomości wystawionych na sprzedaż. Nastął okres wielkanocny, Dave mógł więc się zastanowić, dlaczego Miriam potrzebowano w biurze akurat w taki weekend, kiedy nie miała nic do zrobienia. Cały ten romans był niebezpieczną sprawą, bo przecież ani Miriam, ani Jeff nie chcieli burzyć swojego dotychczasowego życia. No, przypuszczalnie Jeff nie chciał. Miriam już sama nie wiedziała, czego chce, co robi.

Jeff zaczynał się niecierpliwić. Zwykle dochodziła tak szybko, nawet za szybko. Dzisiaj jednak nie potrafiła uspokoić myśli. A on, chociaż zazwyczaj miły, mógł w końcu zająć się własną przyjemnością. Skupiła się więc na tej jednej, jedynej części siebie, ustawiając się tak, aby było lepiej – i wkrótce to poczuła. Jej orgazmy z Jeffem przypominały reklamy Merokesu z Ellą Fitzgerald. Jakby reagowała na drgania o takiej częstotliwości, że aż wibrowała, dopóki nie pękła. Potem stawała się całkiem bezużyteczna, ledwie zdolna się poruszyć, lecz Jeff przyzwyczał się już do tego. Ułożył ją bezwładną jak lalkę i pchał dość gwałtownie, póki sam nie doszedł.

Co teraz? Zwykle po prostu wkładali ubrania, choć i tak wcześniej ich

całkiem nie zdejmowali, i wracali do pracy albo domu. Jeff wyjął teraz butelkę wina z plastikowego wiaderka z lodem.

– Nie ma korkociągu – stwierdził rozbawiony własnym niedopatrzaniem. Od niechcienia, jakby to była rzecz całkiem zwyczajna, stłukł szyjkę butelki o zlew w łazience. Nalał wina do szklanek, razem z kilkoma drobinami szkła, które wpadły do naczynia przez pękniętą szyjkę.

– Uwielbiam bzykać się z tobą w łóżku – oznajmił.

– Nasz pierwszy raz był w łóżku – odparła Miriam.

– To się nie liczy.

A dlaczego nie, zastanowiła się, chociaż nie zapytała. Pierwszy raz kochali się w domu klienta i takie pogwałcenie miejsca, które zostało im powierzone, szokowało bardziej niż sam akt cudzołóstwa. Kiedy Jeff poprosił ją, by przyszła zobaczyć nową listę, wiedziała, że tak naprawdę idą uprawiać seks, ale udawała naiwną. „To kobieta zawsze ustala tempo”, powiedziała eufemistycznie jej matka, szukając przyczyn załamania córki. Miriam lubiła udawać, że to Jeff nad wszystkim panuje, że robi to z taką samą łatwością, jak manipuluje jej ciałem w łóżku. On sprawiał, że czuła się wiotka, lekka jak piórko, prawie jakby znów znalazła się w swoim dziewczęcym ciele. Z wiekiem nie roztyła się, chociaż trochę przybrała na wadze, co ignorowała, póki nie dostrzegła ciał córek, tak niesamowicie smukłych. Obie wyglądały, jakby dało je się złamać w talii na pół.

– Co teraz? – zapytała.

– „Teraz” w tym szczególnym momencie? Czy „teraz” w sensie dzisiaj i za tydzień, i za miesiąc?

Nie była pewna.

– I to, i to, – Teraz, tutaj, dzisiaj, będziemy jeszcze raz uprawiać seks.

Może dwa razy, jeśli nam się poszczęści. A jutro, kiedy pójdziesz do kościoła, żeby Uczcić rzekome zmartwychwstanie Jezusa...

– Nie chodzę do kościoła.

– Myślałem...

– On nie prosił mnie, żebym się nawróciła. Po prostu powiedział, że nie chce, żeby dziewczynki wychowywały się w jakiejś zinstytucjonalizowanej religii albo ulegały niby religijnym, a jednak bardzo świeckim rytuałom. Chodziło o bożonarodzeniowe choinki, koszyczki wielkanocne.

Złamała pewną niepisaną zasadę: wspomniała o dzieciach; konwersacja utknęła w martwym punkcie. Miriam nie wiedziała, jak poruszyć temat, o którym tak naprawdę chciała dyskutować. Jak my to wszystko zakończymy? Jeśli spotykamy się, bo po prostu wspólny seks jest przyjemny, to czy przestanie kiedyś być przyjemny? Czy będę za tobą tęsknić, jeśli zajmiesz się kimś innym? I nawzajem. Jak w ogóle kończą się romanse?

Ich romans kończył się właśnie wtedy, co Miriam uświadomiła sobie dopiero później. Kończył się banalnie i katastrofalnie zarazem. Może to tak zawsze bywa. Nad Hiroszimą uformował się grzyb atomowy, a niektórzy, oszołomieni i poparzeni, wyskoczyli z innych łóżek niż własne, z miejsc, w których nie powinni być. Tsunami zmywały ludzi, którzy kochali zakazaną miłością. Cudzołożników wsadzano do wagonu do Auschwitz, i to wcale nie akurat z tej przyczyny.

To jej zostało, to było „przedtem” – chwila, do której mogła wciąż wracać. Kiedy Miriam próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła się szczęśliwa, potrafiła przywołać tylko dzień, kiedy piła ciepławe

wino Galio z odłamkami szkła i kupiła zakurzony batonik, już zupełnie nieświeży.



## Rozdział 8

Wiata przystanku autobusowego przy Forest Park Avenue była dla Sunny miejscem bardziej niż znajomym, stanowiła element jej codziennych powrotów ze szkoły już od prawie trzech lat. Ale tamtego popołudnia dziewczynka złapała się na tym, że przygląda się wiacie tak, jakby widziała japo raz pierwszy. Powód, dla którego zbudowano tę osłonę, był dosyć prozaiczny – miała służyć jako schronienie przed wilgocią, jeśli nie przed chłodem. Ktoś postarał się nawet, aby dodać kilka nie całkiem koniecznych ozdóbek, więc całe to miejsce można by nawet uznać za ładne. Dach miał kolor zielony, taki, jakiego ich matka chciała użyć przy wykańczaniu domu, ale ojciec powiedział, że odcień jest za ciemny, a jako artysta zawsze wygrywał takie spory. Jasnobeżowe cegły wiaty miały chropowatą powierzchnię. Wyłożoną łupkiem ławeczkę pomalowano na taki sam kolor jak dach.

Chłopcy z sąsiedztwa, nie bacząc na starania budowniczych, pobazgrali wymalowane i wykredowane ściany ordynarnymi napisami. Po chuliganach zjawiał się ktoś inny, starał się usunąć najgorsze ze słów, ale kilka upartych przekleństw i gróźb pozostało. Heather przyglądała się im uważnie.

– Czy oni kiedyś... – zaczęła – Nie – odpowiedziała szybko Sunny. – Zostawiali mnie w spokoju.

– Och. – Po głosie Heather słychać było, że niemal jej żal siostry.

– Nie lubią mnie przez tamten spór. Dzieciaki z autobusu.

– Ale one tutaj nie mieszkają – powiedziała Heather. – A graffiti malują tutejsi, prawda?

– Tylko ja chodzę do Rock Glen. Tak się złożyło, że wszyscy inni są albo starsi, albo młodsi. To był właśnie ten problem. „Prawo jest po naszej stronie, ale siła po ich”. Rządy większości.

Heather znużona rodzinną opowieścią o sprawach, w których nie brała udziału, usiadła na ławeczce, otworzyła torebkę i mrużąc do siebie, przeglądała jej zawartość. Autobus miał przyjechać nie wcześniej niż za piętnaście minut, jednak Sunny nie chciała ryzykować, że się spóźni.

Bitwa o trasę szkolnego autobusu była dla niej pierwszym muśnięciem rażącej niesprawiedliwości, lekcją o tym, jak pieniądze mogą zatriumfować nad zasadami. Większość uczniów jeżdżących razem z Sunny mieszkała daleko na Forest Park Avenue, spory kawałek po drugiej stronie Garrison Boulevard. Jednak według miejskiego programu swobodnego dostępu do nauczania mogli chodzić do szkoły, gdziekolwiek chcieli, więc darowali sobie zdominowane przez czarnych szkoły leżące najbliżej i wybrali Rock Glen na południowym zachodzie miasta, gdzie wciąż jeszcze w większości uczyli się biali. Uruchomiono specjalny autobus, opłacany przez rodziców. Przystanek Sunny, mała wiata na Forest Park Avenue, każdego poranka był ostatni i każdego popołudnia pierwszy. Przez dwa lata wydawało się to całkiem logiczne dla wszystkich zainteresowanych. A potem przestało.

Ostatniego roku rodzice z drugiego krańca trasy zaczęli żądać, że ich dzieci znacznie szybciej wracałyby do domów, gdyby autobus nie musiał zatrzymywać się przy krańcu Forest Avenue specjalnie dla Sunny. Czy, jak mówili, „tylko dla jednej osoby”. „Dlaczego przez jedną uczennicę tyle innych dzieci ma cierpieć niedogodności?” Grozili, że znajdą innego przewoźnika, zostawiając dotychczasowemu „tylko tego jednego

pasażera”, który rzecz jasna nigdy nie pokryłby kosztów utrzymania połączenia. Rodzice Sunny czuli się poruszeni, ale niczego nie mogli zrobić. Jeśli chcieli dalej korzystać z autobusu – co było ważne, bo oboje pracowali – musieli znaleźć kompromis. Stało na tym, że po lekcjach kolejność jazdy zostanie odwrócona. A zatem każdego popołudnia Sunny patrzyła, jak jej własny blok przesuwa się za oknami autobusu, gdy ten kieruje się na początek trasy i wysadza uczniów w odwrotnej kolejności, cofając się na Forest Park Avenue. Ich rodzice wygrali, powinni więc czuć wdzięczność, ale Sunny odkryła, że wcale tak nie jest. Nie lubili jej teraz jeszcze bardziej niż zwykle, bo jej rodzice wyzwali ich rodziców od rasistów.

– Jesteś N. L. – syknął jeden ze starszych chłopaków. – Ty i twoi rodzice jesteście N. L. – Nie miała pojęcia, co to znaczy, ale brzmiało straszliwie.

Ruchu na miejskich ulicach, w przeciwieństwie do przedsiębiorstwa Mercer Transportation, nie dało się do niczego zmusić. Jeśli podróż do Security Square, wraz z przystankami, zabierała dwadzieścia pięć minut, to powrót do domu trwał też dwadzieścia pięć minut. Komunikacja miejska była „egalitarna”. Sunny nauczyła się tego słówka od ojca i bardzo je lubiła, bo kojarzyło się jej z *Trzema muszkieterami*, z Michaeliem Yorkiem. Planowali, że w przyszłym roku, kiedy Sunny pójdzie do Western High School, zacznie jeździć komunikacją miejską, korzystając z darmowych biletów, co miesiąc rozdzielanych między uczniów. Aby ją do tego przygotować, rodzice pozwalali, żeby jeździła sobie na próbę – do śródmieścia, na Howard Street i do dużych domów towarowych. W ten właśnie sposób doszła do wniosku, że może też wybrać się autobusem na

Security Square i nikomu niczego nie mówić. Nabrała już wprawy w jeździe autobusami.

Ale Heather, która jeszcze nigdy nie jeździła miejską komunikacją, aż podskakiwała z podekscytowania na ławeczce. W ręku kurczowo ścisnęła bilet, wokół drugiej dłoni oplotła uchwyt swojej nowej torebki. Sunny też dostała torebkę ze sklepu ojca, makramową. Tyle że dziewczynki nie otrzymywały takich rzeczy całkiem darmo, wbrew temu, co myślały inne dzieci. Jeżeli coś nie było prezentem, jak torebka Heather, to musiały zapłacić, bo ojciec stwierdził, że w jego budżecie nie ma na marginesie pozycji „podarki”. Wspomnienie o marginesie przypomniało Sunny jej egzamin z maszynopisania, oblany, chociaż nie z powodu marginesów. Cały problem polegał na tym, że fatalnie szło jej na egzaminach, gdzie miała limit czasu. Zrobiła wtedy tyle błędów, że dostała ocenę niedostateczną. Kiedy nie musiała spieszyć się z pisaniem, wszystko wychodziło jej bardzo dobrze.

Dziewczyna zastanawiała się, dlaczego rodzice tak nalegali, by w gimnazjum wybrała sobie maszynopisanie. Czy myśleli, że będzie tym zarabiać na życie? Od szóstej klasy, kiedy większość jej kolegów uczyła się w Rock Glen z programem rozszerzonym, a ona tylko z profilem podstawowym, nie mogła przestać się martwić tym, że w przeszłości niepostrzeżenie zjechała na boczny tor i straciła możliwości, o których nawet nie miała pojęcia. Kiedy była mała, dziadek i babcia dali jej zestaw „Mała pielęgniarka”; Heather natomiast dostała „Małego lekarza”. Wtedy „Mała pielęgniarka” zdawała się czymś lepszym, bo na plastikowym opakowaniu miała ładną dziewczynkę, a na pudełku „Małego lekarza” widniał chłopiec. Sunny nawet wyśmiewała się z siostry! „Jesteś

chłopcem”, szydziła. Jednak może właśnie lepiej być lekarzem? Albo przynajmniej mówić, że się nim zamierza zostać? Ich ojciec powiedział, że mogą zostać kimkolwiek chcą, ale nie do końca w to wierzyła.

Młodsza siostra, oczywiście, kiedy pójdzie w przyszłym roku do Rock Glen, trafi od razu do klasy z profilem rozszerzonym, nawet jeśli jeszcze nie ogłoszono przydziałów. Heather będzie więc uczyła się w klasie o profilu rozszerzonym, a potem w liceum Western High pójdzie do razu do profilu A, co znaczy, że ominie ją ostatni rok gimnazjum i zacznie liceum już w dziewiątej klasie, a nie dziesiątej. Nie o to chodziło, że Heather była mądrzejsza od Sunny. Matka mówiła, że testy IQ pokazały, że obie są bardzo inteligentne, niemal genialne. Jednak młodsza dziewczynka lepiej radziła sobie w szkole. Rozumiała obowiązujące tam zasady. Sunny zaś zdawało się, że ona sama sobie podstawia nogę, za bardzo próbuje być kreatywna i inna niż wszyscy. Takie cechy były przez rodziców cenione wyżej niż piątki i wkuwanie, ale ich oczekiwania względem córki wyraźnie zmalowały, gdy nie dostała się do klasy o profilu rozszerzonym. Czy dlatego ciągle była na nich taka zła? Matka śmiała się i nazywała to „fazą przejściową”; ojciec zachęcał do prowadzenia sporów, „byle tylko racjonalnych”, przez co zachowywała się bardziej irracjonalne. Rzuciła mu później wyzwanie, dyskutując o polityce, rzeczy dla niego najdroższej, ale pozostawał spokojny, doprowadzając ją tym niemal do szaleństwa, i traktował Sunny jak małą dziewczynkę, jak Heather.

– Jeśli chcesz poprzeć w przyszłych wyborach Geralda Forda, zrób to – powiedział jej kilka tygodni temu. – Wszystko, o co cię proszę, to żebyś zajmowała jakieś stanowisko, kierując się rozumem, żebyś przeanalizowała obietnice wyborcze swojego kandydata.

Sunny nie zamierzała nigdy głosować. Polityka była głupia. Z zażenowaniem wspominała swoje pełne zaangażowania przemowy, wspierające McGoverna w 1972 roku, w ramach zajęć z wiedzy o społeczeństwie, jakie miała w szóstej klasie, w piątki. Kiedy nadeszły ich szkolne, udawane wybory, to tylko sześcioro dzieci z dwudziestosiedmioosobowej klasy oddało głos na McGoverna, o jedną osobę mniej, niż wcześniej deklarowało.

– To przez Sunny na niego nie zagłosowałem – powiedział Lyle Malone, smukły, przystojny chłopak, kiedy go zapytano, dlaczego zmienił zdanie. – Stwierdziłem, że ktoś, kogo ona tak bardzo lubi, nie może być aż tak bardzo dobry.

Chociaż jeśli to Heather poparłaby McGoverna, to wszyscy w klasie by za nią poszli. Ona potrafiła wpływać na ludzi. Lubili na nią patrzeć, rozbawiać ją, zyskiwać jej uznanie. Nawet teraz kierowca miejskiego autobusu, typek, który zwykle wrzeszczał na każdego, kto guzdrał się w otwartych drzwiach, zdawał się oczarowany tą podekscytowaną dziewczynką z dzinsową torebką, mocno trzymaną przy piersi.

– Połóż tutaj swój bilet, słodziutka – poprosił.

Sunny aż chciała wrzasnąć: Ona wcale nie jest taka słodziutka! Zamiast tego, weszła po schodach, patrząc na swoje buty kupione dwa tygodnie temu. Pogoda nie była odpowiednia, ale strasznie chciała włożyć te pantofle, a dzisiaj był wielki dzień.

## Rozdział 9

Na Woodlawn Avenue w ostatnią sobotę przed Wielkanocą ruch był większy niż zazwyczaj, ludzie wciąż wchodzili do zakładu fryzjerskiego i piekarni. Zbliżające się święto zmartwychwstania Jezusa najwyraźniej zwiększyło zapotrzebowanie na świeże bułeczki oraz wygolone, odsłonięte karki, przynajmniej wśród tych staromodnych mieszkańców Baltimore, którzy wciąż jeszcze nosili krótkie fryzury. W podstawówce trwał też wiosenny festiwal, staroświecki festyn, gdzie każdy, kto wrzucił pingpongową piłeczkę do okrągłego akwarium, mógł wygrać wate cukrową i złotą rybkę. Oto miejsce, gdzie zmiany są tak wolne, że można za nimi nadażyć, pomyślał Dave, wiecznie obcy we własnym rodzinnym mieście. Podróżował po całym świecie z postanowieniem, że zamieszka gdzie indziej, ale zawsze kończył tutaj. Otwierając sklep, sądził, że może w ten sposób ściągnie świat do Baltimore, ale Baltimore go nie chciało. Żadna spośród tylu osób na chodniku nie zatrzymywała się przed witryną jego sklepu, nie wspominając już o tym, aby wejść do środka.

Teraz była już prawie trzecia po południu, zgodnie z zegarem, opatrzonym napisem „Pora na strzyżenie”, nad zakładem fryzjerskim. Dave postanowił zająć się swoimi sprawami. Gdyby nie zgodził się odebrać Sunny i Heather z centrum handlowego, to mógłby dzisiaj zamknąć wcześniej. Ale z drugiej strony, może właśnie w tej ostatniej godzinie zjawiliby się klient obdarzony gustem i z pieniędzmi, który chciałby kupić dużo rzeczy, a wtedy on przepuściłby okazję zrobienia świetnego interesu. Miriam stale się zamartwiała, że coś takiego może się stać.

– To się zdarza tylko raz – powiedziałyby. – Kiedyś pewna osoba pociągnie za klamkę drzwi, które powinny być otwarte, i stracisz nie tylko klienta, ale też reklamę, jaką mógłby ci zrobić.

Gdyby sprawy naprawdę wyglądały tak prosto, gdyby sukces zależał tylko od wczesnego wstawania, późnego kładzenia się spać i ciężkiej pracy! Miriam nie miała wystarczającego doświadczenia zawodowego, aby uświadomić sobie, jak rażąco naiwnie myśli. Ona wciąż wierzyła, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje; ziarnko do ziarnka, aż zbierze się miarka, i w podobne komunały. Chociaż gdyby nie wierzyła w to wszystko, nie przyklasnęłyby tak chętnie jego planom otwarcia sklepu, bo wiązały się one z porzuceniem państwowej posady dla pracy, która była wszystkim, poza gwarancją dostatku. Później zaczął się zastanawiać, czy żona nie doszła do wniosku, że tak czy inaczej będzie z tego pożytek. Sklep mógł albo uczynić ich zamożnymi, albo okazać się kulą u nogi. Przecież dała mu szansę, a on to spaprał. Teraz każda sprzeczka między nimi wyrastała właśnie z tego niewypowiedzianego kontekstu: „Uwierzyłam tobie, a ty to spaprałeś”. Czy przez cały czas wiedziała, że Dave może zawieść?

Nie. Miriam nie knuła aż tak makiawelicznych intryg. Była najuczciwszą osobą, jaką znał, i szybko dawała kredyt zaufania tam, gdzie go potrzebowano. Zawsze przyznawała, że nie dostrzegała potencjału domu na Algonquin Lane, chaotycznie zabudowanej i zaniedbanej wiejskiej posiadłości, ofiary architektonicznych zniewag: kopuły, tak zwanego pokoju florydzkiego. Dave odnowił budynek, przywrócił mu pierwotne kształty, stworzył prostą, organiczną strukturę, która pasowała do dużego, zapuszczonego podwórza. Ci, którzy ich odwiedzali, zawsze z



uznaniem wyrażali się o jego wyczuciu, wskazywali na przedmioty, które przywiózł ze swoich podróży, i chcieli wiedzieć, ile kosztowały – a potem twierdzili, że zapłaciliby pięć, dziesięć, dwadzieścia razy więcej, gdyby otworzył sklep z takimi rzeczami.

Dave brał te słowa za dobrą monetę. Jak zawsze. Podobne komplementy nie mogły być tylko czczymi pochlebstwami, bo ludzie nigdy nie chwalili go za nic. Wręcz przeciwnie, zawsze jak magnes przyciągał nagą, nieprzyjemną prawdę, agresję zamaskowaną jako szczerłość.

Na pierwszej randce Miriam powiedziała mu:

– Słuchaj, strasznie mi przykro to mówić, ale ...

Przyzwyczał się już do takich wstępów, choć serce wciąż go trochę bolało. Myślał, że akurat ta zadbana młoda kobieta, z kanadyjskimi manierami i północnym akcentem, okaże się inna. Pracowała jako maszynistka w stanowym Departamencie Finansów, gdzie Dave był analitykiem. Umówił się z nią dopiero po trzech miesiącach.

– Tak?

– Chodzi o twój oddech.

Odruchowo zasłonił usta dłonią, jak Adam skrywający nagość po ugryzieniu jabłka. Jednak Miriam poklepała jego drugą dłoń.

– Nie, nie, nie. Mój ojciec jest dentystą. Z tym naprawdę można łatwo sobie poradzić.

I było. Za sprawą nici do czyszczenia zębów, środków do pielęgnacji jamy ustnej, a w końcu chirurgii szczękowej Miriam uwolniła Dave'a od życia, w którym ludzie, rozmawiając z nim, zawsze lekko się cofali. Dopiero kiedy to się skończyło, zrozumiał, co znaczy, gdy inni marszczą

brody i spuszczaają nosy. On śmierdział, a oni próbowali nie wdychać tego smrodu. Zastanawiał się, czy pierwsze dwadzieścia pięć lat życia, tych cuchnących lat, nie spowodowało u niego nieodwracalnych zniszczeń. Kiedy przez ćwierć wieku widzisz, jak ludzie się od ciebie odsuwają, to jak później możesz spodziewać się akceptacji?

Tylko córki nie były na to wystawione. Przecież nawet Miriam знаła Dave'a o nieprzyjemnym zapachu z ust, chociaż krótko. Ubóstwienie ojca przez dziewczynki zdawało się tak wielkie, że okazał się na tyle głupi, by uwierzyć, że nigdy im się nie znudzi. Ale teraz dla Sunny był ucieleśnieniem żenady, czymś jak chodzące pierdnięcie albo beknięcie. Heather, nad wiek rozwinięta, od czasu do czasu już naśladowała ten chłód siostry. Ale chociaż córki starały się trzymać go na odległość ramienia, nie mogły całkowicie się od niego odizolować. Czuł się tak, jakby żył wewnątrz ich czaszek, widział ich oczyma, doświadczał wszystkich ich triumfów i rozczarowań. „Ty niczego nie rozumiesz”, rzucała mu coraz częściej Sunny. Problem polegał na tym, że właśnie rozumiał. Chociażby tę nową obsesję związaną z centrum handlowym. Sunny myślała, że Dave nienawidzi takich miejsc, bo stanowią wyraz taniej, masowo produkowanej przyjemności, a sprzedawane tam towary są przeciwieństwem artystycznych, jedyne w swoim rodzaju wyrobów rękodzieła z jego sklepu. Jednak tym, czego naprawdę nie lubił, był wpływ, który centra handlowe wywierały na córkę. Wzywały ją niczym syreny Odyseusza. Wiedział, co ona tam robiła. Jako nastolatek sam chodził tam i z powrotem po dzielnicy handlowej Pikesville, wzdłuż Reisterstown Road, mając nadzieję, że ktoś na niego zwróci uwagę. Był chłopcem dziwadłem, synem samotnej matki, podczas gdy wszyscy wokół

mieli oboje rodziców; protestantem, przynajmniej teoretycznie, w okolicy zamieszkaney przez dobrze prosperujące żydowskie rodziny. Jego matka pracowała jako kelnerka w starej restauracji Pimlico, więc ich domowy budżet zależał od szczodrości ojców jego kolegów ze szkoły, mężczyzn oceniających pracę matki Dave'a pod koniec każdego posiłku i dających jej napiwki, góra dwadzieścia pięć centów albo minimum piętnaście. Każdy cent miał znaczenie. Och, nikt otwarcie nie szydził z jego ubóstwa. Uznawali, że w ogóle nie warto zwracać sobie nim głowy, co zdawało się jeszcze gorsze.

A teraz Sunny znalazła się w takim samym położeniu. Niemal czuł jej tęsknotę. Desperacja u nastoletniego chłopca była czymś bardzo smutnym, u dziewczyny wydawała się wręcz niebezpieczna. Bardzo bał się o córkę. Kiedy żona starała się bagatelizować jego lęki, chciało mu się odpowiedzieć: „Wiem, wiem. Ale ty nie potrafisz zrozumieć, co dzieje w męskim umyśle na widok dziewczyny w obcisłym swetrze. To pierwotne instynkty”.

Jednak gdyby oznajmił to Miriam, mogłaby zapytać, co dzieje się w jego umyśle każdego dnia, kiedy patrzy na dziewczęta z liceum Woodlawn przechodzące obok w drodze do sklepu High's Diary albo pizzerii Robin's Nest.

Nie żeby miał chrapkę na jakąś nastolatkę, skądże znowu. Czasem tylko sam chciał być nastolatkiem albo przynajmniej dwudziestolatkiem. Pragnął swobodnie przemierzać ten nowy świat, gdzie dziewczyny miały długie, rozpuszczone włosy, a ich nieskrępowane stanikami piersi podrygiwały w obcisłych bluzkach z nadrukami; móc swobodnie wędrować i się gapić, nic poza tym. Kiedy jeszcze pracował na

państwowej posiadzie, widział, jak wielu jego kolegów poddaje się takim pragnieniom. Nawet w kulturalnym zaścianku działu księgowości mężczyźni nagle zapuszczali baki i kupowali modne ciuchy. Mniej więcej dziesięć miesięcy później Dave mógłby nawet sporządzić wykres dowodzący, że zapuszczenie bokobrodów dokładnie o dziesięć miesięcy wyprzedza koniec małżeństwa. Taki facet wyprowadzał się z domu do mieszkania w jednym z nowych kompleksów apartamentowców. Jak najpoważniej tłumaczył się przy tym, że jego dzieci nie byłyby szczęśliwe, gdyby on nie czuł się szczęśliwy. Terefere, mogłaby parsknąć Sunny. Dave, który wychował się bez ojca, nigdy nie zafundowałby córkom czegoś podobnego.

Duża wskazówka na zegarze „Pora na strzyżenie” pogoniła ku czwartej po południu. Już prawie sześć godzin, a jeszcze żaden klient nie wszedł do sklepu. Może to przeklęte miejsce? Kilka tygodni temu Dave zagadnął o to sprzedawczynię w piekarni Bauhoff, kiedy wrzucała mu ciastka do torby z woskowanego papieru. Wciąż używano tam staroświeckich wag odważnikowych, wypieranych przez wagi elektroniczne, potrafiące określić masę z dokładnością do jednej setnej kilograma. On jednak wolał dokładną elegancję dawnych wag. Lubił patrzeć, jak ustawiały się wraz z każdym ciasteczkiem, które spadało na szalki.

– Zastanówmy się – odezwała się sprzedawczyni Else, która musiała stawać na palcach, aby sięgnąć do szalek. – Długie lata był tutaj sklep z rzeczami do ogródka, Fortunato... Potem, w 1968 roku, staruszek, który go prowadził, miał już dość zamieszek, sprzedał go i przeprowadził się na Florydę.

– Na Woodlawn nie było żadnych zamieszek. To wszystko działa się

wiele kilometrów stąd.

– Racja, ale denerwowało go tak samo. Więc Benny sprzedał to kobiecie, która handlowała ubrankami dla dzieci, ale ciuchy były za drogie.

– Za drogie?

– Kosztowne. Kto wyda dwadzieścia dolarów na sweterek, który dzieciak będzie nosił tylko miesiąc? Sprzedała to więc na restaurację. Też nie szło. Prowadziło ją młode małżeństwo, ale nie dawało sobie rady. Omlet smażyli przez czterdzieści pięć minut. A potem była księgarnia. Ale kto by tu zajrzał, skoro jest księgarnia Gordona i Waldenbooks przy Security. Później prowadzono tu jeszcze wypożyczalnię smokingów...

– Dart's. – Dave wspomniał przygarbionego mężczyznę z miarką krawiecką na szyi i nieśmiałą kobietę, która spoglądała zza wielkiej zasłony długich, przedwcześnie posiwiałych włosów. – Po nich ja przejąłem lokal.

– Miłe małżeństwo, ale jak ludzie potrzebują odświeżonego ubrania, to chodzą tam, gdzie chodzili zawsze. Wypożyczalnię smokingów ma się swoje od lat. Tak jak domy pogrzebowe. Idziesz tam, gdzie chodził twój tata, a on chodził tam, gdzie chodził jego tata i tak dalej. Jeśli chcesz otworzyć taki lokal, musisz to zrobić w miejscu, gdzie wszyscy sanowi.

– Czyli prowadzono tu sześć różnych interesów przez mniej niż siedem lat.

– No. To jedna z takich czarnych dziur. Na każdym osiedlu jest taki sklep, któremu nigdy się nie wiedzie. – Zasłoniła ręką usta, wciąż trzymając nawoskowany papier. – Przepraszam, panie Bethany. Na pewno da pan sobie radę z tymi...

– *Tchotchkesl* – Słucham?

– Nic takiego.

Pewnie trudno było się spodziewać, że w niemieckiej piekarni, która sprzedawała „żydowski” chleb ryżowy, czyniąc to bez ironii oraz żadnych usprawiedliwień, zrozumiane zostanie słowo *wjidisz*, a jeszcze mniej, iż pojmą tam ironię, z jaką go użył. A zatem *tchotchkes*... Rzeczy w jego sklepie były piękne, jedyne w swoim rodzaju. Jednak rodziny, które poznał za sprawą Pięciokrotnej Ścieżki, ludzie myślący podobnie jak on w sprawach duchowych, nie spieszyli się z nabywaniem dóbr doczesnych. W Nowym Jorku, San Francisco albo nawet w Chicago sklep odniósłby sukces. Jednak Dave otworzył go w Baltimore, czego nigdy nie planował. Ale tutaj spotkał Miriam, tutaj miał rodzinę. Jak mógłby to wszystko porzucić? Koralowa kotara w drzwiach cicho zaszeleściła. Weszła jakaś kobieta w średnim wieku. Dave od razu uznał, że nic z tego nie będzie. Przyjął, że się zgubiła, chce zapytać o drogę. Dzielila ich niewielka różnica wieku, kilka lat. Kobieta miała nie więcej niż czterdzieści pięć. Jej strój go odrzucił – przeładowany ozdóbkami różowy włóczkowy kostium i pudełkowa torebka.

– Pomyślałam, że może pan mieć jakieś nietypowe rzeczy do wielkanocnego koszyczka – powiedziała, lekko się zająkując, jakby martwiła się, że w tym nietypowym sklepie obowiązuje nietypowa etykieta. – Coś, co może być małym prezencikiem.

O cholera. A przecież Miriam proponowała mu, by miał w sklepie coś bardziej powiązanego z porami roku, a on to zignorował. Oczywiście, brał pod uwagę Boże Narodzenie. Ale sprzedaż wielkanocnych gadżetów wydawała mu się naciągana.

– Niestety, nie mam.

– Nic? – Zmartwienie kobiety było nieproporcjonalnie wielkie. – Może jednak? Jakieś jajeczka, kurczaczki, zajączki. Cokolwiek.

– Zajączki – powtórzył. – Wie pani, tak myślę... mamy kilka drewnianych z Ekwadoru. Ale one są trochę za duże do koszyczka.

Podszedł do półki, na której trzymał sztukę z Ameryki Południowej, i delikatnie zdjął jedną z rzeźb. Podał kobiecie tak jak niemowlaka, którego trzeba przewinać. Trzymała to przed sobą w wyprostowanych, sztywnych ramionach. Zajączek był prosty, prymitywny, rzeźba stworzona kilkoma szybkimi pewnymi pociągnięciami noża, zdecydowanie zbyt ładna do koszyczka. To nie zabawka. To dzieło sztuki.

– Siedemnaście dolarów? – zapytała, spoglądając na ręcznie zapisaną kartkę z ceną. – A to przecież takie prościutkie...

– Tak, ale ta prostota... – Dave już nawet nie kończył zdania. Wiedział, że tego nie sprzeda. Ale pomyślał o Miriam, ojej wzruszającej wierze w niego, i zrobił ostatnią próbę. – Wie pani, może mam na zapleczu kilka takich drewnianych jajeczek do cerowania. Znalazłem je na pchlim targu w Zachodniej Wirginii, są pomalowane na jaskrawe kolory, czerwony, niebieski.

– Naprawdę? – Zdała się dziwnie podekscytowana taką perspektywą. – Może pan je przynieść?

– Dobrze. – Sprawa była dosyć kłopotliwa, musiał zostawić kobietę samą w sklepie. Oto skutki braku pieniędzy na zatrudnienie pomocnika. Czasem Dave zapraszał w takich sytuacjach klientów na zaplecze, jakby okazywał im szczególne względy, a nie obrażał podejrzeniami o to, że coś ukradną. Ale jakoś nie mógł sobie wyobrazić tej kobiety chowającej

cokolwiek ukradkiem lub próbującej włamać się do staroświeckiej kasy, która brzęczała przy otwieraniu.

– Proszę tutaj czekać, zobaczę, czyje znajdę.

Odnalezienie jajek trwało dłużej, niż powinno. W głowie słyszał już strofującą go Miriam – delikatnie, ale strofowanie to strofowanie. Przypominała mu o potrzebie inwentaryzacji, procedurach i systemie. Ale ten sklep miał być ucieczką od rygoru liczb. Wciąż pamiętał swoje rozczarowanie, kiedy Miriam nie pojęła znaczenia nazwy sklepu.

– „Człowiek z Błękitną Gitarą”? Czy ludzie nie pomyślą, że to sklep muzyczny?

– Ty nic nie rozumiesz?

– No. Rozumiem, że to ma być... nietypowe. Teraz tak się robi. „Aksamitna pieczarka”, coś w tym stylu. Ale to może ludzi zmylić.

– To z Wallace’a Stevensa. Poety, który był też agentem ubezpieczeniowym.

– Och, ten facet od *Cesarza lodów*. Jasne.

– Artysta uwięziony w ciele biznesmena. Jak ja sprzedawał ubezpieczenia, ale był poetą. Ja zajmowałem się analizą podatkową, ale to mnie nie satysfakcjonowało.

– A czy Stevens nie był prezesem towarzystwa ubezpieczeniowego? I czy on cały czas nie pracował, nawet kiedy pisał wiersze?

– No tak, to nie jest dokładna paralela. Ale pod względem emocjonalnym to jest to samo.

Miriam nic już nie powiedziała.

Znalazł kolorowe jajka, przyniósł je na ladę. W sklepie było pusto. Natychmiast sprawdził kasę, ale jego skąpe zapasy gotówki pozostały



nienaruszone. Szybko przejrzał co cenniejsze rzeczy – no, mówiąc dokładnie, na wpół cenne, biżuterię z opali i ametystów. Leżały na swoim miejscu, w szklanym pojemniku. Dopiero wtedy spostrzegł kopertę na ladzie zaadresowaną do Dave’a Bethanego. Czy kiedy zajrzał na zaplecze, przyszedł tu listonosz? Koperta była jednak nieostemplowana, bez żadnego adresu, tylko z nazwiskiem.

Otworzył ją i znalazł w środku list, napisany ręką drżącą od emocji, jak głos kobiety w różowym kostiumie.

Szanowny Panie Bethany Powinien pan wiedzieć, że pańska żona ma romans ze swoim szefem, Jeffem Baumgartenem. Dlaczego pan tego nie zakończy? Tu chodzi o dzieci. Poza tym pan Baumgarten jest bardzo szczęśliwym małżonkiem i nigdy nie opuści swojej żony. Właśnie dlatego biura nie są dobrym miejscem dla matek.

Listu nie podpisano, ale Dave nie miał wątpliwości, że napisała go sama pani Baumgarten, co znaczyło, że jej chęć kupienia czegoś na Wielkanoc stanowiła tylko wyszukane oszustwo. Dave nie wiedział dużo o szefie Miriam – tyle tylko, że jest wpływowym Żydem i prawdopodobnie uczył się w liceum w Pikesville ledwie kilka klas wyżej od Dave’a. Może pani Baumgarten zamierzała po kryjomu podrzucić ten list na ladę, jednak plany pokrzyżował jej pusty sklep. A może napisała go na wszelki wypadek, gdyby nie odważyła się na osobistą rozmowę. Jaka dziwna była ta ostatnia linijka, tak jakby kobieta musiała podeprzeć się poważną kwestią społeczną, aby pokazać, iż to ona jest stroną pokrzywdzoną. W ułamku sekundy w głowie Dave pojawiło się słówko „rogacz”. Poczul przyływ współczucia dla tej uczciwej matki z klasy średniej, piszącej

anonimowe listy. Nie tak dawno miejscowe gazety rozpisywały się o małżonce gubernatora haniebnie porzuconej dla rzeczniczki prasowej. Żona skryła się w jego posiadłości i nie chciała stamtąd wyjść, pewna, że mąż w końcu wróci do zdrowych zmysłów. Była taką samą kobietą, jak ta – z północnozachodniego Baltimore, Żydówką, pulchną i dobrze ubraną, integralną częścią sukcesu swojego męża. Romanse stanowiły nieodłączny element życia mężczyzn; ich żony albo je akceptowały, albo nie. Kobiety, z którymi romansowali, były młode, apetyczne i bez nadwagi: sekretarki i stewardesy, takie jak Goldie Hawn w *Kwiecie kaktusa*.

Wybrał numer do biura Miriam, ale choć dzwonił, dzwonił i dzwonił, recepcjonistka nie podnosiła słuchawki. Ach tak, Miriam jest pewnie poza biurem, w jakimś domu na sprzedaż, a recepcjonistka wyszła. Zapyta o to dzisiaj wieczorem. Zresztą powinien częściej pytać Miriam, jak było w pracy. Bo z pewnością właśnie praca dawała jej ostatnio tyle pewności siebie. Posadzie zawdzięczała blask na twarzy, sprężystość kroków, łyzy w łazience późną nocą.

Łzy w łazience... Nie, to była Sunny, biedna, wrażliwa Sunny, dla której dziewiąta klasa okazała się torturą ostracyzmu, wszystko dlatego, że on i Miriam próbowali walczyć z innymi rodzicami o trasę autobusu. Przynajmniej tak sobie wmawiał, kiedy siedząc w gabinecie późnym wieczorem, słyszał zdławiony szloch dobiegający ze wspólnej łazienki u podnóża schodów. Udawał, że słucha muzyki, że szanuje prywatność osoby łkającej ledwie kilka schodków niżej.

Dave podarł list na kawałki, wziął klucze i zamknął sklep, potem ruszył ulicą do knajpy Monaghana, w której w sobotę przed Wielkanocą było pełno klientów.

## Rozdział 10

Miałaś trzymać się ode mnie z dala – syknęła Sunny po tym, jak bileter wyrzucił je z kina, mówiąc, że dzisiaj nie mają tam wstępu. – Obiecałaś.

– Zaczęłam się martwić, jak nie wracałaś z łazienki. Po prostu chciałam się upewnić, że wszystko w porządku.

Nie kłamała, nie całkiem. Dokładnie rzecz ujmując, Heather ciekawiło, dlaczego Sunny wyszła w piętnastej minucie *Ucieczki z Góry Czarownic* i nie wróciła. I martwiła się, że siostra próbuje ją wykołować, więc też wyszła z sali, zajrzała do łazienki, potem zakradła się z drugiej strony, tam gdzie wyświetlano *Chinatown*, film tylko dla dorosłych. Uznała, że Sunny musiała robić taką sztuczkę już przez jakiś czas: kupować bilet na film bez ograniczeń, do sali na jednym krańcu kina, potem korzystać z łazienki po to, by wejść na film tylko dla dorosłych, gdy nikt jej nie widział.

Usiadła dwa rzędy od Sunny, stosując taki sam manewr, jak na *Ucieczce z Góry Czarownic*. „To wolny kraj”, stwierdziła wtedy beztrąsko, kiedy Sunny rzuciła jej piorunujące spojrzenie. Tym razem udało jej się pozostać niezauważoną aż do sceny, w której mały człowieczek wbijał nóż w nos Jacka Nicholsona. Wtedy głośno wciągnęła powietrze, a Sunny odwróciła się, słysząc ten odgłos.

Heather sądziła, że siostra ją zignoruje, nie będzie zwracała na nie uwagi innych widzów. Ale ona podeszła i natarczywym szeptem kazała jej natychmiast wyjść. Dziewczynka pokręciła głową, wskazując, że przecież przestrzega zasad, które Sunny ustanowiła. Nie trzymała się przy niej, po prostu tak wypadło, że znalazła się w tym samym kinie. To wolny kraj. Jakaś starsza pani wezwała bilertera, on wyrzucił je oboje, bo były bez

biletów. Heather, jak to ona, kłamała i twierdziła, że zgubiła swój, ale jej niezbyt bystra siostra wyjęła bilet do sali numer 1, gdzie grano *licieczkę*. *Źle*, bo wysoka i obdarzona biustem Sunny mogła spokojnie uchodzić za siedemnastolatkę. Gdyby zamieniły się wiekiem, gdyby to Heather była tą starszą, jakoś by załatwiła sprawę. Gładko skłamałaby o zgubionym bilecie, twierdziła, że ma siedemnaście lat i klóciła, że jako siostra jest dorosłym opiekunem na filmach z ograniczeniami wiekowymi. Na co komu taka starsza siostra, która nie zachowuje się jak starsza siostra? Cała Sunny, na granicy hysterii przez jakiś głupi film. Heather pomyślała, że to szaleństwo, marnotrawienie cennego czasu w centrum handlowym na siedzenie w ciemnościach, podczas gdy jest tyle rzeczy do zobaczenia i spróbowania.

– W każdym razie, film był nudny – oznajmiła Heather. – Chociaż to straszne, że facetowi cięli nos.

– Ty nic nie wiesz – odparła Sunny. – Reżyserem filmu był właśnie ten mężczyzna z nożem, Roman Polański, jego żonę zabił Charles Manson. Polański jest geniuszem.

– Chodźmy do sklepu Hoschilda. Albo Pants Corral. Chcę popatrzeć na gniotące się dzinsy.

– Żadne dzinsy się nie gniotą – burknęła Sunny, wciąż trochę naburmuszona. – To głupie.

– Wszystkie dziewczyny je noszą, teraz, kiedy nie musimy już wkładać mundurków do szkoły.

– Nie powinnaś czegoś chcieć tylko dlatego, że wszyscy to mają. Nie powinnaś biegać za stadem. – Z ust Sunny płynął głos ojca, a Heather wiedziała, że siostra nie wierzy w ani jedno z tych słów.

– Dobra, no to chodźmy do Harmony Hut albo do księgarni.

Kiedy ostatni raz były w centrum handlowym, Heather cichaczem zajrzała do jakiejś świńskiej książki. Znalazła tam wiele obiecujących opisów piersi głównej bohaterki, ciasno opiętych cienką materią sukienki, co zwykle stanowiło znak, że zaraz będzie działo się coś świńskiego. Starła się zdobyć na to, by przeczytać książkę z rozporkiem na okładce – nie prawdziwym rozporkiem, jak na okładce albumu Rolling Stonesów, który miała Sunny, ale takim, który odsłaniał kawałek nagiego kobiecego tułowia. Musiała znaleźć większy tom, aby ten zasłonić i móc czytać, nie przyciągając niczyjej uwagi. Personel Waldenbooks nie dbał o to, jak długo przebywało się w księgarni i czytało książkę bez jej kupowania, dopóki nie usiadło się na dywanie. Wtedy wyrzucali.

– Nie chcę niczego robić razem z tobą – oznajmiła Sunny. – Nie obchodzi mnie, gdzie pójdziesz. Po prostu zajmij się swoimi sprawami i wracaj tu na pięta.

– A ty mi kupisz karmelkorna.

– Dałam ci pięć dolarów. Sama sobie kup.

– Powiedziałaś pięć dolarów i karmelkom.

– Dobra, co za różnica. Wracaj tu o piątej dwadzieścia i będziesz miała te swoje karmelki. Ale nici z tego, jeśli zobaczę, że znowu za mną łazisz. Taki był układ, pamiętasz?

– Dlaczego jesteś na mnie zła?

– Po prostu nie chcę łązić z dzidziusiem na karku. Czy to tak trudno pojąć?

Ruszyła od razu do sklepu Searsa na końcu centrum handlowego, w korytarzu z Harmony Hut i Singer Fashions. Heather pomyślała, czy

jednak za nią nie pójść, nie bacząc na karmelki. Sunny nie miała prawa nazywać jej dzidziusiem. To ona zachowywała się jak dziecko, płakała przez byle co. Heather nie była maluchem.

Kiedyś jednak uwielbiała być dzidziusiem, rozkoszowała się tym. A gdy mama zaszła w ciążę – Heather miała wtedy prawie cztery latka – i zaczęto rozmawiać o „dzidziusiu”, zmartwiła się. „To ja jestem dzidziusiem”, oznajmiła histerycznie, stukając się palcem w pierś. „Heather jest dzidziusiem”. Jakby w ich rodzinie, na całym świecie, mógł istnieć tylko jeden dzidzius.

Działo się tak, kiedy przeprowadzili się do Algonquin Lane. Heather dostrzegła wtedy przekupstwo – możesz mieć swój pokój, ale nie będziesz już dzidziusiem. W wielkim domu znalazłoby się wystarczająco dużo miejsca na osobne sypialnie dla trojga dzieci. Dziewczynka poczuła się lepiej. Przecież nawet ten nowy dzidzius nie zawsze będzie dzidziusiem. A Heather pozwolono wybrać sobie pokój, drugiej w kolejności. Uważała, że powinna być pierwsza, bo utraciła status dzidziusia. Rodzice wyjaśnili jednak, że starsza Sunny i tak zamieszka w swoim pokoju na krócej, dopóki nie pójdzie do college’u, dlatego powinna wcześniej dokonać wyboru. Jeśli Heather naprawdę chciałaby akurat ten pokój, który upatrzyłaby sobie siostra, to przecież dostanie go za trzy lata. Nawet jeśli pozornie wszystko zdawało się w porządku, w dziewczynce coś buntowało się przeciwko takiej logice, ale nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, aby się kłócić, zaś na rodzicach nigdy nie robiły wrażenia napady dziecięcej hysterii. Matka dokładnie tak mówiła: „Heather, to nie robi na mnie wrażenia”. Ojciec natomiast twierdził: „Nie będę reagował na takie zachowanie”. Ale z tego co widziała Heather, on nie reagował w ogóle na

żadne zachowanie, starczyło tylko spojrzeć na Sunny. Grała według ich reguł, starannie przygotowywała swoje argumenty, przedstawiała je w uporządkowany sposób i prawie nigdy nie dostawała tego, czego chciała. Heather była znacznie sprytniejsza, zwykle też stawiała na swoim. Udało jej się nawet pozostać dzidziusiem, choć nie za sprawą własnych poczynań. Nowe dziecko okazało się zbyt słabe, by żyć poza łonem matki.

Kiedy umarło, ojciec uznał, że należy dokładnie objaśnić Heather i Sunny, na czym polega poronienie. Musiał jednak najpierw wytłumaczyć, jak dziecko znalazło się w brzuchu mamy. Ku ich jeszcze większej konsternacji, użył wtedy wszystkich odpowiednich terminów: „penis”, „wagina”, „macica”.

– Dlaczego mamusia ci na to pozwoliła? – dopytywała Sunny.

– Bo tak właśnie powstają dzidziusie. Poza tym to miłe. Ale tylko kiedy jest się dorosłym – dodał. – I nawet jeśli w efekcie nie powstaje dzidzius. To święta rzecz, sposób okazywania miłości.

– Ale... ale... tamtędy wychodzą siuski. Mogłeś w nią nasiusić.

– Mocz, Sunny. A penis wie, żeby tego nie robić, kiedy jest wewnątrz kobiety.

– Skąd wie?

Ojciec zaczął wyjaśniać, jak penis rośnie, kiedy chce sprawić, żeby powstał dzidzius, że ma wtedy w sobie inną ciecz, pełną plemników, nazywaną spermą. Wreszcie Sunny zasłoniła uszy rękoma i powiedziała:

– Aaa, nie chcę tego słuchać. Bo jak się pomyli, to może tam nasiusić.

– Jak wielki on się robi? – dociekała Heather.

Ojciec pokazał, tak jak pokazuje się wielkość złapanej ryby, ale mu nie uwierzyła.

Heather wiedziała więc już wszystko o tym, skąd się biorą dzieci, zanim jeszcze poszła do przedszkola. Była zaskoczona, gdy zaczynając edukację w podstawówce Dickey Hill, odkryła, że wychowanie seksualne jest dopiero od szóstej klasy i to za zgodą rodziców. Nie przechwalała się jednak swoją wiedzą i nie przyciągała uwagi. To było kolejną rzeczą, której Sunny nigdy nie rozumiała. Nie pojmowała, że dobrze trzymać niektóre sprawy w ukryciu, a nie ciągle zgłaszać się na ochotnika. Nikt nie lubi tych, którzy się popisują.

Jednak w czwartej klasie matka Beth, koleżanki Heather, zaszła w ciążę, a rodzice wyjaśnili dziewczynce, że to Bóg umieścił malca w brzuchu. Podobnie jak ojciec, Heather nie potrafią znieść wmawiania nieprawdy, więc szybko zwołała swoją klasę pod drabinkami na placu zabaw i powiedziała wszystko, co wiedziała na ten temat. Rodzice Beth złożyli skargę, rodzice Heather zostali wezwani do szkoły, jednak Dave nie tylko za nic nie przeproszał, ale jeszcze czuł się dumny z córki.

– Za to powinni odpowiadać ci, którzy wolą kłamać swoim dzieciom – oznajmił w obecności dziewczynki. – I ja nie będę prosił córki, żeby przyznała, że zrobiła źle, mówiąc prawdę o czymś naturalnym.

Naturalnym, czyli dobrym. To najwyższa pochwała, jaka padała z ust ojca. Naturalne tkaniny, naturalne jedzenie, naturalne włosy. Po tym jak otworzył sklep nosił na głowie wielkie, wełniste afro, ku sporemu zakłopotaniu Sunny. Nawet czesał się szczotką Black Power, której rączka kończyła się zaciśniętą pięścią. Szczerze mówiąc, nie pochwaliby dzinsów Staprest, bo chyba miały w sobie coś sztucznego, skoro się nie gniotły. Chociaż Heather była pewna, że potrafiłaby namówić ojca albo matkę, by pozwolili jej kupić sobie takie spodnie za pieniądze, jakie



dostanie na urodziny.

Poszła w stronę Pants Corral. Pan Pincharelli, który uczył Sunny muzyki, grał na organach w Kittsie. Sunny kiedyś się w nim podkochiwała, Heather wiedziała o tym z jej pamiętnika. Jednak ostatnim razem, gdy obie odwiedziły centrum handlowe, Sunny przeszła szybko obok sklepu z organami, jakby zakłopotana. Dzisiaj nauczyciel też tam był, grał *Easter Parade* z mnóstwem energii, a wokół zgromadziła się grupka słuchaczy. Pan Pincharelli miał twarz błyszczącą od potu i mokre plamy pod pachami koszuli z krótkim rękawem. Heather nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można się w nim podkochiwać. Gdyby to ją uczył, wciąż by się z niego naśmiewała. Jednak tłumek gapiów najwyraźniej szczerze podziwiał muzyka, a dziewczynka przyłapała się na tym, że też daje się ogarnąć nastrojowi. Przysiadła na pobliskiej fontannie. Zastanawiała się nad jednym z wersów piosenki: „Czy widzisz, że na zdjęciu wyglądasz tak czysto”, kiedy ktoś złapał ją za łokieć.

– Hej, ty miałaś...

Głos był pełen złości, nie krzyk, ale na tyle ostry, że przebił się przez muzykę do uszu osób stojących w pobliżu. Obejrzeni się. Mężczyzna szybko puścił rękę dziewczynki, wymamrotał: „Nieważne”, i zniknął wśród kupujących. Heather patrzyła, jak nieznajomy odchodzi. Cieszyła się, że to nie ona jest dziewczyną, której szuka. Tamta niewątpliwie miała kłopoty.

Po *Easter Parade* muzyk zagrał *Superstar*, piosenkę zespołu Carpenters, ale nie tę o Jezusie. Akurat w zeszłym tygodniu Sunny dała siostrze wszystkie swoje albumy Carpentersów, twierdząc, że są słabe. Gust muzyczny stanowił jedyną rzecz, którą warto było brać od Sunny za

wzór, i jeśli ona sądziła, że Carpentersi są słabi, to Heather nie wiedziała, czy w ogóle chce ich nagrania. Pięć dolarów – to wystarczająco dużo, aby zafundować sobie nowy album i jeszcze dostać resztę. Może mimo wszystko powinna jednak iść do Harmony Hut, coś kupić... Jethro Tuli. Zespół wydawał się całkiem fajny. A jeśli tak się zdarzy, że w sklepie muzycznym będzie też Sunny, cóż, przecież to wolny kraj.

## **Część III**

Wtorek

## Rozdział 11

Chodzi o to, że ona wcale nie wygląda jak Penelope – powiedział Infante do Lenhardta. Sierżant lekko się zdziwił.

– A jak wygląda Penelope?

– No, nie wiem. Blond włosy. Różowy hełm.

– Co? – To pytanie Lenhardt rozciągnął do dwóch sylab.

– Taka stara kreskówka. Co sobota był wyścig samochodowy, a wynik do końca pozostawał nieznany. Była tam taka ślicznotka i nazywała się Penelope Pit Stop. Prawie nigdy nie pozwalali jej wygrać.

– Ale to greckie imię. Czyli nie chodzi o postać z Hanny-Barbery. Myślę, że jest jakaś sławna opowieść o Penelopie.

– Co, coś jak Betsy Ross?

– Trochę wcześniej. Tak z kilka tysięcy lat wcześniej, palancie.

Ledwie dwadzieścia cztery godziny temu, kiedy Infante podpadł szefowi, ta rozmowa wyglądałaby całkiem inaczej – może padłyby takie same słowa, ale wypowiedziane znacznie mniej przyjaznym tonem. Wczoraj Lenhardt odstawiałby identyczną głównianą gadkę, ale obelgi i przytyki do inteligencji Infante’a byłyby poważnymi, ostrymi naganami. Dzisiaj jednak Infante znowu stał się dobrym chłopcem. Dwie dodatkowe godziny pracy zeszłej nocy, potem wczesne i żwawe pojawienie się przy biurku, mimo że po drodze zatrzymała go jeszcze sprawa policyjnej konfiskaty.

A teraz zasiadł już przy swoim komputerze i wstukiwał informacje z prawa jazdy Penelope Jackson, wystawionego w Północnej Karolinie. Szybko załatwił jej zdjęcie, które faksem przysłała mu tamtejsza policja.

Lenhardt spojrział na nie, mrużąc oczy. Szukał podobieństwa.

Po powiększeniu na ksero fotografia była nieostra.

– Czyli to ona?

– Może być. Teoretycznie. Wiek trzydzieści osiem lat; mniej więcej się zgadza. Babka twierdzi, że jest starsza, ale w to nie trzeba za bardzo wierzyć. Kolor włosów i oczu pasuje. Tyle że na fotografii włosy są długie, tutaj krótko ścięte. Ta w szpitalu jest znacznie szczuplejsza od tej na zdjęciu.

– Kobiety ciągle ścinają sobie włosy – powiedział Lenhardt, z lekką tęsknotą i smutkiem. – A niektórym nawet udaje się zrzucić kilka kilogramów, kiedy kończą czterdziestkę, przynajmniej tak mi mówiono. – Żona szefa była atrakcyjna, chociaż trochę pulchna.

– Ja jednak wciąż nie wierzę, że to twarz tej samej kobiety. Ta ma specyficzny wygląd. Opryskliwy i przebiegły. Jane Doe z St. Agnes jest łagodniejsza. Nie mam wątpliwości, że ona kłamie...

– Oczywiście. – W ich pracy zawsze zakładano, że ktoś kłamie.

– Ale o czym nakłamała i dlaczego? Jeśli nie jest Heather Bethany, tylko Penelope Jackson albo jeszcze kim innym, to skąd wiedziała o sprawie sprzed trzydziestu lat? Poza tym pasuje do opisu.

Infante otworzył w komputerze kolejny link w krajowej bazie danych o zaginionych dzieciach. Nie wiedział, jak to zrobić, ale szybki telefon do dawnej partnerki, Nancy Porter, i gotowe. Były dwie dziewczynki, Heather i Sunny, jedenaście i czternaście lat. Zobaczył ich ostatnie zdjęcia ze szkoły. Pod fotografiami znajdowały się rysunki pokazujące, jak dziewczynki mogą wyglądać dzisiaj.

– Ona tak wygląda? – Lenhardt postukał w zdjęcie Heather palcem i

zostawił na ekranie Infante'a małą tłustą plamę, dokładnie pośrodku nosa dziewczyny.

– Może. Niewykluczone. I tak, i nie.

– Byłeś kiedyś na zjeździe absolwentów college'u albo liceum?

– Nie. To mnie nie interesuje. I tak wszystko odbywa się na Long Island, gdzie nie mam nikogo.

– Kilka lat temu byłem na zjeździe absolwentów mojego liceum, na trzydziestolecie jego ukończenia. Ludzie starzeją się na różne sposoby. Niektórzy wyglądają niemal tak jak zawsze. Inni po prostu się zmieniają. Tak jakby zmęczeni się już dbaniem o siebie. Były cheerleaderki ważące po sto kilo, dawne gwiazdy futbolu z łysiną albo mocnym łupieżem. W ogóle nie byli podobni do siebie sprzed lat.

– Mogę się założyć, że ci się to podobało: wizyta na zjeździe koleżeńskim z ładną żoną, piętnaście lat młodszą.

Lenhardt uniósł brwi z udawanym zaskoczeniem, jakby nigdy nie dostrzegął, że jego żona to niezła laska, ale Infante wiedział, że facet uwielbia zazdrosne spojrzenia przechodniów.

– Ale jest jeszcze trzeci rodzaj dotyczący tylko kobiet – oznajmił. – Nowe i ulepszone. Czasem za sprawą chirurgii plastycznej, ale nie zawsze. Trenują, farbują włosy. Totalnie się zmieniają i wiedzą o tym. Właśnie dlatego się pokazują. Ich wiek można poznać tylko po łokciach.

– Pochrzaniło cię? Kto patrzy kobiecie na łokcie?

– Po prostu to jedyne miejsce, które trudno zmienić z biegiem lat. Żona mi mówiła. Czasem okłada je cytryną. Kroi cytrynę na pół, wydrąża, napęnia oliwą z oliwek i kosherną solą, a potem siada przy toalecie z ramionami w górze. – Lenhardt zaprezentował tę pozę. – Mówię ci, Kevin,

potem czujesz, jakbyś szedł do łóżka z sałatką owocową.

Infant roześmiał się. Nie chciał podpaść szefowi. Wczoraj wkurzał się na niesprawiedliwość tego świata. Ale dzisiaj czuł się już zrehabilitowany, był dobrym detektywem z cholernie interesującą sprawą i nie mógł zawieść pokładanego w nim zaufania. Jeśli ta kobieta okaże się Heather Bethany, to mogła wspaniale wyjaśnić całą zagadkę. Jeśli nianie jest, przynajmniej o czymś wiedziała.

– Dziwne – mruknął, wertując notatki zrobione podczas konfiskaty. – Samochód został zarejestrowany w Północnej Karolinie dwa lata temu. Penelope Jackson nie mieszka już pod tym adresem. Wytropiłem najemcę mieszkania. Powiedział, że nie należała do porządnych obywateli, którzy zostawiają nowy adres. Podobno poszła za jakimś facetem, którego sobie wyhaczyła, zajęła się robotą przy barze i pracą kelnerki. Wyprowadziła się więc dziesięć miesięcy temu, ale nie zmieniła rejestracji ani prawa jazdy.

– Wręcz haniebne. – Lenhardt zagwizdał. – Jak długo mieszkałeś w Marylandzie, zanim zarejestrowałeś tutaj samochód?

– Nie uwierzysz, jak się przypieprzają do ludzi spoza stanu o przerejestrowanie – odparł Infante. – No, ale ty jesteś jednym z tych baltimorczyków, którzy myślą, że widzieli świat, bo wypuścili się dziesięć kilometrów od miasta. Tak czy owak, miała zawalone tylne siedzenie: opakowania po hamburgerach, niektóre całkiem świeże, pety, chociaż ta w szpitalu nie pali. Można to wyczuć; poza tym nie jest rozdrażniona głodem nikotynowym. Samochód wygląda, jakby sporo podróżowała. Ale nie ma walizki. Jest torebka, ale brak portfela i gotówki. Tylko śmieci i rejestracja. Jak można jechać ponad kilkaset kilometrów bez karty kredytowej albo kasy?

Lenhardt sięgnął obok Infante'a i posrukał w klawiaturę, przeskakując między Penelope Jackson z Asheville w Północnej Karolinie a Heather Bethany z wczoraj i dziś.

– Chciałbym, żebyśmy mieli taki komputer jak gliniarze na filmach – powiedział.

– Tak. Wpisalibyśmy tylko „Penelope Jackson”, jej ostatni znany adres i od razu znalazłbyśmy cały życiorys. Nie mogę się doczekać, aż wprowadzą takie bazy. I plecaki odrzutowe.

– Sprawdziłeś w Centrum Informacji Kryminalnej?

– Nie ma nic: żadnych danych wojskowych, żadnego doniesienia o kradzieży pojazdu.

Lenhardt czytał informacje na stronie o zaginionych dzieciach.

– Tutaj jest mnóstwo szczegółów. Wystarczy, żeby jakaś maniaczka kryminalów wykuła się wszystkiego, co trzeba.

– Też o tym pomyślałem. Ale ona wie trochę więcej, niż można tu znaleźć. Na przykład zna dokładny adres, na Algonquin Lane. A ten z drogówki, który ją zatrzymał? Mówił, że bełkotała coś o starej aptece przy Windsor Mili i Forest Park. Teraz apteki już nie ma. Ale zadzwoniłem na informację do Pratta i dowiedziałem się, że była, mniej więcej wtedy, kiedy zniknęły dziewczynki.

– Kevin dzwoniący po informacjach? Człowieku, czy ty starasz się o tytuł pracownika miesiąca? A co z aktami sprawy? Tam znajdziesz tyle szczegółów, że żaden internauta cię nie nabierze.

Infante spojrzał wymownie na szefa, tak jak patrzą na siebie tylko małżonkowie o długim stażu albo współpracownicy, którzy spędzili wiele lat w tej samej firmie.



– Cholera, tylko mi nie mów...

– Zamówiłem je wczoraj wieczór, jak tylko przyjechałem ze szpitala.

Nie ma ich tutaj.

– Jak to? W ogóle nie ma? Ja pierdzielę. O co chodzi?

– Jest adnotacja, gdzie powinny być, zostawiona przez poprzedniego prowadzącego sprawę, faceta, który od tamtego czasu został sierżantem i trafił do Hunt Valley. Był nieźle zmieszany, jak go znalazłem. Przyznał się, że zabrał je dla swojego poprzednika i po prostu o tym zapomniał.

– Zmieszany? Powinien się posrać w gacie. Nie dość, że akta opuściły budynek, to jeszcze wysłał je z byłym policjantem i o tym zapomniał? – Lenhardt pokręcił głową, dziwiąc się ludzkiej głupocie. – No to kto je ma?

Infante zerknął na nazwisko:

– Chester V. Willoughby IV. Znasz go?

– Znam. Poszedł na emeryturę, zanim zacząłem tu pracować, ale pokazał się na kilku zjazdach wydziału zabójstw. Był... ee... dziwny.

– To znaczy?

– Przede wszystkim jest z pieprzonej czwórki. Czasem można spotkać kogoś od młodocianych, ale czy w ogóle znasz kogoś z czwórki? No i jeszcze ma kupę kasy. Nawet nie musiał pracować. Kiedy wyparowały te akta?

– Dwa lata temu.

– No to miejmy nadzieję, że on jeszcze nie umarł. To nie pierwszy raz, kiedy jakiś nawiedzony stary pierdziej zabiera akta do domu, a potem trudno je odzyskać.

– Rety, mam nadzieję, że ja nigdy taki nie będę.

Lenhardt sięgnął po książkę telefoniczną i zaczął ją wertować, potem

wystukał numery, zaczynając polowanie na adres starego gliniarza.

– Halo... Tak, poczekam. – Przewrócił oczyma. – Ale burdel, muszę czekać we własnym wydziale. A z kogo ty tu sobie robisz jaja, Infante?

– Co?

– Podobno są takie sprawy, które zżerają. Jeśli cię całkiem nie zezrą, to po prostu masz farta. Albo jesteś głupi. Ten facet chwycił najgorętsze z gorących węgli: dwie dziewczynki jak aniołki znikają w centrum handlowym w sobotnie popołudnie, kiedy wokół były setki ludzi. Nie miałbym nawet ochoty podetrzeć sobie dupy policjantem, który nie zajmowałby się taką sprawą przez resztę życia. – Odezwał się znowu do słuchawki. – Tak? Tak? Chester Willoughby. Macie jego adres? – Lenhardt najwyraźniej znowu musiał czekać. Lewą dłonią wykonywał wulgarny gest, póki wreszcie jego rozmówca nie wrócił na linię. – Świetnie. Dzięki. – Odłożył słuchawkę z uśmiechem.

– Co cię tak bawi?

– Przez ten czas, kiedy szukali adresu, mogłeś się do niego przejść. Jest w Edenwald, za centrum handlowym Towson Town Center, mniej więcej kilometr stąd.

– Edenwald?

– Dom spokojnej starości. Jeden z droższych, gdzie płacisz dodatkowe pieniądze, żeby umrzeć we własnym łóżku. Mówiłem, facet ma kasę.

– Jak myślisz, bogaci gliniarze pracują więcej?

– Może tak, ale mniej się przykładają. Hej, spróbuj czasem poudawać, że jesteś bogaty? Zobaczysz, jak to jest pracować tylko z zamięłowania.

– Nigdy, nawet jakby miał ciebie trafić szlag.

– A jeśli dam ci buziaka?

– Wolałbym dać dupy i wziąć kasę.

– No i wychodzi na to, że z ciebie jest ciota, a ze mnie dziwka.

Pogwizdując, Infante wziął klucze i ruszył ku wyjściu, jak zwykle zadowolony z siebie.

## Rozdział 12

*Buenos dias, Señora Toles.* Miriam wyjęła klucze z podniszczonej skórzanej torebki – „sfatygowanej” tak powiedziałyby, gdyby próbowała ją komuś sprzedać i otworzyła drzwi do galerii. Uwielbiała hiszpańskie brzmienie nazwiska Toles. *Tolez*, a nie jakaś płaska, brzydka sylaba, identyczna jak „tolls”, wyraz znaczący płatności, pensje. Jakkolwiek długo by mieszkała w Meksyku, nigdy jej nie zbrzydnie to wspaniałe przemienienie jej panińskiego nazwiska.

– *Buenos dias, Jewier.*

– *Hacefrio, Señora Toles.* – Javier potarł swoje obnażone ramiona pokryte gęsią skórą. W Baltimore taki marcowy dzień uznano by za dar niebios, nie wspominając już o Kanadzie, ale według standardów San Miguel de Allende wręcz panował mróz.

– Może spadnie śnieg – powiedziała po hiszpańsku, a Javier się roześmiał. Był prostym człowiekiem i śmiał się niemal ze wszystkiego, ale Miriam wciąż podziwiała tę jego wesołość. Kiedyś poczucie humoru stanowiło ważną cechę jej charakteru. Teraz jednak rzadko wywoływała na czyjejs twarzy uśmiech, co ją zastanawiało, bo sądziła, że pozostała zdolna do żartów. Co prawda zwykle był to czarny humor, ale i tak zawsze przeważał cynizm, nawet zanim pojawiły się ku temu powody.

Javier przyczepił się do galerii i Miriam wkrótce po tym, jak zaczęła tutaj pracować. Wówczas nastolatek, polewał gumowym węzem chodnik przed sklepem, nieproszony czyścił szyby i mówił *turistas* konfidencyjnym szeptem, że to jest *el mejor*, najlepszy ze wszystkich sklepów w San Miguel de Allende. Właściciel, Joe Fleming, żywił do

niego mieszane uczucia.

– Tym okropnym zezem i rozszczepionym podniebieniem to on mi pewnie więcej klientów wystraszy, niż ściągnie – narzekał, rozmawiając z Miriam.

Ona jednak lubiła tego chłopaka, którego przywiązanie wynikało chyba z czegoś więcej niż dawanie przez nią napiwków.

– *iHa visto nieve?* Widziała pani kiedyś śnieg, *Señora Toles?*

Pomyślała o swoim dzieciństwie spędzonym w Kanadzie, o niekończących się zimach, które sprawiały, że czuła się, jakby jej rodzina była wygnańcami z okolic o łagodniejszym klimacie. Nigdy nie znalazła satysfakcjonującej odpowiedzi na pytanie, dlaczego rodzice postanowili przenieść się z Anglii do Kanady. Myślami poszybowała ku zamieci w Baltimore, w 1966 roku, legendarnej anomalii pogody. Wydarzyło się to w szóste urodziny Sunny. Zabrali sześć dziewczynek z jej klasy na *Dźwięk muzyki* w śródmiejskim kinie. Kiedy wchodzili, było słonecznie, bezchmurnie.

Dwie godziny później, kiedy naziści zniknęli już z ekranu i dla rodzinnej trupy śpiewaków świat znowu stał się bezpiecznym miejscem, wyszli z budynku, zastając miasto ogarnięte szalejącą śnieżycą. Och, jakże Miriam i Dave przedzierali się wtedy przez Baltimore, aby dostarczyć każde dziecko rodzicom – dosłownie dostarczyć, boje nieśli, by nie niszczyć ich odświętnych bucików. Wręczali pociechy zatroskanym matkom i ojcom stojącym już w drzwiach. Później śmiali się z tego wszystkiego, ale wtedy było strasznie. Stare kombi ślizgało się po ulicach, dziewczynki piszczały na tylnym siedzeniu. Jednak Sunny i Heather wspominały całe zdarzenie jak wielką przygodę. Oto cud szczęśliwego

zakończenia. Możesz pamiętać przerażającą historię tak, jakby była tylko ekscytująca.

– Nie – odparła Javierowi. – Nigdy nie widziałam śniegu.

Cały czas mówiła drobne kłamstewka. Tak łatwiej. W Meksyku trzeba było mniej kłamać niż w miejscach, gdzie wcześniej mieszkała. Uznała, że wszyscy emigranci kłamią tyle, ile ona.

Miriam przyjechała do San Miguel de Allende na weekend 1989 roku i tak naprawdę nigdy już nie wyjechała. Zamierzała osiedlić się w jakimś mniej zamerykanizowanym meksykańskim – i tańszym – mieście, gdzie mogłaby spokojnie żyć ze swoich oszczędności oraz inwestycji. Ale po dwóch dniach, od kiedy wysiadła z pociągu, nie mogła już sobie wyobrazić, by, mieszkać gdzie indziej. Wróciła do Cuernavaca po resztę rzeczy, a potem załatwiła sprzedaż majątku, który został w Stanach. Gdy kupiła mały domek, własną *casita*, zaczynała tylko z łóżkiem i ubraniami. Dzisiaj miała niewiele więcej. To było coś jeszcze poza słuchaniem zmienionej, hiszpańskiej wersji swojego nazwiska, co nigdy jej nie zubożyło. Budzenie się rano w pustej, czystej przestrzeni między śnieżnobiałymi ścianami i powiewającymi śnieżnobiałymi firankami. Kilka sosnowych mebli. Gołe terakotowe podłogi. Jedynymi kolorowymi rzeczami u Miriam były naczynia i przybory kuchenne, jaskrawoniebieskie i zielone, kupione na wyprzedaży w galerii. Gdyby zdecydowała się znowu gdzieś przeprowadzić, pozbycie się tego zajęłoby jej nie więcej niż dzień, może dwa. Co prawda nie planowała już więcej przeprowadzek, jednak lubiła mieć taką możliwość.

Dom na Algonquin Lane był pełen drobiazgów, aż pękał w szwach. Na początku Miriam to nie przeszkadzało. Po pierwsze dlatego, że sporo tych

przedmiotów należało do dziewczynek. Dzieci podróżowały z wielkim bagażem, nawet w czasach sprzed fotelików w samochodach. Brały ze sobą zabawki, czapeczki, rękawiczki, lalki, pluszaki i paskudne szkarady z plastyku. Heather miała jeszcze kocyk o imieniu Bud, który czasem się gubił, co stawiało na nogi cały dom. Sunny nie była gorsza. Wszędzie musiał jej towarzyszyć wymyślony przyjaciel pies Fitz. Dziwne, ale Fitz potrafił się gubić tak samo jak Bud. Prawdę mówiąc, Fitz gubił się razem z Budem, a nawet częściej, a jak się okazało, trudniej go było znaleźć. Sunny ciężkim krokiem przemierzała schody w górę i w dół, ponuro oznajmiając o nieudanych poszukiwaniach. „Nie ma go w piwnicy”. „W łazience też nie”. „Ani w waszym łóżku, ani pod zlewem”. Jak na wymyślonego psa, Fitz wymagał mnóstwa opieki. Sunny zaczęła zostawiać mu jedzenie, nie rozumiejąc, że to tylko zaproszenie dla karaluchów i szczurów. Zostawiała też otwarte drzwi, by Fitz mógł wyjść na zewnątrz. W deszczowe dni Miriam wręcz zaczynała wierzyć, że czuje zapach mokrego psa.

Dom na Algonquin Lane miał, jak się okazało, też własny bagaż. Posiadłość nabyli na aukcji – wtedy Miriam pierwszy raz przekonała się, że ma talent do handlu nieruchomościami. Wzięli go w stanie pierwotnym. Miriam i Dave wiedzieli więc, że nie ma na niego żadnej gwarancji i kupują kota w worku. Nie uświadamiali sobie jednak, że dom w ogóle nie został posprzątny. Długo mieszkała w nim starsza kobieta. Odnosiło się wrażenie, że tam nagle zostało przerwane życie, że do środka wtargnęli kosmici i porwali mieszkańców. Na stole stała filiżanka na spodku i łyżeczka, gotowe na herbatę, której nigdy nie zaparzano. Na schodach leżała książka, jakby ktoś zapomniał ją zabrać. Stare meble okryte kapami,

a niektóre kapy, przekrzywione, wyglądały, jak gdyby czekały na troskliwą rękę, która je poprawi. To wszystko przypominało Miriam XIX-wieczną wersję automatycznego domu z opowiadania Bradbury'ego *Spadną łagodne deszcze*. Rodzina odeszła, a dom żył dalej.

Początkowo te pozostawione rzeczy zdawały się miłym dodatkiem, spadkiem. Niektóre meble nadawały się jeszcze do użytku, a naczynia naprawdę były sporo warte – porcelana z Lowestoft, za dobra, by jeść z niej codziennie, ładniejsza nawet od odświętnej porcelany Miriam. Na podwórku dziewczynki znalazły resztki serwisu do herbaty, poukrywane w dziwnych miejscach – w sękatych korzeniach starych dębów, pod krzakami lilii, tam gdzie już trochę zardzewiały. Jednak wszystkie skarby szybko stały się uciążliwe, bo musieli wynieść tyle samo rzeczy, ile wnieśli. Czemu tutaj tyle zostawiono? Mieszkali już w tym domu dwa miesiące, kiedy jakaś życzliwa sąsiadka sama z siebie powiedziała im, że poprzednią właścicielkę zamordował w kuchni własny siostrzeniec, jedyny spadkobierca.

– Dlatego dom trafił na aukcję – wyjaśniła sąsiadka, Tillie Bingham. – Ona nie żyła, a on siedział, więc nie mógł dziedziczyć.

Ściszyła głos, chociaż dziewczynki i tak znajdowały poza jego zasięgiem, nieciekawe rozmowy prowadzonej przez płot.

– Narkotyki.

Miriam, przerażona, próbowała namówić Dave'a, żeby sprzedał dom, nawet jeśli stracą. Mogą kupić dużą nieruchomość w śródmieściu, mówiła, wiedząc, że mąż chciałby się osiedlić w jednym ze wspaniałych starych domów na Bolton Hill. To były jeszcze czasy sprzed wzrostu cen w tamtym rejonie, przed wielkim odrodzeniem centrum, ale instynkt już



wtedy nie zawodził Miriam. Gdyby Dave posłuchał rady, zyskaliby dom znacznie więcej warty niż ten, bo ceny w ich małym zakątku północnozachodniego Baltimore nie ruszały się z miejsca przez lata.

I oczywiście dziewczynki by żyły.

To była sekretna gra, której Miriam nigdy nie przestawała ze sobą prowadzić. Cofnąć się w czasie i zmienić tylko jedną rzecz. Nie cały dzień. Bo to już zbyt oczywiste, zbyt łatwe. Ich los został przypieczętowany, jeszcze zanim wstał świt, wtedy gdy Sunny zdecydowała się spędzić popołudnie w centrum handlowym, a Heather starała się o pozwolenie, żeby do niej dołączyć. Ale gdyby Miriam mogła przenieść się trochę wcześniej, wtedy los dałoby się odmienić. Gdyby wystawili dom na Algonquin Lane na sprzedaż, tak jak nalegała, gdyby w ogóle go nie kupowali, łańcuch zdarzeń zostałby przerwany. Zastanawiała się, kto teraz tam mieszka. Czy obecni właściciele znają jego właściwość przyciągania śmierci. Jedno morderstwo to aż nadto, a gdyby kupujący znali całą historię Algonquin Lane... Nie, nawet Miriam nie dałaby rady sprzedać tego domu, a przecież w swoich najlepszych czasach potrafiła sprzedać niemal wszystko.

Człowiek najmądrzejszy jest po szkodzie, ale jednak nie zawsze okazywało się to prawdą. Po zniknięciu dziewczynek Dave pokazał, że jest jeszcze bardziej krótkowzroczny w sposobie myślenia o przeszłości niż myśląc o terażniejszości. Ich problem, przekleństwo, jak z naciskiem powtarzał, stanowił fakt, że byli szczęśliwi. Wiedli doskonałe życie i dlatego coś musiało się stać. Jeśli wierzyć Dave'owi, Algonquin Lane było istnym rajem, ale jakaś nieznana siła wślizgnęła się w ich życie i odcisnęła piętno swoich zbrodni. Media też to kupiły. W tamtych czasach ludzie

wydawali się mniej cyniczni. Dzisiaj szok po zaginięciu dwóch sióstr zdominowałby krajowy kanał informacyjny i stałby się ciekawą opowieścią kryminalną dla tych szczęśliwych rodziców, którzy wiedzą, gdzie są ich dzieci. Wtedy jednak zniknięcie dziewczynek było tylko lokalną opowieścią, poświęcono mu przelotną wzmiankę w „Timie”, w rubryce o zaginionych dzieciach. Większe zainteresowanie, w skali całego kraju, pomogłoby w osiągnięciu tego, co Miriam w myślach ostrożnie nazywała rozwiązaniem. Zakładała jednak, że w sumie lepiej, że w ich sprawy nie weszły osoby postronne. Dzisiaj pewnie starczyłby tylko dzień, by jakiś bloger amator odsłonił naturę alibi Miriam i napisał o długach przygniatających całą rodzinę. Trzydzieści lat temu policja umiała pilnować takich tajemnic, a fundusz Equitable Trust po cichu spłacił ich pierwszy i drugi kredyt. Dzieci zaginione i przypuszczalnie nieżywe? No to zasługujecie na darmowy dom.

Ale wersja zdarzeń opowiadana przez Dave’a – dosyć naciągana – okazała się całkiem dobra dla jego interesów, nie wspominając już o jej własnej karierze. Szczególnie w ciągu pierwszego roku właśnie nazwisko Miriam przyciągało nowych klientów. Zawsze pośrodku jej przemowy, kiedy wykladała, co może zrobić dla odpowiednio zmotywowanego sprzedawcy, jak firma może pomóc przy finansowaniu potencjalnie wypłacalnych kupujących, dostrzegała, że jeden z klientów, zwykle kobieta, przygląda jej się z wielką powagą. Jak pani sobie z tym radzi? – brzmiało niewypowiedziane pytanie. A jak pani sobie nie radzi? – brzmiała niewypowiedziana odpowiedź Miriam. Jaki ja mam wybór?

Czasem chciała, żeby Dave mógł ją teraz zobaczyć, pracującą w sklepie podobnym do tego, który prowadził. Doceniłby tę ironię losu: Miriam,

która tak bardzo nie cierpiała Człowieka z Gitarą, sprzedawała identyczną ceramikę z Oaxacan, jaką Dave próbował wciskać przedstawicielom klasy średniej z Baltimore, na długo przed tym, zanim stali się gotowi na przyjęcie takich towarów. Jednak potrzebowała pracy i chociaż niezbyt podzielała gust właściciela galerii, jego samego polubiła od razu. Joe Fleming był wesołym, ekstrawaganckim gejem – gdy rozmawiał z klientami. Jednak wiedziała, od chwili kiedy pierwszy raz go zobaczyła, że to jedynie maska, okrycie mrocznej i smutnej tajemnicy. Przeważała go Faux Joe.

– Idą klienci – zawołała do niego. – Czas założyć nasze twarze, te które trzymamy w słoikach przy drzwiach.

– Zaraz tam będę, panno Rigdby – odpowiadał Joe, z przesadnym teksaskim akcentem. I chociaż Miriam miała inny gust, znakomicie szło jej sprzedawanie rzeczy, które trzymał na składzie. Cały sekret polegał na tym, że nigdy nie wciskała żadnego kitu. Ze swoją dobrą prezencją i wciąż oszałamiającą figurą, z ciemnymi włosami poprzetykanymi szorstkimi srebrnymi pasmami reprezentowała pełen rezerwy styl bycia, którym chłostała kupujących, wpędzając ich w pasję kupowania. Tak jakby to właśnie mogło pomóc w zdobyciu przez nich jej uznania, udowodnieniu, że mają gust równy jej gustowi.

Tego ranka w sklepie panowała cisza. Śnieguły zaczynały już odlatywać na północ. Mróz, jaki niosła ze sobą Wielkanoc, wciąż jeszcze był odległy o tydzień. Miriam po raz pierwszy przybyła do San Miguel de Allende w Wielkim Tygodniu 1989 roku, całkiem przez przypadek. W czasach „przed”, Wielkanoc była dla niej świeckim świętem, kojarzącym się z koszyczkami, które skrupulatnie zbierała i wyszukanymi łowami na

wielkanocne jajka, urządzanymi przez Dave'a na podwórzu. Żadne z nich nie wyrosło w religijnym domu. Miriam była żydówką, a Dave luteraninem w takim samym stopniu jak ona Niemką, a on Szkotem. I chociaż wiele osób doradzało powrót do wiary jako sposób radzenia sobie z rozpaczą, Miriam po zniknięciu dziewczynek miała ku temu jeszcze mniejszą motywację. „Wiara niczego nie wyjaśnia”, powiedziała swoim rodzicom. „Po prostu prosi ciebie, abyś czekał na wyjaśnienie, które może się pojawić lub nie, kiedy już umrzesz”.

Jednak ta wiara, z którą Miriam miała wcześniej do czynienia, była łagodna, spokojna i skromna. Podobnie jak Pięcioletnia Ścieżka Dave'a. W Meksyku natomiast religia zawierała w sobie coś dzikiego, bezprawnego. Miriam zastanawiała się, czy to nie konsekwencja tych czasów prześladowań, kiedy w latach trzydziestych katolicyzm trafił do podziemia. Jednak taka teoria przyszła jej do głowy dopiero po kilku latach spędzonych w tym kraju, kiedy zatopiła się w książkach: *Dalecy sąsiedzi* Alana Riddinga i *Drogi bezprawia* Grahama Greene'a. W dzień swojego przybycia do San Miguel widziała tylko tłum dyszący jak fani na koncercie rockowym i dołączyła do niego z czystej ciekawości. Wreszcie pojawiła się procesja, a wraz z nią zaskakująco naturalnie wyglądająca figura Jezusa w szklanej trumnie, trzymana w górze przez kobiety odziane w czerń i fiolet. Ten Jezus pod szkłem napełniał Miriam odrazą, ale podobało jej się, że niosą go kobiety. To był Wielki Piątek. Do niedzieli wielkanocnej zdecydowała już, że zamieszka w San Miguel.

Rocznice... Była oczywiście pewna szczególna data, dwudziesty dziewiąty marca, i logiczne zdawało się, aby tego dnia opłakiwać córki. Ale istniała też druga, ruchoma data, sobota między Wielkim Piątkiem a

niedziela wielkanocną. To było głupie, udawać, że musi pracować właśnie wtedy. Nawet Dave, w swojej naiwności, powinien domyślić się, że kobieta zajmująca się sprzedażą nieruchomości, nawet zapracowana, najlepsza pracownica Baumgartena, nie musi iść do pracy w sobotę, skoro w niedzielę i tak wszystko jest zamknięte. Gdyby Dave nie zignorował romansu żony, gdyby ją powstrzymał... Ale on pewnie bał się, że Miriam go opuści. Po dziś dzień nie widziała, czyby to zrobiła. Nie, jeśli dzieci by żyły.

Joe przyszedł do pracy późno, mógł sobie na to pozwolić jako właściciel.

– Teksańczycy – oznajmił, wskazując okno, gdzie grupa turystów sceptycznie przyglądała się wystawie. Wyszczał to słowo tak, jak kowboj „Indianie” w staroświeckim filmie.

– Zasłoń mnie.

– Ty też jesteś Teksańczykiem – przypomniała mu Miriam.

– Właśnie dlatego nie mogę się nimi zajmować. Ty ich przejmij. Ja będę na zapleczu.

Miriam patrzyła, jak Joe znika za jaskrawymi zasłonami. Ze swoją czerwoną twarzą i wielkim brzuchem rozdętym pod koszulą nie wyglądał zdrowo. Kiedy spotkała go w 1990 roku, uznała, że Joe ma HIV, ale od tamtej pory jego tułów tylko jeszcze bardziej się zaokrąglił, a nogi pozostały patykowate i drżące. Faux Joe Folk Art Ho. Od samego początku spodobała im się ich wzajemna umowa: „nie pytaj – nie mów”. Utrzymywali te powierzchowne, przyjazne kontakty już piętnaście lat. „Nie zadawaj mi żadnych pytań, a ja nie będę opowiadać ci żadnych kłamstw. Nie mów mi żadnych tajemnic, a ja wyświadczę ci taką samą

przysługę”. Kiedyś po długim, zakrapianym przyjęciu, gdy Joego odtrącił jakiś młody mężczyzna, do którego zalecał się od miesiący, zdawało się, że mało brakuje, aby zwierzył się Miriam, wyrzucił wszystkie swoje sekrety. Ona, wyczuwając tę jego potrzebę, odsunęła wyznania, przeskakując od razu do pocieszenia, którego wyraźnie potrzebował.

– Joe, jesteśmy tak dobrymi przyjaciółmi, że nie potrzebujemy zagłębiania się w szczegóły – powiedziała, poklepując go po dłoni. – Rozumiem, stało się coś złego. Ale masz prawo zatrzymać to w sobie. Lepiej nie mówić o pewnych rzeczach. Cokolwiek zrobiłeś, nie musisz tego usprawiedliwiać przede mną ani przed nikim innym. Nawet przed sobą. Trzymaj to pod kluczem.

I następnego poranka, kiedy spotkali się w galerii, doszła do wniosku, że Joe chyba cieszy się, że posłuchał jej rady. Byli najlepszymi przyjaciółmi, z których żadne nie powiedziało drugiemu niczego naprawdę ważnego, i właśnie tak powinno zostać.

– To prawdziwe srebro? – zapytała Teksanka, włączając przez drzwi i chwytając bransoletę z wystawy. – Słyszałam, że tu jest mnóstwo podróbek.

– To łatwo sprawdzić. – Miriam przekręciła bransoletę, aby pokazać kobiecie wybity certyfikat. Ale potem już nie oddała biżuterii, zastosowała swój kupiecki chwyt. Zachowała się tak, jakby nagle stała się niechętna rozstaniu z tą rzeczą, jakby właśnie uświadomiła sobie, że chce zatrzymać dla siebie. Prosta sztuczka, ale sprawiała, iż odpowiedni rodzaj klientów wręcz dziko zaczynał pragnąć mieć tę rzecz w garści.

Teksańczycy okazali się łasi na mnóstwo biżuterii, co zresztą było dla nich typowe. Jedna z kobiet jednak miała gust lepszy niż średni i

powędrowała ku staremu *retablo* z Marią Panną z Gwadelupy. Miriam, widząc jej zainteresowane, postanowiła zadać ostateczny cios, opowiadając historię o ukochanej figurze, różanych płatkach w płaszczu, który pewien wieśniak zaniósł kardynałowi – Och, to urocze – zaszcebiotała kobieta. – Po prostu niesamowite. Ile płacę?

– Ty naprawdę potrafisz wcisnąć każdy kit – oznajmił Joe, wychodząc po kwadransie. Towarzyszyły mu wylewne życzenia wszystkiego najlepszego od Javiera.

– Dzięki – odparła Miriam, wdychając rześkie powietrze, które wtargnęło podmuchem do sklepu, kiedy odeszli Teksaszczyki. – Czujesz... ten taki dziwny zapach, dzisiaj rano?

– Śmierdzi stęchlizną, jak zwykle gdy jest tak chłodno. A ty myślisz, że co to jest?

– Nie wiem, coś jak... mokry pies.

Nie ma go w sypialni, oznajmiłaby Sunny. W piwnicy też nie. Ani pod krzakami lilii. Nie ma go na ganku. Oczywiście, istnieje nieskończona ilość miejsc, gdzie czegoś nie ma, chociaż tylko jedno, gdzie naprawdę coś jest. Miriam lubiła sobie myśleć, że Fitz, koniec końców, dotarł do dziewczynek i trwał przy nich te wszystkie lata jak wierny strażnik.

A co do Buda, nieszczęsnego koca, zredukowanego obecnie do rozmiarów małego kwadracika, to trafił do Meksyku razem z Miriam – wyblakły strzep niebieskiego sukna oprawiony w ramki, który trzymała na swoim stoliku nocnym. Nikt jej nigdy o to nie pytał. Bo gdyby spytał, toby skłamała.

## Rozdział 13

Tempo Infante'a, tak wielkie przez cały dzień, zmniejszyło się na autostradzie do Edenwald. Domy starców – nieważne, jak nazywano takie miejsca: domami opieki, spokojnej starości, one wciąż były tylko domami starców – przerażały Kevina. Zamiast wjechać na parking ośrodka, skręcił w lewo, ku centrum handlowemu, TGI Friday's. Dochodziła pierwsza po południu. Zrobił się głodny. Miał prawo być głodny o pierwszej po południu. Nie odwiedzał Friday's od kilku lat, lecz personel ciągle nosił pasiaste sędziowskie koszulki, które nigdy mu się nie podobały. Skojarzenie „sędzia, czyli strażnik zasad”, nigdy nie wydawało mu się zabawne.

Przekaz zawarty w menu też był niejasny. Polecano talerze pełne sera i smażeniny, a potem nagle pojawiały się wykresy zawartości węglowodanów oraz tłuszczów nienasyconych. Jego dawna partnerka analizowała pod tym kątem każdy kęs, zależnie od tego, na jakiej diecie akurat była. Liczyła kalorie, węglowodany, tłuszcze.

Jest ze mną dobrze, powiedziałaaby Nancy. Albo: Jest ze mną źle.

To była jedyna rzecz, za którą u niej nie tęsknił, właśnie to niekończące się rozważanie, co włożyć do ust. Kiedyś stwierdził, że ona chyba nie wie, co jest naprawdę złe, skoro sądzi, że jest to coś, co skrywa się w pączku.

Myśląc o tym, uśmiechnął się do kelnerki przy pobliskim stoliku. Tak na wszelki wypadek, bo wyglądała trochę znajomo. Opowiedziała automatycznym uśmiechem, ale nie nawiązała kontaktu wzrokowego. A zatem nie była kimś, kogo znał, albo, co jeszcze nigdy wcześniej nie przychodziło mu do głowy, już o nim zapomniała.



Zapłacił i postanowił tu zostawić swój wóz, a dalej ruszyć piechotą do Edenwald na skróty, przez Fairmount Avenue. Co takiego miały w sobie podobne miejsca? Niezależnie, czy zrobiono je na wysoki połysk, czy też ledwie tylko różniły się od szpitala, we wszystkich pachniało i było tak samo – jednocześnie za gorąco i za chłodno, duszno, dezodoranty i aerozole walczyły z medycznym zapachem. Tak wyglądała poczekalnia śmierci. A im bardziej starano się to zatuszować, jak tutaj, gdzie w holu wisiały jaskrawe ulotki o wycieczce do muzeum, do Nowego Jorku – tym bardziej stawało się wyraźne. Ojciec Infante’a ostatnie lata życia spędził w domu starców na Long Island, takim zwyczajnym miejscu, gdzie obwieszczano wszystko poza oczywistym: „Jesteś tutaj, żeby umrzeć, prosimy, pospiesz się”. Należałoby szczerze uprzedzać o nadciągającym końcu. No, ale jeśli stać cię na miejsce takie jak to, płacisz, aby o tym nie pamiętać. Przynajmniej tak chroni się rodzinę przed poczuciem winy.

Zatrzymał się przy biurku w recepcji, gdzie wydawało mu się, że kobiety bacznie go obserwują, zastawiając się, czy aby nie zostanie tu na stałe. On też je zmierzył wzrokiem, ale nie dostrzegł niczego wartego uwagi.

– Pan Willoughby jest u siebie – oznajmiła recepcjonistka.

Jasne, pomyślał Infante. A gdzież indziej mógłby być? Co jeszcze innego miał do roboty?

– Mów mi Chet – powiedział mężczyzna w brązowym rozpinanym swetrze, drogim, może kaszmirowym.

Infante przygotowywał się na spotkanie z trzęsącym się i zgrzybiałym staruszkiem, więc widok dziarskiego, dobrze ubranego mężczyzny go zaskoczył. Willoughby miał około siedemdziesiątki, niewiele więcej od

Lenhardta, i wyglądał zdrowiej niż on. Do diabła, pod kilkoma względami wyglądał nawet zdrowiej niż sam Infante.

– Dzięki, że chciałeś się ze mną widzieć, pomimo że się nie zapowiadałem.

– Miałeś szczęście – odparł. – W czwartkowe popołudnia zwykle grywam w golfa w Elkridge, ale przez ten ostatni atak zimy musieliśmy odwołać spotkanie. Czy przypadkiem nie słyszę w twoim głosie odrobiny nowojorskiego akcentu?

– Może. Większość zniknęła po dwunastu latach mieszkania tutaj. Jeszcze dziesięć lat i będę mówił jak rodowity baltimorczyk.

– Ten tak zwany akcent bawlmer to akcent robotniczy. Jest bardzo bliski cockneyowi. Niektóre rodziny mieszkają tutaj od czterystu lat i mogę cię zapewnić, że wcale nie mówią „myślić”.

Pozornie to były niby duperele, ale w sumie niegłupi sposób oznajmienia: „moja rodzinka jest stara i bogata”, tak na wypadek, gdyby nie wystarczyła rzucona od niechcienia wzmianka o Elkridge Country Club. Infante zastanowił się, czy facet zachowywał się podobnie jako detektyw, starając się piec dwie pieczenie na jednym ogniu. Czy będąc gliniarzem, nigdy nie dawał współpracownikom zapomnieć o tym, że wcale nie musiał zostać jednym z nich?

Jeżeli tak, musieli go nie cierpieć.

Willoughby usadowił się na fotelu; na oparciu widniała linia, ślad od potu na tej wysokości, gdzie kończyły się krótko ścięte włosy mężczyzny. Infante usiadł na sofie, bez wątpienia zakupie dokonany przez kobietę: różowej i niewygodnej jak jasna cholera. Chociaż Kevin, kiedy tylko przekroczył próg, wiedział, że minął już jakiś czas, od kiedy mieszkała tu

kobieta. Apartament był schludny i dobrze utrzymany, ale wyczuwało się w nim nieobecność; dźwięku, zapachów. A były za to takie drobne rzeczy, jak ta mokra linia na fotelu. Znał podobne uczucie ze swojego własnego domu. Zawsze widać, czy jakieś miejsce regularnie odwiedza kobieta.

– Zgodnie z rejestrami wzięłeś akta sprawy sióstr Bethany. Chciałem je od ciebie zabrać.

– Mam je... – Willoughby zdawał się zmieszany.

Infante miał nadzieję, że faceta nie ogarnęło już starcze zniedołężnienie. Dziadek wyglądał jednak doskonale, ale dlaczego w takim razie przeniósł się do Edenwald? W brązowych oczach mężczyzny pojawiła się przebiegłość.

– Był jakiś postęp w tej sprawie?

Infante przewidział pytanie i przygotował się na nie.

– Przypuszczalnie nie. Ale mamy pewną kobietę w szpitalu St. Agnes.

– Która twierdzi, że coś wie?

– No właśnie.

– Twierdzi, że kimś jest?

Instykt Infante'a nakazywał mu skłamać. Im mniej ludzi o czymś wie, tym lepiej. Nie miał pewności, czy facet nie rozpowie zaraz o wszystkim po całym Edenwald, widząc okazję do przywołania swoich dni chwały. Ale z drugiej strony Willoughby zajmował się sprawą pierwszy. Niezależnie od tego, jak szczegółowe są akta, sam mógł mieć też cenne spostrzeżenia.

– To, co powiem, nie opuści tego pomieszczenia...

– Oczywiście. – Szybka obietnica, energiczne skiniecie głową.

– Ona mówi, że jest tą młodszą.

– Heather.

– Zgadza się.

– A wyjaśniła, gdzie była, czym się zajmowała, co stało się jej siostrze?

– Niewiele powiedziała o czymkolwiek innym. Poprosiła o prawnika, a teraz obie milczą jak głaz. Chodzi o to, że kiedy wczoraj zaczęła o tym mówić, myślała, że wpadła w niezłe tarapaty. Miała wypadek na obwodnicy. Poważny, ale przypuszczalnie nie z jej winy. Uciekła. Znaleźli ją, jak szła poboczem 1-70, tej drogi, która kończy się parkingiem.

– Stamtąd jest mniej niż kilometr do domu rodziny Bethanych – wymamrotał Willoughby, jakby mówił sam do siebie. – Czy ona zwariowała?

– Nie tak, aby dało się to wyłapać wstępnym badaniem psychiatrycznym. Jednak, moim zdaniem, ona jest czubem. Twierdzi, że ma nową tożsamość, nowe życie, które chce chronić. Mówi, że da nam rozwiązanie sprawy, ale nie swoją obecną tożsamość. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że jest w tym coś znacznie więcej, Ale jeśli mam się nią zająć, muszę dobrze poznać sprawę.

– Zabrałem te akta – oznajmił Willoughby, trochę zmieszany. – Około roku temu.

– Akt nie ma od dwóch lat.

– Dwa lata? Jezu, czas inaczej płynie, jak się nie chodzi do pracy. Musiałem się chwilę zastanowić, żeby powiedzieć, że dzisiaj mamy czwartek, a jeśli nie grałbym w golfa regularnie... Tak czy owak, w papierach był pewien nekrolog, który sprawił, że nad czymś zacząłem się zastanawiać, i poprosiłem o możliwość jego obejrzenia. Wiem, nie powinienem tego wszystkiego zatrzymywać, ale właśnie wtedy pogorszyło

się Evelyn, mojej żonie i... No, nie potrwało długo, jak musiałem już myśleć o nowym nekrologu. Zapomniałem, że w ogóle jeszcze u mnie są te akta, ale na pewno je znajdę gdzieś w tej mojej jaskini.

Wstał, a Infante już szykował się w myślach na to, co miało nastąpić. Willoughby będzie nalegać, że sam przeniesie pudło z aktami, a biorąc pod uwagę fakt, że starszy pan był jeszcze krzepki i zdrowy, Kevin musi wykombinować sposób, aby go jakoś wyręczyć i jednocześnie nie urazić. Przerabiał to już z ojcem, kiedy jeszcze mieszkał w Massapequa, tę jego natarczywość, aby zabrać walizkę syna z bagażnika samochodu. Ruszył więc za mężczyzną do schowka, jednak Willoughby trzymał już pudło w rękach, zanim jeszcze Infante zdołał tam dotrzeć. Sapiąc i krzywiąc się, Chet postawił je na orientalnym dywaniku.

– Ten nekrolog jest na samej górze – oznajmił. – Jestem pewien. Infante otworzył pokrywę pudła i zobaczył wycinek z „BeaconLight”:

„Roy Pincharelli, 58 lat, długoletni nauczyciel”. Jak to często bywa z nekrologami, zdjęcie przedstawiało nieboszczyka ze znacznie wcześniejszych czasów, może nawet sprzed dwudziestu lat. Dziwna pośmiertna próżność, pomyślał Kevin. Facet na czarnobiałej fotografii miał ciemne oczy i włosy, gęstą czuprynę, stał tak, jakby myślał o sobie, że niezły z niego przystojniak. Na pierwszy rzut oka wszystko zdawało się w porządku. Ale gdy bliżej przyjrzało się zdjęciu, dłużej niż sekundę, dostrzegało się pewne wady: cofnięty podbródek, lekko haczykowaty nos.

– „Komplikacje po zapaleniu płuc”. – Willoughby zacytował z pamięci.  
– Często pod tym kryje się AIDS.

– Czyli, że prawdopodobnie był gejem? Jaki to ma związek ze zniknięciem sióstr Bethany?

– Według artykułu, przez długi czas Roy Pincharelli uczył muzyki w szkołach w mieście i w hrabstwie. W 1975 roku pracował w liceum Rock Glen, a jedną z jego uczennic była Sunny. W weekendy dorabiał, sprzedawał organy w sklepie muzycznym Jordan Kitt's. W centrum handlowym Security Square.

– Rety, nauczyciele i gliniarze wciąż odwalają jakieś fuchy. Harujemy dla dobra społeczeństwa, a jednak musimy sobie dorabiać. Nic się nie zmienia, prawda?

Willoughby patrzył tępo, bez zrozumienia. Infante przypomniał sobie, że ten człowiek był bogaty i nigdy nie musiał wiązać końca z końcem za policyjną pensję. Milutko.

– Rozmawiałeś z nim?

– Oczywiście. Powiedział, że widział Heather tamtego popołudnia. Była w tłumie, kiedy grał wielkanocne utwory.

– Mówiłeś, że uczył Sunny. Skąd znał Heather?

– Rodzina chodziła na szkolne koncerty. Bethany dużą wagę przykładali do rodzinnej solidarności. Mówiąc dokładnie, Dave Bethany przykładał. W każdym razie, Pincharelli widział tamtego dnia Heather w tłumie. Jakiś mężczyzna, może dwudziestoletni, złapał ją za rękę, zaczął na nią krzyczeć, a potem szybko odszedł.

– I on dostrzegł to wszystko, waląc w klawisze? Willoughby uśmiechnął się i przytaknął.

– Właśnie. A w sobotę centrum handlowe jest zatłoczone, gwarne. Czemu zauważył akurat to jedno zdarzenie? Chyba że..

– Miał już niezłego kręćka na punkcie tej dziewczyny. Ale on był przecież gejem.

– Taka jest moja konkluzja.

Infante'a wręcz powalał sposób, w jaki ten facet mówił – używał wyszukanych słów bez cienia ironii albo kpiny z samego siebie. On naprawdę musiał być niezłym gliną, bo inaczej rozszarpaliby go w mgnieniu oka.

– Dlaczego gej interesowałby się dwiema dziewczynkami?

– Przede wszystkim zbrodnia niekoniecznie miała podłoże seksualne. To najoczywistsza odpowiedź, ale nie jedyna. Kiedyś w hrabstwie Baltimore, kilka lat przed zniknięciem sióstr Bethanych, jakiś facet wkurzył się i zabił dziewczynę, bo coś w jej zachowaniu przypominało mu jego matkę, której nie znosił. Skoro już o tym mowa, często się zastanawiałem, czy tamtego dnia Heather nie zobaczyła czegoś, co przeraziło jej nauczyciela. Jeżeli był gejem, to na pewno w tamtych czasach się z tym krył i przypuszczalnie bał się, że straci pracę, jak zostanie wykryty.

– Dlaczego więc zagięły aż dwie dziewczynki? Willoughby westchnął.

– Zawsze do tego dochodzimy. Dlaczego dwie? Jak w ogóle da się zabrać dwie? Ale jeśli najpierw złapał Heather, gdzieś ją schował, na przykład z tyłu swojego vana, a potem znalazł Sunny, to miał wielką przewagę. On był jej nauczycielem, kimś, kogo znała i komu ufała. Gdyby kazał jej pójść ze sobą, zrobiłaby to bez namysłu.

– Przycisnąłeś go kiedyś? Sprawiliś, że zmienił zeznania?

– Nie. Mówił spójnie, ale to nie znaczy, że nie kłamał. Może tamtego popołudnia w łazience w centrum handlowym obciągał mu jakiś nastolatek i on bał się, że to wyjdzie na jaw. Nigdy nie zmienił zeznań, a teraz nie

żyje.

– Rozumiem, że sprawdziłeś rodziców.

– Rodziców, sąsiadów, przyjaciół. Wszystko znajdziesz w aktach. I były też próby oszustw, telefony od ludzi, którzy twierdzili, że mają dziewczynki. Jednak nic się nie potwierdziło. Niemal można było uwierzyć w działanie sił nadprzyrodzonych albo uprowadzenie przez kosmitów.

– Zakładając, że czytałeś nekrologi tak bardzo uważnie...

– Ty też zaczniesz, pewnego dnia. – Willoughby znów uśmiechnął się z wyższością, Kevina irytował jak jasna cholera. – Wcześniej niż myślisz.

– Domyślam się, że wiesz, czy rodzice jeszcze żyją? Nie znalazłem o nich żadnej informacji.

– Dave zmarł w tym samym roku, w którym przeszedłem na emeryturę, w 1989. Miriam przeprowadziła się do Teksasu, potem do Meksyku. Jakiś czas przysyłała mi kartki na Boże Narodzenie...

Wstał i podszedł do wypolerowanego na połysk mebla – Infante sądził, że to kobiecy sekretarzyk: nieduży i niepraktyczny, z tuzinami małych szufladek i maleńkim pochyłym blatem, na którym nie dałoby się nawet postawić komputera. Stary gliniarz może nie pamiętał, że miał akta sprawy sióstr Bethany, ale dokładnie wiedział, gdzie leżała kartka bożonarodzeniowa.

Jezu, pomyślał Infante. Mam nadzieję, że nigdy nie dostanę takiej sprawy, o jakiej wspominał Lenhardt.

Wtedy uświadomił sobie, że już dostał, że siedzi z jej papierowym dziedzictwem u stóp. Zobaczył siebie samego za trzydzieści lat: przekazuje pudełko kolejnemu detektywowi, opowiada mu historię Jane



Doe, o tym jak nabierała ich przez kilka dni, a potem okazała się oszustką. Jak już raz trafisz na sprawę Bethanych, nigdy się od niej nie uwolnisz.

– Koperta dawno zginęła, więc jeśli tam był adres zwrotny, nie powiem jaki. Ale pamiętam miasto, San Miguel de Allende, bo o nim wspominała.

Infante uważnie przyjrzał się kartce, zielonej koronkowej wycinance w gołąbki, na grubym kawałku welinu. Wewnątrz czerwonym tuszem wydrukowano „Feliz Navidad”, a pod spodem było nakreślonych kilka linijek.

„Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Wygląda na to, że San Miguel de Allende jest teraz moim domem, na dobre i na złe”.

– Kiedy to było?

– Co najmniej pięć lat temu. Infante od razu spojrzał na datę.

– Dwudziesta piąta rocznica zniknięcia sióstr.

– Miriam prawdopodobnie zrobiła to nieświadomie. Bardzo się starała zdusić wspomnienia, żyć dalej. Z Dave’em było odwrotnie. Każdego dnia wspominał córki.

– Przeprowadziła się, jak umarł?

– Kiedy... Och, nie. Mój błąd. Mówiłem, jakby to nazwała moja żona, w „głębokim kontekście”. A przecież ty nie wiesz. No, ale jeszcze bardziej jest niewybaczalne, gdy ktoś zachowuje ten kontekst tylko dla siebie. Miriam i Dave rozstali się trochę ponad rok po zniknięciu dziewczynek, a ona wróciła do panieńskiego nazwiska, Toles. To nie było szczęśliwe małżeństwo, nawet wcześniej. Lubiłem Dave’a. Uznawałem go nawet za przyjaciela. On jednak nigdy nie doceniał tego, co miał w osobie Miriam.

Infante dotknął kartki, studiując twarz starego mężczyzny. Ale ty to doceniłeś, prawda? Nie tylko poczucie nieukończonego zadania skłoniło

Willoughby'ego do zachowania tej kartki w miejscu, które tak szybko sobie przypomniał. Kevin Infante zastanawiał się, jak wyglądała matka dziewczynek: czy była taką promienną, drobną blondynką jak jej córki. Niektórzy policjanci, faceci jak ten Willoughby, z pewnością lecieli na niebrzydkie damulki w potrzebie.

– Zakładam, że są tu dane medyczne.

– Są, jakie są. Dave miał... hm, szczególne podejście do lekarzy. Uważał, że im mniej ma się z nimi do czynienia, tym lepiej. Nie wycinał córkom migdałków i z tego, co wiem, wyprzedził pod tym względem swoje czasy. Ale także nie robił żadnych prześwietleń, bo uważał, że nawet niewielka dawka promieniowania jest szkodliwa...

– Czyli, że... O cholera.

– Właśnie. Karta stomatologiczna zawierała tylko jeden zestaw zdjęć rentgenowskich, zrobionych kiedy Sunny miała dziewięć lat, a Heather sześć. I o to właśnie chodzi.

Żadnych danych odnośnie uzębienia w starszym wieku, żadnych badań krwi, nawet grupy krwi. Infante nie miał więc narzędzi, których spodziewałby się w roku 1975, a znacznie mniej niż w 2005 roku.

– Jakaś wskazówka? – spytał, zamykając wieko pudełka.

– Jeśli opowieść Jane Doe nie rozleci się po konfrontacji z informacjami z akt, to znajdź Miriam i ją tutaj ściągnij. Wszystko przerzuciłbym na jej matczyne instynkt.

Jasne, pewnie chętnie zerkniesz sobie na swoją dawną lubą, teraz, jak już jesteś wdowcem.

– Coś jeszcze? Willoughby pokręcił głową.

– Gdybyś wiedział, co czułem, patrząc na to pudełko. To nie jest

normalne. Pozwalam więc ci z tym wyjść i nie proszę, żebyś zabrał mnie ze sobą do szpitala i dał przesłuchać tę kobietę. Wiem tyle o tych dziewczynkach, o ich życiu, zwłaszcza ostatnim dniu. W pewnym sensie jestem bardziej pewny faktów z ich życia niż ze swojego. Znam je aż za dobrze. Może teraz ty spojrzysz na wszystko świeżym wzrokiem i zobaczysz coś, co patrzyło mi prosto w twarz przez tyle lat?

– Będę się z tobą kontaktował, jeśli chcesz. Na pewno zadzwonię. Powiem, co z tego wyszło.

– Dobrze – odpowiedział Chet takim tonem, jakby wcale nie wiedział, czy na pewno jest dobrze.

Infante poczuł się natomiast, jakby wciskał drinka człowiekowi, który zaklina się, że musi skończyć z piciem, ale nie potrafi. Zapewne, jeśli tylko się da, powinien zostawić faceta w spokoju. Pomyślał, że on sam chyba byłby bardziej zaafierowany, gdyby musiał na nowo przekopywać się przez starą sprawę. Ale Willoughby przyglądał się niebu, zdawałoby się raczej zainteresowany pogodą niż dawno zaginionymi siostrami Bethany.

## Rozdział 14

Heather... – Tak, Kay? Twarz Heather pojaśniała. Już samo to, że usłyszała swoje imię, było jak powrót do domu, spotkanie po latach. Dlaczego tak długo jej tego odmawiano? Gdzie mogła być, co mogło się jej stać, że nie zdołała, nie potrafiła już lata temu odzyskać swojej tożsamości?

– Nienawidzę o tym przypominać, ale jest jeszcze tyle rzeczy do załatwienia. Wypis ze szpitala, ubezpieczenie.

– Mam ubezpieczenie. Szpital dostanie pieniądze. Ale jeszcze nie mogę podać ci rachunku, numeru polisy.

– Jasne, rozumiem. – Kay umilkła na chwilę, zastanawiając się nad tym, co właśnie powiedziała, co mówiła codziennie, nad tą frazą, której inni używali przez cały czas. To było odruchowe. I rzadko prawdziwe.

– Tak naprawdę, to ja cię wcale nie rozumiem, Heather. – Znowu ten mały promyczek wskrzeszenia. – Cokolwiek się stało, ty byłaś ofiarą. Boisz się? Próbujesz się przed kimś ukryć? Może chciałabyś porozmawiać z psychiatrą, kimś, kto ma doświadczenie z pacjentami w stresie posttraumatycznym?

– Rozmawiałam już z kimś. – Heather zrobiła zdziwioną minę – Z dziwnym małym człowieczkiem.

Kay nie mogłaby się nie zgodzić z takim opisem Schumeiera.

– On przeprowadził tylko podstawowe badania. Ale jeśli chciałabyś zająć się innymi... sprawami, mogę to załatwić.

Uśmiech Heather był pełen kpiny.

– Czasem mówisz tak, jakbyś ty kierowała tym szpitalem, a lekarze

robili wszystko, co im każesz.

– Nie, nie całkiem, ale jestem tutaj bardzo długo, prawie dwadzieścia lat, i pracowałam na wielu oddziałach... – Kay jąkała się, jakby złapano ją na kłamstwie lub przynajmniej przechwalaniu się, jak zasugerowała Heather. Wstępne badania psychiatryczne wykazały, że pacjentka jest zdrowa psychicznie, według definicji klinicznej, ale raczej nie empatyczna ani też zainteresowana losem innych osób. Chociaż ona dostrzega różne rzeczy, zaczęła sobie uświadamiać Kay. Szybko wyłapuje subtelne szczegóły. „Dziwny mały człowieczek”. To Schumeier w każdym calu. „Czasem mówisz tak, jakbyś ty kierowała tym szpitalem”. I wykorzystuje je przeciwko ludziom.

Do sali wpłynęła Gloria Bustamante, niby sfatygowany wrak, jednak z oczami jasnymi i skupionymi.

– Wypisujemy ją – oznajmiła Kay.

– Kay jęknęła Heather.

– Ciekawe – stwierdziła Gloria. – Mam na myśli wypisanie, nie Kay. Chociaż Kay jest też fascynująca, na swój sposób.

Czy ten jej uśmiech nie był trochę lubieżny? Czy ona źle odczytała u Kay zabieganie o przysługę? Czy naprawdę wiadano, jaka jest orientacja seksualna Glorii, czy to były tylko plotki, równie bezpodstawne, jak rzeczy mówione o Kay za jej plecami?

– Uderzyłam się w głowę – oznajmiła Heather. Teraz była nadąsana, wydeła wargi jak małe dziecko. – Złamałam kość przedramienia. Dlaczego nie mogę zostać w szpitalu...

Gloria pokręciła głową.

– Słodziutka, mogłabyś nawet mieć amputowaną głowę, a oni i tak

próbowałyby cię wywalić z tego cennego łóżeczka, za które liczą sobie tyle, ile za apartament w Ritzu. Jeśli nie powiesz, gdzie jesteś ubezpieczona, to szpital stanie na głowie, żeby się ciebie pozbyć i nie dostać za bardzo po kieszeni.

– Biedni pacjenci to dla wszystkich wyższe koszty utrzymania – powiedziała Kay, zauważając, że odzywa się zarożumiałym tonem. – Łóżko się marnuje. W zwykłych okolicznościach pacjent taki jak Heather zostałby tu tylko na noc na obserwację ze względu na ranę głowy. Ale nie ma żadnych medycznych powodów, żeby ją tu dłużej trzymać. Trzeba załatwić tę sprawę.

– Nam wszystkim tyka zegar – oznajmiła Gloria. – Szpitalowi, mnie. Jediną osobą, która się nie przejmuje rachunkami, jest teraz detektyw Kevin Infante. Powiedział mi dziś rano, że jeśli Heather nie stawi się przed sądem przysięgłych, to może trafić do aresztu z zarzutem ucieczki z miejsca wypadku. Najlepsze, co mogę osiągnąć, to starać się o areszt domowy.

Heather wzdrygnęła się na łóżku i od razu zwinęła się przy tym z bólu.

– Gdzie... Tylko nie więzienie, nie areszt, jak tam trafię, to na pewno umrę.

– Nie masz się czym przejmować – zapewniła Gloria. – Zwróciłam już policji uwagę, że ze względu na opinię publiczną zrobiliby katastrofalny błąd, gdyby zamknęli zaginioną siostrę Bethany.

– Ale ja nie chcę nagłaśniać tej sprawy, więc jak możesz wykorzystywać ten argument?

– Tylko ja to wiem i ty. – Rzut oka w bok, na Kay. – A teraz też ona. Kay, zaufam ci, że nie pójdziesz i tego nie rozpapłasz. Wyświadczyłam ci

przysługę, przychodząc tutaj, więc przynajmniej tyle jesteś mi winna.

– Ja nigdy...

Gloria kontynuowała swój wykład, nie zwracając uwagi na to, co Kay ma jeszcze do powiedzenia. Wyniki badań psychiatrycznych Glorii Bustamante mogłyby być bardzo ciekawe.

– Okazało się, że chłopiec nie odniósł ciężkich obrażeń. Wszystko wyglądało okropnie i martwili się, że są uszkodzenia kręgosłupa, ale stan dziecka już się ustabilizował.

– Chłopiec? – spytała Heather, marszcząc brew.

– No, w tym aucie, które potrąciłaś.

– Ale ja widziałam dziewczynkę. W nausznikach z króliczego futerka. ..

– W samochodzie nie było żadnej dziewczynki – odparła Gloria. – Siedział tam chłopiec, który trafił na intensywną terapię.

Heather wyprostowała się, siedząc w łóżku.

– I ja nikogo nie potrąciłam. Kierowca terenówki walnął we mnie i potem zbyt gwałtownie zareagował. To nie była moja wina.

– Sprawę udałoby się szybko załatwić – oznajmiła sucho prawniczka – gdybyś nie uciekła z miejsca wypadku i nie zostawiła swojego uszkodzonego samochodu na poboczu. Ale zwalimy to na uraz głowy, spróbujemy obrony na Halle Berry.

– Kogo? – spytała Kay i dwie pozostałe kobiety spojrzały na nią jak na dziwaka.

Gloria przysiadła na skraju łóżka Heather.

– Policja ciągle naciska, że powinnaś podać nazwisko. Własne, nie to, na które zostało wydane prawo jazdy. Inaczej możesz trafić za kratki w

związku z tym wypadkiem. Na razie zdołałam ich przekonać, że twój potencjał jako ważnego świadka przewyższa twoją rolę jako oskarżonej o spowodowanie wypadku drogowego, który zresztą tak naprawdę nie był niczyją winą. Ale oni zaczynają się niecierpliwić. Musimy im rzucić kilka faktów, żeby się uspokoili. Ile już czasu minęło, od kiedy ostatni raz byłaś Heather?

Kobieta zamknęła oczy. Skórę miała delikatną, a powieki tak cienkie, że zdawało się, iż nosi różowe, lekkie okulary przeciwsłoneczne.

– Heather zniknęła trzydzieści lat temu. Ostatni raz zmieniałam nazwisko szesnaście lat temu. Tą osobą byłam dłużej niż kimkolwiek innym.

– Penelope Jackson? – zapytała Kay. Pamiętała, że takie dane podał policjant z patrolu, gdy we wtorek wieczór przyjmowano Heather do szpitala.

– Nie – odparła ostro i gwałtownie otworzyła oczy. – Nie jestem Penelope Jackson. Nawet jej nie znam.

– To jak...

Gloria uniosła rękę, by powstrzymać pytanie Kay. Nie dało się przy tym nie zauważyć jej zniszczonych paznokci i zmatowiałych diamentowych pierścionków. Bizuteria musiała być już naprawdę bardzo brudna, skoro nawet Kay dostrzegła, że ozdobom brak połysku.

– Kay, ufam ci. I potrzebuję twojej pomocy. Ale musisz uszanować pewne granice. Jest kilka rzeczy, które na razie muszą pozostać tylko między mną i Heather. Jeśli... ech, zawsze to Jeśli”, ale zrozum, póki co ja sama tylko snuję domysły. Jeśli Heather uzyskała swoją obecną tożsamość w sposób niezgodny z prawem, wtedy będę się upierać, że jest uprawniona



do chronienia tej informacji na mocy Piątej Poprawki: obywatel nie musi świadczyć przeciwko sobie. Ona stara się ocalić swoje życie, a ja usiłuję chronić jej prawa.

– Pięknie. Ale będzie mi ciężko jej pomóc, jeśli nie zdobędę dostatecznych informacji.

Gloria uśmiechnęła się, nie kupiła tego.

– Kay, nie potrzebuję drugiego szefa, tylko osoby, która zapewni Heather zakwaterowanie, póki to wszystko się nie wyprostuje. Przydałaby się też, choćby na krótką metę, opieka socjalna.

Kay nie pytała się już, dlaczego w takim razie Gloria sama nie pożyczycy swojej klientce pieniędzy albo nie zabierze jej do siebie do domu. No, ale podobne rzeczy byłyby nie do pomyślenia dla prawniczki, ona i tak już łamała własne zasady, biorąc sprawę, która nie nęciła wielkimi zyskami.

– Wypadłaś z obiegu, Glorio. Nie ma już pomocy finansowej dla samotnych dorosłych w Marylandzie od... cholera, od wczesnych lat dziewięćdziesiątych. A żeby starać się o cokolwiek, musisz mieć papiery. Akt urodzenia, ubezpieczenie.

– A co z systemem pomocy ofiarom przestępstw? Nie ma jakiejś grupy wsparcia, do której moglibyśmy zaliczyć Heather?

– One specjalizują się we wsparciu psychologicznym, a nie finansowym.

– Właśnie na to liczy policja – oznajmiła Gloria. – Heather Bethany me ma dokąd pójść, oprócz więzienia. Aby temu zapobiec, musi wyjawic, gdzie mieszkała, co robiła. Ale Heather nie chce tego robić.

Pacjentka pokręciła głową.

– Na tym etapie życia, które sama sobie stworzyłam, jest wszystkim, co

mam.

– Musisz zrozumieć, zachowanie anonimowości jest niemożliwe odezwała się Kay.

– Dlaczego? – Dziecinne pytanie zadane dziecinnym tonem. Odpowiedziała Gloria.

– Takie sprawy jak zniknięcie sióstr Bethany przyciągają mnóstwo uwagi.

– Ale już wam mówiłam, nie chcę być tamtą dziewczynką.

Kay nie mogła powstrzymać się od myślenia o starym telewizyjnym show, w którym występowała Marlo Thomas z ogromnymi oczami i błyszczącą grzywką, dziewczyna z małego miasteczka, krocząca przez wielką metropolię.

– Nie chcesz być tym, kim jesteś? – zapytała Gloria.

– Nie chcę porzucać życia, które sama sobie zorganizowałam. Nie chcę, żeby teraz wszyscy traktowali mnie jak dziwaka, dziewczynę dnia, uciekającą pannę młodą, biegaczkę z Central Parku, kogokolwiek. Osiągnięcie choćby namiastki normalności kosztowało mnie mnóstwo wysiłku. Zostałam zabrana od rodziców, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Widziałam. .. różne rzeczy. Nie ukończyłam college'u. Imiałam się mnóstwa zajęć, zanim znalazłam sobie takie, które mi pasuje, pozwala prowadzić życie, jakie inni uważają za całkiem zwyczajne.

– Heather, to może głupie, ale jeśli zechcesz, będziesz miała też okazję na tym zarobić. Twoja opowieść to towar. – Gloria uśmiechnęła się z lekką drwiną. – Przynajmniej tak zakładam. Bo przyjmuję na wiarę, że ty jesteś tą osobą, za którą się podajesz.

– Bo jestem. Zapytaj mnie o cokolwiek związanego z moją rodziną.

Dave Bethany, syn Felicii Bethany, porzuconej przez męża po krótkim okresie małżeństwa. Pracowała jako kelnerka w starej restauracji Pimlico i wołała, żeby mówić na nią „Bop-Bop”, a nie nazywać babcią. Na emeryturze przeprowadziła się na Florydę, w okolice Orlando. Odwiedzaliśmy ją co roku, ale nigdy nie poszliśmy do Disneylandu, bo ojciec się na to nie zgadzał. Mój tata urodził się w 1934 roku i zmarł, jak sędzę, w 1989. Przynajmniej wtedy odcięto jego telefon. – Szybko mówiła dalej, jakby się bała pozwolić mówić komukolwiek innemu albo zadawać pytania. – Oczywiście, ja trzymałam rękę na pulsie. Moja matka, Miriam, pewnie zmarła, bo nie ma po niej żadnego śladu. A może wróciła w rodzinne strony, do Kanady. Nie znalazłam żadnych danych na jej temat, więc sędzę, że nie żyje.

– Twoja matka była Kanadyjką? – spytała bezmyślnie Kay.

– Heather, ale przecież twoja matka żyje – zauważyła Gloria. – Przynajmniej tak uważa detektyw. Pięć lat temu mieszkała w Meksyku i teraz usiłują ją wyśledzić.

– Moja matka... żyje?

Zderzenie emocji widoczne na twarzy kobiety było dziwnie piękne, jak burza rozpętująca się pośrodku słonecznego letniego dnia, taka podczas której stare kobiety kiwają głowami, mówiąc: „Chyba diabeł właśnie bije swoją żonę”. Kay jeszcze nigdy nie widziała podobnych przeciwieństw:

żalu i radości, starających się współistnieć w tym samym miejscu. Radość potrafiła zrozumieć. Oto Heather Bethany, która uważa się za sierotę i nie może sobie rościć praw do niczego poza nazwiskiem i historią jak z tabloidu, dowiaduje się, że jednak nie jest samotna.

Ale była też złość, sceptycyzm kogoś, kto nikomu nie ufał.

– Jesteś pewna? – dopytywała się pacjentka. – Mówisz, że mieszkała w Meksyku pięć lat temu... ale czy nadal żyje?

– Tak uważa detektyw zajmujący się twoją sprawą, ale prawdę mówiąc, jeszcze jej nie znaleźli.

– A jeśli znajdą...

– Wtedy pewnie tutaj sprowadzą. – Gloria postarała się, aby złapać spojrzenie Heather, przytrzymać jej wzrok. Prawniczka miała oczy zaklinacza węży, jeśli można sobie wyobrazić takiego lekko żalosego zaklinacza w sfatygowanym sweterku. – Heather, kiedy ona już tu przyjedzie, policja każe zrobić testy DNA. Rozumiesz, co wtedy będzie?

– Ja nie kłamię. – Głos miała matowy, apatyczny, jakby po to, żeby zasugerować, że w oszukiwanie musiałyby włożyć za dużo wysiłku. – Kiedy ona tu dotrze?

– Wszystko zależy od tego, kiedy ją znajdą i co wtedy powiedzą. – Gloria odwróciła się do Kay. – Czy w szpitalu nie mogą trzymać Heather aż przyjedzie jej matka? Na pewno będzie szczęśliwa, że może się z nią zobaczyć.

– Wykluczone, Glorio. Miała wychodzić już dzisiaj. Administracja bardzo jasno się o tym wyraziła.

– W ten sposób grasz na korzyść policji. Dajesz im możliwość użycia wpływów, które chcą wykorzystać, aby przyspieszyć bieg wypadków, zmusić Heather, by działała według ich harmonogramu. Jeśli zostanie wypisana bez żadnego planu dalszego działania, to oni ją wsadzą do aresztu...

Heather jęknęła nieludzko.

– A co z Domem Rut? Nie może tam iść?

– To schronienie dla załamanych kobiet, pełne po brzegi.

– Byłam prześladowana – odezwała się Heather. – Czy to się nie liczy?

– Mówisz o czymś, co działo się trzydzieści lat temu, prawda? – Kay poczuła przyływ niestosownego zaciekawienia. Pragnęła dowiedzieć się, co dokładnie przytrafiło się tej kobiecie. – Trudno mi sądzić, że...

– Dobrze, dobrze, dobrze. – Słowa Heather zdawały się obietnicą zgody, ale jednocześnie kobieta kręciła głową, aż podskakiwały jej krótkie jasne kędziory. – Powiem wam. Wtedy będziecie już wiedziały, dlaczego nie mogę iść do więzienia; dlaczego nie potrafię uwierzyć, że ci ludzie mnie nie skrzywdzą.

– Nie mów tego przy Kay – zarządziła Gloria, jednak Heather już się nakręciła.

Ona chyba nie wie, że ja tutaj jestem, pomyślała Kay. Albo wie, ale ją to nie obchodzi. Czy to wyraz zaufania, czy obojętność, przypomnienie, że Kay nie jest dla niej kimś ważnym?

– Chodzi o policjanta. Podszedł do mnie gliniarz i powiedział, że coś się stało mojej siostrze i ja muszę szybko przyjść. Pobieglam, i tak dostał nas obie. Najpierw ją, potem mnie. Zamknął nas z tyłu furgonetki i zabrał.

– Jakiś mężczyzna udający policjanta – wyjaśniła Gloria.

– Nie udający, ale prawdziwy funkcjonariusz policji, stąd, z Baltimore, z hrabstwa, z odznaką. Nie miał munduru, ale przecież policjanci nie zawsze je noszą. Michael Douglas i Karl Malden w *Ulicach San Francisco* nie nosili mundurów. On był policjantem i powiedział, że wszystko będzie dobrze, a ja mu uwierzyłam. Ten błąd zrujnował mi życie.

Wraz z wypowiedzeniem ostatniego słowa, „życie”, uwolnione zostały

dawno skrywane emocje. Heather zaczęła płakać z tak niepohamowaną mocą, aż Gloria odsunęła się od niej, nie wiedząc, co zrobić. Kay natomiast zareagowała, tak jak zareagowałby każdy współczujący człowiek. Spróbowała uspokoić Heather, pamiętając, żeby być szczególnie delikatna wobec kobiety obolałej po wypadku.

– Coś wymyślimy – powiedziała. – Znajdziemy dla ciebie miejsce. Znam pewną rodzinę w mojej okolicy, z dala od zgiełku. Będiesz mogła zostać tam na kilka dni.

– Bez policji – krztusiła się Heather. – Bez aresztu.

– Oczywiście – odparła Kay, łapiąc spojrzenie Glorii. Chciała zobaczyć, czy prawniczka aprobuje proponowane rozwiązanie. Jednak Gloria uśmiechała się, zadowolona z siebie, triumfująca.

– Teraz to... – Cmoknęła z namysłem. – To daje nam możliwość wywarcia nacisku.

## Rozdział 15

Jeszcze jedna noc. Jeszcze jedna noc. Mówili, że nie może zostać w szpitalu dłużej niż do dzisiaj, ale wyrwała im jeszcze jedną noc, co tylko udowadniało rzecz, w którą zawsze wierzyła: wszyscy kłamią. Jeszcze jedna noc. Była kiedyś taka okropna popowa piosenka, lata temu. Odrzucony kochanek błagał o ostatnie namiętne spotkanie. Jeśli się zastanowić, taki motyw często się pojawiał w tekstach. „Dotknij mnie o poranku. Nie mogę cię zmusić, abys mnie kochała”. Nigdy nie umiała tego zrozumieć. Kiedy była młodsza, wciąż jeszcze próbowała umawiać się na randki – i, cóż za niespodzianka, ciągle odnosiła sromotne porażki. Mężczyźni zwykle odchodzili po kilku miesiącach, prawie jakby wyczuli zionącą od niej zgniliznę, odnaleźli jej ukrytą datę ważności i uświadomili sobie, że już jest zepsuta. W każdym razie, kiedy mężczyzna z nią zrywał, ostatnią rzeczą, którą od niego chciała, była jeszcze jedna noc. Czasem ciskała różnymi przedmiotami, płakała. Albo śmiała się, pełna ulgi. Ale nigdy nie uciekała się do błagań o jeszcze jedną noc, o dotyk o poranku, bzyknięcie z litości, jakkolwiek to nazwać. Miała swoją dumę.

Spróbowała wygramolić się z łóżka, wszystko ją bolało, ciało właśnie czuło, że nie ma co liczyć na lewą rękę, nie teraz. Prawą ręką musiała ją całkiem zastąpić. Niesamowite, jak szybko przystosowuje się organizm, szybciej niż umysł. Zresztą ostatnio jej umysł nie funkcjonował sprawnie. Czy ja widziałam chłopca i myślałam, że to dziewczynka, czy też w ogóle nie było żadnej twarzy przy szybie? Podeszła do okna, odsunęła zasłonę i przyjrzała się krajobrazowi. Widziała parking, smugę miejskiego horyzontu w oddali, zakorkowaną 1-95 w godzinach szczytu. „Podejdz do

okna, jakże słodkie jest powietrze nocy!” Utkwił jej w głowie taki fragment wiersza, spadek po zakonnicach, które wierzyły, że przez zapamiętywanie można odnaleźć drogę do inteligencji. Autostrada biegła niedaleko, około kilometra stąd. Czy zdoła tam dotrzeć, wystawić kciuk, złapać stopa i dojechać do domu? Nie, wtedy przecież byłaby już uciekinierką do kwadratu. Musi to jeszcze przemyśleć. Ale jak?

To nie kłamstwa ją martwiły. Potrafiła za nimi nadażyć. Na ryzyko wystawiała ją okruchy prawdy. Dobry łgarz daje sobie radę, gdy używa tak niewiele prawdy, jak tylko zdoła, bo prawda znacznie częściej podstawia nogę. Kiedyś, gdy miała nawyk zmiany imion, nauczyła się tworzenia każdej kolejnej tożsamości całkiem od nowa. Jednak groźba uwięzienia, która pojawiła się tego popołudnia, podobnie możliwość zaareztowania tamtej pierwszej nocy, sprawiły, że całkiem zbzikowała. Musiała im coś powiedzieć. To z gliniarzem i dorzuceniem jeszcze do tego Karla Maldena zdawało się całkiem niezłe. Takie dziwne, nietypowe szczegóły jak ten sprawiały, że wszystko inne brzmiało autentycznie. Ale im nie wystarczył Karl Malden. Oni głośno domagali się jej prawdziwego imienia – musiała dać im coś, kogoś.

– Przykro mi – wyszeptała nocnemu niebu.

Nie była pewna, kto bardziej ją martwił, zmarli czy żywi; kto niósł ze sobą większe ryzyko. Ale żywych przynajmniej można oszukać. Jednak nie sposób nabrać zmarłych.



## Część IV

Prajapataye svaha.

Prajapataye idam na mama.

(1976)

*Mantry Agnihotry wypowiada się w oryginalnym brzmieniu, w sanskrycie. Nie tłumaczy się ich na żaden inny język...*

*Mantry Agnihotry wypowiada się rytmicznie, zrównoważonym tonem, także dźwięk wibruje po całym domu. Głos nie powinien być za mocny albo zbyt słaby; nie należy też wypowiadać słów mantry pośpiesznie (...). Odmówienie mantry powoduje uczucie całkowitego poddania się.*

Z instrukcji odprawiania Agnihotry, rytuału wschodu i zachodu słońca, głównego obrzędu Pięciokrotnej Ścieżki

## Rozdział 16

Gdy coraz bliżej było do zachodu słońca, Dave wyjął *ghi* z lodówki i ruszył do gabinetu, zostawiając Cheta razem z Miriam przy kuchennym stole i kubkach herbaty. Nawet nie starali się rozmawiać, tylko sączyli ziołowy napar i wpatrywali w przestrzeń. Wszyscy czuli się wycieńczeni i już ochrypli po całym dniu przesłuchań, chociaż to Dave głównie mówił. Miriam zdawała się na męża, zaś detektyw w ogóle rzadko się odzywał. Czasem Dave'owi pasowało to milczenie Willougby'ego. Ludzie czynu powinni być lakoniczni. Kiedy indziej jednak podejrzewał, że te spokojne wody nie są szczególnie głębokie. Jednak Chet stał się już domownikiem, jak zwierzę ostatecznie przygarnięte po latach zapewnień, że nie chcą kłopotać się psem. Dave po turecku usiadł w gabinecie na dywaniku, ale zwykłym, nie modlitewnym. Poza miedzianym kociołkiem ofiarnym w Agnihotrze nie potrzeba było żadnych rytualnych przyborów, co stanowiło dużą część jej uroku. Bethany znalazł ten dywanik *dhurrie* lata temu na hinduskim bazarze, kiedy podróżował po skończeniu college'u. Matka jeszcze wtedy mieszkała w Baltimore, a Dave znosił jej swoje skarby do domu, wbrew narzekaniom i podejrzewaniom.

– Co jest w tych pudłach? – pytała rozeźlona, kiedy przychodził do mieszkania. – Narkotyki? Jeśli policja zapuka do drzwi, to cię nie będę kryła.

Włożył do kociołka trochę nawozu, dodał kawałek nasączonej tłuszczem kamfory, potem resztę łajna i ziarna ryżu. Spojrzał na zegarek, aby sprawdzić, czy nastał właściwy moment zachodu słońca.

– *Agnaye svaha* – powiedział, składając w ofierze pierwszą część ziaren

ryżu nasączonych tłuszczem. – *Agnaye idam na mama.*

Ludzie często myśleli, że Pięciokrotna Ścieżka to kolejny suvenir przywieziony z młodzieńczych podróży. Dave jednak był już żonaty z Miriam i pracował na państwowej posiadzie, kiedy po raz pierwszy o tym usłyszał na przyjęciu w północnozachodnim Baltimore. Pięciokrotna Ścieżka okazała się tematem łączącym większość osób z tej imprezy, urządzonej w wiktoriańskim domu w Old Sudbrook. Dave, kiedy dorastał w Pikesville, nie miał pojęcia, że takie domy w ogóle istnieją, nie wspominając już o zamieszkujących je ludziach, chociaż Herb i Estelle Turnerowie żyli ledwie kilka kilometrów od mieszkania jego matki. Turnerowie byli zarazem ciepli i zdystansowani. Dave uznał, że ich pełna powagi godność stanowi właśnie efekt Pięciokrotnej Ścieżki. To działo się nieco przed tym, jak dowiedział się o ich kłopotach z córką i słabym zdrowiu Estelle. Miriam zawsze sceptycznie spoglądała na tamtą parę, twierdząc, że tylko łowili sobie współsekcjarzy. A jednak gdy Bethany zapytał ich o unoszący się w domu słodki, gęsty dym, tak niespodziany w ciepłą, wiosenną noc, oni jedynie wspomnieli o Pięciokrotnej Ścieżce. Podejrzewał, miał nadzieję, że chodzi tu o trawkę, której on i Miriam bardzo chcieli spróbować. Ale źródłem woni okazała się Agnihotra, rytuał wschodu i zachodu słońca. Zapach wszczepił się w kościec domu. Kiedy Estelle Turner wyjaśniła już, skąd wziął się aromat i że łączy się z Pięciokrotną Ścieżką, Dave ujrzał w nim sposób na to, aby stać się kimś takim jak Turnerowie – człowiekiem dystyngowanym, pewnym siebie, mieszkającym w pięknym, choć nie ostentacyjnym domu.

Miriam twierdziła, że przez Agnihotrę cały dom śmierdzi gównem. Kiedy przeprowadzili się na Algonquin Lane, twardo nalegała, by Dave

ograniczył rytuał tylko do gabinetu i zamykał przy tym drzwi. A nawet wtedy rozpaczała nad tłustymi plamami po *ghi* na ścianach, cienką błyszczącą warstewką, której nie dało się wyczyścić. Teraz Dave podejrzewał, że mógłby odprawiać Agnihotrę nawet i przy kuchennym stole, a Miriam by nie pisnęła. Już więcej mu się nie sprzeciwiała. Niemal za tym tęsknił. Niemal.

– *Prajapataye svaha* – powiedział, składając drugą ofiarę. – *Prajapataye idam na mama.*

Teraz musiał medytować, dopóki nie zgaśnie płomień.

Reporterzy przychodzili trójkami – trzy gazety, trzy stacje telewizyjne, trzy stacje radiowe, trzy kablówki. W każdej grupie znajdował się dziennikarz, który nalegał na ekskluzywną, płatną rozmowę z Dave'em i Miriam. Jednak później ci młodzi ludzie oznajmiali, że wszystko rozumieją, kiedy tylko Chet już im wytłumaczył, że państwo Bethany wolą opowiedzieć swoją historię wielokrotnie, raz każdemu medium. Wszyscy reporterzy byli tak samo uprzejmi i życzliwi, wycierali buty na wycieraczce, wyrażali podziw dla tego, jak wspaniale przebudowano wiejski dom, nawet jeśli przez ostatni rok niczego w nim nie zrobiono. Głosy mieli łagodne, pytania ostrożne. Młoda kobieta z Kanału 13 wdzięcznie zalała się łzami, patrząc na zdjęcie dziewczynek. To nie były już zdjęcia ze szkoły, portrety na błękitnym tle. Ludzie z telewizji wyjaśnili Dave'owi i Miriam, że tamte fotografie, pokazywane tyle razy, „straciły siłę przebicia” i lepiej wykorzystać nowe. Wybrali zwyczajne zdjęcie, które Dave miał u siebie w gabinecie, pamiątki z wycieczki do Zakłętego Lasu. Heather siedziała na taborecie, ze skrzyżowanymi nogami, a Sunny stała podparta pod boki i udawała, że wcale dobrze się

nie bawi. Ale z tego, co pamiętał Dave, to był cudowny dzień. Nastoletnie fochy Sunny ledwie dawało się odczuć. Wszyscy byli dla siebie słodcy i mili.

Dziennikarze z prasy, ostatni, którzy przemaszerowali tamtego dnia, nie narzekali na wyeksploatowane przez media szkolne zdjęcia bez „siły przebicia”. Nalegali jednak, aby pozwolono im również wykorzystać fotografie Dave’a i Miriam, na której siedzieli razem, a przed nimi, na stoliku do kawy stały oprawione w ramki szkolne podobizny obu dziewczynek. Jakże bardzo Dave bał się widoku tego tableau w jutrzejszej gazecie. Jego ramię niezgrabnie obejmujące Miriam, dystans między ich ciałami, twarze odwrócone od siebie.

– Wiem, że w pierwszym tygodniu pojawiło się żądanie okupu – zagadnął reporter z „Beacon”, porannej gazety. – Okazało się oszustwem. Czy w ciągu ostatniego roku były też jakieś inne ślepe tory?

– Nie wiem. – Dave spojrzał na Miriam, ale ona się nie odzywała, jeśli nie nalegano.

– Nie chcę, żeby pan mówił mi o czymkolwiek, co mogłoby przeszkodzić w śledztwie.

– Były jeszcze inne telefony. Ale nie z żądaniami okupu. Raczej... kawały. Obsceniczne, chociaż nie w takim tradycyjnym sensie. – Potarł podbródek z lekkim zarostem i spojrzał na Cheta, który zmarszczył brwi. – Może jednak nie powinien pan o tym wspominać. Policja ustaliła, że to był po prostu jakiś chory dzieciak. Nie znał ani nas, ani dziewczynek. Więc to nic nie znaczy.

– Oczywiście. – Reporter z „Beacon” pokiwał głową ze szczerym współczuciem. Miał mniej więcej czterdzieści lat, był korespondentem

wojennym w Wietnamie i spędził sporo czasu w zagranicznych oddziałach swojej gazety: w Londynie, Tokio, Sao Paulo. Przyszedł pierwszy i zdołał zawrzeć te wszystkie informacje o sobie wśród potoku wiadomości przedstawionych im na przywitanie. Jego referencje miały, jak podejrzewał Dave, uspokoić, stanowić zapewnienie, że zadanie przydzielono znakomitemu specjalście. Jednak Bethany nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ten człowiek próbował też tak pocieszyć samego siebie. Zaginięcie dwóch dziewczynek nie równało się przecież wojnom i polityce zagranicznej. Wyglądał jak pijak, na nosie miał popękane naczynka, policzki niezdrowo zaczerwienione.

– Jedno żądanie okupu, z War Memoriał Plaża... Czy udało się dociec, kto dzwonił? – Teraz reporterka z „Light”, drobna i nerwowa. W krótkiej fryzurze i minispódniczce wyglądała, jakby niedawno skończyła college. Biegaczka, pomyślał Dave, patrząc na twarde łyki, przyciśnięte do dolnego szczebla krzesła z prostym oparciem. On sam zaczął biegać po pierwszym styczniu, ale nie wskutek noworocznego postanowienia. Jakby przyzywany niewidzialnymi głosami, pewnego dnia wstał, włożył tenisówki i ruszył do Leakin Park, okrążając korty tenisowe i miniaturowy tor kolejki. Dobiegł do Crimea, letniego domku zbudowanego przez rodzinę, która założyła trasę kolejową BO. Po drodze minął stary kościół, przez dziewczynki uważany za nawiedzony. Teraz biegał do ośmiu kilometrów dziennie, lubił jogging bardziej niż na początku, kiedy musiał skupiać się na każdym chrypiącym oddechu. Teraz wpadał w rytm już w ciągu kilku chwil; umysł stawał się znowu wolny i mógł swobodnie wędrować, zawsze trafiając do tego samego miejsca.

– Nie... ja... nie. Po prostu, nie ma nic nowego. Przykro mi. Już minął

rok, ale nie nastąpił żaden przełom w sprawie. Rozmawiamy z wami, ponieważ uważamy, że wasze artykuły mogą pobudzić komuś pamięć, dotrzeć do osoby, która coś pamięta... Przykro mi.

Miriam rzuciła mu spojrzenie, które mógł odczytać tylko mąż. „Przestań się usprawiedliwiać” Jego oczy odpowiedziały: „Przestane, kiedy ty zaczniesz”.

Zdawało się, że dziennikarze niczego nie dostrzegają. Czy wiedzieli? Czy Chet wyjawiał, oczywiście tylko do ich wiadomości, wszystkie rodzinne sekrety Bethanych, a potem nakłonił, aby nie zadawali kłopotliwych pytań? Dave teraz już niemal chciał, aby ta cała historia wyszła na jaw. W lepsze dni wiedział, że to wcale nie wina Miriam. Gdziekolwiek wtedy była – w domu na sprzedaż, tutaj na Aigonquin Lane, w motelu – nie zdołałaby ocalić dziewczynek. Zresztą on sam większość popołudnia spędził w barze, zanim wreszcie zdołał się pozbiierać i przyjechać do centrum handlowego po córki, spóźniony nie więcej niż pięć minut. Wciąż kłuło go w dołku na wspomnienie, jak czuł się tamtego popołudnia. Najpierw złość, bo uznał, że dziewczynki się spóźniają, nie liczą się z innymi. Potem obawa, ale podszyta pewnością: „zaraz wszystko się wyjaśni i znowu będę zły, a nie spanikowany”. Kiedy minęło czterdzieści pięć minut, skontaktował się z ochroną centrum handlowego. Wciąż jeszcze pamiętał wielkie współczucie otyłego strażnika, który wraz z nim przemierzał korytarze. Basowym, dudniącym głosem mężczyzna prezentował różne opcje:

– Może wsiadły w autobus do domu? Może postanowiły wziąć udział w jakiejś ankiecie dla klientów, gdzieś na zapleczu? Może pojechały do domu z matką albo ojcem koleżanki?

Dave uchwycił się słów strażnika, jakby były obietnicą. Popędził do domu volkswagenem pewien, że zastanie dziewczynki – a zastał tylko Miriam. To było takie dziwne, spotkać się z nią teraz, chcieć konfrontacji, a jednocześnie musieć odsunąć na bok fakt niewierności nagle pomniejszony okolicznościami. Miriam okazała się niesamowicie spokojna, zadzwoniła na policję, zgodziła się, by Dave wrócił do centrum handlowego i szukał dalej, podczas gdy ona zostanie w domu, na wypadek gdyby dziewczynki się pojawiły. O siódmej wieczór, wciąż jeszcze się łudzili, że córki wrócą. Ciężko było opisać ulatującą nadzieję, do której jeszcze mieli prawo. Emocje nie rozwijały się liniowo i brak definitywnej odpowiedzi wciąż sprawiał, że wyobraźnia Dave'a szarpała się, tworząc naciągane rozwiązania. Takie sytuacje jak zniknięcie dzieci zdarzały się w operach mydlanych, dlaczego więc rozwiązanie też nie mogło być rodem z łzawego serialu? Podwójna amnezja, ekscentryczny grecki miliarder, który porwał dzieci, aby całe i zdrowe mieszkały w jakimś bawarskim zamku. Dlaczego nie?

Jakiegokolwiek grzechy popełniła Miriam, to przecież Dave pozwolił dzieciom na wycieczkę do centrum handlowego, chociaż żona raz po raz zapewniała go, że nie zrobił błędu. Tak, jednak obwinił Miriam. Czuł się rozkojarzony, wściekły. Wtedy myślał, że martwi się interesami, ale nagle rozumiał, że widział, iż coś złego dzieje się z ich małżeństwem; jego podświadomość wysyłała mu sygnały, których nie potrafił zinterpretować. Gdyby tamtego dnia był bardziej obecny, skupiony na córkach, mógłby sobie uświadomić, że przecież są jeszcze za małe, aby dawać im tyle wolności. Ale Miriam wytrąciła go z równowagi.

Nie miał pretensji do Jeffa Baumgartena ani jego żony, których



wielokrotnie przesłuchała policja, gdy Miriam dobrowolnie opowiedziała prawdę. Przede wszystkim Thelma Baumgarten odwiedziła sklep Dave'a o trzeciej po południu, a sklep znajdował się nie więcej niż pięć kilometrów od centrum handlowego. Jak się okazało, motel był jeszcze bliżej. Dave nienawidził pani Baumgarten bardziej niż jej męża. Jeff pieprzył Miriam, ale pani Baumgarten... Tak, ona tym swoim małym, głupim liścikiem próbowała zrzucić wszystko na Dave'a. Tłusta mała *hausfrau*. Gdyby dbała, żeby mąż był szczęśliwy, to może zostawiłby Miriam w spokoju.

– Czy są jacyś podejrzani? – Dave spojrzał na Cheta, szukając zezwolenia, zachęty, by powiedzieć o Baumgartenach. Detektyw lekko pokręcił głową. „To tylko by zamąciło sprawę”, tłumaczył, gdy Dave nalegał, aby upublicznić absolutnie wszystko, założyć, że każdy okruczeństwo jest ważne, wręcz niezbędne, by dowiedzieć się, co zdarzyło się jego córkom. Im więcej wiedziała opinia publiczna, tym odpowiedniejsi ludzie mogli im pomóc. Może pani Baumgarten kogoś wynajęła? Albo Jeff Baumgarten zaaranżował porwanie dzieci, aby zmusić Miriam do kontynuowania romansu? Może coś poszło nie tak z jego planem? Szczerota wyzwała i się opłaca, argumentował Dave, powinni wyłożyć kawę na ławę i pozwolić elementom łamigłówek wskoczyć na swoje miejsce.

Pewnie właśnie dlatego Chet postanowił, że powinien razem z nimi być podczas odwiedzin dziennikarzy. Dave nie potrafił dostrzec żadnej innej przyczyny. W pierwszych tygodniach poszukiwań ujawniono zdecydowaną większość znanych faktów: odnalezienie torebki Heather, telefony o rzekomym pojawieniu się dziewczynek w różnych stanach (Południowa Karolina, Zachodnia Wirginia, Wirginia, Vermont) oraz w

różnym stanie (żywych i roześmianych, pływających i bawiących się, jedzących hamburgery, związanych i zakneblowanych). Dziwne, ale ci, co mieli podobne złudzenia, byli gorsi od żartownisiów. Myśleli, że ich fantazje pomogą, ale przynosiły tylko ból.

– Czy pan... – Reporter ze „Stara”, jak za dawnych czasów, z małym kapeluszem na głowie i w wąskim krawacie, po omacku szukał odpowiednich słów, aby zadać pytanie, które Dave już przewidział. – Czy nadal ma pan nadzieję, że córki zostaną odnalezione żywe?

– Oczywiście. Nadzieja to podstawa.

Podwójna amnezja, zamek w Bawarii, łagodny ekscentryk, który chciał mieć dwie złotowłose córki, ale nigdy, przenigdy by ich nie skrzywdził.

– Nie – powiedziała Miriam.

Chet spał się, jakby chciał interweniować. Czyżby śledczy wreszcie coś wyszedził? Czy wiedział, że Dave odruchowo, właśnie w tej chwili, zapragnął spoliczkować żonę? Nie pierwszy raz w ciągu ostatniego roku Bethany musiał walczyć z tym impulsem. Reporterzy też zdawali się zaszokowani, tak jakby Miriam złamała niepisane reguły dotyczące zrozpaczonych rodziców.

– Proszę wybaczyć mojej żonie – odezwał się Dave. – Jest bardzo wrażliwa, a to taki ciężki okres.

– Nie jestem marudnym dzieckiem – zareagowała gwałtownie Miriam. – I nie jestem dzisiaj bardziej wrażliwa, niż byłam wczoraj albo będę jutro. Bardzo bym się chciała mylić. Ale jeśli w tym momencie nie zaakceptuję prawdopodobieństwa ich śmierci, to jak mam żyć? Jak dam sobie radę?

Dave zauważył, że podczas tego wybuchu dziennikarze nie robili notatek. Instyktownie chronili Miriam, tak jak wszyscy. Przyjęli, że ten

jej niefortunny komentarz wynikał z rozpaczki. Reporterów uważano za cyników i może nawet tacy byli, kiedy chodziło o afery polityczne i spiski. Ale z tego, co widział Dave, stanowili grupę najbardziej naiwnych i optymistycznych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał.

– Przykro mi – powiedział i nawet on nie wiedział, dlaczego się teraz usprawiedliwia.

Po tym zrywie Miriam też pokiwała głową i skuliła ramiona, tak jakby czekała, żeby Dave ją objął.

– To trudne – odezwała się. – Ciężko pozostawać otwartym na nadzieję, chociaż potrzebuje się żałoby. Cokolwiek zrobię albo powiem, czuję się, jakbym zdradzała córki. My po prostu chcemy wiedzieć.

– Czy w ciągu całego dnia jest choć chwila, kiedy państwo o tym nie myślą? – zapytała reporterka „Lighta”.

To pytanie sprawiło, że Dave stracił rezon, po części dlatego, że stanowiło pewną nowość. Jak dajecie sobie radę? To wiedział. Ale czy w ogóle kiedykolwiek przestał myśleć o dziewczynkach? Podchodząc do sprawy racjonalnie, musiały być takie chwile „zapomnienia”, ale nie potrafił ich odnaleźć teraz, kiedy się starał. Gdy przygotowywał się do kolacji, wciąż przypominał sobie, co dziewczynki lubiły, a czego nie. „Znowu mięso?” Kiedy zatrzymywał się na czerwonym świetle, na nowo przeżywał rozmowy, jakie kiedyś prowadzili o pobliskim zakładzie ubezpieczeń społecznych, dlaczego jest tam tylu pracowników, codziennie korkujących ulice około czwartej po południu. „Oni dadzą nam pieniądze, jak będziemy starzy? Fajnie!” Gdyby zaczął myśleć o tym, jak mocno nienawidzi Jeffa Baumgartena, jak bardzo chce poczekać na niego pod domem w Pikesville i przejechać go volkswagenem, gdy facet tylko

wyjdzie za próg, żeby zabrać poranną gazetę z podjazdu – to wtedy w sumie też myślałby o dziewczynkach, prawda? Kiedy otwierał skrzynkę pocztową i znajdował w niej swój egzemplarz magazynu „New York”, to widział na ostatniej stronie reklamę rumu Ronrico i przypominał sobie, jak Heather była nią zafascynowana, zaś Sunny chichotała z codziennych słownych gier. Każda rzecz na świecie – zawalony teraz domek, który kiedyś dziewczynki skleciły na podwórzu, połyskliwa zieleń puszek piwa Genesee w rynsztoku, niebieski szlafrok kąpielowy Miriam – wszystko wiodło jego myśli ku córkom. Podobno taka intensywność uczuć nie trwa wiecznie, ból maleje, jednak on chciał, by to trwało i trwało. Jego tępa furia była jak lampa zapalona w oknie, aby wskazać Sunny i Heather drogę do domu.

Nawet teraz myśli kłębiły mu się w głowie, co przeczyło całej idei Agnihotry. Próbował delikatnie poruszyć ten problem w rozmowach z innymi osobami podążającymi Pięciokrotną Ścieżką. Oczywiście, Estelle Turner dawno już umarła, a Herb po jej śmierci wywędrował do północnej Kalifornii, twierdząc, że musi przeciąć wszystkie więzi, aby móc żyć dalej. Dave wypytywał go o dziewczynki, ale on zdawał się trochę niechętny wspomnianiu swojego dawnego życia w Baltimore i tak kierował rozmowę, że w końcu stawała się rozmową o nim samym, o jego różnych rozczarowaniach i stratach.

– Stary, ja po prostu nie umiem znaleźć drogi – powtarzał bezustannie. Potem wszystko dla Herba stało się abstrakcją, oprócz Estelle. Nawet śmierć własnej córki potraktował tylko jako rodzaj duchowego sprawdzianu, część tej jego cholernej podróży.

W Baltimore mieszkali jednak inni, którzy szli Pięciokrotną Ścieżką, i

oni byli dla Dave'a wyjątkowo mili w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy, dając to, co Miriam ironicznie nazywała niekończącą się dostawą sojowych zapiekaneek. Ale nawet ci przyjaciele wydawali się zakłopotani, kiedy starał się zasugerować, że ten ich wspólny system wierzeń może nie wystarczyć, aby pomóc mu przez to wszystko przejść. Co się takiego dzieje, że nie potrafi oczyścić umysłu do codziennych medytacji? Czy powinien ich zaprzestać, dopóki nie osiągnie odpowiedniego stopnia koncentracji? A może starać się nadal o wschodzie i zachodzie słońca oczyścić myśli i przyjąć to, co jest teraz? Oto właśnie kończył kolejny bezowocny rytuał o zachodzie słońca – nie udało mu się odnaleźć ani spokoju, ani zadowolenia. Zamiast tego zaczynał dostrzegać w Agnihotrze to, co zawsze zauważała w niej Miriam – zapach gówna i tłusty dym osiadający na ścianach gabinetu.

Ogień zgasł. Dave zebrał popioły, których używał jako nawozu, ruszył z powrotem do kuchni, nalał sobie kieliszek wina i szklaneczkę whisky dla Cheta. Po chwili dał też kieliszek wina Miriam.

– Naprawdę Chet, czy był jakiś postęp? Możesz spojrzeć wstecz na zeszły rok i powiedzieć, że czegoś się dowiedzieliśmy? – Pomyślał, że jest wielkoduszny, mówiąc „my”. W głębi duszy Dave uważał, że gliniarze, nawet mili i szczerzy, są niekompetentni.

– Wyeliminowaliśmy mnóstwo możliwych scenariuszy. Nauczyciel z Rock Glen. Hm... inni.

Nawet w poufnej rozmowie Chet nie zagadnąłby Miriam o Baumgartenów. Dave'a wręcz powaliło, jak gliniarze nadskakiwali jego żonie, prawie jej gratulowali szczerości, kiwali ze zrozumieniem głowami tamtego niedzielnego popołudnia, kiedy dobrowolnie wyznała prawdę.

Prawdomówna Miriam, szczerą Miriam, przewyciężyła instynkt nakazujący obronę siebie samej i zrobiła wszystko, aby ratować córki. Ale gdyby Miriam nie miała talentu do kłamstw, gdyby nie wikłała się w głupi romans, wtedy w ogóle nie musiałaby niczego ukrywać. Dave był tego pewien.

Chociaż to on skłamał pierwszy, pomijając sprawę pani Baumgarten, niejasno tłumacząc, dlaczego postanowił zamknąć sklep tak wcześnie i poszedł na piwo do pobliskiej knajpy. Podczas pierwszych rozmów z policją był zdenerwowany, często przerywał i rozbieganym spojrzeniem omiatał pokój. Czy właśnie w tym tkwił problem? Czy policja tak bardzo skupiła się na dziwnym zachowaniu Dave'a, że pomyślała, że właśnie on jest sprawcą? Teraz temu zaprzeczali, ale był pewien, że go podejrzewano.

– Odmawiałaś inkantację? – Chet zdążył już dobrze poznać zwyczaje Bethany'ego.

– Tak – odparł Dave. – Kolejny dzień, kolejny zachód słońca. I czy za trzysta sześćdziesiąt pięć zachodów słońca znowu będziemy tutaj, znowu będziemy opowiadać całą historię z nadzieją, że ktoś zgłosi się na ochotnika? A może kolejne rocznice staną się rzadsze? Pięciolecie, dziesięciolecie, potem dwudziestolecie, wreszcie pięćdziesięciolecie?

– Trzysta sześćdziesiąt sześć dni – powiedziała Miriam.

– Co?

– Rok 1976 to rok przestępny. Czyli mamy dodatkowy dzień. Trzysta sześćdziesiąt sześć lat od zaginięcia dziewczynek. To znaczy dni.

– No co ty powiesz, Miriam. Tak skrupulatnie wszystko policzyłaś. Zgaduję, że kochałaś je bardziej niż mnie. Poza tym dzisiaj jest dwudziesty siódmy, nie dwudziesty dziewiąty. Reporterzy potrzebują

czasu, żeby przygotować artykuły i reportaże na poniedziałek, kiedy wypada rocznica. Czyli tak naprawdę minęły trzysta sześćdziesiąt cztery dni.

– Dave... – To była prawdziwa rola, jaką Chet odgrywał w ich życiu, bardziej rozjemcy niż policjanta. Ale Dave i tak już czuł się skruszony. Rok temu, no, trzysta sześćdziesiąt cztery dni temu, myślał, że utrata żony jest wielką życiową tragedią. Zgarbiony nad barem u Monaghana doświadczał zwyczajnych emocji rogowca: wściekłości, chęci zemsty, żalu nad sobą samym, strachu. Bawił się pomysłem rozwodu z Miriam, pewien, że akurat on zachowa opiekę nad córkami, zważywszy na okoliczności. Zamiast tego stracił dzieci, a zachował żonę.

Zakładając, że miałby wybór – ale tak naprawdę nie miał żadnego. Ale gdyby go zapytano, co by wybrał, poświęciłby Miriam w ułamku sekundy, jeśli tylko odzyskałby Sunny i Heather. Ona na pewno postąpiłaby tak samo. Ich małżeństwo tworzyło kruchy pomnik utraconych córek, nic więcej.

Życzył Chetowi dobrej nocy i zaniósł alkohol na tylny ganek, przyglądając się oponie wiszącej na jedynym mocnym drzewie na podwórzu. Patrzył też na stos gałęzi i drewna przy ogrodzeniu. Kiedy dziewczynki były małe, bardzo lubiły te chatynki z tyłu domu, postawione z gałęzi, z „kobiercami” z mchu, który przesadziły z innych części ogrodu, a także z zapasami szczypiorku i mniszka w roli prowiantu. Córki wyrosły z takich zabaw już lata temu, ale ich ostatni domek stał aż do zeszłej zimy, kiedy zawalił się pod ciężarem śniegu. Dave właśnie teraz czuł się tak, jakby sam żył w chacie z połamanymi gałęzi, a zapasy szczypiorku już się kończyły.

## Rozdział 17

Nareszcie sama – „znowu sama”, oczywiście, tak brzmiały słowa piosenki, której Sunny ciągle słuchała, kiedy miała jedenaście lat, doprowadzając ją wszystkich do szaleństwa. Nareszcie sama, Miriam podeszła do zlewu i wylała zawartość kieliszka. Nie miała ochoty na alkohol, tyle że Dave nie zauważał takich rzeczy. Po to, by zobaczyć, jak mało piła w tych dniach, musiałby przecież najpierw dostrzec, ile on pije, a akurat ten element samopoznania go nie interesował.

Zlew mieścił się dokładnie pod dużym oknem wychodzącym na podwórze – to była jedyna zmiana, jaką Miriam wprowadziła podczas renowacji domu. „Kobieta musi mieć okno nad zlewem”, tłumaczyła, gdy zobaczyła plany Dave’a, na których tę ścianę pokrywały meksykańskie kafelki. Takie okno było u matki Miriam, a ona wpoila tę zasadę własnym córkom. Przypomniała sobie, jak Heather urządzała domek dla lalek z Creative Playthings. Ten składany prostokąt pod otwartym niebem zrobiony z błękitnego drewna całkowicie różnił się od falbaniastego wiktoriańskiego domku, jaki dziewczynka sama by sobie wybrała. Miał nawet nowoczesne, duńskie mebelki z mocnego, twardego drewna. „Zlew musi wychodzić kobiecie naprzeciw”, mówiła gumowa lalka-mama do gumowej lalki-taty, gdy Heather rozstawiła domek po raz pierwszy, a Miriam nie poprawiła tego zniekształcenia swoich słów. Lalki były w zestawie jedynymi kiepskimi elementami, kruszyły się i wysychały, tak jak to się w końcu dzieje z gumą, schodziła też farba z ich twarzy. Ten domek i meble ciągle leżały w szafce Heather, czekając na... Na co? Na kogo?



Ogólnie rzecz biorąc, pokoje dziewczynek pozostały takie jak wcześniej. Miriam tylko raz złamała się i poprawiła pościel pozostawioną w nieładzie. Dziewczynki sprzeciwiały się ścieleniu, argumentując to swoimi stylami spania.

– Ja to zaraz znowu rozgrzebię – mówiła Heather.

– A moje i tak jest tylko trochę pogniecione – oznajmiała Sunny. Osiągnęły kompromis. Będą ścieliły łóżka od poniedziałku do piątku, a zostawiały je nieposłane w weekend. Przez całe tygodnie patrzenie na te niezastłane łóżka dawało Miriam wielką pociechę. Dowodziły, że jej córki mają jeszcze zamiar w nich spać, że wróci tydzień zwykłych dni, a wraz z nim dziewczynki.

Zaraz po tym... nie, nie „po tym” , bo takie określenie sugeruje konkretne wydarzenie, coś zdefiniowanego. A gdzie w ich sytuacji było „to”, czym było „po”? Przez pierwsze czterdzieści osiem godzin, kiedy niczego nie wiedziano i wszystko zdawało się możliwe, Miriam czuła się, jakby wpadła w zimny, rwący strumień, a jedynym kierującym nią instynktem była chęć przetrwania szoku. Nic nie jadła, rzadko spała, dorzucała do organizmu kofeinę, bo musiała być w stałej gotowości, czujna. Na początku zakładała, że wkrótce pojawi się jakaś odpowiedź. Wszystko się wyjaśni wraz z dzwonkiem telefonu, pukaniem do drzwi.

Jakże wygórowane okazały się te oczekiwania.

Detektyw Willoughby – jeszcze wtedy nie był dla niej Chetem, tylko funkcjonariuszem policji – uważał, że była bardzo dzielna i bezinteresowna, skoro mu tak szybko wyznała, gdzie dokładnie była tamtego popołudnia.

– Instynkt każe kłamać nawet o najdrobniejszych sprawach –

powiedział Miriam. – Byłabyś zdumiona, jak naturalnie i automatycznie ludzie kłamią policji.

– Jeśli prawda pomoże odnaleźć moje córki, czym się przejmować? A jeśli nie pomoże... To czym się przejmować?

To była pierwsza niedziela po zniknięciu dziewczynek. Pierwsze dwadzieścia cztery godziny, pierwsze czterdzieści osiem godzin – wszystko podlegało jakimś określonym regułom dotyczącym kluczowych okresów powiązanych ze stosownymi możliwościami. I wszystko do tego nie pasowało. Miriam odkryła, że w sumie nie ma żadnych reguł. Nie musieli na przykład czekać ze zgłoszeniem zaginięcia dziewczynek. Policja traktowała ich poważnie już od pierwszego telefonu. Przesłano funkcjonariuszy do domu, a potem do centrum handlowego, gdzie chodzili wśród rzednących już w sobotni wieczór tłumów, razem z Miriam i Dave'em. Inni ludzie też pomagali. Bileter w kinie pamiętał dziewczynki i nawet to, że kupiły bilety na *Ucieczkę z Góry Czarownic*, a potem próbowały wślizgnąć się na *Chinatown*. Miriam poczuła dziwny przyływ dumy z Sunny, kiedy to usłyszała. Potulna, dobroduszna Sunny zakradła się na film tylko dla dorosłych. Nie знаła jej od tej strony. Kiedy znów się z nią zobaczy, nie będzie zła. Szczerze mówiąc, chętnie by sobie z nią usiadła, przejrzała repertuar i zapytała, czy są jeszcze jakieś filmy tylko dla dorosłych, które córka chciałaby zobaczyć. Coppola, Fellini, Herzog – obie stałyby się entuzjastkami sztuki.

Jakie jeszcze obietnice złożyła tamtego sobotniego popołudnia? Odnajdzie dla siebie drogę powrotną ku jakiejś formie życia duchowego. Nie Pięciokrotną Ścieżkę Dave'a, ale może judaizm lub w ostateczności Kościół unitariański. I przestanie już czepiać się męża o tę Ścieżkę; nie

będzie go drażnić, wytykając, że przyjął duchowy obrzęd, bo pozazdrościł dóbr materialnych ludziom, którzy mu go pokazali. Chociaż czuła dużą wdzięczność dla Turnerów, to nie podzielała fioła Dave'a na ich punkcie, bo okazana przez nich Bethanym wielkoduszność miała korzenie w samolubstwie, nawet jeśli zdawało się to sprzecznością.

Przyrzekała też inne rzeczy. Będzie lepszą matką, będzie przyrządzała smaczne posiłki, przestanie wspomagać się chińszczyzną na wynos i pizzą z Marino. Rzeczy dziewczynek będzie prac bardzo starannie. Może już czas, aby zmienić wygląd pokoju Sunny, zaznaczyć ten rytuał przejścia do liceum w przyszłym roku? Czy Heather nie wyrosła już z lamówki *Tam, gdzie czają się dzikie rzeczy* zdobiącej jej pokój, choćby i pięknej? Miriam zrobiła już dwóch egzemplarzy książki. Rozerwała oprawę, potem poprzyczepiała kartki do ściany, tak by pojawiła się na nich cała historia. Mogły też wszystkie trzy odwiedzić pchli targ w Westview DriveIn i w Purple Heart, znaleźć stare meble, pomalować na jaskrawe, nowoczesne kolory. Pójdą też po nową pościel na tak zwaną białą wyprzedaż w sklepie wielobranżowym, w styczniu...

Te wszystkie myśli przechodziły Miriam przez głowę właśnie tamtego wieczoru, póki widok niebieskiej dzinsowej torby, wyglądającej jak plama w przyćmionym świetle parkingu, nie ściągnął jej do teraźniejszości tak raptownie, że aż ścisnęło ją w dołku. Krzyknęła cicho, padła na kolana, ale potem wstrzymał ją młody policjant.

– Proszę tego nie dotykać. Powinniśmy... Proszę pani, bardzo proszę. Trzeba to zabezpieczyć.

Małe dziewczynki gubią różne rzeczy. Torebki, klucze, wstążki, podręczniki, kurtki, swetry, czapki i rękawiczki. Gubienie leży w

dziecięcej naturze. Utrata torebki mogłaby okazać się dla Heather, tej upartej, materialistycznej Heather, wystarczającym powodem, aby nie wracać do domu, tylko szukać do upadłego.

– Czy kiedykolwiek pomyślałaś o tym, że gdy czegoś szukasz, to zawsze jest w ostatnim miejscu, do którego zaglądasz? – zapytała ją Miriam ledwie kilka tygodni wcześniej.

Heather, kiedy zrozumiała żart skryty w tym dowcipnym stwierdzeniu, bardzo się z niego śmiała. Sunny, biorąca wszystko dosłownie, powiedziała tylko: „Oczywiście”.

Miriam, klęcząc na parkingu, tak bardzo pragnęła chwycić torebkę, jakby była jej córką, ale młody policjant nadal zabraniał. Na torebce widniał ślad – odcisk stopy albo opony. Ależ Heather by się tym zmartwiła. Co prawda torebka miała jeszcze dwie inne sakwy, jednak dziewczynka najbardziej lubiła džinsową.

Dostałaby nową, nie robiliby wyrzutów z powodu nieostrożności. A jutro ruszyliby na poszukiwania wielkanocnego króliczka, chociaż córki w tym roku twierdziły, że są już na to za duże. Właściwie to Sunny powiedziała, że jest za duża, a Heather od razu się z nią zgodziła. Ale to byłyby takie specjalne poszukiwania: kupiłyby też czekoladki i inne niesamowite skarby. Miriam poszłaby jeszcze do High's, ale tak późno w nocy już pewnie by nie *znalazła* żadnych ciekawych drobiazgów dla dzieci. Centrum handlowe zamkną za dwadzieścia minut. A może weźmie coś z towarów Dave'a, co się będzie przejmować? Zabrałaby biżuterię, zabawki i ceramiczne wazy, a do nich włożyła mlecze i krokusy, które zaczynały już wystawiać główki na świat.

Życie jeszcze nigdy nie było takie wyraziste, jak właśnie w tamtej

chwili. Z każdym dniem, gdy możliwość uzyskania odpowiedzi malała o kolejną drobinę, zmysły Miriam przygasały. Dziewczynki nie zostaną odnalezione całe i *zdrowe*. Dziewczynki nie zostaną odnalezione żywe. Dziewczynki nie zostaną odnalezione... Nienaruszone – tego dość szerokiego, eufemistycznego pojęcia Miriam używała, mając na myśli wszystko, od gwałtu po dosłowne rozczłonkowanie. Jednak minęło sporo czasu, zanim ktokolwiek doszedł do wniosku, że siostry mogą w ogóle nie zostać odnalezione.

A Miriam czekała na odnalezienie dziewczynek – i jak sobie uświadomiła, nie dlatego, że rozpaczliwie chciała się dowiedzieć, co się wydarzyło, ale dlatego, że planowała opuścić Dave’a zaraz po tym, kiedy sprawa się wyjaśni. Tragedia córek – kwestia winy za nią – to był majątek małżeński, podobnie jak dom, meble i sklep. Musiała poznać całą historię, aby dało się ją podzielić, pół na pół, sprawiedliwie. A jeśli zakończenie nigdy nie nadejdzie? Czy wtedy będzie musiała zostać z Dave’em? Nawet jeśli to ona ponosiła winę za śmierć córek – a Miriam, nawet w najczarniejszych chwilach nie potrafiła uwierzyć, aby jakikolwiek bóg zabił dwoje dzieci, by ukarać matkę cudzołożnicę. A nawet jeśli byłby taki bóg, to nie chciała go znać. Bo czy małżeństwo miało równać się dożywotniemu więzieniu? Ono obumarło i tak znacznie wcześniej – jedyna radość pozostała w córkach. Jak długo powinna trwać w związku, jak wiele była winna Dave’owi?

Przyglądała się swojemu odbiciu w oknie ponad zlewem. Kobieta musi mieć okno nad zlewem, tak mawiała jej matka. Zmywanie jest bardzo nudne, trzeba mieć na co popatrzeć. Z tego, co wiedziała, to było jedyne żądanie, jakie matka kiedykolwiek wysunęła. Naturalnie Miriam nigdy nie

wątpiła, że chodziło tu o potrzeby kobiety, która całe życie zmywała naczynia, gotowała posiłki, sprzątała w domu i raczej rzadko szukała sobie miejsca poza nim. Kobiety z następnego pokolenia zaczynały domagać się więcej, ale jej matka, nieszczęsna, mieszkająca w Ottawie, nie prosiła o nic, tylko o okno, a Miriam akurat pod tym względem wzięła z niej przykład. Tutaj, za dnia, mogła patrzeć na ogród, wielki, zarośnięty, niemal zdziczały. Ta dzikość stanowiła jednak starannie kultywowane złudzenie. Miriam troszczyła się o swój ogród jak o wychowanie dzieci, pozwalała mu podążać za własnymi instynktami. Szanowała wszystko, co w nim już było: kapryfolium, miętę, byliny, i nie próbowała na siłę umieszczać tam roślin, których nigdy w nim nie miało być, takich jak róże albo hortensja. Dodała tutaj tylko to, co pasowało, dyskretne rośliny mogące rozwijać się w cieniu.

Jednak gdy zachodziło słońce, w oknie pojawiała się jej własna twarz. Kobieta, na którą patrzyła Miriam, była wyczerpana, chociaż nadal atrakcyjna. Nie miałyby problemów ze znalezieniem sobie nowego partnera. Szczerze mówiąc, teraz przyciągała mężczyzn bardziej niż w zeszłym roku. Chęć bez wątpienia się w niej durzył i to nie tylko dlatego, że była „damą w opresji”. Ekscytowała go wiedza o jej romansie, tajemnica, której strzegł. Ona była grzesznicą. A Willoughby, choć detektyw, nie wyglądał na kogoś o dużym doświadczeniu z kobietami.

Innych mężczyzn, niewtajemniczonych w to, co wiedział Willoughby, przyciągała otaczająca Miriam wyczuwalna aura grozy i zniszczenia; podkrążone oczy, które jasno mówiły: „wypadłam z gry”. To straszne, naprawdę straszne, jak wielu mężczyzn przyciągało właśnie takie spustoszenie w kobiecie. O tak, mogłaby bez trudu znaleźć sobie kogoś

nowego. Jednak nie chciała. Pragnęła tylko wyjechać, tak aby nie uznano jej za nieczułą kobietę, która porzuciła męża, kiedy najbardziej jej potrzebował. A przecież on jej wybaczył, tak szlachetnie, tak wielkodusznie. I znowu, jak wielkoduszny był jakiś gest, jeśli stale się pamiętało o jego wspaniałomyślności?

Mogła odczekać jeszcze sześć miesięcy. Nastałby październik. Ale to trudny okres. Ostatnia jesień z Dave'em – cudowna pogoda, Halloween, dzieci sąsiadów w przebraniach. Listopad, grudzień? To z kolei różne święta, czas jeszcze boleśniejszy. W styczniu urodziny Sunny, a potem znowu marzec, druga rocznica i urodziny Heather tydzień później. Miriam pomyślała, że może nigdy nie być odpowiedniego czasu na to, aby odejść. Po prostu musi to zrobić wkrótce.

Wyobraziła sobie autostradę prowadzącą do... Teksasu. Znała pewną dziewczynę, z czasów college'u, która zamieszkała w Austin i zachwycała się tamtejszym luźnym stylem życia. Miriam ujrzała siebie w samochodzie, jak jedzie na zachód, a potem na południe przez Wirginie, przez długą dolinę Shenandoah, mija miejsca, które odwiedzała z dziewczynkami – jaskinie Luray, Skyline Drive, Monticello – dalej i dalej, do Abingdon i w głąb Tennessee. Wzdrygnęła się. Ach tak, Abingdon było jednym z tych miejsc, gdzie podobno widziano jej córki. Poinformowano o tym w dobrych intencjach, ale tacy ciężko myślący ciekawscy denerwowali Miriam bardziej niż oszuści.

Miriam najbardziej irytowało to, że jej prywatna tragedia stała się sprawą publiczną, a obcy ludzie mówili, że ich osobiście dotknęła. Wystarczyło tylko spojrzeć dzisiaj na reporterów udających, że wiedzą, co ona czuje. Fałszywi świadkowie stanowili jeszcze inną kategorię, byli

ludźmi szukającymi swojej własności, tak jakby „siostry Bethany” stanowiły dobro publiczne lub skarb, zbyt wielki, by go miała tylko jedna rodzina, jak „Hope Diamond” z Instytutu Smithsonianańskiego. A o tym klejnocie mówiono przecież, że jest przeklęty.

Hope Diamond sprawił, że zaczęła rozmyślać o wielkim brylancie podarowanym przez Richarda Burtona Elizabeth Taylor. Miriam przypomniawszy sobie, jak razem z córkami oglądała kiedyś tę słynną parę w *Kocham Lucy*. Postać Lucille Bali zawsze trochę ją denerwowała – piękna kobieta nie musiała być taka głupiutka, by ściągnąć na siebie uwagę. Piękno wszak samo w sobie stanowiło powód własnego istnienia – wystarczyło spojrzeć na Elizabeth Taylor. Sunny i Heather uwielbiały Lucy tak bardzo, jakby była ich ukochaną ciocią. Utwierdziła je w tym jeszcze inna aktorka grająca tę postać, która wiele razy rozbawiała je popołudniami w serialu komediowym nadawanym przez jedną z waszyngtońskich stacji. Nawet dziewczynki widziały, że współczesny serial mocno pozostaje w tyle za oryginałem, ale oglądały film z lojalności. W tym serialu, przypomniawszy sobie Miriam, Bali przymierzała pierścionek Taylor i nie potrafiła go zdjąć. Wynikły z tego różne gagi; wybałuszała oczy i rozdziawiała usta.

Ludzie właśnie w ten sposób przymierzali ból Miriam, modelowali go dla niej, jakby się spodziewali, że będzie jej schlebiać ich zainteresowanie. Ale oni nie mieli potem najmniejszego problemu ze zrzuceniem z siebie cierpienia, jeśli tylko przyszła im na to ochota. Zdejmowali je i oddawali, aby dalej prowadzić swoje życie, dzięki Bogu, pozbawione „ciekawych” zdarzeń.



## Rozdział 18

Kosztowało to mnóstwo próśb, przyrzeczeń i pertraktacji, ale ostatecznie dostała zgodę, by pójść na prywatkę. Kłóciła się o nią, a właściwie nie, nie kłóciła się, bo uniesiony ze złości głos był nie do przyjęcia; argumentowała jednak, że takie ciągłe odmawianie przyjmowania zaproszeń ze szkoły będzie wyglądać dziwnie. Miała przecież nie odróżniać się od innych dzieci, a one chodziły na zabawy. Wujek i ciocia, jak musiała nazywać ich przy innych, bardzo się starali, by nie wydawać się kimś dziwnym. To miało sens, jeśli wziąć pod uwagę wszystkie ich tajemnice i kłamstwa, które opowiadali, ale nie potrafiła zrozumieć, jak udawało im się kryć swoje dziwactwo przed samymi sobą. Jakże oni mogli nie wiedzieć, że są tacy dziwaczni, że odbiegają od normy pod każdym względem? Poza domem był rok 1976, dwusetna rocznica Deklaracji Niepodległości, środek dekady, która pokazała, że wszystko może się zdarzyć, nawet w takich małych miastach jak to. Skończyła się wojna, a prezydent został obalony dlatego, że ludzie domagali się zmian. Przemawiali, maszerowali, czasem umierali. Nie myślała jednak o żołnierzach w Wietnamie. Nigdy o nich nie myślała. Myślała o Kent State, o tym wydarzeniu, któremu chciałaby móc poświęcić więcej uwagi, ale stało się, gdy miała znacznie mniej lat. Takiej rzeczy małe dziecko nie potrafiłoby zrozumieć, a jeszcze mniej mogłaby się nią przejmować.

Teraz jednak się przejmowała. W bibliotece znalazła egzemplarz „Time’a” ze zdjęciem dziewczynki siedzącej w kucki obok chłopca. Dziewczyna była uciekinierką, gdzieś z dala od swojego miejsca, nie tam, gdzie powinna się znajdować. Zawędrowała do historii. Ta fotografia

stanowiła swoistą obietnicę: ona też mogła uciec. I trafić do historii. A jeśli trafi do historii, zdoła zrobić coś wielkiego i ważnego, wtedy może uzyskać przebaczenie.

Ale teraz cieszyła się, że jest na prywatce, w suterenie domu gdzieś w mieście, i właśnie czeka, aż ktoś wywoła jej numer na „Pięć minut w Niebie”. Gra zaczęła się wśród sporów, wcale nie dlatego, że niektóre dziewczynki nie chciały się bawić – bo każdy bardzo chciał się w to bawić – ale dlatego, że mocno spierano się, ile czasu pary powinny spędzać samotnie w zamkniętym pomieszczeniu. Niektórzy uważali, że dwie minuty, inni zaś twierdzili, że to powinno być siedem minut, bo nieźle by brzmiało „Siedem minut w niebie”.

– Pójdźmy na kompromis – postanowiła gospodyni, Kathy, dziewczyna podziwiana i miła, swoją władzę sprawująca z wdziękiem. Jeżeli Kathy zdecydowała, że powinni bawić się w „Pięć minut w niebie”, to z pewnością miała rację, I było coś jeszcze, czego wujek i ciocia nie wiedzieli o świecie, który zaczynał się zaraz za ich drzwiami: seks, wszędzie, nawet tutaj, wśród ludzi bardzo młodych, zwłaszcza wśród ludzi bardzo młodych. Zabawa w doktora, gra w butelkę, teraz „Pięć minut (albo dwie, albo siedem) w niebie”. Seks pojawiał się pierwszy, na długo przed alkoholem i narkotykami, zresztą narkotyki powszechnie traktowano tutaj z pogardą, jako zbyt hipisowskie. Jej koleżanki z klasy po omacku szukały drogi ku dorosłości, dosłownie i w przenośni.

Jednak tylko ona jako jedyna tutaj miała już za sobą pełny stosunek na puchowej pościeli. Była tego całkowicie pewna, ale nie, nie ważyła się porównywać własnych doświadczeń z cudzymi. Gdyby powiedziała komukolwiek o swoim życiu w domu, oni mogliby ją zabrać, a to koniec

końców pewnie okazałoby się jeszcze gorsze.

Ciężko było myśleć o całowaniu się za dnia, w sobotnie popołudnie. Seks kojarzył się jej z nocą, czymś ponurym i cichym, uprawianym w domu, gdzie wszyscy udawali, że nie słyszą skrzypu sprężyn, tego, jak uginająca się rama łóżka napiera na ścianę z głuchym łoskotem, niczym fale bijące o brzeg. Kiedyś była w Annapolis, na festiwalu ostryg. Miała wtedy osiem lat, a na sobie pomarańczowo-różową spódniczkę do kolan. Nie lubiła małży, ale lubiła festiwal. Wszyscy czuli się tacy szczęśliwi.

Teraz była daleką kuzynką z Ohio, obarczoną imieniem Ruth, którego szczerze nienawidziła. Ruth. Takie proste, surowe imię. Skoro musiała już dostać jakieś nowe imię, to dlaczego nie Kordelia albo Geraldyna, jedno z tych, które wybrała sobie Ania z Zielonego Wzgórza? Ale wujek wyjaśnił, że wybór jest ograniczony, a Ruth to najlepsze imię, jakie zdołał znaleźć. Ruth była prawdziwą dziewczynką, żyła tylko trzy albo cztery lata, a potem spaliła się w pożarze, razem z całą rodziną, w Bexley. Ruth obchodziła urodziny w inny dzień niż ona, dlatego też trafiła nie do tej klasy, do której powinna. Spodziewała się, że będzie nudno. Jednak nauka w nowej szkole, „Schronieniu Małego Kwiatuszka”, okazała się cięższa niż w tamtej wcześniejszej. Nie wiedziała, czy dlatego, że placówkę prowadziły zakonnice, czy dlatego, że klasa była mała. A może z obu przyczyn. Tyle miała nauki w szkole, że brakowało czasu uczyć się jeszcze tych wszystkich rzeczy, jakie powinna wiedzieć o swoim nowym ja. Martwiła się, że ktoś zada jej pytanie o Ohio, na które nie będzie potrafiła odpowiedzieć – o stolicę, o kwiat charakterystyczny dla tego stanu, o typowego ptaka. Jednak nikt nie pytał. Jej nowe koleżanki z klasy dorastały razem, miały niewielkie doświadczenie w kontaktach z obcymi.

Wyraźnie im też polecono, aby nie rozmawiały z Ruth o tragedii, jaka spotkała jej rodzinę w Ohio.

Jakaś dziewczyna, taka, którą można by nazwać spastyczną, chociaż zdawało się, że tego terminu tutaj się nie używa, zapytała o cygara.

– Cygara?

– No, te oparzenia.

– Och. Blizny. – Tylko małą chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Kłamstwo stało się już jej drugą naturą. – Są tam, gdzie ich nie widzisz.

Później tego żałowała, bo te słowa dotarły do chłopców z „Małego Kwiatuszka” i zaczęli plotkować, kto pierwszy zobaczy sekretne blizny Ruth. Nawet dzisiaj, kiedy padł pomysł zabawy w „Pięć minut w niebie”, dostrzegła, jak Jeffrey wskazuje na nią i klepie Billa w ramię, chrypiąc scenicznym szeptem.

– Może uda ci się zobaczyć blizny Ruth.

Wiedziała, że Jeffrey ją lubił, że takie drażnienie stanowiło rodzaj flirtu, ale czuła się zbyt zmęczona, by o tym myśleć. Koleżanki z klasy nie wiedziały, jak odnosić się do nowej dziewczyny; chłopcy wręcz przeciwnie. Lubili ją, tajemniczą, zakazaną Ruth, z tragiczną przeszłością, o której nikomu nie wolno było wspominać. Martwiła się, że wyczuwali jej seksualność, choć starała się splukiwać tę osłonę długimi prysznicami, brany mi co rano i wieczór, zapracowując sobie na surowe kazania o limitach wody ze studzienki oraz kosztach gazu.

– Czterdzieści siedem! – zawołał Bill.

To był jej numer. Pozostałe dzieci jak zawsze krzyknęły podekscytowane. Ruszyła do szafy, zachowując tyle godności, na ile mogła, wiedząc, że Bill wskoczy tam za nią i będzie robił miny do kumpli.

I znowu, jak sobie przypominała, tak robili wszyscy pewni siebie chłopcy.

Właściwie to nie była szafa, tylko spiżarka, do której mama Kathy wstawiała przetwory. Patrzyli na słoje pełne pomidorów, papryki, brzoskwiń. Ten widok przywiódł jej na myśl pojemniki z horroru, mózgi pływające w formalinie w *Młodym Frankensteinie*. Abbie... Abbie Normalna! To byłoby całkiem dobre przybrane imię. Ciocia też kucharzyła, robiła wspaniałe dżemy i marynaty. Jabłka, brzoskwinie, śliwki, wiśnie... nie, nie myśl teraz o wiśniowym drzewie. Na podłodze stała duża chłodziarka, usiedli na niej, stykając się biodrami, zawstydzeni i niezręczni.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Bill.

– Co chcesz zrobić? – odparła.

Wzruszył ramionami, jakby cała sytuacja go nudziła, jakby widział już i robił wszystko.

– Chcesz mnie pocałować? – zapytała nieśmiało.

– No, chyba tak.

Oddech chłopca smakował ciastem i chipsami, co było nawet przyjemne. Rozchylił wargi, ale nie próbował wsadzać Ruth języka do ust. I trzymał ręce przy sobie, jakby bał się jej dotknąć.

– To miłe – stwierdziła uprzejmie, ale także szczerze.

– Chcesz jeszcze?

– Jasne. – Przecież mieli całe pięć minut.

Tym razem wetknął między jej wargi sam koniuszek języka. Ledwie oddychał, jakby oczekiwał, że ona zaprotestuje albo go odepchnie. A ona musiała się raczej skupić na tym, by odruchowo nie otworzyć szerzej ust i nie wciągnąć reszty jego języka. Była już w tym nieźle wyćwiczona, stała

się specjalistką od różnych technik, które należało opanować, aby szybko przejść przez nocną transakcję. Co zrobiłaby teraz Ruth, ta prawdziwa Ruth, gdyby nie spłonęła w pożarze, mając cztery lata? Co wiedziałaby, jak by postąpiła? Koniuszek języka Billa spoczął na jej dolnej wardze niczym kawałek jedzenia albo pasemko włosów, które chciałyby zsunąć. Ale pozwoliła mu zostać.

– Co jeszcze chcesz, żebym zrobił? – zapytał Bill, odsuwając się, aby nabrać oddechu.

Uświadomiła sobie, że on przecież nie wie. Nie ma pojęcia o rzeczach, jakie dałoby się zrobić, nawet w ciągu pięciu minut. Przez chwilę się zastanawiała, czy mu nie pokazać, ale to byłaby katastrofa. Kiedy wreszcie pięć minut w szafie-spiżarce dobiegło końca i inni zaczęli dobijać się do drzwi, wołając, by para wkładała ubrania, które nie były nawet potargane, Bill nadal trwał w niewiedzy, w jakiej ona chciałyby pozostać. Potem matka Kathy krzyknęła w dół schodów, że już czas do domu, dzięki czemu Ruth nie musiała wywoływać niczyjego numeru.

– Jak było na prywatce? – zapytał wujek.

– Nudy – odparła, mówiąc prawdę, ale taką, która mu się spodoba. Bo przecież jeśli prywatka okazałaby się nudna, to może dziewczynka nie będzie już chciała iść na następną. Martwił się, gdy pokazywała się wśród ludzi, niepilnowana przez nikogo z rodziny. Gdy wychodziła z domu, nie ufał jej do końca. Poza tym lubiła sprawiać, żeby czuł się zadowolony. Na swój dziwny sposób był po jej stronie, jak nikt inny w tym domu. Nawet psy, brutalne i paskudne, potrafiły tylko brudzić dywany i rwać jej rajstopy.

– Wyjdę sobie na dwór – powiedziała.

– Przecież jest zimno?

– Pochodzę tylko dookoła domu, nie za daleko.

Ruszyła do ogrodu, do drzewa wiśni. O tej porze roku ciężko było stwierdzić, czy rzeczywiście widać już pąki, czy tylko bardzo chce się je zobaczyć.

Marcowy zmierzch płatał takie figle – tworzył szarozielone cienie wyglądające jak obietnica nowego życia.

– Dzisiaj całowałam się z chłopakiem – oznajmiła drzewu, zmierzchowi, ziemi. Na żadnym z nich nie wywarło to wrażenia, ale to, co powiedziała, było takie normalne. Dlatego poczuła, że ona też kiedyś może być znowu normalna, jeszcze pójść swoją ścieżką i sprawić, aby wszystko się ułożyło. Kiedyś.

Teraz była Ruth z Bexley, jej cała rodzina spłonęła w pożarze. Ona, wtedy trzy – albo czteroletnia, skoczyła z okna na pierwszym piętrze i złamała sobie nogę w kostce. Dlatego uczyła się w niższej klasie niż powinna, bo długo leżała w szpitalu. Nie, wcale nie została na drugi rok. Po prostu przez pewien czas w ogóle nie chodziła do szkoły. A w Ohio szkoła była inna i dlatego właśnie nie wie różnych rzeczy, które powinna.

Tak, miała blizny, ale nie tam, gdzie dałoby się je dostrzec, nawet gdy miała na sobie tylko kostium kąpielowy.

# **Część V**

Piątek



## Rozdział 19

Nie mogę – powiedziała. – Po prostu nie mogę. To dziwne, jakie rzeczy zostają w głowie ze szkoły. Infante nie należał do grona najlepszych uczniów, ale lubił historię. A w szpitalnym pokoju Jane Doe, w ten piątkowy poranek... Ciągłe zmuszał się, aby myśleć o tej kobiecie jako o Jane Doe, nikim innym. Właśnie w ten poranek przypomniał sobie, co kiedyś słyszał o Ludwiku XIV. A może o Ludwiku XVI? Niektórzy królowie kazali swoim sługom oglądać siebie, kiedy się ubierali, a to miało wzmocnić ich władzę. Ubierali się, kapali i Bóg wie, co jeszcze robili w obecności swoich poddanych. Kiedy był czternastolatkiem z Massapequa, nic z tego nie kumał. No bo kto wygląda mniej władczo niż nagi facet albo taki stawiający właśnie klocka? Jednak teraz, kiedy ujrzał krzątającą się Jane Doe, przypomniał sobie właśnie tamtą opowieść.

Oczywiście nie chodziło o to, żeby się przed nim rozbierała. Wciąż jeszcze miała na sobie szpitalną piżamę, jaskrawy szal okrywał kościste ramiona. Rozkazywała jednak Glorii i pracownicy socjalnej; mówiła, co mają robić w jej imieniu, a czyniła to z królewską manierą, zachowując się, jakby Kevina nie było w pokoju. Gdyby nic o niej nie wiedział – i znowu ta myśl się go uczepiła – uznałby ją za bogatą dziewczkę albo przynajmniej ukochaną córeczkę tatusia, przyzwyczajoną, że wszystko dzieje się tak, jak ona chce; osobę, której usługują zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Te dwie tutaj wręcz nadskakiwały, rywalizowały ze sobą o prawo służenia Jane Doe.

– Moje ubranie... – Spojrzał na przyniesione rzeczy, w których przyjmowano ją do szpitala.

Nawet Kevin zauważył, dlaczego nie chce ich znowu wkładać. Sportowe ciuchy, luźna bluza i legginsy marki Under Armor, gdzieś jeszcze bardzo modne. Pachniały stęchlizną. Nie ostrym, kwaśnym odorem potu, ale zapachem powstałym dlatego, że spano w nich i noszono je zbyt długo. Zastanowił się, ile kilometrów przejechała w nich przed wypadkiem. Całą drogę z Asheville? Ale jak kupiła benzynę, bez portfela, bez gotówki? Czy wyrzuciła portfel z auta? Gloria próbowała przedstawić wydarzenia po wypadku jako atak paniki, błędne decyzje spowodowane adrenaliną. Ale Kevin odparował, że wszystko mogło być wykalkulowane, że uciekła z miejsca wypadku, by dać sobie czas na ułożenie jakiejś historyjki.

Historii, która rozrastała się, aż pojawił się w niej policjant prześladowca, akurat kiedy kobieta dowiedziała się, że prokurator stanowy chce ją sądzić albo zamknąć pod kluczem. I oczywiście, on też dał się nabrać. Pozwolił zostać Jane Doe na wolności tak długo, jak tylko Gloria będzie mogła zareczyć, że kobieta nie wyjedzie z Baltimore. Infante uważał, że trzeba być naprawdę niezłym twardzielem, by czmychnąć Glorii. Żmija ścigałaby delikwenta choćby tylko o zapłatę.

– Na Patapsco Avenue jest sklep Armii Zbawienia – odezwała się pracownica socjalna. – Mają kilka naprawdę niezłych rzeczy.

– Patapsco Avenue – powtórzyła Pani X zadumany tonem, przywołując wspomnienia, a zdaniem Kevina w jej głosie zabrzmiała łobuzerska nutka. – Kiedyś był tam tani sklep z owocami morza. Moja rodzina kupowała w nim kraby.

Drgnął.

– Jechaliście taki kawał z północnozachodniego Baltimore, żeby

kupować owoce morza na Patapsco Avenue?

– Mój tata lubił okazje i... dziwactwa. Po co jechać dziesięć minut po sparzone kraby, jeśli można ruszyć prosto przez miasto, zaoszczędzić dolca, albo i z tuzin, no i jeszcze mieć co opowiadać? Poczekajcie, czy tam nie było w okolicy takiego miejsca, gdzie podawali smażone w głębokim tłuszczu krążki zielonej papryki oproszone cukrem pudrem?

Kay pokręciła głową.

– Słyszałam, jak ludzie o nich mówili, ale przemieszkałam w Baltimore całe życie i jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego w żadnym jadłospisie.

– To, że czegoś nie widziałaś, wcale nie oznacza, że nie istnieje. – Znowu zachowywała się jak królowa, zadarła podbródek. – Ja przez lata siadywałam w miejscach, gdzie każdy mógł mnie widzieć, i nikt nigdy mnie nie zobaczył.

No, w porządku, wreszcie skierowała rozmowę na tory, po których powinna się poruszać cały czas.

– W ogóle nie zmieniła pani wyglądu?

– Nice'n'Esasy zrobiło mi włosy o dwa tony ciemniejsze. Prosiłam, żebym była ruda jak Ania z Zielonego Wzgórza, ale to, co ja chciałam, rzadko kogoś interesowało. – Napotkała jego spojrzenie. – Domyślam się, że nie jesteś wielkim fanem Lucy Maud Montgomery?

– A kim on był? – zapytał usłużnie, świadomy, że się podkłada. Chciał, aby kobiety go wyśmiały. Mógł pozwolić sobie na kpiny, nawet obrócić je na swoją korzyść. Niech ona myśli, że ma do czynienia z idiotą. Ech, czyż to nie byłoby wspaniałe, gdyby Gloria wyszła teraz razem z Kay, by kupić pacjentce ubrania? Ale nie zamierzał liczyć aż na takie szczęście.

– Atak serio...

– Zaczęłam dorastać – powiedziała, jak gdyby uprzedzając to, do czego zmierzał. – I chociaż wszyscy wiedzieli, że muszę dorosnąć, zakładając, że jeszcze żyję, nikt mnie nie rozpoznał, bo pamiętał tylko o zaginionej dziewczynce. Poza tym byłam sama.

– No tak, pani siostra. Co się z nią stało? Może to byłoby dobre na początek?

– Nie – odparła. – Nie byłoby.

– Gloria mówiła, że ma pani mnóstwo do opowiedzenia. O jakimś glinie. Wezwano mnie dzisiaj rano, bo podobno jest pani gotowa, żeby mi wszystko wyznać.

– Mogę mówić rzeczy bardziej ogólne. Wciąż nie jestem pewna, czy powinnam zagłębiać się w szczegóły. Nie mam wrażenia, żebyś był po mojej stronie.

– Twierdzi pani, że jest ofiarą, zakładnikiem trzymanym wbrew swojej woli, i sugeruje, że pani siostra została zabita. Dlaczego nie miałbym być po pani stronie?

– Sam zobacz: „twierdzi pani”. Nie, że jakaś jestem, ale że twierdzę, że jestem. Twój sceptycyzm sprawia, że bardzo trudno mi tobie zaufać. Prawdopodobnie też zrobisz wszystko, aby zdyskredytować historię, która nie postawi w dobrym świetle jednego z pracowników waszego departamentu.

Trafiła teraz w czuły punkt, ale nie zamierzał dawać jej satysfakcji i pokazywać, jak bardzo go to wkurzyło.

– To tylko taka figura retoryczna, nic więcej. Proszę nie wyciągać z tego zbyt daleko idących wniosków.

Prawą ręką która nie była zabandażowana, przesunęła po włosach i wytrzymała jego spojrzenie. Ścierali się wzrokiem, aż wreszcie zamruwała, trzepocząc powiekami, jak gdyby poczuła się wyczerpana. Chociaż miał wrażenie, że ona po prostu dała mu tylko złudzenie wygranej, że wytrzymałaby znacznie dłużej. Twarda sztuka, naprawdę twarda.

– Znałam kiedyś taką dziewczynę... – zaczęła, nie otwierając oczu.

– Heather Bethany? Penelope Jackson?

– To było w liceum. Kiedy wciąż byłam z nim.

– Gdzie... ?

– Później. O stosownej porze. – Teraz wbiła wzrok w ścianę po swojej lewej stronie. – Ta dziewczyna była ogólnie znana i lubiana. Cheerleaderka, dobra uczennica. Miła. Taka osoba, którą podziwiają dorośli. Umawiała się z chłopcami. Starszymi, z college'u. Tam, gdziekolwiek to się działo, było jezioro. Dzieciaki chodziły tam nocami na randki, żeby pić i pieścić się. Jej rodzice nie chcieli, żeby wysiadywała w samochodach późno w nocy albo jeździła po ulicach z niedoświadczonymi chłopakami. Zawarli więc układ. Jeśli będzie się umawiała na randki w domu, ich domu, to oni uszanują jej prywatność. Oddadzą na ten czas salon, zniosą ciszę nocną, pozwolą pić piwo w granicach rozsądku. W salonie dziewczyna z chłopakiem mogli więc pić piwo, oglądać telewizję i żaden z rodziców miał tam nie wchodzić, no chyba że usłyszeliby krzyk „pożar” albo „gwałt”. Matka i ojciec siedzieliby w swojej sypialni, dwa piętra niżej. Jak myślisz, co się działo?

– Nie mam pojęcia.

Chryste, nic mnie to nie obchodzi. Ale udawał, że jest zainteresowany. Ta kobieta przyciągała cudzą uwagę jak magnes.

– Ona robiła tam wszystko. Wszystko. Doskonaliła się w sztuce obciążania. Straciła dziewictwo. Rodzice myśleli, że dadzą jej wolność, a ona nie przekroczy pewnych granic. Przypuszczali, że nie zaufa im do końca, że będzie się martwiła, czy aby zaraz nie wejdą. A dziewczyna, ta słodka, znana i lubiana, robiła w salonie rodziców wszystko oprócz grania w pornosach; jednak to nie zmieniło jej reputacji ani odrobinę.

– Czy to opowieść o pani?

– Nie. O postrzeganiu człowieka przez innych; o tym, jak cię widzą i jaki jesteś naprawdę. Teraz jestem osobą prywatną. Anonimową, zwyczajną. Ale kiedy zacznę ci opowiadać swoją historię, to wydam ci się skalana. Obrzydliwa. Nie będziesz się w stanie powstrzymać. Cheerleaderka mogła skończyć z obciążaniem, kiedy tylko chciała. Ale mała dziewczynka, która nie próbuje uciec od swojego porywacza i dręczyciela, która jest gwałcona co noc, ją trudniej zrozumieć. Czyli musiała to lubić, skoro nie uciekała, prawda? I tak właśnie można by pomyśleć, nawet nie wiedząc o tym gliniarzu, który stał na szczycie wszystkiego.

– Ja jestem z policji – odparł. – Ja nie obwiniam ofiar.

– Aleje kategoryzujesz. Co innego byś czuł względem kobiety pobitej na śmierć przez męża, niż handlarza narkotyków zabitego przez konkurencję. Taka już jest ludzka natura. A ty jesteś człowiekiem, prawda?

Kevin zerknął na Glorię. Z tego, co pamiętał, trzymała klientów na krótkiej smyczy, wtrącając się w trakcie przesłuchań i nakierowując ich odpowiedzi. Jednak tym razem pozwalała, aby show trwał dalej. Wyglądała nawet na lekko zahipnotyzowaną.

– Chcę ci pomóc, ale pragnę również zachować tę odrobinę normalności, jaka jeszcze mi została. Nie zamierzam być dziwadłem tygodnia we wszystkich kanałach informacyjnych. Nie chcę, żeby policjanci grzebali w moim obecnym życiu, rozmawiali z sąsiadami, kolegami z pracy i szefami.

– A z przyjaciółmi? Rodziną?

– Oni nie istnieją.

– Ale wie pani, że próbujemy znaleźć pani matkę, Miriam, w Meksyku?

– Jesteście pewni, że żyje? Bo... – Tak jakby ugryzła się w język.

– Bo co? Bo pani myśli, że ona nie żyje? Bo pani liczy na to, że ona nie żyje?

– Dlaczego nigdy nie zwracasz się do mnie po imieniu?

– Słucham?

– Gloria tak do mnie mówi. Kay też. Ale ty nigdy. Właśnie wypowiedziałeś imię mojej matki, ale ani razu nie powiedziałeś mojego. Nie wierzysz mi?

Słuchała uważnie, znacznie uważniej niż większość ludzi. Bo trzeba się naprawdę wsłuchać, aby wyłapać wszystkie niuanse w słowach obcej osoby. Miała rację, nie zwrócił się do niej „Heather”. Nie wierzył jej, po prostu od razu uznał ją za kłamcę.

– Tu nie chodzi o wiarę, zaufanie albo sympatię. Lubię pracować, korzystając z ustalonych faktów. Różne rzeczy można zweryfikować, a pani tak naprawdę nie dała mi żadnej z nich. Skąd ta pewność, że pani matka nie żyje?

– Mniej więcej wtedy, kiedy skończyłam osiemnaście lat...

– Który to był rok?

– Trzeci kwietnia 1981 roku. Detektywie, proszę. Znam swoją datę urodzenia, choć to niemały cud, biorąc pod uwagę, ile różnych dat urodzenia miałam w życiu.

– Data urodzenia Heather Bethany jest w Internecie. Była w gazetach. Wszyscy wiedzą, że dziewczynka zniknęła kilka dni przed swoimi dwunastymi urodzinami.

Nie kłopotowała się odpowiadaniem na pytania, na które nie chciała odpowiadać, co stanowiło kolejny dowód przebiegłości.

– Mniej więcej wtedy, gdy skończyłam osiemnaście lat, poszłam na swoje. Puszczona wolno, wsadzona do autobusu, z miłymi prezencikami... *isayonara*.

– Uwolnił panią, tak po prostu? Trzymał panią sześć lat, a potem pomachał na do widzenia, nie bojąc się, gdzie pani pojedzie albo co powie ludziom?

– Codziennie mi mówił, że rodzice mnie nie chcą, nikt mnie nie szuka, nie mam żadnej rodziny, do której mogłabym wrócić, a moi rodzice się rozwiedli i wyprowadzili. W końcu w to uwierzyłam.

– Ale co zdarzyło się, kiedy skończyła pani osiemnaście lat? Dlaczego panią puścił?

Wzruszyła ramionami.

– Przestał się mną interesować. Z upływem czasu stawałam się coraz mniej podatna na wpływy. Wciąż pod jego obcasem, ale zaczynałam się wychylać, wysuwać żądania. Nastąpiła pora, abym sama o siebie zadbała. Wsiadłam do autobusu...

– Gdzie?

– Jeszcze nie teraz. Nie powiem, skąd wyruszyłam. Ale pojechałam do



Chicago. Było tam zimno jak na kwiecień. Nigdy nie sądziłam, że w kwietniu może być tak zimno. W śródmieściu zorganizowano paradę na cześć astronautów z promu kosmicznego, którzy właśnie wrócili na Ziemię. Pamiętam, jak wyszłam z dworca autobusowego, na Loop, w samym centrum, i trafiłam na miejsce, gdzie wiwatowano. Ale spóźniłam się. Zostałam tylko śmieci.

– Całkiem ładna historia. To prawda czy tylko metafora?

– Cwany jesteś. – Pochwała i obelga w jednym.

– A dlaczego nie miałbym być? Bo jestem gliną?

– Bo jesteś przystojny.

Zarumienił się, chociaż zdecydowanie nie pierwszy raz kobieta chwaliła jego wygląd, i to go rozzłościło.

– To działa w obie strony, wiesz? Mężczyźni myślą, że ładne dziewczyny są głupie, ale kobiety myślą to samo o przystojniakach. Jedną z najgorszych rzeczy, jakie może zrobić kobieta, to wziąć sobie chłopaka ładniejszego od siebie. Nigdy nie mógłbyś być moim chłopakiem, detektywie Infante.

Dotąd Gloria Bustamante siedziała spokojnie, jak kamienny gargulec z oczami albatrosa, ale teraz chrząknęła głośno, przerywając niezręczną ciszę. Może jeszcze bardziej osłupiała, słysząc to wyznanie, niż sam Infante.

– Heather chce ci coś dać – stwierdziła. – Taki faktoid, coś, co możesz sprawdzić, a długo potrwa, zanim stwierdzisz autentyczność wszystkiego, co ona mówi.

– A dlaczego nie może wydać jakiegoś oświadczenia? – zapytał. – Z datami, czasem, miejscem. Podać nazwisko mężczyzny, który ją porwał i

zabił jej siostrę? Mieszkała z nim przez sześć lat. Przypuszczalnie zna to jego nazwisko.

Kobieta na szpitalnym łóżku podskoczyła, oczy jej błyszczały.

– Czy ty wiesz, że „faktoid” tak naprawdę oznacza „kłamstwo”? Pierwotnie to właśnie znaczyło. Teraz słowniki podają tylko, że to „drobny fakt”. Byłam tym rozczarowana. Myślę, że język powinien pozostawać niezmienny, nie ulegać złym wpływom.

– Nie jestem tutaj po to, żeby rozmawiać o języku.

– Dobrze, dam ci to, czego chcesz. Jedziesz międzystanową numer 83, zaraz za granicą Pensylwanii skręcasz w pierwszą ulicę, w stronę Shrewsbury. Wtedy to nie była rozwinięta okolica, nazwy ulic mogły się zmienić. Ale tam znajdowała się farma przy Old Town Road, drodze z Glen Rock do Shrewsbury, cały czas na York. Na tej farmie odbierano pocztę ze skrytki, ale na początku podjazdu była skrzynka z numerem 13350. Podjazd ma półtora kilometra, niemal równo. Dom z kamienia, drzwi pomalowane na jaskrawą czerwień. Stodoła. Niedaleko stodoły ogród. Grób mojej siostry znajdziecie pod drzewkiem wiśniowym.

– Ile drzewek wiśniowych tam rośnie?

– Kilka, są też między nimi inne drzewa. Jabłonie i grusze, kilka dereni, tak dla urozmaicenia. Kiedy nikt nie patrzył, udało mi się wydrapać wzór na korze. Nie jej inicjały. Coś takiego by zauważyli. Tylko mały krąg z iksów.

– Mówimy o czymś, co było trzydzieści lat temu. Drzewo mogło zniknąć, dom mógł zniknąć. Ziemia się zmienia.

– Ale pozostają zapisy w księgach. I jeśli sprawdzisz adres, jaki ci podałam, to jestem pewna, że znajdziesz nazwiska i będziesz mógł je

porównać z danymi z Departamentu Policji hrabstwa Baltimore.

– Dlaczego mi po prostu nie wyjawisz tego pieprzonego nazwiska, nie powiesz, kto ci to zrobił?

– Chcę, żebyś mi uwierzył, zobaczył tę farmę, nazwisko w aktach, potem w waszych własnych danych. Chcę, żebyś odkopał kości mojej siostry. Jeśli więc go znajdziesz, bo może nie żyć, to będziesz wiedział, że tyle akurat jest prawdą.

– Dlaczego nie pójdziesz z nami i nie pokażesz mi tego? Czy tak nie będzie prościej i szybciej?

A może, dziewczynko, właśnie w tym sęk, że ty nie chcesz, żeby było prosto i szybko? Po co grasz na zwłokę? O co ci chodzi?

– To akurat – powiedziała – jest jedyną rzeczą, której na pewno nie zrobię. Nie, nawet po prawie dwudziestu pięciu latach. Nie zamierzam już nigdy oglądać tego miejsca.

W to akurat wierzył, ale tylko w to. Strach na jej twarzy był prawdziwy, dreszcz przebiegający ramiona widoczny nawet pod szalem. Nie mogła znieść myśli o podobnej podróży. Gdziekolwiek się kierowała tamtego wtorkowego wieczoru, to zdecydowanie nie do Pensylwanii.

Ale to wcale nie znaczyło, że jest Heather Bethany.

## Rozdział 20

Kiedy Heather przekroczyła próg domu Forresterów, zmarszczyła nos.  
– Mam uczulenie na koty – powiedziała do Kay, tak jakby opiekunka była tępową sprzedawczynią nieruchomości. – Nie da rady.

– Myślałam, że wszystko rozumiałaś. Mówiłam ci, że mój syn Seth dorabiał sobie, opiekując się roślinami i zwierzętami tej rodziny.

– Słyszałam tylko o roślinach. Przykro mi, ale... – Odwróciła głowę i kichnęła. To było ciche, suche kichnięcie. Szczerze mówiąc, takie kocie.

– Za kilka chwil zrobię się cała czerwona i opuchnięta. Nie dam rady tutaj zostać.

Jej policzki się zaczerwieniły, oczy zaszyły łzami. Kay ruszyła za Heather z powrotem na zewnątrz, na ławeczkę z polnych kamieni pod domem. Jakaś czarnoskóra kobieta szła ulicą razem z córką i chociaż dziewczynka siedziała na czterokołowym rowerku, była wręcz zaskakująco wystrojona, w bladożółty bezrękawnik i dopasowane pod kolor buty. Matka miała na sobie ubranie w odcieniu trawiastej zieleni. Odwróciła się i spojrzała na obie kobiety na ławeczce z wyraźną podejrzliwością. Sąsiadka, Cynthia jakaś tam. Pani Forrester powiedziała, że jedna z sąsiadek ma zawsze oko na dom, więc nie muszą się o niego martwić przez cały urlop, podobnie jak nie martwili się o rośliny i kota Feliksa. Kay pomachała kobiecie z nadzieją, że to ją uspokoi, ale ona nie odwzajemniła gestu ani nawet się nie uśmiechnęła, tylko zmrużyła oczy i ukłoniła się sztywno, jakby ostrzegając: „Widzę ciebie. Przypomnę sobie o tobie, jeśli coś się stanie”.

– No, teraz to jestem zbita z tropu – oznajmiła Kay. – Nie możesz tutaj

zostać, a ja nie mogę zabrać cię do szpitala. W takiej sytuacji...

– Żadnego aresztu – powiedziała Heather; głos miała chropowaty, ochryply, ale może wciąż za sprawą kota. – Kay, powinnaś wiedzieć, dlaczego kobieta oskarżająca policjanta o złe traktowanie nie czułaby się tam bezpiecznie. Już dość, że gliniarz wartuje wszędzie, gdzie jestem. I nie chcę żadnego schroniska – dodała, jak gdyby wyprzedzając kolejne pytanie Kay. – Po prostu nie potrafiłabym tam żyć. Za dużo reguł. A ja nie lubię, kiedy inni mówią mi, co tam robić.

– Tak jest w schroniskach pierwszej potrzeby, gdzie łóżka daje się codziennie na zasadzie „kto pierwszy, ten lepszy”. Ale są też inne placówki, pośrednie. Nie jest ich dużo, ale jeśli wykonam kilka telefonów...

– To nie dla mnie. Przyzwyczałam się być sama.

– Nigdy z nikim nie mieszkałaś? To znaczy, od kiedy...

– Od kiedy opuściłam farmę? Och, nawet zamieszkałam z chłopakiem, raz czy dwa. Ale to nie dla mnie. – Uśmiechnęła się półgębkiem. – Mam problem w bliskich kontaktach z innymi ludźmi.

– Byłaś więc w poradni.

– Nie – odparła gwałtownie, urażonym tonem. – Dlaczego tak myślisz?

– Po prostu założyłam... To znaczy, przez te sformułowania, jakich użyłaś, przez to, co przeszłaś. To byłoby...

Heather usiadła na ławce. Kay czuła chłód i wilgoć poprzez podeszwy butów, a jednak uważała, że też powinna usiąść, zejść do poziomu Heather, a nie nad nią górować.

– Co ja bym powiedziała psychiatrze? I co on by mi odpowiedział? Zabrano mi życie, kiedy ledwie zaczęłam być nastolatką. Siostrę zabito na

moich oczach. Chociaż... całkiem nieźle dawałam sobie radę. Aż do tamtej chwili, siedemdziesiąt dwie godziny temu, moje życie było całkiem przyzwoite.

– A przez „pryzwoite” rozumiesz...

– Miałam pracę. Nic wielkiego, nic fascynującego, ale robiłam to dobrze i płaciłam rachunki. W weekendy, kiedy była ładna pogoda, jeździłam na rowerze. W niepogodę brałam jakiś przepis z książki kucharskiej, i próbowałam coś ugotować. Miałam tyle samo porażek, ile sukcesów, ale to przecież część procesu uczenia się. Wypożyczałam filmy, czytałam książki. Byłam... nie, nie nazwałabym tego szczęściem. Dałam sobie spokój ze szczęściem już dawno temu.

– Zadowolona? – Kay pomyślała, jak bardzo uzalała się nad sobą po rozwodzie, jak łatwo rzucała takimi słowami, jak „nieszczęśliwa”, „smutna”, „w depresji”.

– Nie byłam nieszczęśliwa. Właśnie do tego stanu aspirowałam.

– To takie smutne.

– Ja żyję. To więcej, niż ma moja siostra.

– A co z twoimi rodzicami? Nigdy nie pomyślałaś, co oni musieli czuć? Heather postukała dwoma palcami w wydęte wargi. Kay już wcześniej zauważyła u niej podobny gest, jakby gotowa odpowiedź tylko czekała, aby wydostać się na zewnątrz – ale Heather chciała najpierw przemyśleć wszystkie konsekwencje.

– Czy wolno nam zachować jakieś tajemnice?

– Pod względem prawnym? Ja nie mam odpowiedniej pozycji...

– Nie pod względem prawnym. Rozumiem, że możesz zostać zmuszona do powiedzenia w sali sądowej tego, co wiesz. Aleja nie oczekuję, że w

ogóle zobaczę wewnątrz sali sądowej. Gloria mówi, że nie będę musiała nawet rozmawiać z przysięgłymi. Czy my dwie, jako ludzie, możemy mieć tajemnice?

– Pytasz, czy możesz mi zaufać?

– Aż tak daleko bym się nie zapędzała. – Heather od razu spostrzegła, że jej słowa są nieprzyjemne. – Kay, ja nie ufam nikomu. Jak bym mogła? Ale tak naprawdę, czy nie sądzisz, że mi się udało? Wstaję codziennie, oddycham, jem, idę do pracy, robię, co do mnie należy, przychodzę do domu i oglądam główną telewizję, a potem wstaję następnego dnia i wszystko od początku. Nigdy nikogo nie skrzywdziłam... – Wargi zaczęły jej drżeć. – Nie celowo.

– Dziecko z wypadku dojdzie do siebie. Nie ma obrażeń mózgu ani rdzenia kręgowego.

– Nie ma obrażeń mózgu – powtórzyła z goryczą Heather – Tylko złamana noga. O rety!

– Za co w równym stopniu odpowiada ojciec, jeśli nawet nie bardziej. Pomyśl o jego bólu.

– Szczerze mówiąc, to dla mnie trudne. Ból innych. Kiedy słucham ludzi, jak mówią o tym, co uważają za bolesne, to chciałabym, żeby z moich wnętrzności wytrysnęło coś strasznego i paskudnego, jak na filmie science fiction. Pojęcie innych ludzi o bólu jest naprawdę kalekie. Jeśli facet chce, w porządku, może się zadręczać przez to, co się stało, ale on reagował na mój błąd...

– Błąd spowodowany warunkami drogowymi, które nie były twoją winą – przypomniała Kay.

– Tak, ale... Czy myślisz, że ta osoba z wcześniejszego wypadku lub

jakiś pierdołowaty pracownik hrabstwa, który dobrze nie wymyślił autostrady, poniosą odpowiedzialność? Nie, nigdy. Wina spada na tego, na którego spada, słusznie czy nie.

Odeszły od wyznań Heather. Kay zastanawiała się, czy zdoła z powrotem zaprowadzić rozmówczynię w tamtą stronę. Nie kierowała nią teraz chorobliwa ciekawość, była już tego całkiem pewna. Poczwała, że mogłaby stać się dla Heather bezinteresownym sojusznikiem. Policja, Gloria... Ona dla nich była zawsze kimś na drugim planie. A Kay nie obchodziło, kim Heather jest teraz; nie dbała o rozwiązanie zagadki sprzed lat.

– Możemy mieć tajemnice – oznajmiła, przypominając sobie pytanie. – Mów mi, co chcesz, a ja tego nie powtórzę, chyba że to by skrzywdziło ciebie samą albo kogoś innego.

Kolejny kwaśny półśmiech.

– Każdy zostawia sobie jakąś lukę.

– To się nazywa etyka.

– Dobrze, oto moja tajemnica. Kiedy już byłam na swoim, próbowałam się dowiedzieć, co się działo z rodzicami przez te wszystkie lata. Tatę łatwo dało się namierzyć, bo został w starym domu. Powiedziano mi, że się wyprowadził, ale jednak nie. Natomiast mama... Nie mogłam jej znaleźć. To znaczy, znalazłam, ale zgubiłam znowu, mniej więcej szesnaście lat temu. Uznałam, że umarła, ale nie zajmowałam się tym szczególnie wnikliwie, nie robiłam wszystkiego, co trzeba. Czułam dziwną ulgę, myśląc, że ona nie żyje, bo zacząłem wierzyć w to, co mówili inni, że ją nic nie obchodziło, że nie chciała się ze mną zobaczyć.

– Jak mogłaś w coś takiego uwierzyć?



Wzruszenie ramion jak u nastolatki, jak u Grace, córki Kay.

– A co do mojego taty – mówiła dalej, ignorując pytanie. – Nadszedł dzień, kiedy... No, nie chcę się w to zbyt zagłębiać. Dowiedziałam się, że nie ma go już pod tym adresem, a ja nie mogłam sobie wyobrazić, żeby się gdzieś przeprowadził. To było w 1990 roku. Wtedy miałby około pięćdziesiątki. Pewnie zmarł na atak serca albo na raka. Zaczęłam się włóczyć, przyjmując, że i tak nie pożyję znacznie dłużej niż pięćdziesiąt lat. Teraz oni mówią, że moja matka żyje, ale ja po prostu nie umiem w to uwierzyć. Była dla mnie martwa od tak dawna. I najprawdopodobniej ja też byłam dla niej martwa. Prawdę mówiąc, chcę ją zobaczyć, ale się boję... Bo ona nie będzie tą osobą, którą pamiętałam przez cały czas, ani ja nie będę tą osobą, którą ona pamięta.

– Czy ty kiedykolwiek... Przepraszam, to może być niestosowne.

– Nie krępuj się.

– Oglądałaś rysunki w Internecie? Te, na których próbowano odgadnąć, jak byś wyglądała po latach?

Tym razem uśmiech był całkiem szczery, nie ironiczny.

– Straszne, prawda? Jak blisko byli. Nie zawsze tak jest. Niektórzy tyją. Och, przepraszam.

Gdyby nie wyraźne przeprosiny, Kay w ogóle nie wzięłaby tego do siebie. Już wcześniej dostrzegła u Heather taki dziecięcy brak taktu.

– Spójrz – odezwała się Heather, jakby już zapomniała o gafie. – Jestem pewna, że nie zarabiasz dużo... ale czy nie mogłabyś mnie umieścić w jakimś starym motelu? Quality Inn przy drodze numer 40 chyba już nie istnieje, ale chodzi mi o coś w tym stylu. Zapłaciłabyś kartą kredytową. Oddałabym ci pieniądze. Może nawet moja mama ci odda.

Zdawała się rozbawiona tym pomysłem.

– Heather, przykro mi, ale moje dzieci i ja ledwie wiążemy koniec z końcem – odparła Kay. – I po prostu tak nie można. Jestem pracownikiem socjalnym. Są granice, których nie wolno mi przekroczyć.

– Ale ty nie pracujesz dla mnie. Znalazłaś Glorię, to wszystko. A czas pokaże, co z tego będzie.

– Nie lubisz Glorii?

– Tu nie chodzi o lubienie. Po prostu nie jestem pewna, czyjej interesy pokrywają się z moimi.

– Gloria jest dziwna i kocha popularność. Ale po swojemu angażuje się w sprawy. Dopóki nie zostanie okłamana.

Znowu ten ruch, dwa palce zbliżone do warg... To przypominało Kay zabawę w Indian. Dzieci wydawały okrzyki wojenne, podobnie uderzając palcami o usta. Zastanowiła się, czy nadal tak robią, czy może większa wrażliwość społeczna zakończyła takie zabawy. Niektóre ikony kultury zniknęły. Na przykład Alley Op, jaskiniowcy ciągnący kobiety za włosy. I kto tak naprawdę za tym tęskni? Czy Andy Capp i Flo wciąż pojawiają się w komiksach? Nie czytała komiksów od lat.

– Dalej, Kay. To byłoby jakieś rozwiązanie.

– Może zabiorę Feliksa do siebie do domu?

– Nie, tu wszędzie pełno kociej sierści i zapachu. Ale co ty na to, żebyś ty z dziećmi sprowadziła się tutaj, a ja zamieszkała w twoim domu?

Całkowita beztroska, z jaką Heather przedstawiła tę propozycję, wręcz powaliła Kay. Heather nie widziała w tym żadnego nadużycia uprzejmości. Kay ostrożnie używała terminów klinicznych, ale w zachowaniu Heather było trochę narcyzmu. Może tego potrzebowała, aby

przetrwąć.

– Nie, Seth i Grace by się nie zgodzili. Mają swoje przyzwyczajenia. Ale... – Wiedziała, że stąpa po niepewnym gruncie. Do diabła, już weszła na bardzo grząski grunt, zgodziła się wleźć w błoto i przez to może mieć mnóstwo problemów w pracy. Jednak brnęła dalej: – Mam pokój, nad garażem. Bez ogrzewania i klimatyzacji, ale o tej porze roku to nie powinno być problemem. Wstawię piecyk. Jest tapczan, mała łazienka z prysznicem. Może byś tam została, przynajmniej dopóki nie zjawi się twoja matka.

To nie powinno potrwać dłużej niż dzień, dwa, pomyślała Kay. A ona i tak przecież nie zajmowała się sprawą Heather, przynajmniej oficjalnie. To byłaby tylko przysługa dla Glorii. Zresztą, nie mogła pozwolić policji, aby uwięziła tę kobietę. Areszt zniszczyłby osobę, która większość młodości spędziła w niewoli.

– Myślisz, że jest bogata? – zapytała Heather.

– Kto?

– Moja matka. My nigdy nie byliśmy, wręcz przeciwnie. Ale Infante mówił, że matka mieszka w Meksyku, więc chyba ma sporo pieniędzy. Może jestem jej spadkobierczynią. Zawsze się zastanawiałam, co stało się z biznesem taty i jego domem, kiedy umarł. Czasem czytam w gazetach informacje o kontach bankowych i depozytach, po które nikt się nie zgłasza. Ale nigdy nie znalazłam swojego nazwiska. Zgaduję, że nie mógł umieścić mnie w testamencie, skoro wszyscy sądzili, że nie żyję. Nie wiem, co się stało z naszym funduszem na college; choć pewnie nie był zbyt duży.

Kay poczuła, jak wilgoć z kamienia przesącza się przez jej spódnice,

ale dłonie miała dziwnie gorące i spocone.

– I teraz ona wraca. Chcę zadzwonić do Glorii, dowiedzieć się, co o tym wszystkim myśli. Może powinnam zgłosić się jutro sama, opowiedzieć im w końcu całą historię. Założę się, że do tego czasu będą już gotowi, aby mi uwierzyć.

## Rozdział 21

Po ekranie monitora fruwały niemowlaki. Właściwie jeden, ten, który liczył się w nowym millennium. Dalej, Jezu, zrób miejsce, pomyślał Kevin, bo Andrew Porter Junior przybywa do miasta. Matka Andiego, od niedawna specjalistka od komputerów, nagrała na dysk chyba nieskończenie wiele podobizn syna, dlatego kiedy włączał się wygaszacz, zaraz rozpoczynał się przegląd slajdów z małym Andym. Andy jako dzidzius, trzymany na rękach przez niesamowicie wielkiego ojca. Andy przy jedzeniu, Andy z książeczką z obrazkami, Andy zezujący na bożonarodzeniowe drzewko. Ojcowskie geny odcisnęły piętno na twarzy i nieco zwalistym ciele chłopca, jednak Kevin lubił myśleć, że w spojrzeniu dziecka jest słodki sceptycyzm Nancy Porter. „Mówisz, że jest taki facet i przynosi mi prezenty? A co on z tego ma?” „A co do diabła, ma z tym wszystkim wspólnego choinka?”

– Akta z Pensylwanii są pochrzanione – oznajmiła Nancy, przesuwając kursor, przez co Andy zniknął, a pojawiła się zarchiwizowana strona z Internetu. – Albo ja nie wiem, jak to działa. W Marylandzie wystarczy podać adres, hrabstwo i już można zbadać jakąś nieruchomość całe lata wstecz. Ale nie potrafiłam znaleźć odpowiednika takiej strony w Pensylwanii.

Trafiłam tylko na informację, że działkę z takim adresem, który mi dałeś, miała jakaś spółka z o. o. i sprzedała ją kilka lat temu.

– Jaka spółka?

– Z ograniczoną odpowiedzialnością czyjś mały biznes. Mercer Inc. To mogło być wszystko, od stoiska z warzywami po sprzątanie. Ale w

naszych rejestrach osobowych nie ma żadnego Mercera, chcemy więc poznać poprzedniego właściciela.

Nancy, przed urodzeniem dziecka miło zaokrąglona, sama twierdziła, że teraz jest grubasem, ale tak naprawdę chyba nigdy nie przejmowała się swoją wagą. Kiedy wróciła do pracy, poprosiła o przeniesienie do działu starych spraw, czym Infante po kryjomu gardził. Grzebanie w starych aktach i szukanie jakichś przełomów – świadka gotowego po latach wyznać prawdę, małżonka zmęczonego już wszystkimi tajemnicami – wydawało mu się drętwym zajęciem. Rozumiał, dlaczego młoda matka chciała pracy gwarantującej regularne godziny zajęć, ale nie był pewien, czy coś takiego można uznać za pracę w policji. Nancy jednak miała smykałkę do komputerów i niezawodny zmysł pozwalający wyszukiwać informacje bez wstawania zza biurka. „Bogini drobnych spraw”, jak kiedyś przeważał ją Lenhardt, tropiła teraz najdrobniejsze okruchy informacji z taką precyzją jak kiedyś łuski naboju – i potrafiła je znaleźć z odległości stu kroków. Jednak przez stare archiwa Keystone State kręciła się w kółko.

– Przypuszczalnie to jest szukanie wiatru w polu – oznajmił Infante, kiedy Nancy kliknęła na mapę, pokazując dokładną lokalizację żądanego miejsca. – Ale pojedę tam, trochę się porozglądam, wybadam sąsiadów.

– Trzydzieści lat. Dwadzieścia cztery, jeśli rzeczywiście wyjechała w 1981 roku. Czy w ogóle ktokolwiek mieszka w tym samym miejscu tak długo?

– Potrzebujemy tylko jednej osoby. Najlepiej jakiegoś wścibskiego, starego gościa ze znakomitą pamięcią i albumem fotograficznym.

Kevin kierował się na północ, dziwiąc się stałemu strumieniowi

ulicznego ruchu w samym środku dnia. Lenhardt mieszkał niedaleko i ciągle marudził o mecie dojazdu do pracy. Mówił, że to taka swoista wojna, codziennie toczona bitwa. No to po co tu mieszkać? – pytał go Infante, już zmęczony ciągłym przeklinaniem. Słyszał odpowiedź taką jak zawsze: dzieciaki, szkoła, problemy, których nie znał wolny mężczyzna.

Choć Kevin akurat o mało ich nie poznał. Pierwsza żona napędziła mu pod tym względem niezłego stracha. A może raczej tak to później wspominali, kiedy stało się już jasne, że Tabitha nie jest w ciąży. Strach; uniknęli niebezpieczeństwa. Ale tak naprawdę, wcale nie czuł ulgi, choć miał do tego powód później, gdy jego małżeństwo się rozpadło. Właściwie nawet miał nadzieję, że to prawda, serio, przymierzał się już do roli taty i uznał, że całkiem mu pasuje. Tabitha zmartwiła się, bała się o swoją nową pracę w biurze brokera udzielającego kredytów hipotecznych. Zastanawiała się, co stanie się z jej planami związanymi z handlem nieruchomościami. Mówili więc później o strachu, a żona stała się czujniejsza, jeśli chodziło o zapobieganie ciąży. Potem po prostu przestała uprawiać z nim seks, a Kevin zaczął ją zdradzać. Kłótnia o to, co nastąpiło pierwsze, była jak spór o jajko i kure. Stała się zaczynem ich rozwodu, a Tabby uznała wreszcie, że mówił prawdę, że zaczął się pieprzyć ze wszystkimi wokół, dopiero kiedy ona przestała z nim sypiać. Mimo to odmawiała ujrzenia w tym związku przyczynowo-skutkowego, co Infante'a mocno wkurzało.

– Powinieneś walczyć o nasze małżeństwo! – wrzeszczała. – Powinieneś porozmawiać ze mną w cztery oczy albo zwrócić się o radę, albo coś zrobić, żebym znów poczuła się kobietą.

Nigdy nie był pewien, o co chodziło w tej ostatniej części wypowiedzi.

O masaż stóp, bąbelkowe kąpiele i nieprzyzwoite prezenciki?

– Właśnie teraz o nie walczę! – odkrzykiwał. – Rozmawiam z tobą. Siedzę w poradni, za którą zresztą muszę bulić z własnej kieszeni.

Ale to był koniec, ona już podjęła decyzję. Później zawsze słyszał podobne historie: to kobiety tak naprawdę chciały rozwodu. Jasne, istniało kilku dupków, których nie obchodziły cudze uczucia i wymieniali żony na nowsze modele. Jednak Infante z własnego doświadczenia wiedział, że takich gnojków było niewielu. Większość rozwodników, jakich znał, była takimi facetami jak on – popełnili błąd, ale wyrażali szczerą chęć dalszego pozostawania w małżeństwie. Lenhardt, który przy drugim związku stał się nieco przemądrzały, jeśli chodziło o sprawy szczęścia rodzinnego, lubił mawiać, że prośba o wizytę w poradni stanowi pierwszy sygnał, że żona gotowa jest odejść.

– Stosunki międzyludzkie to takie babskie szachy – twierdził. – Kobiety widzą całą planszę, wszystko mają już zaplanowane. To one są w końcu królowymi. My jesteśmy królami, którzy mogą się poruszyć tylko o jedno pole i muszą być chronieni przez całą tę pieprzoną grę.

Infante i jego druga żona, Party, nawet nie próbowali odwiedzić poradni. Przeszli od razu do rzeczy, wynajęli prawników, na których nie mogli sobie pozwolić, popadli w długi, wyklócając się o prawa do swojego niewielkiego majątku. I znowu Kevin cieszył się, że nie mają dzieci. Nieznająca Biblii Party, zresztą nieznająca się w ogóle na niczym, mogłaby przeciąć to dziecko na pół, zanim jeszcze zwróciłaby się o radę do jakiegoś Salomona. Tyle że zamiast ciąć od stóp do głów, chlasnęłyby wszereż, a Infante'owi dała tę część, która sra i sika. Najgorsze, że on wiedział o tym od samego początku. Stojąc w kościele – bo Patty,



wcześniej już dwukrotnie zameżna, uwielbiała celebracje własnej osoby – uświadomił sobie, że popełnia straszliwy błąd. Kiedy patrzył na nią, jak idzie między rzędami ławek, miał wrażenie, iż widzi ciężarówkę sunącą prosto na niego.

Ale seks z Patty był wspaniały.

Jazda międzystanową numer 83 znowu zrobiła się gówniana, gdy wjechał do Pensylwanii, i szybkość poruszania się spadła do niecałych dwudziestu kilometrów na godzinę. Jednak nadal rozumiał, dlaczego górnicy z Baltimore chcieli tu zamieszkać, dobrych siedemdziesiąt kilometrów od miasta. Wcale nie tylko dlatego, że było taniej. Ładnie wyglądały pola, bursztynowe fale zboża. Skręcił w pierwszy zjazd, zgodnie ze wskazówkami, jakie Nancy wydrukowała mu z Internetu. Pojechał wijącą się drogą na zachód, potem skręcił na północny wschód. McDonald, Kmart, Wal-Mart. Okolica była zabudowana całkiem gęsto. Opony auta buczały, jakby zatroskane. Czy w ogóle istnieje szansa, że zachowało się tu szesnaście hektarów pustej przestrzeni?

Niezupełnie. Chociaż zatrzymał się przy samym budynku numer 13350, to po chwili pojechał jeszcze kilka kilometrów za osiedle Glen Rock, mając nadzieję, że się jednak pomylił – i dopiero wtedy zawrócił. Jednak dobrze trafił, parcelę pod tym adresem zabudowano, stało tam „ekskluzywne osiedle dla kadry kierowniczej wzniesione na rozległej przestrzeni”.

W tym wypadku „rozległa przestrzeń” to było około hektara, a „ekskluzywne” domy miały dwa, trzy lata, sądząc po rachitycznych drzewkach i dosyć jeszcze skromnym otoczeniu. Jeśli zaś chodzi o kadre kierowniczą, samochody na podjazdach wskazywały raczej na zarząd

średniego szczebla: subaru, camry i jeep cherokee. Na naprawdę bogatym osiedlu pojawiłby się lexus, może też mercedes. Bogaci ludzie nie musieli wyprawiać się aż tak daleko, żeby mieć pokoje dla całej rodziny i garaże na dwa auta.

A co z ogrodami? Dawno zniknęły. Zakładając, że w ogóle były.

– Czyż to akurat nie pasuje? – zapytał się na głos. Ona była całkiem przekonująca, z tym swoim panicznym strachem przed powrotem tutaj. Ale teraz zastanawiał się, czy po prostu nie chciała uniknąć problemów z odgrywaniem raz jeszcze swojej konsternacji przed Kay. Zapisał nazwę firmy, która zabudowała działkę. Sprawdzi u miejscowej policji, czy w trakcie prac wykopano jakieś kości. Poprosi Nancy, żeby jeszcze raz sprawdziła to w Nexis. Hrabstwa Baltimore i York leżały blisko siebie, ale całkiem prawdopodobne, że znaleziony tutaj szkielet nie zostanie przypisany żadnej sprawie związanej z Marylandzie, zwłaszcza takiej, która liczyła sobie trzydzieści lat i dotyczyła zaginięcia dwóch dziewczynek. A niestety nie istniało coś takiego jak krajowy bank danych o zaginionych kościach, gdzie wpisywałoby się odpowiednie informacje i wyskakiwałyby od razu wszystkie sprawy osób zaginionych, czekające tylko, aby szukać wśród nich odpowiedzi na różne pytania. Wybrał numer komórki Nancy.

– Masz coś? – zapytała. – Bo ja coś znalazłam...

– Zabudowano tę działkę. Ale wpadłem na pewien pomysł. Możesz poszukać w hrabstwie York.... Nie wiem, co tam wpisać... „Hrabstwo York”, „kości” i nazwę ulicy? Jeśli tam był grób, powinien zostać naruszony kiedy stawiali budynek, prawda?

– Och, tobie chodzi o poszukiwania boolowskie.

– Boo... co?

– Nieważne. Wiem, czego chcesz. A teraz słuchaj, co ja dostałam, siedząc sobie wygodnie przy biurku.

Infante pomyślał, że raczej nie byłoby uprzejmie wspominać, czego jeszcze Nancy mogła dostać, siedząc sobie wygodnie przy biurku. Tyłek ostatnio znacznie jej urósł.

– No co?

– Udało mi się znaleźć akta tych parceli. Przepisano własność na Mercer Inc w 1978 roku, ale wcześniejszym właścicielem był Stan Dunham. Facet służył w policji hrabstwa jako sierżant w dziale napadów rabunkowych. Poszedł na emeryturę w 1974 roku.

Czyli już eksgliniarz, gdy porwano dziewczynki, chociaż dziecko nie musiało wcale dostrzec różnicy. Ale departament coś takiego łatwiej strawi. Trochę łatwiej.

– Jeszcze żyje?

– To zależy, jak na to spojrzeć. Jego emerytura przychodzi na adres w hrabstwie Carroll, niedaleko Sykesville. To ośrodek opiekuńczy dla osób niezdolnych do samodzielnego funkcjonowania. Z tego, co mówią w okolicy, więcej tam opieki niż życia.

– Co to znaczy?

– Trzy lata temu u Dunhama zdiagnozowano alzheimera. On ledwie wie, kim w ogóle jest, wegetuje. Nie ma żyjących krewnych, ale jest za to jego prawny pełnomocnik.

– Nazwisko?

– Raymond Hertzbach. Mieszka w Yorku, więc możesz do niego jeszcze wpaść, zanim pojedziesz z powrotem. Przepraszam.

– Hej, ja lubię wyrywać się z biura. Nie zostałem policjantem po to, żeby cały dzień siedzieć za biurkiem.

– Ani ja. Ale wszystko się zmienia.

W głosie Nancy zabrzmiała nutka złośliwego zadowolenia z siebie, co w ogóle do niej nie pasowało. Może wyłowiła jego niewypowiedziane spostrzeżenie, na temat tyłka rosnącego podczas pracy przy biurku. No, już wystarczy.

Nawierzchnia na autostradzie stawała się fatalna dopiero w okolicy Yorku. Kevin ucieszył się, że nie musi narażać swojego prywatnego samochodu na pensylwańskie dziury i koleiny. Hertzbach zdawał się grubą rybą w małej sadzawce, facetem z reklamą na billboardzie i biurem w zaadaptowanym wiktoriańskim domu. Nadęty i wychuchany, miał na sobie różową koszulę i kwiecisty różowy krawat, pasujące mu do różowej twarzy.

– Stan Dunham przyszedł do mnie mniej więcej wtedy, jak sprzedał działkę.

– Kiedy to było?

– Z pięć lat temu.

Nowy właściciel musiał szybko opylić nieruchomość, pewnie dostał za to jeszcze więcej pieniędzy.

– To był dla niego nieoczekiwany przyływ gotówki, ale miał przecucie, że powinien się przygotować na długotrwałe wydatki. Jego żona zmarła... Byłem pod wrażeniem, że nie sprzedawał tej ziemi, póki ona żyła. Powiedział, że nie ma dzieci, żadnych spadkobierców. Wykupił kilka ubezpieczeń, które mu poleciłem: długoterminową opiekę, dożywotnie renty. Zajmował się tym ktoś inny, z tych okolic. Donald

Leonard, mój kolega rotarianin.

I odpalił ci niezłą dołę, pomyślał Infante.

– Czy Dunham prosił kiedyś o poradę w sprawach kryminalnych?

Hertzbacha pytanie rozbawiło.

– Nawet gdyby, to i tak nie mogę o tym mówić. Obowiązuje mnie tajemnica zawodowa.

– Ale z tego co wiem, on teraz nie jest zdolny...

– Tak, bardzo mu się pogorszyło.

– A jeśli umrze, kogo należałoby powiadomić? Miał krewnych, przyjaciół?

– O nikim takim nie słyszałem. Ale jakaś kobieta ostatnio do mnie dzwoniła, ciekawiły ją sprawy finansowe.

To natychmiast przykuło uwagę Infante'a kobieta zainteresowana jego pieniędzmi.

– Podała swoje nazwisko?

– Na pewno, ale musiałbym poprosić sekretarkę, żeby przejrzała zapiski, przyporządkowała datę do nazwiska. Ona była... dosyć obcesowa. Chciała wiedzieć, kto jest w testamencie, jeśli ktokolwiek, i ile pan Dunham ma pieniędzy. Oczywiście, nie powiedziałem. Zapytałem, co ją łączy z moim klientem, ale wtedy odłożyła słuchawkę. Zastanawiałem się, czy to nie ktoś z domu opieki, kto próbował wkraść się w jego łaski, kiedy pacjent był jeszcze przytomny. Biorąc pod uwagę czas...

– Czas?

– Pan Dunham przeprowadził się do hospicjum w lutym, co oznacza, że nie spodziewali się, żeby żył dłużej niż sześć miesięcy.

– On umiera z powodu demencji? To możliwe?

– Rak płuc, a rzucił palenie, kiedy miał czterdziestkę. To jeden z największych pechowców, jakich spotkałem. Sprzedał swoją ziemię za grosze, potem zawiodło go zdrowie. Niezła lekcja.

– A jaka dokładnie?

Kevin próbował być cwany, ale Hertzbach jakby oniemiał, słysząc takie pytanie.

– Dlaczego, do... No nie wiem, „ciesz się każdym dniem” – powiedział w końcu. – „Bierz z życia, ile się da”.

Dzięki za olśnienie, stary, pomyślał Infante. Wyszedł z biura prawnika i potoczył się z powrotem do granicy Marylandu. Zastanawiał się nad zbiegiem okoliczności, który sprawił, że kobieta, która dzwoniła, przedstawiła się sekretarce jako – cóż za pomysłowość – Jane Jones. Dzwoniła około pierwszego marca, nie, nawet trzy tygodnie wcześniej. Pytała o pieniądze starego gliniarza. Czy wiedziała, że on umiera? Ale skąd? Czy myślała o tym, żeby podać go do sądu? Musiała się orientować, że spraw o zabójstwo nie dotyczy przedawnienie.

Ale też nie ma z nich żadnych pieniędzy.

Jak to wszystko do siebie pasuje. Stara farma, która zniknęła. Kto wie, co się stało z rzekomym grobem? I ten stary człowiek, sprawca równie dobry, jak każdy inny.

Kiedy Kevin wjechał do Marylandu, niezgrabnie wyciągnął telefon i wystukał numer do Willoughby’ego, aby zapytać, czy kiedykolwiek słyszał o Dunhamie, chociaż to Lenhardt mieszkał pod miastem prawie dziesięć lat. Żadnej odpowiedzi. Postanowił raz jeszcze odezwać się do Nancy, sprawdzić, czego się dowiedziała.

– Cześć Infante.

Wciąż jeszcze nie przyzwyczał się, że telefony wyświetlają nazwisko dzwoniącego, od razu go identyfikując. Brakowało mu dawnego elementu tajemnicy.

– Prawnik podał kilka smakowitych kąsków, ale Dunham to raczej ślepa uliczka. Czy jesteś już ekspertem od Bethanych?

– Prawie. Udało mi się znaleźć mamuszkę, jej starą firmę handlującą nieruchomościami w Austin. Oni wiedzą, jak się skontaktować z Miriam. Lenhardt chce spróbować.

– Musimy trzymać ją z daleka, póki nie będziemy wiedzieć na pewno.

– Tak, ale Infante...

– Musimy mieć nad tym kontrolę. I nie chcemy marnować jej czasu, jeśli okaże się fałszywym tropem.

– Infante...

– Ona musi w końcu zrozumieć, że nie ma gwarancji...

– Infante, zamknij się i posłuchaj mnie przez moment. Miałam przeczucie, wpisałam nazwisko Penelope Jackson do archiwum prasowego w Nexis. Nie zrobiłeś tego, prawda?

Cholera. Nie cierpiał, kiedy Nancy tak się wywyższała.

– Interesowały mnie tylko przestępstwa kryminalne. I szukałem w Google, ale tam są setki trafień. To bardzo popularne nazwisko. Poza tym, dlaczego miałem sprawdzać, czy ona pojawia się przy okazji innych spraw?

– Wzmianka o niej pojawiła się w artykule w jakimś czasopiśmie w Georgii. – Chwila przerwy, gdy Nancy klikała, szukając zarchiwizowanych wiadomości. – „Brunswick Times”. Ostatnie Boże Narodzenie. Jakiś facet zginął w pożarze w Wigilię, uznano to za

wypadek. Jego dziewczyna była wtedy w domu, nazywała się Penelope Jackson.

– To mógł być zbieg okoliczności.

– Jasne – zgodziła się Nancy, ale jej zadowolenie z siebie dało się wyczuć nawet przez fale telefoniczne. – A co powiesz o tym, że facet, który zginął, nazywał się Tony Dunham?

– Prawnik tego gościa powiedział, że Dunham nie ma żadnych spadkobierców i nie miał ich nawet pięć lat temu.

– A tamtejszym gliniarzom dziewczyna oznajmiła, że wszyscy krewni Tony’ego Dunhama już nie żyją. Chociaż wiek by pasował, on miał pięćdziesiąt trzy lata, jak umarł, a numer jego polisy ubezpieczeniowej zaczynał się na dwadzieścia jeden, czyli wydano ją w Marylandzie. Dunhamowie przypuszczalnie mieszkali w Marylandzie, zanim przeprowadzili się do Pensylwanii.

– Ale trzydzieści lat temu on miał dwadzieścia trzy lata. Mógł już wtedy nie mieszkać z rodzicami.

A teraz nie żyje, zmarł wskutek wypadku. Dlaczego wszystko, co dotyczy tej kobiety, kończy się śmiercią? Wychodzi na to, że rodzina, której samochód potrafiła, miała szczęście, że w sumie nic się nie stało.

– Do diabła, trzeba go sprawdzić z każdej strony. Analizowałaś dane wojskowe?

– Jeszcze nie – przyznała, dając mu odrobinę satysfakcji. – Specjalnie poszukałam tego, czego nie sprawdziłeś.

– Gdzie jest Brunswick? Jak się tam dostać?

– Sierżant zarezerwował ci lot do Jacksonville, odlot o siódmej. Brunswick leży około godziny dalej na północ. Penelope Jackson



pracowała w restauracji Mullet Bay, pod miastem, na wyspie Saint Simons, ale rzuciła tę robotę z miesiąc temu. Wciąż może być w okolicy, choć już nie pod tym adresem.

A może jest w Baltimore i płata wszystkim upiorny dowcip.

## Rozdział 22

Jesteś pewna, że nic ci nie będzie?

– Jasne – powiedziała, myśląc: Idź, idź już proszę. – Mogę nawet zająć się Sethem, jeśli woli zostać.

– Wspaniale... – zaczął chłopiec. Ale Kay szybko mu przerwała:

– Nie, nie, nie chcę nadużywać twojej uprzejmości.

Chodzi ci o to, że nigdy byś tego nie zaryzykowała. Dobrze, Kay, w porządku. Ja też bym nie zostawiła go ze sobą. Tylko tak zaproponowałam, żebyś nie uznała mnie za podejrzanego typa.

– Mogę zostać u ciebie w domu, żeby Obejrzeć telewizję? Dostrzegła, że Kay nie zamierza zaoferować aż tyle gościnności. Kay jej nie ufała i miała rację, chociaż nie mogła tego wiedzieć. To była krótka wewnętrzna walka, ale poczucie sprawiedliwości Kay w końcu wygrało. Och, jak ona uwielbiała tę Kay, kobietę zawsze godną zaufania. Fajnie być taką jak ona, ale bycie miłym i sprawiedliwym stanowiło luksus, na który nie mogła sobie pozwolić.

– Oczywiście. I proszę, nie krępuj się, częstuj się, czym chcesz...

– Po tak wspaniałym obiedzie? – Poklepała się po brzuchu. – Już nie dałabym rady zjeść ani kęsa.

– Tylko ktoś, kto był przez dwa dni w szpitalu, może uznać chińskie jedzenie za wspaniałe.

– Moja rodzina żywiła się chińszczyzną. Och, ja wiem, to nie to samo miejsce ani ta sama rodzina, ale przypomniałam sobie o tym, kiedy jechaliśmy do Wung Fu.

Kay rzuciła jej sceptyczne spojrzenie. Czyżby teraz trochę przesadziła z

opowieścią? Ale to akurat była prawda. Może dotarła już do takiego etapu, gdzie oszustwa stają bardziej wiarygodne od prawdy? Czy to skutek zbyt długiego życia w kłamstwie?

– Sos z kaczki – odezwała się, uważając, by nie mówić zbyt wyraźnie ‘i gwałtownie. – Myślałam, że jest od kaczki, tak jak mleko od krowy. Przyzwyczaiałam się do myśli, że jeśli wcześniej rano zaparkujemy na Woodlawn, nieopodal Gwynns Falls, to zobaczę Chińczyków dojących kaczki. Wyobraziłam sobie ich w tych słomkowych kapeluszach. O Boże, wszyscy mówiliśmy wtedy „kapelusze żółtków”. Rany, ale byliśmy rasistami.

– Dlaczego? – zapytał Seth.

Lubiła go, Grace też, prawie wbrew sobie. A przecież gardziła dziećmi, strasznie ją denerwowały. Jednak w dzieciach Kay była taka słodycz, czułość, odziedziczone albo wyuczone od matki. Bardzo troszczyły się o Kay, co pewnie stanowiło efekt uboczny rozwodu.

– Nas to wtedy nie raziło. Pewnie za trzydzieści lat ktoś nie będzie mógł uwierzyć w rzeczy, które ty mówiłeś, robiłeś i myślałeś.

Po wyrazie twarzy Seta widziała, że wcale się nie dał przekonać, ale przez uprzejmość nie protestował. Jego pokolenie chciało stać się doskonale pod każdym względem, umieć odkrywać każdą tajemnicę. Przecież mieli iPody. Zdawało się, że to właśnie sprawia, że uważają wszystko za możliwe; sądzą, iż są w stanie kontrolować życie tak jak swoją muzykę, kręcąc kółeczkiem do ustawiania piosenek. No jasne, kochanie. Wszystko to przecież jedna wielka playlista, która tylko czeka, by ją ułożyć. Nowy wspaniały świat na zawołanie.

– Nie powinno nam to zabrać dłużej niż godzinę – oznajmiła Kay.

– Nie martw się o mnie. Albo, jak zwykł mawiać wujek: „Nie szalej, tylko idź”.

Pozostawiona sama w domu, włączyła telewizor w swojej kryjówce i zmusiła się, aby siedzieć spokojnie i przez dziesięć minut oglądać jakiś niesamowicie głupi program. Dzieci zawsze czegoś zapominają, uznała, ale po kilku minutach jazdy rodzice dochodzą do wniosku, iż nie warto po to wracać. Kiedy program po raz trzeci przerwały reklamy, usiadła do komputera. Żadnych haseł, żadnych haseł, błagała w myślach – no i oczywiście żadnych haseł nie było. Mały laptop Della stał szeroko otwarty. Pewnie zostaną ślady nowego użytkownika, ale kto wpadłby na pomysł, aby ją tutaj ścigać? Pospiesznie sprawdziła przez Internet pocztę, patrząc, czy jest coś pilnego. Potem wysłała emaila do szefa. Wyjaśniała, że miała wypadek i ważną sprawę rodzinną – w sumie prawda, bo sama sobie była rodziną – i musiała natychmiast wyjechać z miasta. Szybko zamknęła skrzynkę mailową na wypadek, gdyby szef siedział akurat w sieci i chciał jej odpowiedzieć. Potem, świadoma ryzyka, zaczęła wstukiwac „Heather Bethany” w okienko wyszukiwarki Google’a.

He... Wpisała ledwie dwie litery, a Google już uzupełnił hasło, podając właśnie takie, którego zamierzała szukać. Co... Ech, mała wścibska Kay. Przez kilka dni wykonała całkiem sporą, nadprogramową pracę domową. Heather poczuła się lepiej, widząc, że Kay wcale nie jest aż tak szlachetna i uczynna, że potrafi być zwyczajnie wścibska. Przejrzała historię odwiedzonych stron, ciekawa, dokąd zaprowadzają te cudze poszukiwania. Natykała się jednak wciąż na zwyczajne witryny, takie z podstawowymi sprawami. Kay zaglądała do archiwum „BeaconLight”, ale unikała linków, gdzie należało wnieść opłaty. Nieważne, ona знаła tę historię już na

pamięć. Była też strona o zaginionych dzieciach, z tymi niesamowitymi, postarzonymi fotografiami i podstawowymi faktami. I jakiś upiorny blog kogoś z Ohio, kto utrzymywał, że rozwiązał sprawę sióstr Bethanych. Dobra. Och, jakby ona chciała, żeby Kay, pracownik socjalny, miała dostęp do tajnych rządowych archiwów, gdzie trzyma się poufne dane. Ale oczywiście nie istniały takie miejsca, a jeśli nawet, sama już dawno by je znalazła i włamała się do nich. Całe wieki temu, do cna wyczerpała wszelkie komputerowe źródła.

Niechętnie rozłączyła się z Internetem i wyłączyła monitor. Tęskniła do własnego komputera. Aż do tej chwili nigdy nie zastanawiała się nad uczuciem do swojej maszyny, nie zwracała uwagi na to, ile godzin dziennie spędza wgapiona w ekran. To, co właśnie teraz sobie uświadomiła, wcale nie wydało się jej żalosne. Wręcz przeciwnie. Lubiała komputery, tę ich logikę i schludność. W ciągu kilku ostatnich lat nieraz parskła śmiechem, słuchając o obawach żywionych względem Internetu, że niby umożliwi dostęp do nieletnich dziewcząt i chłopców, rozpowszechni dziecięcą pornografię. Jakby przed pojawieniem się komputerów świat był bezpieczny. Gdyby jej fatalne w skutkach postęпки zaczęły się od rozmowy na chacie, rodzice mieliby szansę to zauważyć. Ona jednak w prawdziwym świecie spotkała się z kimś w cztery oczy i stąd właśnie wzięły się wszystkie problemy, z takiej zwyczajnej rozmowy, najbardziej niewinnej, jaką tylko można sobie wyobrazić.

– Podoba ci się ta piosenka?

– Słucham?

– Podoba ci się ta piosenka?

– Tak.

Tak naprawdę, wcale jej się nie podobała. Nie lubiła takiej muzyki, ale rozmowa stała się już czymś innym, czymś, co miała nadzieję nigdy się nie skończy.

## Rozdział 23

I w końcu telefon zadzwonił. Tak właśnie Miriam zapamiętała tamtą chwilę. Zaczęła stwarzać wspomnienie, jeszcze gdy wszystko się działo, poprawiać terażniejszość w trakcie jej trwania. Później mówiła sobie, że wyczuła powagę akurat tego telefonu już za sprawą samego głuchego, ponurego brzęczenia dzwonka, które słyszała, szykując stół do obiadu. Ale tak naprawdę wiedziała o tej powadze dopiero kilka chwil później, gdy jakiś mężczyzna odchrząknął i zaczął mówić po baltimorsku – nietypowo wypowiadając samogłoski, tak drażniąco. Jak dobrze znała ten sposób mówienia.

Znaleźli dziewczynki.

Trafili na jakieś ciała i to mogą być siostry Bethany.

Pewnie kolejny wariat zaczął bełkotać w areszcie, rozpaczliwie chcąc pójść na układ z policją albo zwyczajnie zwrócić na siebie uwagę.

Znaleźli je.

Wariat w areszcie coś bełkocze, ale trzeba go wysłuchać.

Oni je znaleźli.

Sunny. Heather. Dave nie żyje, biedny Dave, nie doczekał końca całej tej historii. A może właśnie miał szczęście, zaoszczędził sobie wysłuchiwanie tego, czego nigdy nie potrafił do siebie całkiem dopuścić.

Odnaleźli je.

– Pani Miriam Bethany? – Właśnie to „Bethany” wszystko jej wyjaśniło. Był tylko jeden kontekst, w którym nadal pozostawała Miriam Bethany.

– Słucham?

– Nazywam się Harold Lenhardt, jestem sierżantem w departamencie policji hrabstwa Baltimore.

Znaleźli je, znaleźli je, znaleźli je.

– Kilka dni temu pewna kobieta miała wypadek samochodowy, a kiedy na miejscu zjawili się funkcjonariusze policji, powiedziała...

Wariat, kolejny pieprzony wariat. Następny szaleniec, obojętny na ból i rany, jakie zadaje.

– Wyznała, że jest pani młodszą córką, Heather. Umysł Miriam eksplodował.



## **Część VI**

Automatyczna sekretarka

(1983)

## Rozdział 24

Telefon zadzwonił o szóstej trzydzieści rano. Dave bez namysłu złapał za słuchawkę. A przecież powinien pamiętać, by tego nie robić. Już w zeszłym tygodniu, oczekując na ten doroczny telefon, zamówił sobie automatyczną sekretarkę u Wilsona, w sklepie na Security Boulevard. Prawdopodobnie sprzedawali tam je taniej, chociaż Dave nie był tego całkiem pewien, bo nigdy nie miał cierpliwości do porównywania ofert. Jednak – jako też kupiec detaliczny, chociaż na znacznie mniejszą skalę – interesował się, jak zmniejszają tam koszty stałe przez ograniczenie do minimum personelu i zlikwidowanie magazynu. Klienci wybierali kody żądanych towarów, ustawiali się w jednej kolejce, aby złożyć zamówienie, i w drugiej po odbiór. Może cała sztuczka polegała na tym, że te utrudnienia przekonywały ludzi, iż robią świetny interes? Czekanie w ogonku musiało się przecież w końcu opłacić, prawda? Rosjanie ustawiali się po papier toaletowy, Amerykanie po automatyczne sekretarki, irygatory i naszyjniki z czternastokaratowego złota.

Automatyczne sekretarki gwałtownie rozpowszechniły się wskutek rozpadu A&T. Nagle wszyscy zaczęli je kupować. Ludzie rejestrowali sobie głupawe wiadomości, odgrywali skecze, czasem nawet śpiewali. Okazało się, że Stany Zjednoczone są krajem zrozpaczonych samotników, gdzie każdy martwi się, że przegapi ten jeden, jedyny telefon mogący odmienić jego losy. Dawny Dave, Dave „przed”, pewnie długo musiałby się przekonywać do takiego gadżetu, jeśli w ogóle by się przekonał. Zawsze jednak istniała możliwość, że ktoś zadzwoni raz, a potem już nigdy. Były też takie telefony, których nie chciało się odbierać, a maszyna

pozwalala chwilę posłuchać i zdecydować, czy podnosić słuchawkę. Dave jeszcze nie przyswoił sobie etykiety związanej z tym ostatnim – kiedy już wyjawisz komuś, że odsłuchałeś wiadomość, to jak możesz później nie odebrać telefonu od tej osoby? Może lepiej w ogóle nie odpowiadać? Prawie trzy godziny zajęło mu nagranie odpowiedniego powitania. „Tu Dave Bethany, nie ma mnie teraz w domu”. Nie, to nie do końca prawda, a on nie lubił kłamać, nawet obcym; tym bardziej nie zamierzał dawać wskazówek włamywaczom. „Dodzwoniłeś się do domu państwa Bethanych”. Ale już nie było państwa Bethanych, został tylko jeden Bethany w coraz bardziej odpychającym domu, gdzie nic nie było zepsute, ale tak naprawdę nie działało, jak powinno. „Tutaj Dave. Zostaw wiadomość po usłyszeniu sygnału”. Niezbyt oryginalne, ale dobre.

Automatyczna sekretarka była ustawiona tak, by przed jej uruchomieniem dzwonek brzęczał cztery razy. Dave, odurzony pozbawionym marzeń snem, który teraz uznawał za błogosławieństwo, wyciągnął na oślep rękę i chwycił za słuchawkę. W ułamku sekundy, w którym podniósł ją do ucha, przypomniał sobie dzisiejszą datę, jedyny powód, dla którego kupił automatyczną sekretarkę. Za późno.

– Wiem, gdzie one są – wychrypiał cienki męski głos.

– Spieprzaj. – Dave rzucił słuchawkę, ale dopiero po tym, jak usłyszał odgłos walącej w coś pięści.

Takie telefony zaczęły się cztery lata temu. Pod względem treści były identyczne. Tylko co roku głos brzmiał inaczej. Dave uznał, że ten człowiek cierpi na alergię, która oddziałuje na struny głosowe. W tym roku zboczeniec chrypiał. Wiosna musiała więc być za pasem, pyłki już unosiły się w powietrzu. Facet stanowił jego osobistą pogodynkę.

Automatycznego sekretarza.

Dave skrupulatnie zapisał datę, czas i treść rozmowy w notatniku trzymanym obok aparatu. Detektyw Willoughby mówił, by donosić o wszystkim, nawet o głuchych telefonach. Chociaż Dave robił staranne zapiski, nigdy nie przyznał się Willoughby'emu do tego szczególnego, wiosennego rytuału. „Pozwól, że to my zdecydujemy, co jest ważne”, wielokrotnie powtarzał mu detektyw przez ostatnich osiem lat, jednak Dave tak nie potrafił. Musiał dokonywać rozróżnień, chociażby dla własnego spokoju. Odkrył, że nadzieja to emocja, z którą nie sposób żyć; towarzysza wymagająca i drażniąca. Emily Dickinson nazywała ją pierzastą rzeczą, ale jej nadzieja była przyjacielską obecnością usadowioną w piersi. Nadzieja, jaką znał Dave Bethany, także miała pióra, ale przypominała raczej gryfa z błyszczącymi oczami i ostrymi pazurami. Szponami, poprawił się w myślach. Gryf miał głowę orła, ale ciało lwa. Wersja nadziei znana Dave'owi Bethany siedziała mu na piersi, rozgrzebywała ją szponami, dziurawiąc mięsistą substancję serca.

Nie musiał wstawać z łóżka jeszcze przez co najmniej godzinę, ale na pewno już by nie usnął. Wstał więc, sięgnął po gazetę i zaczął gotować wodę na kawę. Dave zawsze nalegał, by do robienia kawy używać ekspresu Chemex. Miriam natomiast chciała, by kupili ekspres elektryczny, który stał się ostatnim krzykiem mody, kiedy rozpropagował go Joe DiMaggio. Teraz to – zdaniem Dave'a – opętani kulinariami dekadenci wracali do starych metod parzenia kawy. Ziarna mełli w małych maszynach, kręcących się z pompatycznym ceremoniałem, jak przerośnięte wibratory smakosza-fetyszysty. Zalał zmielone ziarno wrzącą wodą.

– Mówiłem ci, że wszystko wraca.

Nigdy nie zerwał ze zwyczajem rozmawiania z Miriam przy śniadaniu. Spodobało mu się to najbardziej właśnie wtedy, kiedy odeszła, bo nie wysłuchiwał już sprzeciwów, nikt się z nim nie drażnił ani nie wyrażał wątpliwości. Mówił, a ona w ciszy zgadzała się ze wszystkim. Nie potrafił sobie wyobrazić bardziej satysfakcjonującego układu.

Przejrzał strony z lokalnymi wiadomościami w „Beaconie”. Ani wzmianki o powadze dzisiejszej daty, chociaż tego akurat można się było spodziewać. Temat mógł się wydawać atrakcyjny na rok, może dwa, ale nie dłużej. Ale gdy mijało pięć lat i wciąż nie widział żadnej informacji na ten temat, czuł się zdumiony. Kiedy znowu wypłynie sprawa jego córek? Za dziesięć lat, za dwadzieścia? Na srebrne czy na złote gody?

– Media zrobiły tyle, ile mogły – powiedział Willoughby w zeszłym miesiącu, kiedy oglądali ekipy przekopujące starą farmę przy drodze na Finksburg.

Wiejska okolica była urocza. Dlaczego nigdy wcześniej nie przyjechał do Finksburga, nie zobaczył, jaki jest piękny, chociaż nazwę miał do dupy? Jednak autostradę dociągnięto do tej części hrabstwa dopiero niedawno, a przed wybudowaniem drogi nie dało się mieszkać tutaj i pracować w mieście.

– Teraz śledztwo zejdzie do poziomu aresztu – oznajmił Willoughby pod koniec dnia, kiedy wykopano jeszcze więcej dziur, a detektyw przestał już się temu przyglądać. – Dotrzemy do kogoś, kto coś wie i będzie chciał użyć tego jako monety przetargowej. A może trafimy na samego sprawcę. Nie zdziwiłbym się, gdyby on już siedział za coś innego. Jest mnóstwo nierozwiązanych spraw, które przyciągają uwagę szerokiego grona: Etan

Patz, Adam Walsh.

– Oni zaginęli później – oznajmił Dave, jakby kolejność odgrywała dużą rolę. – A rodzice Adama Walsha przynajmniej mają ciało.

– Głowę – uściślił Willoughby, jak zwykle pedantyczny. – Nigdy nie odnaleziono ciała.

– Wiesz co? Teraz dałbym się pociąć, chociażby i za głowę.

Telefon z informacją o farmie w Finksburgu był przecież taki obiecujący. Po pierwsze, dzwoniła kobieta. Zasadniczo kobiety nie są normalniejsze od mężczyzn, ale nie ulegają szaleństwu, które znajduje upust w drwinach z rodziny dwóch domniemanych ofiar morderstwa. Po drugie, to była sąsiadka; przedstawiła się imieniem i nazwiskiem. Niejaki Lyman Tanner sprowadził się w te okolice wiosną 1975 roku, tuż przed zniknięciem dziewczynek. Przypomniała sobie, że mył samochód bardzo wcześnie rano w niedzielę wielkanocną, dzień po zniknięciu dzieci, co wydało jej się dziwne, bo zapowiadano deszcz.

Willoughby zapytał ją, dlaczego przypomniała sobie taki szczegół dopiero po ośmiu latach.

– To proste – odparła Yvonne Yepletsky. – Jestem rumuńską prawosławną, ale chodzę do greckiej cerkwi prawosławnej w śródmieściu, tak jak większość rumuńskich prawosławnych. W naszym kalendarzu Wielkanoc wypada innego dnia i moja matka zwykła mawiać, że w Wielkanoc tych drugich zawsze leje. I rzeczywiście, zwykle tak jest.

Jednak tamto mycie samochodu wydało jej się dziwne dopiero kilka miesięcy temu, kiedy Lyman Tanner zmarł i zostawił farmę dalekim krewnym.

Yvonne Yepletsky pamiętała, że sąsiad pracował jako agent

ubezpieczeniowy bardzo blisko centrum handlowego i dość szczególnie interesował się jej córkami, nastolatkami, kiedy pierwszy raz pojawił się w okolicy. Nie przeszkadzał mu też stary cmentarz sąsiadujący z jego działką, który odstraszał tak wielu potencjalnych klientów.

– Bardzo się naharował przy sadzeniu, wynajął traktor i obrobił całe pole, ale z tym akurat nic nie zrobił – opowiadała pani Yepletsky.

Departament Policji Hrabstwa Baltimore wynajął buldożer.

Ekipa kopła już dwunastą dziurę, kiedy inny sąsiad usłużnie poinformował, że pani Yepletsky była bardzo rozzalona, bo jej mąż zamierzał kupić tamtą ziemię, a spadkobiercy Tannera nie chcieli jej sprzedać. Yeplenscy nie kłamali, nie do końca. Sami uwierzyli w to, co opowiadali o Tannerze. Człowiek, którego spadkobierca nie chce sprzedać ziemi za dobrą cenę – no, musi być dziwny. Mył samochód, chociaż zapowiadano deszcz. A czy to nie działo się akurat mniej więcej wtedy, gdy zniknęły dziewczynki? No, to na pewno on je porwał.

Nadzieja, która przesunęła się u Dave’a ku ramionom, na nowo usiadła mu na piersiach i szarpała szponami serce.

Zakładając, że śniadanie składa się tylko z czarnej kawy, Dave potrzebował jedynie dziesięciu minut, żeby je dokończyć, doczytać gazetę, umyć filiżankę i ruszyć na górę, aby się ubrać. Była dopiero siódma rano. Przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni w roku drzwi do pokojów córek trzymał zamknięte, ale zawsze otwierał je w rocznicę zaginięcia, pozwalając sobie na małe odwiedziny. Czuł się jak Sinobrody na odwrót. Jeśli jakaś kobieta zamieszkałaby z nim w tym domu – co było niewyobrażalne, ale teoretycznie prawdopodobne – mógłby zakazać jej wchodzenia do pokojów Heather i Sunny. Jeśli jednak wślizgnęłaby się do

środka, *zamiast* trapów poprzednich żon odkryłaby zachowaną kapsułę czasu z zamkniętym życiem dwóch dziewczynek w kwietniu 1975 roku.

W różowobiałym pokoju Heather Maks – bohater powieści *Tam, gdzie czają się dzikie rzeczy* – okrążał świat, odnajdował wyspę dzikich rzeczy, jednak wracał do domu na kolację. Na ściany z Makssem wdarło się też kilku młodzieżowych idoli, szeroko uśmiechniętych chłopców, nie do odróżnienia. Sypialnia Sunny, obok, była już przede wszystkim pokojem nastolatki, gdzie pozostał tylko jeden ślad dzieciństwa, draperia, jej praca domowa związana z życiem w morzu, zrobiona w szóstej klasie. Dziewczynka haftem krzyżykowym pracowicie wyszyła scenę z życia podwodnych istot. Dostała piątkę, ale dopiero po tym, jak nauczyciel dokładnie wypytał Miriam, nie wierząc Sunny, że zrobiła to sama. Dave wściekł się, że ktoś zwątpił w talent jego córki, w jej słowo.

Można by się spodziewać, że te zamknięte pokoje są brudne i zakurzone, jednak Dave postrzegał je jako zadziwiająco świeże, pełne życia. Gdy siadał tam na łóżkach, zdawało mu się, że córki wrócą o zmierzchu. A tego ranka zasiadł na obu posłaniach, jak Złotowłosa z bajki. Nawet policja, która przez krótki czas rozważała możliwość, że dziewczynki uciekły z domu, uznała, że po wyglądzie pokojów widać, że dzieci planowały wrócić. Co prawda dziwne, że Heather zabrała do centrum handlowego wszystkie swoje pieniądze, ale właśnie może to stanowiło źródło problemu. Istnieją ludzie gotowi kogoś skrzywdzić dla czterdziestu dolarów. Kiedy znaleziono jej torebkę, w środku nie było ani grosza.

Oczywiście, gdy policja wykluczyła już hipotezę, że dziewczynki z własnej woli porzuciły dom, podejrzanym stał się Dave. Aż po dziś dzień



Willoughby nigdy się do tego nie przyznał ani tym bardziej nie przeprosił za okazaną niesprawiedliwość i niezręczność albo też utratę cennych godzin wskutek prowadzenia poszukiwań w złym kierunku. Dave później się dowiedział, że w takich sprawach członkowie rodziny są zawsze podejrzani, lecz specyficzne wydarzenia z jego życia: rozpad małżeństwa, podupadający sklep, kwestia funduszu na naukę w college'u, założonego przez rodziców Miriam – sprawiły, że w tym przypadku insynuacje stały się szczególnie ohydne.

– Myślisz, że zabiłem własne dzieci dla pieniędzy? – zapytał, o mało nie rzucając się na Willoughby'ego.

Detektyw jednak zachował spokój.

– Teraz jeszcze nic nie myślę – odparł, wzruszając ramionami. – To są pytania, a ja chcę poznać odpowiedzi. Nic więcej.

Aż do dzisiaj Dave nie był pewien, co jest gorsze, bycie podejrzany o zabójstwo własnych córek z pobudek finansowych czy o zabicie ich z zemsty na niewiernej żonie. Miriam zachowała się tak szlachetnie, tak szybko wyjawiała glinom swój sekret. Ale jej tajemnica stanowiła także idealne alibi dla niej i kochanka.

– A co, jeśli oni to zrobili? – Dave zapytał policji. – I wrobili mnie, żeby móc razem uciec?

Nawet on sam nie wierzył w taki scenariusz.

Nie czuł szczególnego żalu o to, że Miriam go opuściła, ale kiedy wyjechała z Baltimore, stracił do niej cały szacunek. Zeszła z posterunku. Nie była na tyle silna, by żyć z tą dokuczliwą nadzieją i szeptanymi do ucha niemożliwymi możliwościami.

– One nie żyją, Dave – powiedziała, gdy rozmawiali ostatni raz, ponad

dwa lata temu. – Jedyne, czego powinniśmy się spodziewać, to oficjalne potwierdzenie tego, co i tak wiemy. Moglibyśmy tylko jeszcze mieć nadzieję, że stało się coś mniej strasznego, niż sobie czasami wyobrażamy. Że ktoś je zabrał i zastrzelił albo zabił, nie zadając cierpień; że nie były wykorzystywane seksualnie, że...

– Zamknij się, zamknij się, zamknij się! – Tak brzmiały niemal ostatnie jego słowa skierowane do Miriam.

W końcu przeprosił, ona przeprosiła i to właśnie były ich naprawdę ostatnie słowa. Miriam, która zawsze kochała nowości, rok temu kupiła sobie automatyczną sekretarkę. Dzwonił czasem i słuchał powitania, ale nie zostawiał żadnej wiadomości. Zastanawiał się, czy była żona w ogóle odsłuchiwała wiadomości, czy kiedyś odbierze, słysząc jego głos. Pewnie nie.

Zgodnie z prawem stanu Maryland, w 1981 roku mógł zwrócić się o prawne uznanie dziewczynek za zmarłe, co pozwoliłoby uwolnić pieniądze zgromadzone na ich funduszach na naukę w college'u. Jednak nie chciał pieniędzy, jeszcze mniej chciał prawnego usankcjonowania swoich najgorszych lęków. Pozwolił więc, aby pieniądze się marnowały. Niech wszyscy to zobaczą.

A może porwała je jakaś miła rodzina? – szeptał mu do ucha gryf nadziei. Miła rodzina z Korpusu Pokoju, która zabrała je do Afryki. A może spotkały bandę włóczęgów i ruszyły z nimi w drogę? Zrobiłbyś to samo, gdybyś nie miał dzieci.

Ale takim razie, dlaczego nie dzwonią?

Bo cię nienawidzą.

Dlaczego?

Bo dzieci nienawidzą rodziców. Ty nienawidziłeś swoich. Kiedy ostatni raz dzwoniłeś do matki? Rozmowy zamiejskowe nie są aż takie drogie.

Czy to jedyne możliwości, jakie mi zostały? One są żywe, ale tak pełne nienawiści do mnie, że nie chcą zadzwonić? Czy też pełne miłości, ale martwe?

Nie, to nie jedyne możliwości. Jest jeszcze taka, że siedzą spętane łańcuchami w piwnicy jakiegoś psychopaty, gdzie...

Zamknij się, zamknij się, zamknij się!

Wreszcie nadszedł czas, aby wyjść do sklepu. Do otwarcia były trzy godziny, jednak zostało sporo rzeczy do zrobienia. Ze wszystkich ironii losu w jego życiu, ta okazała się najboleśniej. Sklep, za sprawą tragedii jego córek, zyskał popularność. Początkowo ludzie przychodzili pogapić się na pogrążonego w żałobie ojca, a zastawali na miejscu pracownicą i pełną współczucia pannę Wandę z piekarni. Pracowała dobrowolnie i za darmo, jednak stanowczo twierdziła, iż Dave nie tylko mógłby w końcu wrócić do pracy, ale wręcz musi wrócić do pracy. Gapie zmienili się w klientów, a opinia na temat sklepu, która rozeszła się pocztą pantoflową, okazała się na tyle dobra, iż cały interes rozrósł się ponad najśmielsze oczekiwania. Dave rozwinął działalność, poszerzając asortyment o ubrania i drobne przedmioty z gospodarstwa domowego – uchwyty szuflad, ozdobne platery do wieszania na ścianach. Bardzo dobrze schodziły rzeczy, które sprowadzał z Meksyku. Pani Baumgarten nie chciała rzeźbionego zajęcia, nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można za coś takiego dać trzydzieści dolarów. A muzeum w San Francisco zaoferowało za niego tysiąc, bo okazał się wczesnym, jeszcze nie w pełni

ukształtowanym dziełem jednego z mistrzów stylu Oaxacan. Jednak Dave nie sprzedał im zajęcia, tylko wypożyczył na inauguracyjną wystawę.

Przystanął obok ganku. Drzewa wciąż pozostawały prawie bezlistne, a do zmiany czasu brakowało jeszcze kilku tygodni, dlatego poranki miały taką słodkogorzka jasność. Większość ludzi z radością witała zmianę czasu, jednak Dave zawsze uważał za kiepski interes utratę takich poranków w zamian za trochę więcej światła pod koniec dnia. Właśnie o poranku ostatni raz czuł się szczęśliwy. To znaczy próbował być szczęśliwy, skupiając się na dziewczynkach, bo wiedział, że z Miriam dzieje się coś niedobrego – jeszcze nie czuł się gotów do stawienia temu czoła, cokolwiek to było. Próbował odsunąć od siebie ponury problem, grając aż nazbyt opiekuńczego ojca. Heather to kupiła, uwierzyła w to. A Sunny... Sunny nie dała się oszukać. Wiedziała, że tak naprawdę wcale nie był obecny duchem, że zagapił się wśród swoich myśli. Gdyby tylko na tym poprzestał, gdyby się nie wtrącał i nie nalegał, żeby Sunny zabrała ze sobą siostrę. Gdyby tylko... Ale o co mu w końcu chodzi? O to, że miałby jedną martwą córkę zamiast dwóch? To taki *Wybór Zofii*, nie żeby Dave zdołał przeczytać tę książkę, chociaż *Wyznania Nata Turnera* należały do jego ulubionych lektur. Styron potrzebował aż holocaustu, by przedstawić najgorszą rzecz, jaka może się przydarzyć rodzicom. A jednak sześć milionów zabitych nic nie znaczy, kiedy tracisz własne dziecko.

Ruszył do swojej starej furgonetki, kolejnego reliktu, którego nie potrafił się pozbyć, następnego elementu jego egzystencji podobnej do tej wiedzionej przez Miss Havisham. Nadzieja wskoczyła na fotel pasażera, gdzie stary winyl postrzępił się i popękał pod ciągle drapiącymi pazurami potwora. Gryf zwrócił żółte oślepienie na Dave'a i przypomniał mu, aby

zapiął pasy.

Kto się przejmie, czyja żyję, czy nie?

Nikt, przyznała Nadzieja. Ale kiedy umrzesz, to kto będzie o nich pamiętał? Miriam? Willoughby? Dawni szkolni koledzy, z których część pokończyła już college? Jesteś wszystkim, co one mają, Dave. Bez ciebie one naprawdę odejdą.

## Rozdział 25

Miriam miała tajemną miłość – gęsty jogurt z orzeszkami pecan z firmy Nie Wierzę, że To Jogurt. Ona akurat potrafiła uwierzyć, że to jogurt. Później uwierzyła też, że to nie do końca takie zdrowe jedzenie, jak sądzili inni, a kalorie w nim liczą się tak samo, jak każde inne. Miriam nie dawała się zwieść żadną obietnicą firmy Nie Wierzę, że To Jogurt, prawdziwą lub tylko zasugerowaną. Jednak lubiła te jogurty i miała naprawdę wielką ochotę, żeby właśnie teraz trochę zbroczyć z trasy i kupić sobie jeden. Dzień był ciepły, właściwie według jej standardów panował letni upał, choć nie według standardów Teksasu. Zrobiło się gorąco – fajnie by było spędzić popołudnie w Barton Springs. Miriam właśnie myślała o tym, żeby wziąć sobie wolne i pojechać nad jezioro, ale czekały ją jeszcze dwa spotkania z dobrze zapowiadającymi się klientami w Clarksville.

Wciąż jednak martwiło ją, że w ogóle przez chwilę zastanawiała się nad tym, by pojechać na publiczną plażę. Naprawdę już tutaj osiadła. Jeśli przestanie mieć się na baczności, niedługo dołączy do chóru powtarzającego ciągle: „Ale powinnaś mieszkać tutaj, wtedy gdy jeszcze... „ Bezustannie trwał lament nad tym, jak szczęśliwe i jak niedrogie było dawniej Austin. Potem następowała inwokacja zawierająca nazwy miejsc, które kiedyś istniały: Armadillo, Liberty Lunch. Teraz na Guadalupe Street, na Drag, nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania. Musiała darować sobie jogurt i jechać dalej, na miejsce spotkania.

Przeszedł ją dreszcz. Przeanalizowała swoje myśli, aby znaleźć to, co ją tak bardzo zdenerwowało. Parking... Austin... Barton Springs... jezioro. Zeszłej jesieni nad jeziorem zamordowano dwie dziewczynki. Ciała

zostały znalezione na placu budowy, tam, gdzie stawiano nowy, drogi dom. Dwie dziewczynki, nie siostry – ale taka konfiguracja wystarczyła, by zwrócić jej uwagę. Za zabójstwem nie dawało się dostrzec żadnego motywu. Miriam – bardziej od innych doświadczona w czytaniu między wierszami obwieszczeń prasowych – wiedziała, że policja tak naprawdę nie ma żadnych informacji, ale jej znajomi dopatrywali się wśród bardzo zwyczajnych, suchych faktów różnych najdziwniejszych spisków. Wychowani na telewizji liczyli, że wszystko zmieni się w opowieść, coś wytłumaczalnego i – chociaż jej przyjaciele z Austin nigdy nie używali tego słowa – satysfakcjonującego. Dla nich, mających obsesję na punkcie zmian zachodzących w mieście – mutacji, jak mówili ludzie przywiązani do przeszłości, czy wzrostu i rozwoju, jak określali nowo przybyli wiążący swoje powodzenie z boomem w Austin – te morderstwa musiały być jakoś powiązane z fenomenem rozrostu aglomeracji. Dziewczynki pochodziły z rodzin, które mieszkały w okolicy, nim stała się tak bardzo pożądana. Media podawały, że nastolatki od dawna spotykały się właśnie nad zatoczką jeziora Travis, aby spędzać czas razem z przyjaciółmi, i nie widziały powodu, by przestać to robić akurat dlatego, że stawiano tam dom. Miriam wydawało się, że dziewczynki najprawdopodobniej zginęły z ręki swoich gburowatych znajomych, ale policja przesłuchiwała właściciela parceli i robotników.

Przyjaciele Miriam z Austin, skupiając się na sprawach zderzenia starego z nowym, postępu i status quo, nie uświadamiali sobie, że tak naprawdę roztrząsają własne powiązania z tą zbrodnią i próbują uczynić z horroru, co za okropne słowa: punkt odniesienia.

Weźmy chociażby karę śmierci przywróconą w Teksasie rok temu.

Koledzy z pracy i sąsiedzi sporo dyskutowali o tym, jakie to haniebne, że Teksasowi tak się śpieszy, aby posyłać ludzi na śmierć, właśnie teraz, kiedy taką drogą poszło Utah – chociaż, jak dotąd, stracono przecież tylko jedną osobę. Miriam nigdy nie włączała się w podobne rozmowy w obawie, że przyłapie się sama na tym, jak gorąco opowiada się za egzekucjami. To mogłoby z kolei doprowadzić do odsłonięcia kart jej prywatnych przeżyć, których nigdy nie chciałyby wykladać na stół. Od kiedy przybyła do Teksasu, siedem lat temu, nie pozwoliła sobie na luksus bycia udręczoną matką biedną Miriam Bethany. Zresztą już nie była Miriam Bethany. Stała się Miriam Toles. Nawet jeśli ktokolwiek słyszał o siostrach Bethanych, a to nazwisko pojawiała się w trakcie niekończących się spekulacji na temat morderstwa nad jeziorem Travis, nikt go z nią nie łączył. Zawsze przechodziła do porządku dziennego nad swoją baltimorską częścią życia. „Nieudane małżeństwo, nie układało się, dzięki Bogu nie było dzieci, pochodzi z Ottawy, znacznie bardziej woli miejscowy klimat”. To właśnie wiedzieli o niej ludzie.

Bywały takie chwile, przesączone winem momenty szczerości, zwłaszcza późną nocą, kiedy Miriam bawiła się w myślach pomysłem zwierzenia się komuś. Nigdy mężczyźnie, bo chociaż spostrzegła, że całkiem łatwo jest spotkać faceta i przespać się z nim, to ani na trochę nie zamierzała mieć stałego partnera, a takie wyznanie mogło zachęcać do zacieśnienia więzi. Miała jednak przyjaciółki, w tym jedną szczególną, Rose, która robiła aluzje do swoich własnych sekretów. Trzydziestosiedmioletnia studentka antropologii – Austin zdawało się pełne ludzi, którzy postanowili spędzić całe życie jako studenci – została wieczorem po przyjęciu, korzystając z zaproszenia Miriam, aby wziąć



kąpiel w basenie. Kiedy trudziły się nad butelką wina, zaczęła opowiadać o odległej wiosce w Belize, gdzie mieszkała przez kilka lat.

– To było surrealistyczne – mówiła. – Po życiu tam nie jestem już pewna, czy realizm magiczny to tylko styl literacki. Po prostu myślę, że ci goście opisują prawdę.

Pojawiła się sugestia gwałtu, niejasna, ale ze słów Rosę uciekły wszelkie odniesienia do konkretnych osób i nie dawało się stwierdzić, czy była ofiarą, czy może świadkiem. Ona i Miriam tańczyły wokół płomieni swojej przeszłości – każdy z nich budził piękne cienie, które pozwalały drugiej wyciągać dowolne wnioski. Ale nigdy już się tak bardzo do siebie nie zbliżyły, ku dużej uldze Miriam i być może też Rosę. W ogóle rzadko się widywały.

Na następnych światłach Miriam przewertowała organizer leżący na fotelu pasażera i zerknęła na adres, pod którym miało się odbyć pierwsze umówione spotkanie. Gapił się na nią jakiś mężczyzna z ulicy. Wiedziała, że jest kobietą sukcesu, która stworzyła samą siebie. Finansowo dobrze jej się powiodło, a zaczynała, mając niewiele. A teraz takie szczegóły, jak organizer w kolorze wielbłądziej wełny, sweterek i pantofle od Joan Vass, saab z klimatyzacją, pozwalały jej obwieszczać swój sukces w sposób przyjęty w Austin. Jednak ją bardziej interesowało stworzenie całkiem innej osoby, Miriam Toles, która szła przez życie bez tragedii kładącej się cieniem na wszystko. Wystarczająco ciężko było pozostawać Miriam Bethany wewnątrz. Miriam Toles stanowiła jedynie cukierkową skorupę, cienką powłokę skrywającą brud w środku, przynajmniej trochę.

– One farbują – marudziła Heather, pokazując matce dłoni wysmarowaną na pomarańczowo, czerwono i zielono. – To oszustwo!

– Wszystkie reklamy kłamią – stwierdziła Sunny, jedenastoletnia mądrała. – Pamiętasz, jak zamówiliśmy sto lalek z komiksu Mille Model? – Rozstawiła palce, aby pokazać, jak małe były lalki, a jak wielkie kłamstwo.

Miriam wciąż musiała stawać na światłach. Zerknęła na datę. Marzec, dwudziesty dziewiąty, ten dzień. Po raz pierwszy zdołała dotrzeć do niego tak łatwo, bez przesadnej ostrożności; po raz pierwszy nie położyła się spać, bojąc się tak zwanej rocznicy; po raz pierwszy nie obudziła się z koszmarne go snu, zrana potem. Pomogło jej, że wiosna w Austin była zupełnie inna, że upały zaczynały się już od końca marca. Pomogło, że Wielkanoc nadeszła i minęła, znowu wcześniej. Wielkanoc była zazwyczaj znakiem, że wchodzi w to, co uważała za bezpieczny okres. Jeśli one by żyły... O Boże, jeśli by żyły, Sunny miałyby już dwadzieścia trzy lata, Heather zbliżałaby się do dwudziestki.

Ale one nie żyły. Jeśli była czegokolwiek pewna, to właśnie tego.

Klakson, potem jeszcze jeden i jeszcze jeden. Miriam ruszyła na ślepo. Zastanowiła się nad sprawami, przez które Sunny i Heather cieszyłyby się, że ich tu nie ma. Prezydentura Reagana? Wątpiła, aby którakolwiek z dziewczynek poświęciła życie, żeby tego uniknąć. Muzyka była tak naprawdę lepsza, zwłaszcza dla uszu Miriam – osoby w średnim wieku, podobały jej się także ubrania, połączenie wygody i mody, przynajmniej w niektórych kolekcjach. One polubiłyby też Austin, nawet jeśli miejscowi twierdzili, że zostało zrujnowane, zrujnowane i jeszcze raz zrujnowane. Mogłyby tutaj tanio studiować w college'u, wałęsać się po klubach, jeść hamburgery w Mad Dogs Bens, spróbować hiszpańskich migas w Las Maflanitas, sączyć zmrożoną margaritę u Jorge'a, pójść na zakupy do

Whole Foods – sklepu jednocześnie ekologicznego (proso w dużej ilości) i dekadentckiego (pięć różnych rodzajów sera brie). Miriam uznała, że Sunny i Heather, dorosłe, miałyby podobne jak ona poczucie humoru, razem z nią dostrzegałyby, jak chwilami absurdalne jest Austin, jak afektowane. Mogłyby tutaj mieszkać. I tutaj umrzeć. Ludzie w Austin też umierali. Mordowano ich na placach budowy. Ginęli po pijanemu w wypadkach na wijących się drogach z farm na targowiska w Hill Country. Tonęli w powodzi w weekend Dnia Pamięci w 1981 roku, kiedy woda podniosła się szybko i z furją, zmieniając ulice w zdradzieckie potoki.

Skrycie Miriam wierzyła – albo raczej wmawiała sobie – że zostanie ofiarami zabójstwa było przeznaczeniem jej córek, że gdyby mogła cofnąć się w czasie i zmienić okoliczności zdarzeń, jedyne, co by wskórała, to zmiana szczegółów tragedii. Dziewczynki napiętnowano już przy urodzeniu losem, nad którym Miriam nie potrafiła zapanować. To jedyna dziwna rzecz w byciu przybranym rodzicem – poczucie, iż istnieją biologiczne czynniki, których nigdy nie zdoła się kontrolować. Swego czasu sądziła, że tak właśnie musi się dziać; pogodziła się z faktem, że biologicznym rodzicom... nigdy „naturalnym” – chociaż w dobrodusznym Austin wciąż słyszało się to niedelikatne wyrażenie – ciężiej coś takiego zaakceptować. Jeśli chodziło o dzieci, nie mogła panować nad wszystkim.

Oczywiście, miała tę przewagę, że znała część rodziny Sunny i Heather, dziadków ze strony matki: Estelle i Herba Turnerów. Och, jak bardzo czuła się winna przez niezbyt dobre pierwsze wrażenie, jakie na niej wywarli, kiedy usłyszała od nich całą historię: o pięknej córce Sally, która uciekła, mając siedemnaście lat, aby poślubić mężczyznę nieakceptowanego przez jej rodziców. Potem odmawiała przyjęcia od nich

pomocy, aż zrobiło się za późno na cokolwiek. To działo się w 1959 roku, kiedy ucieczkę kochanków wciąż przedstawiono jak komiksową przygodę. Drabina pod ścianą, młodzi zawsze złapani na gorącym uczynku, jednak w końcu otrzymujący błogosławieństwo rodziców. W tamtych czasach małżonkowie pokazywani w telewizji spali na podwójnych łóżkach, a seks pozostawał tak bardzo ukryty, że młodzi ludzie musieli się czuć tak, jakby zaraz mieli wybuchnąć od uczuć i wrażeń, o których nikt nigdy nie rozmawiał. Miriam to wiedziała, pamiętała to. Nie była wtedy dużo starsza od Sally Turner.

Sama już złożyła sobie pozostałe elementy układanki: chamowaty, brutalny chłopak z niższej warstwy społecznej, sprzeciw Turnerów, przez Sally uznawany za snobizm, lecz w rzeczywistości będący nieomylnym, rodzicielskim instynktem. Sally, gdy uciekła i wyszła za swojego niegrzecznego chłopca, czuła się bardzo dumna, zbyt dumna, by zadzwonić o ratunek, gdy w małżeństwie nakręcała się już spirala przemocy. Sunny właśnie kończyła trzy lata, a Heather była jeszcze niemowlęciem, kiedy ich ojciec zastrzelił matkę, a potem sam się zabił. Turnerowie niemal jednocześnie dowiedzieli się, że ich córka nie żyje i że mają dwie wnuczki, którymi ktoś musi się zaopiekować. Niestety, miesiąc wcześniej okazało się też, że Estelle ma raka wątroby.

To był pomysł Dave'a, aby zgłosić chęć zaadoptowania dzieci. Miriam miała pewne wątpliwości co do jego motywów. Sądziła, że bardziej zależy mu na wzmocnieniu więzi z Estelle niż na samych dziewczynkach, jednak miała wielką ochotę je przygarnąć. W wieku dwudziestu pięciu lat trzykrotnie poroniła. A tu pojawiały się dwie piękne dziewczynki, niewymagające długotrwałego procesu adopcyjnego. Turnerowie, jako

opiekunowie dzieci – ich jedyna rodzina, z tego co było wiadomo i co sprawdzono jeszcze lata później, gdy detektyw Willoughby starał się ustalić, czy ich zmarły ojciec miał krewnych – mogli przenieść opiekę nad siostrami na małżeństwo Bethanych. Jakże proste. I choć to brzmiało okrutnie, Miriam poczuła ulgę, kiedy Estelle w końcu umarła i Herb się wyprowadził. Wnuczki za bardzo przypominały mu o utraconych kobietach jego życia: żonie i córce. Miriam była jednocześnie mu za to wdzięczna i za to nim pogardzała. Jak można nie chcieć się stać częścią życia swoich wnuczek?

Nawet teraz, kiedy znała całą historię, nie potrafiła przezwyciężyć swojej pierwotnej niechęci do Turnerów, do poddańczego stosunku Herba do Estelle, jego niemożności kochania kogoś innego albo troszczenia się o kogokolwiek innego. Całkiem możliwe, że Sally uciekła, bo nie było dla niej miejsca w tym pięknym domu w Sudbrook, zapchanym nadmiarem miłości do Estelle.

Dziewczynki nigdy nie poznały całej prawdy. Wiedziały, że są adoptowane, oczywiście, chociaż Heather nigdy nie chciała całkiem uwierzyć, nawet gdy Sunny udawała, że pamięta więcej, niż prawdopodobnie by mogła („Mieliśmy dom w Nevadzie”, opowiadała siostrze. „Dom z ogrodem. I kucyka”). Ale nawet prawy, zawsze prawdomówny Dave nie umiał wyjawić dziewczynkom wszystkiego – o młodocianych uciekinierach, morderczym szale biologicznego ojca, śmierci dwojga osób, do której doszło dlatego, że Sally nie potrafiła się przełamać, zadzwonić i poprosić rodziców o pomoc w uwolnieniu się od męża. Miriam uważała, że dziewczynkom nie należy mówić wszystkiego, podczas gdy Dave twierdził, że wyznanie prawdy powinno wiązać się z

ich wejściem w dorosłość, gdy będą miały mniej więcej osiemnaście lat.

Ale jeszcze gorzej czuła się z tą łagodną bajką, jaką tymczasem on tworzył dla dziewczynek.

– Opowiedz mi o mojej innej mamie – poprosiła Sunny albo Heather, kładąc się spać.

– No... była piękna...

– Czyja wyglądam jak ona?

– Tak, dokładnie.

Prawda. Miriam widziała zdjęcia w domu Turnerów. Sally miała takie same miękkie, niepokorne blond włosy, identyczną delikatną twarz.

– Poślubiła pewnego mężczyznę i odeszli, aby razem żyć. Jednak zdarzył się wypadek.

– Samochodowy?

– Coś w tym stylu.

– To znaczy?

– No tak, wypadek samochodowy.

– Byłyśmy tam wtedy?

– Nie.

Naprawdę jednak były. To martwiło Miriam. Dziewczynki znaleziono w domu, Heather w kołysce, Sunny w kojcu – w innym pokoju, ale... co widziały, co słyszały? A jeżeli Sunny przypomni sobie rzeczy bardziej prawdziwe niż Nevada, dom i kucyk?

– Gdzie my byłyśmy?

– W domu, z opiekunką.

– Jak się nazywała?

I Dave opowiadał, dodając różne szczegóły, aż wszystko w końcu stało

się najbardziej kolosalnym kłamstwem, jakie Miriam kiedykolwiek słyszała.

– Powiemy im prawdę, kiedy skończą osiemnaście lat – oznajmił.

Co to za pomysł, że prawdę można przypisać do wieku, jakby była piwem albo prawem wyborczym. Och, Miriam i Dave zachowywali się jak dwa bardzo pracowite, ale niedoświadczone bobry, budujące wspólnie zapórę powstrzymującą wszystkie ich sekrety, próbujące zatamować strumyczek, podczas gdy zbliżało się trzęsienie ziemi Wreszcie, na sam koniec, wszystkie ich kłamstwa objawiono światu, tyle że przeszły niezauważone, bo kto dostrzega takie maleńkie sprawy w postapokaliptycznym świecie, gdzie wokół tyle gruzu. Tego dnia, kiedy Estelle i Herb Turnerowie przybyli, aby szukać u nich pomocy, Miriam sądziła, że zapewnia nowy początek niewinnym dzieciom. Ale ostatecznie to dziewczynki dały jej szansę zmiany siebie samej. A kiedy odeszły, straciła tę część siebie.

A do diabła z tym, zakłęła w myślach, źle i wbrew przepisom skręcając w lewo. Pojadę do Barton Springs. Ale już przecznicę dalej wróciła na dawną trasę. W Austin, na rynku nieruchomości tempo zaczęło zwalniać. Nie mogła ryzykować utraty nawet jednego klienta.

## Rozdział 26

Myślisz szybciej niż kasa fiskalna – stwierdził Randy, menedżer sklepu Swiss Colony. – Słucham?

– Nowa kasa fiskalna liczy drobne, myśli za ciebie. Ale ty jej na to nie pozwalasz, Sylvio, jesteś zawsze o krok do przodu.

– Syl – poprawiła, ciągnąc za rękawy stroju Szwajcarki, który wszystkie musiały tutaj nosić. Dziewczęta nienawidziły tych głębokich dekoltów, odsłaniających im piersi, kiedy schylały się po ser lub kiełbasę. Zimą nosiły pod spodem swetry, ale teraz, kiedy kwiecień był już prawie za pasem... co mogły włożyć?

– Jestem Syl, nie Sylvia.

– Ale za cholere nie potrafisz pakować – stwierdził. – Jeszcze nigdy nie widziałem kogoś, kto by zaplątał się w folię. I nie potrafisz handlować. Jeśli ludzie kupują kiełbaski, powinnaś im wcisnąć jeszcze musztardę. Jeśli chcą mały koszyk z prezentami, dlaczego nie proponujesz większego.

Bo nie dostajemy żadnej prowizji, chciała odparować, ale wiedziała, że tak nie wolno. Pociągnęła za prawy rękaw, wtedy lewy się zsunął, pociągnęła za lewy, wtedy zsunął się prawy. Dobra, niech Randy popatrzy sobie na jej ramiona.

– Sylvio, nie chcesz tu pracować?

– Syl – poprawiła Randy'ego. – To skrót od Priscilli, nie od Sylvii. – Starła się przyzwyczaić do tego imienia, bo teraz nazywała się Priscilla Browne. Zgodnie z dokumentami, które miała przy sobie, skończyła dwadzieścia dwa lata, tak wykazywały: akt urodzenia, karta ubezpieczenia społecznego, stanowa karta identyfikacyjna. Nie miała jednak prawa



jazdy.

– Jesteś trochę zepsuta.

– Słucham?

– Nie masz dużego doświadczenia w pracy. Mówiłaś, że nie pozwolono ci pracować w liceum, a teraz jesteś w... gdzie? – Zerknął na leżącą przed nim kartkę. – W Fairfax Community College? Córeczka tatusia, co?

– Słucham?

– Dostawałaś od niego dużo pieniążków, nie musiałaś pracować. Zepsuł cię.

– Tak sędzę. – O tak, on zdecydowanie mnie „zepsuł”.

– Właśnie, a teraz idzie nam słabo. Cienko przedziemy od Bożego Narodzenia, jeśli chcesz wiedzieć. A więc czas trochę się odchudzić...

Spojrzał na nią wyczekująco. Takich chwil się bała. Od kiedy musiała sama dbać o siebie, próbowała rozmawiać w języku, który uważała za dialekt ludzi „normalnych”. Słowa były mniej więcej takie same, ale miała problem z wyłapywaniem znaczeń. Gdy ktoś nie kończył zdania, oczekując, że ona to zrobi, bała się, że odpowiedź tak będzie się różnić od tego, czego oczekują, że automatycznie stanie się podejrzana. Na przykład teraz chciałyby powiedzieć: „... i poszerzyć ofertę o niskokaloryczną żywność”. Ale zdecydowanie nie o to chodziło Randy’emu, gdy mówił o odchudzaniu. Chodziło mu... O cholera, wyleją ją z pracy. Znowu.

– Nie potrafisz rozmawiać z ludźmi – oznajmił. – Jesteś bystra, ale nie powinnaś być w sprzedaży.

– Nie wiedziałam, że jestem w sprzedaży. – Szeroko otworzyła oczy.

– Jesteś sprzedawczynią. Tak się nazywa ta praca.

– Mogę się bardziej starać... ze sprzedawaniem i pakowaniem. Mogę...

– Spojrzała na Randy’ego zza wilgotnych rzęs i przestała prosić. On nie dałby się zmanipulować. Instynkt nigdy jej nie okłamywał. – Czy jestem zwolniona już dzisiaj, od zaraz? Czy mam jeszcze przepracować do końca dnia?

– To już twój wybór – oznajmił. – Zostały ci cztery godziny. Jeśli odejdziesz teraz, nie dostaniesz za nie pieniędzy.

Zastanowiła się przez sekundę, czy natychmiast nie zdjąć kostiumu i nie wymaszerować ze sklepu w samej bieliźnie. Widziała kiedyś aktorkę, która zrobiła coś takiego w filmie, i to wywarło na niej duże wrażenie. Ale tu nie było nikogo, kto oklaskiwałby jej wyzwolenie. O tej porze centrum handlowe świeciło pustkami, co zresztą stanowiło część całego problemu. Nawet sumienna, przebojowa sprzedawczyni nie zdołałaby sprzedać sera ludziom, których po prostu nie było. Należało kogoś zwolnić, a ona się akurat nadawała: świeżo przyjęta, niedoświadczona, najbardziej nadąsana. Nie potrafiła wciskać towaru. Raczej próbowała zniechęcić klientów do zakupów, zwłaszcza tych najbardziej cuchnących serów, ponieważ sama ledwie je pakowała, nie wymiotując.

To już druga praca, jaką traciła w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, i to z tych samych powodów. Nie potrafiła rozmawiać z ludźmi, nie dawała sobie rady bez pomocy. Nie okazywała inicjatywy. Chciała się kłócić, że przy takiej pracy za minimalną płacę wcale nie potrzeba żadnej inicjatywy. Wiedziała za to, jak przetrwać godzinę, jak radzić sobie z wolno płynącym czasem. Potrafiła przetrwać nudę lepiej niż ktokolwiek, kogo znała. Czy to nie wystarczało? Najwyraźniej nie.

W listopadzie, podczas rozmowy w sprawie pracy, kiedy przyjmowano ludzi w związku ze zbliżającym się świątecznym szczytem, wiedziała już,

że Randy nie będzie jej przychylny. Nie złapał się w jej sidła. Był gejem, ale nie o to chodziło. Ona nie korzystała z seksu, gdy dało się tego uniknąć. Nie, część ludzi po prostu na nią dobrze reagowała, a część nie, i już dawno temu przestała się zastanawiać, dlaczego się tak dzieje. Ważne było, że od razu dostrzegała, kim może manipulować, jeśli zajdzie potrzeba. Na swój sposób wujek chciał się nią opiekować, podczas gdy ciocia jej nienawidziła. Ludzie wyrabiali sobie nastawienie do niej w pierwszej minucie spotkania, a potem już go nie zmieniali.

– Wie pan co? – zwróciła się do Randy’ego. – Nie chcę już dzisiaj pracować, skoro jestem wylana. Przyjdę po ostatnią wypłatę w piątek i wtedy oddam panu sukienkę.

– Nie dostaniesz pieniędzy – powiedział.

– Prawda, mówił pan. – Odwróciła się do niego plecami i załopotała czerwoną spódniczką.

– Pranie chemiczne – zawołał. – Ten strój ma zostać wyprany chemicznie.

Wymaszerowała z centrum handlowego, smutnego, podupadłego miejsca, które straciło większość sklepów na rzecz Tyson Corner, nowszego i ładniejszego centrum na zachód stąd. Leżało jednak blisko metra, dlatego je wybrała. Nie miała samochodu. Zresztą nie umiała prowadzić. To była jedyna rzecz, jakiej nie nauczył jej wujek. A gdy oboje już uznali, że ona musi opuścić dom, nie było czasu na naukę. Nawet gdyby miała stałą pracę, nie potrafiłaby wyobrazić sobie wydawania pieniędzy na szkołę jazdy. Po prostu musiała mieszkać tam, gdzie była komunikacja miejska – albo znaleźć kogoś, kto by ją uczył. Pomyślała o rodzaju kontaktów, jakie należałoby utrzymywać z taką osobą, i skrzywiła

się. Nie żeby nigdy nie czuła naturalnego pociągu do seksu. Lubiała oglądać Mela Gibsona w takim filmie *Mad Max*. Szczerze mówiąc, uważała że to był obszar, w którym radziła sobie całkiem nieźle, miejsce z jednym towarem dla każdego, dla każdej. Problem polegał na tym, że seksu używała jako wyjścia awaryjnego. Dobrze, zrobię to, tylko już mnie nie krzywdź. Był dla niej monetą przetargową i nie wiedziała, jak upomnieć się o resztę. Gdyby na przykład Randy był hetero, pewnie już by przed nim klęczała, chociaż stanowiłoby to dla niej ostatecznie, rozpaczliwe wyjście. Lepiej obiecywać seks i rzadko go dawać. To działało na jej szefa w Chicago, w pizzerii. Póki nie przyszła jego żona.

Kiedy wujek dał jej pięć tysięcy dolarów i nowe imię, pomyślała, że osiadzie w jakimś mieście. Miasta pozwalały na większą anonimowość; w gęstym tłumie, wśród wielu budynków czuła się bezpieczna. Wybrała San Francisco, a tak naprawdę Oakland, ale kiepsko jej pasowało. Stopniowo, niemal podświadomie, kierowała się z powrotem na wschód, zrywami. Phoenix, Albuquerque, Wichita, jeszcze raz Chicago. Wreszcie dotarła do północnej Wirginii, do Arlington, które miało tę miejską gęstość i energię miasta, ale także dodatkowo aurę tymczasowości, ponieważ ludzie przybywali tam i wyjeżdżali stamtąd na tyle często, że nikt z nikim się nie zaprzyjaźniał. Osiadła w Kryształowym Mieście. Komiczna nazwa. Brzmiała fałszywie. Miejsce z filmu science fiction. Baltimore leżało mniej niż osiemdziesiąt kilometrów stąd, Glen Rock jeszcze z pięćdziesiąt, jednak Potomac zdawał się tak szeroki i trudny do przebycia niczym ocean, kontynent, galaktyka. Unikała Dystryktu Kolumbia.

Usiadła na ławeczce przed pawilonem, owijając obszerną spódnicę wokół bioder, potem ją wygładzając. Centrum handlowe – tak, tam

mówiło się językiem, który znała. Centra były uspokajające, bo takie jednakowe, gdziekolwiek by się poszło. Niektóre lśniące i ekskluzywne, pulsujące energią, podczas gdy inne, jak to, wyglądały trochę smutno, przepelnione atmosferą pustki. Ale niektóre rzeczy pozostawały uniwersalne – wszechobecny zapach słodkich ciasteczek i cynamonu, woń nowych ubrań. Lady z perfumami w sklepach wielobranżowych.

Poszła do salonu gier komputerowych, tam, gdzie spędzała przerwy w pracy. Bawiła się grami dla dzieci: Pacmanem i Froggerem. Była w tym bardzo dobra, na tyle dobra, by za całą godzinę zabawy płacić tylko dolara, najwyżej dwa. Rozszyfrowała pewne wzory, powtarzające się kombinacje. O tej porze, na kilka godzin przed końcem lekcji, grała w salonie właściwie sama i miała pewność, że dziwnie tu wygląda: młoda kobieta przebrana za Szwajcarkę, szarpiąca za dżojstik, by jakaś żółta plama mogła zjadać kropki. Dziś doszła w Pacmanie do wysokiego poziomu, aż do etapu ze spotkaniem i wyścigiem, ale straciła swoje ostatnie życie, zanim jeszcze mały Pac zdołał przybyć na wózku. Rzadko udawało jej się dotrzeć aż do Małego Paca. Maszynę tak zaprogramowano, by wszystko działało się bardzo szybko i żeby podstępnie szachrowała gracza w trakcie niemożliwej do ukończenia części zabawy, kiedy ważna była każda milisekunda.

Za ostatnią ćwierćdolarówkę kupiła „Washington Star” i w metrze czytała ogłoszenia, po cichu jedząc przemycone cukierki MM. Jedzenie i picie w metrze były surowo zabronione, ale ona lubiła omijać głupie zasady. Uznała, że to pozwala jej nie wyjść z wprawy, na wypadek gdyby naprawdę musiała dopuścić się większego oszustwa. Chciała też nauczyć się przechytrzać system biletowy, który kasował różne sumy w zależności

od przebytego dystansu i żądał okazania biletu przy wyjściu. Skok nad barierką nie był w jej stylu, musiał istnieć inny sposób ominięcia opłat, zresztą wcale niemałych.

Nie planowała, że tak się wycwani. Zresztą, wcale nie musiała tak się zachowywać. Miała przecież nowe nazwisko i nowe życie.

– Czysta karta – obiecywał wujek. – Szansa, by zacząć od nowa, bez nikogo na karku. Możesz być kimkolwiek zechcesz. Ale wróć, jeśli naprawdę, naprawdę będziesz mnie potrzebować.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, aby kiedykolwiek go mogła potrzebować. Miała nadzieję, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Uniosła dłonie do twarzy i szybko je opuściła. Pachniały plastykiem i serem.

Kiedy znalazła się już z powrotem w domu, w swojej kawalerce, zaniósła sukienkę do pralni na parterze. Wbrew temu, co mówił Randy, stroju nie trzeba było prać chemicznie. Pieprzył głupoty. Zostawiła ubranie na godzinę na wysokich obrotach, ale zapomniała, jak mocno piorą te pralki, i strój skurczył się o kilka rozmiarów. Może pasowałby teraz na dwunastolatkę albo karlicę. Randy pewnie to wykorzysta, by nie zapłacić ostatniej dniówki, a potem i tak każe jakiejś biednej dziewczynie nosić ten kostium, a męską część klienteli przebiegnie lekki dreszcz, kiedy będą kupować ten głupi ser. Pieprzyć to. Wrzuciła strój do kosza z praniem i poszła na górę odrobić pracę domową. Miała egzamin ze statystyki, ale profesor był starym człowiekiem, któremu mocno drżały dłonie, kiedy się do niego odzywała. Trochę jej odpuści.

## **Część VII**

Sobota

## Rozdział 27

Brunswick w Georgii cuchnęło. Początkowo Infante przypisywał ten zapach własnej wyobraźni, niechęci do tego skwarne Południa. Baltimore dostarczyło mu już wystarczającego szoku kulturowego, kiedy przeprowadził się tam niedługo po ukończeniu dwudziestego roku życia – chociaż już się do tego miasta przyzwyczyił, nawet zaczął je lubić. W Baltimore policjant mógł wyżyć z pensji i nadgodzin, nie tak jak na Long Island. Może tu żyło się jeszcze taniej, ale Infante nie wyobrażał sobie przenosin. Bez dwóch zdań, Brunswick cuchnęło.

Kelnerka w Waffle House chyba zauważyła, że krzywił nos, wchodząc do środka.

– Młyyeen pieprzowy – wyjaśniła ściszym głosem, jakby podawała hasło do tajnego klubu.

– Młyn pieprzowy? – Naprawdę miał spory problem ze zrozumieniem miejscowych, niezależnie od tego, jak wolno mówili.

– Młyyeen pieprzowy – powtórzyła. – To właśnie pan poczuł. Proszę się nie martwić, szybko pan przywyknie.

– Nie zamierzam spędzić tutaj tyle czasu, aby do czegośkolwiek przywykać.

Uśmiechnął się do niej. Uwielbiał kobiety, które przynosiły mu jedzenie. Nawet jeśli były nijakie i nieatrakcyjne, tak jak ta pulchna, dziobata dziewczyna, to je wręcz ubóstwiał.

Dochodziła prawie dziesiąta wieczór, kiedy wczoraj dotarł do Brunswick, za ciemno i za późno, aby odwiedzić okolicę, gdzie mieszkała Penelope Jackson i jej facet. Ale już dziś rano ruszył na spotkanie z



miejscowym inspektorem straży pożarnej. Reynolds Street, właśnie ta przecznica, przy której Tony Dunham żył i umarł, wyglądała trochę obskurnie. Albo już podupadła, albo właśnie podnosiła się z upadku. Zresztą w oczach Kevina większość Brunswick tak właśnie wyglądało, jakby ześlizgiwało się w otchłań rozpaczony albo podnosiło po długim kryzysie. To nie dla mnie, pomyślał, oceniając miasto z wnętrza chevy charismy wypożyczonego w Alamo. Jednak kiedy zbliżył się do wody, kiedy poczuł łagodną, słodką bryzę i przypomniał sobie, że w Baltimore do wiosny jeszcze daleko, to zaczął rozumieć. Tutaj pogoda miała w sobie łagodność, podobnie ludzie. Cenił to – jeśli chodziło o pogodę.

– Och, to na pewno był wypadek – powiedział inspektor z miejscowej straży pożarnej, Wayne Tolliver, z którym Infante spotkał się przy filiżance kawy, pod koniec śniadania, właśnie tak, jakby sobie życzył. Nie lubił załatwiać spraw w trakcie posiłków i cieszył się, że mógł całym sercem oddać się jedzeniu tego szczególnego dania, sycącej pasty z jaj, kiełbasy i kaszy.

– Ona była w salonie, oglądała telewizję, a on w sypialni, palił i pił. Zasnął, rzucił popielniczkę na dywanik obok łóżka i wtedy wszystko poszło z dymem – machnął dłońmi, jakby rozsypywał konfetti.

– Co ona zrobiła?

– Alarm przeciwpożarowy nie zadziałał. – Tolliver się skrzywił. Miał okrągłą twarz, różowe policzki i jowialny wygląd, zapewne też mniej lat, niż można by sądzić po jego łysinie.

– Ludzie myślą, że my marudzimy, przypominając, żeby zmieniali baterie, gdy przestawiają zegary co sześć miesięcy. To była Wigilia, w tych stronach zimny okres, więc tam gdzie ona była, był włączony piecyk.

Telewizor stał w starym pokoju we fiorydzkim stylu bez centralnego ogrzewania. Gdy zauważyła dym, było już za późno. Opowiadała nam, że podeszła drzwi, dotknęła ich i poczuła, że są gorące. Mówiła, że w nie waliła, krzyczała jego imię, potem zadzwoniła pod 911. Okna były zabite gwoździami... właściciel lokalu naruszył przepisy... ale tamten facet i tak w ogóle nie miał żadnych szans, leżał kompletnie pijany. Podejrzewam, że już się zaczął na śmierć albo właśnie umierał, zanim ona w ogóle się zorientowała, co się stało.

– I to jest właśnie to.

Tolliver wychwycił podtekst ukryty w słowach Infante'a.

– Nic nie dorzucano do ognia. Tylko jedno źródło, dywanik. Przyjrzelśmy się tej kobiecie. Naprawdę uważnie. Jedna rzecz mnie przekonała. Ona nie miała żadnych rzeczy poza tym pokojem. Pomieszczenie poszło z dymem razem z jej wszystkimi ubraniami, biżuterią, jakkolwiek miała, i wcale nie czekały na nią pieniądze po tym facecie. Wręcz przeciwnie. Dostawał rentę, która skończyła się wraz z jego śmiercią, więc kobieta straciła ten dochód, cokolwiek z tego miała.

– Renta? – Prawnik w Yorku opowiadał, że Stan Dunham wykupił sobie ubezpieczenie po sprzedaniu farmy, więc by pasowało. Ale powiedział też, że Dunham nie miał żyjących krewnych.

– Polisa ubezpieczeniowa na dziesięć lat, z której co miesiąc dostawał sumkę. Wie pan, jak piłkarze dostają te wielkie pensje? One są wsparte roczną rentą. Tamci nie mieli wiele, ale starczyło, żeby się uwalić, i to regularnie. Lubili poimprezować, oboje. Pan pewnie sądzi, że niektórzy z tego wyrastają, on był po pięćdziesiątce, ale niektórzy nigdy.

W tym stwierdzeniu kryła się odrobina żalu, jakby Tolliver miał

związane z tym osobiste doświadczenia; ktoś, kogo kochał, nigdy nie dorósł i przysparzał mu zmartwień. Jednak Infante nie przyszedł tutaj rozmawiać o Tolliverze.

– Czego jeszcze dowiedział się pan o tych dwojgu?

– To był... adres dobrze znany naszym braciom w niebieskich mundurach. Skargi na hałasy. Podejrzenie przemocy domowej. Dzwonili sąsiedzi. Mówili, że nie wiadomo, kto zachowuje się gorzej. Ona była niezłą jędzą, jedną z tych ciemnych wieśniaczek z głębin Karoliny Północnej.

Wszystko jest względne, jeśli ten facet nazywa dziewczynę ciemną wieśniaczką, to ona musiała być naprawdę maksymalną wsiurą, z gnojem na łydkach...

– Jak długo mieszkała przy Reynolds Street?

– Nie jestem pewien. Nie pojawiała się w żadnych oficjalnych dokumentach, umowach o wynajem, rachunkach. Wszystko było na niego.

Mieszkał tutaj z pięć lat. Jeździł ciężarówkami, ale nieregularnie, dla jakiejś firmy. Z tego co mówili sąsiedzi, spotkał ją na drodze i zabrał ze sobą. Nie był supermanem, ale zawsze potrafił znaleźć sobie kobietę. Ona była trzecia, jak twierdzili sąsiedzi.

– Robiliście mu badanie toksykologiczne? Kolejne urażone spojrzenie.

– Tak. I wykazało, że był pijany w trupa, do tego nafaszerowany prochami. Jak wielu innych kierowców, łykał piguły, żeby nie spać, żeby przetrwać dzień, i potem, żeby się uspokoić, jak już wrócił do domu. Dzień wcześniej właśnie przyszedł z roboty.

– Nadal...

– Słuchaj pan, widzę, dokąd pan zmierza. Aleja znam się na pożarach.

Jeśli to ona podpałiła, to, wie pan, musiała być bardzo wyrachowana, mieć zimną krew. Och, to łatwe, zrzucić na dywanik zapalonego peta, ale jak się upewnić, że gość się nie obudzi? Musiałaby tam stać, patrzeć, jak ogień się rozprzestrzenia; czekać, aż się nieźle rozpali. Jeśliby się nie zajęło, nie mogła zrzucić jeszcze jednego, bo byśmy zauważyli. Racja? Poza tym, skąd pewność, że sąsiedzi niczego nie zauważą...

– Była Wigilia. Wielu pewnie wyjechało? Tolliver udał, że tego nie słyszał.

– Spotkałem się z tą kobietą. Nie miała aż takich jaj, żeby to zrobić. Strażacy musieli ją trzymać, żeby nie weszła do domu.

Ale jednak na tyle trzeźwo myślała, by nie wchodzić do sypialni, gdy drzwi były gorące.

Znowu Tolliver wyłapał to, czego Infante nie powiedział.

– W takich kryzysowych sytuacjach ludzie potrafią być naprawdę spokojni i zrównoważeni. Instykt samozachowawczy. Ratowała siebie, a kiedy uświadomiła sobie, że on był w środku, że zginął, wtedy oszalała. Przesłuchałem nagranie telefonu do 911. Była wystraszona.

„Wstraszona”. A ludzie śmiali się z tego rzekomo nowojorskiego akcentu Infante’a.

– Gdzie ona teraz jest?

– Nie wiem. Dom jest spalony, więc w nim nie mieszka. Została w mieście? Wyjechała? Może robić, co jej się podoba. Jest wolna, biała i skończyła dwadzieścia jeden lat.

Jeśli Infante kiedykolwiek wcześniej słyszał takie powiedzenie, to tylko w filmie albo w telewizji, nigdy na żywo. Dzisiaj wygłaszanie takich opinii w miejscu pracy byłoby niefrasobliwością, która skończyłaby się

spotkaniem z działem personalnym. Jednak Tolliver nie dostrzegwał w tym niczego niestosownego. Tak naprawdę własny ojciec i wujkowie Infante'a mówili jeszcze gorsze rzeczy, jeszcze bardziej świadomie.

Wychodząc z Waffle House, Kevin zastanowił się, co też sprowadziło Tony'ego Dunhama na Południe, dlaczego skończył właśnie tutaj. Spokojnie mogła to być pogoda. Jako kierowca zapewne nie należał do osób ambitnych. Dunham, urodzony we wczesnych latach pięćdziesiątych, wciąż jeszcze mógł pójść do college'u. Nawet chłopak, który nie ukończył szkoły średniej, mógł sobie wtedy nieźle żyć, jeśli dobrze się zakręcił. Z danych zebranych przez Nancy nie wynikało, że Tony Dunham mieszkał w tamtym domu, kiedy podobno przebywała tam rzekoma Hea – Sąsiadka nie wspominała, by w domu był jeszcze ktokolwiek inny. Ale nie podała wiele więcej niż adres i nazwisko Staną Dunhama. Czy chciała, żeby znaleźli Tony'ego, czy nie? I gdzie w tym wszystkim jest miejsce Penelope Jackson?

Zdjęcia nie kłamią. Nieznajoma w Baltimore to nie Penelope, nie ta Penelope ze zdjęcia w prawie jazdy. Ale kim ona była? A co, jeśli Penelope była Heather Bethany, a ta kobieta ukradła jej życie, razem z samochodem? To gdzie podziewała się Penelope? Mógł tylko mieć nadzieję, że mieszkańcy Reynolds Street zdołają rozpoznać tę tajemniczą osobę, opowiedzą, jakie mieli z nią kontakty.

Południowej gościnności wyraźnie zabrakło, kiedy Infante wrócił na Reynolds Street i zaczął pytać o Penelope Jackson oraz Tony'ego Dunhama. Tak się jednak złożyło, że pierwszy człowiek, którego spotkał, okazał się całkiem pomocny, tyle że lepiej mówił po hiszpańsku niż po

angielsku i zamknął się dopiero na widok legitymacji Kevina. Jednak nachylił się nad fotokopią prawa jazdy Penelope Jackson, wydanego w Karolinie Północnej i oznajmił: „*Si, si*, to panna Penelope”, a potem wzruszył ramionami, widząc zdjęcie drugiej kobiety. Wyraźnie jej nie rozpoznawał. Sąsiadka ze wschodniej strony, gruba czarna kobieta, która wyglądała na matkę z sześciorga dzieci, samą swoją postawą sugerowała, że widziała już tyle, że nie ma czasu, aby widzieć jeszcze cokolwiek innego.

– Ja pilnowałam swoich spraw, oni swoich – oznajmiła, zapytana o to, czy wie, gdzie może teraz być Penelope Jackson.

Po drugiej stronie okopconego niebieskiego domku jakiś starszy mężczyzna grabił bambusowymi grabiami zielonożółty trawnik, oczyszczając go z zimowego śmiecia. Początkowo chłodny i zdystansowany, stał się bardziej przyjacielski, kiedy zorientował się, że ma do czynienia z reprezentantem prawa.

– Wstyd mówić, ale lepiej, że to miejsce się spaliło, niż żeby dalej tam miało mieszkać tych dwoje – oznajmił Aaron Parrish. – To niemiłe z mojej strony i wcale nie życzyłem im takiej tragedii. Ale oni byli straszni. Och, te bijatyki i wrzaski. I do tego... – zniżył głos, jakby mówił o czymś naprawdę haniebnym – ... on parkował swojego pikapa na trawniku przed domem. Skarżyłem się właścicielowi budynku, ale powiedział, że oni regularnie płacą czynsz, nie tak jak Meksykanie. Ale ja uważam Meksykanów za lepszych sąsiadów, kiedy tylko już im się wyjaśni kilka rzeczy.

– Bójki, wrzaski? Między nimi dwojgiem?

– Regularnie.

– Wzywał pan policję?

Nerwowe spojrzenie wokół, czy nikt nie podsłuchuje.

– Anonimowo. Kilka razy. Moja żona próbowała pogadać o tym z Penelope, ale ta powiedziała, że to nie jej interes... tyle że nie tak uprzejmie.

– Ta tutaj?

Parrish spojrział na zdjęcie z prawa jazdy, powiększone i wydrukowane przez Nancy.

– Na to wygląda. Chociaż na żywo była ładniejsza. Drobna, z ładną figurą, jak laleczka.

– Czy ta kobieta wygląda dla pana znajomo?

Pokazał zdjęcie rzekomej Heather Bethany zrobione aparatem cyfrowym podczas drugiego przesłuchania.

– Nie, nigdy jej nie widziałem. Chociaż są trochę podobne, prawda? Infante spojrział na oba zdjęcia, ale dostrzegł tylko nieznaczne podobieństwo: włosy, oczy, może owal twarzy. Nie wierzył i nie lubił Heather Bethany, ale widział w niej kruchość, jakiej nie miała Penelope. Panna Jackson wyglądała na twardą zawodniczkę.

– Czy ona czegoś panu o sobie nie mówiła? To znaczy Penelope Jackson. Skąd była? Skąd pochodził Tony? Jak się spotkali?

– Ona nie lubiła pogawędek. Wiem, że pracowała na Saint Simons, w Mullet Bay. Tony też czasem pracował na wyspie, kiedy nie mógł nigdzie zahaczyć się na dłużej. Łapał robotę w firmie sprzątającej. Ale oczywiście tam nigdy by się nie przenieśli.

– Dlaczego?

Aaron Parrish zaśmiał się z naiwności detektywa.

– Ceny, synu. Prawie nikogo z tych, którzy pracują na wyspie, nie stać, żeby tam mieszkać. Ten dom – machnął w stronę okopconych pozostałości trzypokojowego niebieskiego budynku – stałby się wart ćwierć miliona, jeśli by się go uniosło i zabrało kilka kilometrów na wschód. Saint Simons jest dla milionerów, a Sea Island jeszcze droższe.

Infante podziękował panu Parrisowi i wszedł przez otwarte drzwi do domku, ciągle pachnącego spalenizną. Nie rozumiał, dlaczego całą strukturę uznano za naruszoną. Przecież zniszczona była głównie sypialnia. Pewnie właściciel doszedł do wniosku, że tak więcej zarobi na ubezpieczeniu.

Drzwi do sypialni były nabrzmiące i zablokowane, ale zdołał je otworzyć, napierając z całej siły ramieniem. Tolliver powiedział, że Tony Dunham umarł, zanim spłonął, zabity wciągniętym do płuc dymem, jednak ciężko zapomnieć, że jego zwłoki później skwierczały i pryskały tłuszczem jak mięso na grillu. Ten zapach też pozostał. Infante stanął w drzwiach, starając się wszystko sobie wyobrazić. Trzeba mieć naprawdę niezłe jaja, żeby kogoś zabić w taki sposób – zrzucić popielniczkę, czekać, aż dywanik zajmie się ogniem. Tak jak mówił Tolliver, nie można dorzucić drugiego papierosa, jeśli od pierwszego nic się nie zajęło. A gdyby facet się obudził, trzeba umieć mu jeszcze wmówić, że to jedynie wypadek, a ty tylko tak sobie wszedłeś, chociaż do tej pory drań regularnie cię lał. Należało też trzymać się w ryzach, aby nie sięgnąć po żadną, choćby ukochaną rzecz; pozwolić, żeby wszystko spłonęło. Trzeba poczekać, aż on prawie zakrztusi się dymem, potem zamknąć drzwi, obmyć twarz z łez wywołanych płomieniami, wrócić i czekać dalej, aż uzyska się pewność, że nic już nie ocali tego człowieka po drugiej stronie.



Kobieta z Baltimore, jakkolwiek się nazywała – na pewno by zdołała to zrobić. Ale ona nie była Penelope Jackson. To jedyny fakt, jakim dysponował. Nie znam Penelope Jackson, mówiła. A czy ktoś, kto naprawdę by jej nie znał, nie powiedziałby tego jakoś inaczej? Nie znam jakiejś Penelope Jackson, nie znam żadnej Penelope Jackson? Do diabła, no to w takim razie skąd masz jej wóz? Zdołała uniknąć odpowiedzi, oferując im rozwikłanie zagadki strasznej zbrodni, a potem jeszcze wskazując policjanta jako sprawcę. Rzuciła im garść informacji – ale po co? Co chciała ukryć?

Wyszedł z budynku, opuścił Reynolds Street. To był smutny dom, nawet przed pożarem. Było w nim dwoje nieszczęśliwych ludzi, razem z frustracją i rozczarowaniem. Mnóstwo kłótni i obelg. Sam kiedyś mieszkał w takim domu, dwa razy. No dobra, raz, przy okazji drugiego małżeństwa. Pierwsze małżeństwo było całkiem w porządku, do czasu. Tabby wydawała się taka słodka. Gdyby spotkał ją teraz... Ale już nigdy jej nie spotka, nie taką Tabby, którą po raz pierwszy ujrzał w Wharf Rat, dwanaście lat temu. Stracił ją, zastąpiła ją kobieta znająca Kevina Infante'a jako łajdaka i krętacza. Czasem wpadał na Tabby, Baltimore było małe – zawsze zachowywała się uprzejmie, on też. Nawet miło sobie gawędzili, śmiali się ze swojego małżeństwa, jakby stanowiło pełną wypadków podróż, zabawny ciąg niepowodzeń. Po dziesięciu latach mogli już stać się wielkoduszni wobec swoich młodszych wcieleni.

Jednak w oczach zawsze miała jeszcze coś, co nigdy do końca nie zniknęło, mgielkę zwątpienia. Dałby wszystko, aby raz jeszcze zobaczyć Tabby taką jak wtedy, gdy patrzyła na niego tamtej pierwszej nocy w Wharf Rat, gdy wciąż jeszcze był kimś, kogo mogła podziwiać i

szanować.

Według jednej z broszur z holu Best Western, na Saint Simons stał zabytkowy fort. Kevin postanowił zabić tam trochę czasu, czekając, aż restauracja Mullet Bay, gdzie pracowała Penelope Jackson, zacznie przygotowywać się do obiadowego szczytu. Przyzwyczyił się już do rozczarowań historycznymi miejscami – widział Alamo, kiedy miał dziesięć lat. Ale w miejscu, gdzie kiedyś znajdował się Fort Frederica, w ogóle nie było żadnych zabudowań. Gapił się właśnie na obszar nazywany Krwawym Bagnem, kiedy zadzwoniła komórka.

– Cześć Nancy.

– Witaj Infante.

Znał ten ton. Był bardziej wyczulony na ton głosu Nancy niż na głos którejś ze swoich żon. Miała dla niego złe wieści.

– Dawaj, Nancy.

– Nasza koleżanka postanowiła mówić. Dzisiaj.

– Wracam wieczorem, nie może poczekać?

– Też tak uważałam, ale Lenhardt stwierdził, że mamy jej pobłazać. Zamierza mnie do niej wysłać. Myślę, że się martwi mediami, teraz, kiedy nadciąga tu jej mama. Nikt się nie spodziewał, że kobieta tak szybko wyjedzie z Meksyku, tak niepostrzeżenie i... no, nie możemy kontrolować mamuśki. Nie mamy prawa siedzieć jej na głowie. Ona może rozmawiać z kimkolwiek chce.

Wolna, biała i skończyła dwadzieścia jeden lat, jak powiedziałyby Tolliver.

– No tak, bylibyśmy wtedy w niezłej dupie. – To i tak zadziwiające, że udawało im się do tej pory uciekać przed dziennikarzami. Pod tym

względem i tylko pod tym, rzeczywiście mieli farta. – Ale i tak dupa. Kiedy przyjeżdża mamuśka?

– O dziesiątej wieczorem, zaraz po tobie. To kolejna sprawa...

– No, dalej. Mam ją odebrać? Czy może w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zostałem zdegradowany?

– Sierżant mówi, że byłoby miło i... roztropnie, jakby ktoś się z nią spotkał. Nie wiemy, jak długo potrważą wyznania. Chcemy mieć ją na oku, rozumiesz?

– No.

Infante z obrzydzeniem zatrzasnął klapkę telefonu i dalej gapił się na bagno. Tamta bitwa chyba wcale nie była aż taka krwawa. Brytyjscy żołnierze odparli tu hiszpańską inwazję podczas starcia nazywanego wojną o „Ucho Jenkinsa”. Dostyc błaży powód batalii, ale on też właśnie toczył swoją własną, niewiele znaczącą, czyż nie? Szwenda się po Georgii, a jego były partner wybił się na główną pozycję, poprowadzi kluczowe przesłuchanie. „Wojna o lewe jajo Infante’a”. Jeszcze gorzej było wiedzieć, że Nancy wcale nie zadała mu ciosu w plecy, nie wmanewrowała w to wszystko. Nigdy nie była intrygantką. Zastanawiał się, czy ta niby Heather aby nie wiedziała, że on poleciał do Georgii, i może dlatego od razu zdecydowała się mówić.

Cholera jasna, nienawidził miasta Brunswick.

## Rozdział 28

Chodzi o to, że może pan nam naprawdę bardzo pomóc. Willoughby wysłuchał tych słów, ale nie mógł się na nich skupić. Był zbyt oczarowany rozmówczynią, zniewolony i urzeczony samą jej obecnością. Dziewczyna w starym stylu... Wiedział, że zachowuje się jak seksista, ale nie mógł się potrzywać od tego, by właśnie tak nie myśleć o młodej pani detektyw. Była zaokrąglona, miała takie ładne, rumiane policzki i gładkie blond włosy opadające z niedbale zawiązanego koka. Oczywiście, dawniej też pracował z kobietami, w późnych latach osiemdziesiątych niektóre nawet zajmowały się sprawami zabójstw, ale żadna nie wyglądała jak ona.

– Ślęczałam prawie do czwartej rano – oznajmiła szczerze detektyw Nancy. – Poprzezglądam akta. Ale tego było za dużo jak na jeden raz, myślę, że mógłby pan mnie nakierować na kluczowe detale.

Podsunęła mu dwa wydruki. Nie takie zwykłe, ale kolorowe, czerwone i niebieskie. Czerwień oznaczała sprawy ogólnie znane, niebieskie rzeczy trzymane w tajemnicy. Było to dla niego trochę dziecinne, przypominało zachowanie małej dziewczynki, ale może teraz wszyscy policjanci tak robią, gdy mają komputery. Z pewnością on nigdy by się nie odważył użyć podobnego systemu za swoich czasów, bo koledzy z pracy byli wyczuleni na wszelkie jego objawy słabości, delikatności, bezsilności.

– Do czwartej rano? – wymamrotał. – A teraz dopiero południe. Musi pani być wykończona.

– Mam sześciomiesięcznego syna, więc zmęczenie to mój stan naturalny. Udało mi się przespać pełne cztery godziny, więc czuję się całkiem nieźle.

Willoughby udał, że studiuje leżące przed nim papiery, ale nie chciał się na nich skupiać, ulegać tym czerwonym i niebieskim syrenom. Pod spokojnym uporządkowaniem starych faktów krył się wir, a Willoughby nie miał ochoty zostać przez niego znowu wciągniętym, myśleć o tym, że zawiódł. Nikt nigdy nie robił mu wyrzutów ani nie sugerował, że w jakikolwiek sposób zawinił. Przełożeni bardzo chcieli rozwiązania problemu sióstr Bethanych – właśnie tak to wówczas nazywano: problemem – ale rozumieli, że to po prostu pech, jedna z tych rzadkich spraw, które przychodzą jakby wprost ze *Strefy mroku*. Nawet Dave nie miał do niego pretensji. A kiedy Willoughby zakończył pracę w wydziale, udało mu się wyrzeźbić taki swój wizerunek, jakiego pragnął. Swój chłop. Twardy. Zawzięty. W żadnym wypadku mięczak.

Jednak długo go gryzło, że nigdy nie zdołał znacząco zbliżyć się do wiedzy o tym, co stało się z siostrami Bethany. A teraz jeszcze ta kobieta – Boże, jaka ładna, w dodatku młoda matka – powiedziała, że we wszystko wmieszany jest jakiś policjant. Jeden z jego ludzi, właściwie pracujący w tym samym okresie. Nie potrafił sobie przypomnieć Stana Dunhama. Nancy mówiła, że Dunham odszedł na emeryturę z wydziału kradzieży w 1974 roku, jednak to wszystko ciągle wprawiało w takie zakłopotanie. Wiedział, jak to by wyglądało, jeśli Jane Doe mówiła prawdę.

Pod samym nosem, przez tyle lat...

– To. – Wskazał palcem linijkę wydrukowaną niebieskim tuszem, wielkimi literami i podkreśloną. – To jest właśnie to, czego chcecie. Tylko kilka osób rozmawiało o tym: ja, Miriam, Dave, młody gliniarz, który był z nami w tamtą noc, ktokolwiek miał dostęp do pokoju przesłuchań.

– To niemało osób. Do tego jeszcze podejrzany jest policjantem, kimś,

kto mógł mieć swoje źródła w departamencie.

– Sądzicie, że kobieta kłamie odnośnie swojej tożsamości, ale mimo to uważacie, że Stan może być zamieszany w tę sprawę.

– Wszystko trzeba brać pod uwagę. Informacja... – przerwała, zbierając myśli – żyje własnym życiem. Rośnie, zmienia się. Od kiedy zaczęłam pracować nad nierozwiązanymi sprawami i spędzać coraz więcej czasu przy aktach i komputerach, inaczej już myślę o informacjach. Są jak klocki lego. Można je złożyć na różne sposoby, ale niektóre elementy nigdy się nie połączą, nieważne, jak mocno się będzie je przyciskać.

Herbata stojąca między nimi na stole już ostygła, ale on i tak pociągnął łyk. Nalegał, aby przyrządzić herbatę. Z wielkim ceremoniałem obchodził się z dwoma kubkami i torebkami liptona, Nancy zaś zaspokoila tę jego zachciankę. Pewnie sądziła, że czuje się samotny, chce przedłużyć wizytę. On natomiast nie czuł się samotny, daleko mu było do tego, i nie chciał, by policjantka zostawała tu nawet minutę dłużej niż potrzeba. Jego spojrzenie ześlizgnęło się ku staremu biurczku żony i usłyszał żałobny, ptasi trel, gdzieś pod stropami Edenwald: „Za późno, za późno”.

– Chodzi o to – odezwał się po chwili – że osoba, która zabrała dziewczynki, niekoniecznie o tej rzeczy wie i prawie na pewno tego nie pamięta. Ot, mało ważny detal. Ale któraś z sióstr by to zapamiętała. Pani by zapamiętała w tym wieku?

– No tak, choć byłam raczej chłopczycą, jak pan się domyśla, ale... tak, ja bym zapamiętała.

– Proszę więc do tego dotrzeć. Obchodźcie się z nią dobrze i dajcie jej upoić się własnymi słowami. To wszystko, co musicie zrobić. Ale pani to już wie, prawda? Pani mówiła, że pracowała w wydziale zabójstw, zanim

została matką. – Spostrzegł, że Nancy się rumieni, jak gdyby nieuprzejmie było przypominać kobiecie, że jest cielesna, że się rozmnożyła. – Wie pani, jak prowadzić przesłuchanie. Nawet założę się, że jest pani w tym niezła.

Teraz przyszła jej kolej, aby napić się zimnej herbaty, trochę zagrać na zwłokę. Kiedy był młodszy, mogłaby go wcale nie pociągać. Jako dwudziestolatek wołał kobiety ze swoich sfer, jak powiedziałyby jego snobistyczna matka, szczupłe i kruche, w rodzaju Katharine Hepburn. Evelyn była właśnie taką kobietą, elegancką w każdym calu. Jednak pulchność też miała swoje zalety, a na dodatek Nancy Porter wyglądała jak laleczka z rumianymi policzkami i jasnoniebieskimi oczami. Przypomina chłopkę, stwierdziłaby jego matka, ale ich drzewo genealogiczne mogłoby wzbogacić się o mocniejsze geny.

– Myśleliśmy... Oni myśleli... Sierżant Lenhardt, przełożony Infante'a, i sam komisarz uważają, że powinien pan być obecny.

– Mam się przyglądać?

– Może nawet.... rozmawiać.

– To legalne?

– Czasem emerytowani policjanci nadal współpracują z departamentem. Pełnią funkcję doradców. Możemy to załatwić.

– Moja droga...

– Nancy.

– Na chwilę tylko zapomniałem pani imienia i starałem się to ukryć. Tak to już jest. Skończyłem sześćdziesiątkę. Zapominam różne rzeczy. Nie jestem taki bystry jak dawniej. Nie pamiętam każdego szczegółu. Teraz pani zna tę sprawę lepiej ode mnie. Niczego nie mogę zaoferować.

– Już sama pana obecność sprawi, że ta kobieta dwa razy się namyśli, zanim spróbuje nas nabrać. Jej matka ma przylecieć dzisiaj wieczorem...

– Znaleźliście Miriam?

– W Meksyku, tak jak pan mówił. Miała konto bankowe w Teksasie i dostaliśmy od nich adres kontaktowy. Lenhardt znalazł ją wczoraj. Nie sądziliśmy, że ona tak prędko przyleci. Próbował ją w ogóle zniechęcić do przybycia. Musiałaby podróżować cały dzień, ale jak tu będzie, to ja nie widzę powodu, żeby trzymać ją z daleka. To nie był nasz pomysł, aby siadać do przesłuchania dzisiaj, ale mój szef mówi, że taka okazja może się nie powtórzyć.

– Chodzi pani o to, że jeśli ta kobieta kłamie, może ogłupić Miriam i zacząć od niej wyciągać informacje? – Pokręcił głową. – Ona nie nabierze Miriam. Nikt nie zdoła nabrać Miriam w żadnej sprawie.

– Akurat rym się zbytnio nie martwimy. Jeśli dojdzie co do czego, zawsze mamy jeszcze tkankę nabłonka. Ale jeśli możemy wyeliminować tę kobietę definitywnie, podstawiając pod nos nagie fakty, to nie byłoby takie złe.

– Tkanekę... ?

– DNA. Zaczynam chętnie używać terminów naukowych i to nie całkiem odpowiednich.

– DNA. Oczywiście. Nowy najlepszy przyjaciel policjanta. – Pociągnął kolejny łyk zimnej herbaty. Czyli Miriam im nie powiedziała, a oni nie pytali. Z góry założyli pewne fakty. Różne rzeczy przeszły bokiem, niewypowiedziane, a wnioski zostały wyciągnięte. Jego wina, uznał. Przez te lata wiele razy zastanawiał się nad naprawieniem wszystkiego. Chociaż tyle powinien zrobić dla Dave'a.



Odsunął papiery, na tyle mocno, aby kilka z nich prześlizgnęło się jeszcze kawałek po gładkiej powierzchni mahoniowego stolika na kawę – lepkiego i zakurzonego, co dostrzegł dopiero teraz, w obecności pełnej życia, młodej kobiety.

– Nie potrafi sobie pani wyobrazić, jak to jest przejść przez takie piekło, prawda? Pani myśli, że krew zawsze może zacząć krążyć szybciej. Mawia się, że rumaki reagują na zapach prochu. Ale czy to znaczy, że konie chcą iść na wojnę, czy chcą jej uniknąć? Ja zawsze myślałem, że chodzi o to drugie. Zrobiłem trochę dobrej roboty jako detektyw. Kiedy odszedłem na emeryturę, pogodziłem się z faktem, że ta jedna sprawa pozostanie otwarta, że niektórych rzeczy nie da się dowiedzieć. Ja nawet, proszę się nie śmiać, myślałem nad wyjaśnieniami nadnaturalnym. Urowadzeniem przez kosmitów. Bo czemu nie?

– Ale jeśli tutaj mamy odpowiedzi...

– W głębi ducha czuję, że to okaże się oszustwem, paskudną stratą czasu i energii nas wszystkich. Żał mi Miriam, która leci tutaj z powrotem i zastanawia się nad tą jedyną rzeczą, w którą rzadko pozwalała sobie uwierzyć. Tylko Dave trzymał się nadziei. To go zabiło. Miriam pogodziła się z rzeczywistością, znalazła sposób, aby przetrwać i dawać sobie radę w życiu, choćby ograniczonym.

– Potrzebujemy właśnie pańskiej głębi spojrzenia. Pan w jednym pokoju ze mną, patrzący jej w oczy. Komisarz powiedział, że później z panem porozmawia na ten temat, jeśli to robi jakąś różnicę.

Willoughby podszedł do okna. Było pochmurno, chłodno, nawet jak na zmienny marzec. Wciąż jednak mógł zagrać w golfa, jeśli tylko miałby ochotę. Golf – gra, której nikt nie potrafi perfekcyjnie opanować,

przypominająca o ludzkiej niedoskonałości. Zawsze powtarzał, że nigdy nie zacznie grać, nie da się wciągnąć w klubowe, ziemiańskie życie, przynależne mu z racji urodzenia, ale w tych pustych dniach emerytury dał się pochłonać luksusowi i wygodzie i teraz już utknął na dobre. Miał czterdzieści pięć lat, kiedy odchodził na emeryturę. Kto zostaje emerytem w takim wieku?

Błąd.

Nie zamierzał robić kariery w policji. Zakładał, że pójdzie tam do pracy tylko na pięć lat, potem przeniesie się do urzędu prokuratora stanowego, następnie będzie ubiegał się o urząd prokuratora generalnego jako kandydat znający prawo na każdym szczeblu. Może nawet kiedyś spróbuje zostać gubernatorem. Jako młody człowiek, świeżo upieczony absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Wirgińskiego, organizował sobie przyszłość właśnie z taką pewnością – plany pięcioletnie, dziesięcioletnie, dwudziestoletnie.

Potem w wieku trzydziestu lat został policjantem z wydziału zabójstw i zechciał pracować trochę dłużej, może rozwiązać jedną albo dwie ważne zagadki kryminalne, aby powiększyć swój dorobek. W pierwszym roku dostał sprawę sióstr Bethanych. Został na kolejne pięć lat, potem na następne dziesięć.

Nie stało się tak tylko przez sprawę sióstr Bethanych, nie do końca. Ale praca w sądach zdawała mu się coraz mniej ważna. Sala sądowa nie była miejscem udzielania odpowiedzi. To był świat epilogów, plansza, na której gracze zbierali już tylko same dokładne fakty, dopasowywali je do siebie. Jak powiedziała tamta kobieta? Jak klocki lego. To moja wersja, to jego wersja. Która panu bardziej odpowiada? Lego. Istniała nieskończona

liczba sposobów poskładania elementów. Pomyślał o śródmiejskiej bibliotece w czas Bożego Narodzenia, tam gdzie w oknach stały wspaniałe konstrukcje z klocków lego, zbudowane przez miejscowe firmy architektoniczne. Pomyślał sobie, jak beztriosko zakładał, że kiedyś będzie przechodził obok tych witryn ze swoimi dziećmi, potem wnukami. Jednak okazało się, że jego żona nie może mieć dzieci.

– To zaadoptujcie – doradził mu kiedyś Dave.

– Ale wtedy nigdy nie wiesz, co dostaniesz – wypalił bez większego namysłu Willoughby.

Dave na szczęście odparł tylko:

– Nikt nigdy nie wie, Chet.

Dług, jaki miał wobec Dave'a, wciąż mu ciążył, nie został spłacony, nigdy nie mógłby być spłacony. Jedyna próba rozliczenia się poskutkowała tą oto katastrofą: Miriam w samochodzie, detektyw zakładająca, że prawo jest po ich stronie, że kiedy wszystko inne zawiodło, oni mogą odwołać się do sądu i dzięki badaniom DNA udowodnić, że tamta kobieta kłamie. Tak, lepiej byłoby dla wszystkich, gdyby słowom owej kobiety dało się zaprzeczyć, zanim dzisiaj wieczór zjawi się Miriam.

– Pójdę z panią – oznajmił wreszcie. – Nie wejdę do środka, ale będę patrzył, słuchał i w razie potrzeby udzielał rad. Proszę mi tylko zapewnić lunch i trochę kofeiny. To będzie długie popołudnie, a jestem przyzwyczajony do miłej drzemki, jak się posiłę.

Wiedział, że daje jej coś, z czego będzie mogła się podśmiewywać, właśnie to sformułowanie: „Jak się posiłę”. Pewnie Nancy opowie później kolegom. „Nie mógł zwyczajnie stwierdzić: po lunchu, jak normalny człowiek, on musiał powiedzieć: jak się posiłę”. Ale coś takiego zawsze

stanowiło element jego policyjnego wizerunku. Rozmyślnie pozwalał kolegom, by z niego się śmiali, dawał powody, by parodiowali jego wyższość, maniery.

Ich niechęć i podejrzenia co do powodów, dla których został policjantem, zawsze go kłopotaly. Najlepsi detektywi kochali swoją robotę i byli z niej dumni. Owszem, mogli zarabiać więcej pieniędzy, zajmując się innymi rzeczami, ale wybrali pracę w policji. Chet najzwyczajniej w świecie robił to samo, a jego miłość do tego zawodu była jeszcze czystsza. Jednak oni nigdy tego nie rozumieli. Po prostu nie potrafili zaufać facetowi, któremu nie zależało na pensji. Ta dziewczyna z rumianymi policzkami zbytnio się od nich nie różniła. Teraz właśnie potrzebowała jego pomocy albo myślała, że potrzebuje. Jednak kiedy wszystko się skończy, zacznie go przedrzeźniać za plecami. Niech tak będzie. Zrobi to dla Dave'a, dla Miriam.

Zastanawiał się, jak bardzo się postarzała, ile siwizny jest w jej ciemnych włosach, czy w Meksyku ogorzała jej cudownie oliwkowa skóra.

## Rozdział 29

Puste miejsca w paszporcie przypominały Miriam, jak niewiele podróżowała przez ostatnich szesnaście lat, ledwie wystawiając nos poza San Miguel, a jeszcze rzadziej za granice Meksyku. Ostatni raz leciała samolotem na długo przed jedenastym września, ale nie była pewna, czy dostrzeże w ogóle jakieś zmiany, jeśli nie będzie wiedziała, na co zwracać uwagę. Spotkanie z celnikami w DallasFort Worth zapewne nigdy nie należało do przyjemności, nawet w najspokojniejszych czasach. Nie była więc zaskoczona tym, jak arogancko ją traktowano albo jak gapiono się na nią potem na fotografię w paszporcie, którego ważność wygasła za rok. Została obywatelką Stanów Zjednoczonych w 1963 roku, bo to wszystko ułatwiało. W przeciwieństwie do powszechnych opinii obywatelstwa nie przyznawano automatycznie po zawarciu małżeństwa. Gdyby nie dziewczynki, to nigdy by go nie zmieniała. Nawet w 1963 roku wcale nie czuła potrzeby zostania „Amerykanką”, jak dość beztrąsko mawiali mieszkańcy USA, jakby na tej półkuli nie było już żadnego innego państwa. Jednak przez wzgląd na rodzinę przyjęła nową tożsamość.

– Jaki jest cel pani wizyty w Stanach Zjednoczonych? – spytała urzędniczka imigracyjna zdecydowanym, lecz monotonnym tonem. Czarnoskóra czterdziestolatka była tak znudzona swoją pracą, że zdawało się, iż niezwykłym wysiłkiem jest dla niej usadowienie swojego całkiem sporego ciała na wysokim, miękkim stołku w małej kabinie.

– Och... – Wahanie trwało tylko ułamek sekundy, ale chyba dostarczyło urzędniczce upragnionej ekscytacji, uczyniło odpowiedź podejrzaną.

Nagle urzędniczka wyprostowała plecy, jej spojrzenie zrobiło się

przenikliwe.

– Jaki jest cel pani wizyty? – powtórzyła, akcentując ostatni wyraz.

– Dlaczego ja... – Miriam w ostatniej chwili przypomniała sobie, że wcale nie ma obowiązku przedstawić urzędnikowi imigracyjnemu historii swojego życia. Opowiadać tej kobiecie o swoich zaginionych dzieciach, które przypuszczalnie zostały zamordowane trzydzieści lat temu, a teraz, wbrew wszystkim oczekiwaniom, jedno z nich może okazać się żywe. Nie musiała opowiadać o romansie z Baumgartenem, o rozwodzie, przeprowadzce najpierw do Teksasu, potem do Meksyku, o śmierci Dave'a. Nie musiała wyjaśniać, dlaczego została obywatelką Stanów Zjednoczonych albo dlaczego wróciła po rozwodzie do panieńskiego nazwiska ani nawet dlaczego postanowiła osiedlić się w San Miguel de Allende. Jej życie wciąż należało do niej, przynajmniej na razie. To mogło się jednak zmienić w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, kiedy raz jeszcze stanie się publiczną własnością.

Wszystko, co musiała powiedzieć, to:

– Sprawy osobiste. Rodzinne. Krewna miała wypadek samochodowy.

– Przykro mi – odparła kobieta. – Okropne.

– To nic poważnego – zapewniła ją Miriam, zabrała bagaże i ruszyła do terminalu lotów krajowych, gdzie czekały ją cztery nudne godziny czekania na lot do Baltimore.

– To nic poważnego – oznajmił sierżant wczoraj wieczorem, kiedy otrząsnęła się już z szoku. Tak jak ktoś ciśnięty do głębokiej, zimnej wody, czuła się zdezorientowana i oszołomiona. Dopiero po kilku chwilach zdołała skupić się, dojść do siebie i skierować ku powierzchni, aby znów nabrać powietrza.

– Chodzi mi o wypadek samochodowy – wyjaśnił mężczyzna. – Bo to, co ona twierdzi, jest już bardzo poważne.

– Będę musiała lecieć cały dzień, ale dotrę jutro wieczorem, jeśli od razu wyjadę – oznajmiła.

Płakała, ale nadal mogła mówić i myśleć. W głowie robiła właśnie przegląd znajomych w San Miguel, ludzi, którzy wyświadczyliby jej przysługę. Był tam taki jeden, szczególnie dobry hotel, gdzie obsługa przywykła do spełniania nagłych zachcianek bogatych ludzi. Pewnie mogliby zarezerwować jej bilety. Pieniądze nie grały roli.

– Naprawdę lepiej, gdyby pani poczekała... Szczerze mówiąc, nie jesteśmy pewni...

– Nie, nie mogłabym czekać. – Potem zrozumiała. – Sądzi pan, że ona może kłamać?

– Cóż, jest cholernie dziwna, ale wie o różnych szczegółach sprawy. Mamy też kilka nowych tropów, ale to wszystko jest bardzo niepewne.

– Czyli że nawet jeśli ona nie jest moją córką, to prawie na pewno coś o niej wie. A co z Sunny? Co powiedziała o swojej siostrze?

Chwila przerwy, ponura pauza, która wyjawiała, że człowiek na drugim końcu linii też jest rodzicem.

– Została zabita wkrótce po porwaniu. Tak mówi ta kobieta.

Przez ponad szesnaście lat mieszkania w Meksyku Miriam ani razu nie miała problemów z żołądkiem. Ale właśnie w tej chwili poczuła ostry, przeszywający ból brzucha. Wśród tych wszystkich rzeczy, które pozwalała sobie wyobrazić przez trzydzieści lat – odkrycie grobu, aresztowanie sprawcy, zakończenie całej historii i jeszcze, o tak, gdzieś w sekretnym zakamarku serca, powrót dziewczynek – to akurat nigdy nie

przyszło jej do głowy. Jedna żyje, ale druga nie? Miała wrażenie, że ciało zaraz jej pęknie przez napięcie wywołane tak skrajnie odmiennymi uczuciami. Heather żywa, do tego obietnica uzyskania wyjaśnień po tylu latach. Sunny martwa i groza wyjaśnień po tak wielu latach. Zerknęła na swoją twarz w lusterku z cienkimi ramkami nad prostym, sosnowym blatem. Spodziewała się ujrzeć ją podzieloną, maskę komedii i tragedii złączone w jedno oblicze. Ale wyglądała tak jak zwykle.

– Będę tam. Tak szybko, jak tylko zdołam.

– Oczywiście, pani wybór. Chociaż możemy najpierw sprawdzić kilka z tych tropów. Wysłałem detektywa do Georgii. Bardzo nie chciałbym, żeby pani przebyła tę całą drogę...

– Proszę pana, są tylko dwie możliwości. Jedna z nich jest taka, że to moja córka. W tym przypadku niezależnie od tego, jak szybko bym przybyła, to i tak za wolno. Druga jest taka, że to ktoś, kto wie coś o mojej córce i wykorzystuje tę wiedzę. Jeśli tak, chcę stanąć z tą osobą twarzą w twarz. Poza tym w chwili, gdy ją zobaczę, będę już wiedzieć.

– Jednak w ciągu jednego dnia wiele się nie zmieni, a jeśli my będziemy musieli ją wykluczyć...

Nie chciał, żeby przyjeżdżała, jeszcze nie teraz, ale to tylko wzmocniło u Miriam postanowienie, aby znaleźć się tam tak szybko, jak tylko możliwe. Dave nie żył, na niej teraz wszystko spoczywało. Zachowa się tak, jak on by się zachował, gdyby wciąż jeszcze tu był. Przynajmniej tyle mu jest winna.

Teraz, mniej niż dwadzieścia cztery godziny od rozmowy z policjantem, tocząc bagaż obok szkaradnych sklepów na lotnisku, Miriam zastanawiała się raz jeszcze nad tą swoją pewnością. A jeśli jednak nie



będzie wiedziała? Jeśli pragnienie ujrzenia córki żywej przytłumi jej instynkty? Jeśli ta cała matczyna intuicja to bzdura? Zawsze byli tacy, którzy skwapliwie odmawiali Miriam tego, co czuje matka. Ludzie bezmyślnie i bez serca degradujący ją dlatego, że nie miała biologicznych praw do dzieci, które wychowywała. Ale jeśli oni mieli rację i Miriam brakowało jakiegoś szczególnie ważnego zmysłu? Czy sam fakt, że tak mocno związała się z dziećmi niestanowiącymi jej naturalnego potomstwa, nie dowodził, jak jest podatna na sugestie? Przypomniała sobie kotkę, którą kiedyś mieli, wspaniałe perkalowe zwierzę. Wysterylizowana, nigdy nie miała małych. Ale pewnego dnia znalazła u Heather foczkę zabawkę, obrzydliwą rzecz zrobioną z prawdziwego foczego futra, prezent od ciężko myślącej matki Dave'a. Gdyby ta foczka nie była właśnie od babci, Dave nigdy nie pozwoliłby córce zatrzymać zabawki. Przecież kiedyś zmusił Miriam, żeby pozbyła się swojego bobrowego płaszcza, pamiątki z kanadyjskich czasów, który otrzymała w spadku i był znacznie mniej obrzydliwy. Jednak względem Florence Bethany czyniono wszelkie możliwe ustępstwa. Kotka, Eleanor, odkryła foczkę i ją zaadoptowała. Ciągnęła za kark, jakby nosiła własne małe. Bez końca ją czyściła, syczała na każdego, kto próbował ją zabrać. Wreszcie oczywiście zepsuła zabawkę, jej wilgotny, szorstki języczek wyrwał całe włosie. Foczka stała się paskudnym, podobnym do płodu kawałkiem płótna.

Jeśli instynkty Miriam były takie same, jak u perkalowej kotki? Skoro nauczyła się kochać dzieci innej kobiety jak własne, była zdolna uznać za swoje każde dziecko, jeśli wystarczająco mocno pragnęła w to uwierzyć. Czy zamierzała chwycić teraz wypchaną foczkę za szyję i udawać, że to jej kociątko?

Rok przed zniknięciem Sunny zadawała coraz więcej pytań o swoją „prawdziwą matkę”. Była wówczas typową nastolatką, tak humorzystą i drażliwą, że rodzina nazywała ją „Sztormówką”. Wciąż podkradała się do samej krawędzi odpowiedzi, a potem się wycofywała. Chciała wiedzieć, ale nie była jeszcze gotowa na poznanie prawdy.

– Kto spowodował wypadek? – dociekała. – Kto prowadził?

Słodkie, miłe opowiadki, które słyszała od nich tak długo, teraz były kłamstwami, po prostu ani Miriam, ani Dave nie wiedzieli, jak znaleźć drogę poprzez tę zmianę. W oczach nastolatki kłamstwo zdawało się największym grzechem. Stanowiłoby wystarczające usprawiedliwienie odrzucenia wszystkich rodzicielskich zasad i ograniczeń. Gdyby dali Sunny taki oręż, dowód własnego fałszu oraz hipokryzji, zrobiłaby się nie do wytrzymania. Ale w końcu i tak by się dowiedziała, tyle że to miała być nauka na błędach jej prawdziwej matki, przypomnienie o tym, jak fatalnie kończy się brak zaufania do rodziców, unoszenie się dumą w obliczu popełnionego błędu. Jeśli Sally Turner zwróciłaby się do rodziców w potrzebie, to Sunny i Heather nigdy nie stałyby się siostrami Bethany. I Miriam, choć nienawidziła tej myśli, wiedziała, że wówczas byłoby lepiej. Nie ze względu na biologię, ale dlatego, że gdyby matka dziewczynek żyła, one też by żyły.

Policja długo i wnikliwie badała rodzinę ich ojca, ale kilku żyjących krewnych nie wiedziało, nie dociekało, co stało się z potomstwem tego agresywnego człowieka. Był sierotą, a ciotka, która go wychowywała, nie lubiła Sally równie mocno, jak Estelle i Herb nie lubili jego... Leonarda albo Leo. Coś w tym stylu. Trudno było po zaginięciu dziewczynek wytykać jakieś upokorzenia, ale Miriam nie cierpiała tego dużego

zainteresowania naturalnymi rodzicami dziewczynek jeszcze bardziej od badania kwestii jej rozwiążności. Dave, który zazwyczaj chciał, by sprawdzono nawet najbardziej karkołomne teorie, wpadł w szal na wiadomość o tym wątku śledztwa.

– To są nasze córki – powtarzał ciągle Chetowi. – To nie ma nic wspólnego z Turnerami ani z tym idiotą, który nie zrobił więcej niż bezpański pies. Marnujecie nasz czas.

Niemal wpadał w histerię, gdy wspomiano o tej kwestii.

Kiedyś, lata wcześniej, pewna osoba uważana za przyjaciela – aż do owego incydentu – zapytała Miriam, czy może tak naprawdę są to dzieci Dave'a. Zakładała, że zapłodnił córkę Turnerów, bo miał z nią długi, sekretny romans, a kiedy Sally umarła, wspólnie z jej rodzicami obmyślił tę całą wyszukaną historię, by zaadoptować dziewczynki. Miriam już przywykła do tego, że nikt nie widział podobieństwa między nią a córkami, lecz uznała za dziwne, iż tamta kobieta dostrzegła u nich jakiegokolwiek podobieństwo do Dave'a. Tak, miał jasne włosy, ale gęste i kręcone. Tak, miał jasną cerę, ale oczy brązowe, zupełnie inną budowę ciała. Owszem, od czasu do czasu ludzie mówili: „Och, ale dziewczynki wdały się w ojca”, co powodowało niezręczne sytuacje, jako że Miriam nie chciała wyprowadzać nikogo z błędu w obecności córek, ale też nie zamierzała w nim utrzymywać. „One są takie jak ja”, miała ochotę powiedzieć. To moje córki i ja je ukształtowałam. Będą lepszymi wersjami mnie, silnymi i bardziej uświadomionymi, potrafiącymi brać to, czego chcą, bez poczucia, że są samolubne lub chciwe; nie tak jak kobiety z mojej generacji.

Cztery godziny. Tyle męczącego czekania na lotnisku i potem prawie

trzy godziny samego lotu, a już podróżowała prawie osiem godzin – od szóstej rano samochodem załatwionym przez Joego, który zabrał ją na lokalne lotnisko. Potem jeszcze długie oczekiwanie w stolicy. W lotniskowej księgarni mieli dobre książki, ale nie potrafiłaby się skupić na czytaniu. Kolorowe magazyny wydawały się natomiast zbyt banalne, zbyt odległe od jej przeżyć. Pozbawiona anteny satelitarnej, nie wiedziała nawet, kim była większość aktorek. Ich twarze i figury w oczach Miriam zdawały się szokująco do siebie podobne, tak trudno je było odróżnić, jak lalki Madame Alexander. Nagłówki obwieszczały o sprawach osobistych: zaręczynach, rozwodach, narodzinach. Zaufaj Chetowi, pomyślała. Tyle rzeczy trzymał z dala od miejscowych mediów. Jakże potulni, jak ostrożni byli reporterzy. A teraz cała historia miał wyjść na jaw: adopcja, romans, problemy z pieniędzmi. Wszystko.

To wciąż tylko możliwe, uświadomiła sobie Miriam. Dzisiejszy świat nie zezwoliłby na takie spotkanie, jeśli okazałoby się sprawą prywatną. To niemal wystarczyło, by zaczęła mieć nadzieję, że ta kobieta w Baltimore jednak kłamie. Ale nie potrafiła podtrzymać tego życzenia. Dałaby wszystko: prawdę o sobie, nawet paskudną i nieprzyjemną, prawdę o Davie, o tym, jak go traktowała. Zrobiłaby to bez namysłu, aby tylko znów zobaczyć córki.

Zabrała całe naręczce tabloidów – lekturę kolorowych pism uznała za pracę domową, jakby czytała przyszłe teksty o swoim życiu.

## **Rozdział 30**

Myślisz, że to właśnie wszystko zakończy? – spytała Heather, wpatrując się w szybę samochodu. Mruczała sobie pod nosem, od kiedy

wsiadły do auta, a pomruk zmienił się w wysoki brzęk, kiedy Kay wjeżdżała na obwodnicę. Nie wiedziała, czy Heather jest go w ogóle świadoma.

– Zakończy?

– Czy będzie po wszystkim, kiedy opowiem im całą historię?

Kay nigdy nie miała gotowych odpowiedzi, nawet jeśli chodziło o drobne sprawy, więc to pytanie szczególnie mocno ją uderzyło. Czy będzie po wszystkim? Gloria nie zatroszczyła się, aby podać taką informację. Tylko zadzwoniła i spytała – a tak naprawdę kazała, wydała polecenie, jakby Kay była jej pracownikiem albo osobą, która coś jej zawdzięcza – czyby na czwartą po południu nie zawiozła Heather na komendę policji. A teraz spóźniały się, bo Heather długo marudziła podczas ubierania. Była taka dziecięco drażliwa, jak Grace, kiedy szykowała się szkoły, i niemal w równym stopniu nie dawało się jej zadowolić. Wreszcie wybrała jasnyniebieski, zapinany pod samą szyję i rozciągnięty sweter z tweedu, który wbrew pozorom pasował do jej niezgrabnych czarnych butów, jedyne dawne elementy garderoby, jaki wciąż chciała nosić. Wszystkie te dąsy wydawały się Kay śmieszne. Zdawało się, że Heather w ogóle nie myśli o swoim wyglądzie. Szkoda, naprawdę, bo była piękną kobietą, obdarzoną tym, co tylko natura może dać: pociągłą twarz, wiotka budowa ciała, której wiek nigdy nie pogrubia, ładna cera.

– Jeśli chodzi ci o chłopca, to nic złego się nie dzieje. Jego stan stopniowo się poprawia. Gloria jest prawie pewna, że nie będzie żadnych poważnych oskarżeń w związku z kolizją.

– Tak naprawdę to nie o nim myślałam.

– Och... – Kay z zakłopotaniem znów zauważyła, jak rzadko Heather

myśli o kimkolwiek innym niż o sobie samej. Ale to byłaby logiczna konsekwencja tego, co się stało. Zakładając, że teoria Kay okaże się prawdziwa.

Na podstawie różnych szczegółów, jakie do tej pory dostrzegła u Heather, uznała, że Stan Dunham porwał obie dziewczynki, jednak zabił Sunny, bo jako piętnastolatka była już dla niego za duża. Więził Heather, aż ona również przestała być użyteczna dla pedofila. Potem trzymał jeszcze kilka lat, póki nie udało mu się wywołać u niej takiej traumy, aby nie wyjawiała jego sekretów. Ale jak tego dokonał, nad tym Kay nie chciała się zastanawiać. Pewnie zmienił ją swojego współnika, sprawił, żeby i ona czuła się przestępcą. A może tak bardzo ją zastraszył, by nigdy nawet nie pomyślała o powiedzeniu komuś, co się stało. W przeciwieństwie do detektywów Kay zbyt nie przejmowała się faktem, iż Heather nie próbowała uciec albo opowiedzieć komuś, co się z nią działo przez tych mniej więcej sześć lat. Może on jej wmówił, że rodzice nie żyją albo nawet że dogadali się z nim, że zabierze dziewczynki. Dzieci były tak podatne na wpływy, łatwe do kształtowania. Nawet ustawiczna niechęć Heather do wyjawienia całej prawdy wydawała się Kay całkiem logiczna. Nowa tożsamość stanowiła rzecz najważniejszą w jej walce o przetrwanie. Dlaczego miałyby komuś powierzyć swoją tajemnicę, zwłaszcza mężczyznom i kobietom z kręgu jej prześladowcy?

– Myślisz, że oni wiedzą coś nowego? – zapytała Heather.

– Nowego?

– Może znaleźli ciało mojej siostry. Powiedziałam, gdzie jest.

– Wtedy informacja pojawiłaby się w mediach, bo trudno odkopać stary grób, nie przyciągając uwagi. Poza tym identyfikacja szczątków zajęłaby

całe tygodnie.

– Naprawdę? A to nie byłaby priorytetowa sprawa. Nie spieszyliby się?

– Wyglądała na lekko urażoną tym, że nie traktowano by jej ze szczególnymi względami.

– Tak jest tylko w telewizji.

Pomyślała o swojej pracy w Domu Rut. Oprócz Glorii Kay poznała tam też pewnego antropologa, specja od kryminalistyki z College Park, który przedstawił smutną prawdę o przeszkodach, głównie natury finansowej, niepozwalających dokonywać cudów, jakich oczekiwała opinia publiczna.

– Kilka rzeczy mogą stwierdzić od razu...

– Na przykład?

Kay ostrzegła, że nie jest do końca pewna.

– No... uszkodzenia ciała. Cios tępym narzędziem albo postrzał. Ale także płeć i przybliżony wiek.

– Jak oni to robią?

– Nie wiem dokładnie. Ale w trakcie dojrzewania szkielet się zmienia. Poza tym jeśli jeszcze żyje wasz dawny dentysta, będzie mógł zidentyfikować twoją siostrę. Dentyści szybko rozpoznają swoją robotę.

– John Martielli – oznajmiła Heather wręcz rozmarzonym głosem. – Miał gabinet na piętrze, nad apteką. W poczekalni leżały magazyny „Highlights”, komiksy o Goofusie i Gallancie. Jeśli nie miałyśmy próchnicy, a my nigdy nie miałyśmy próchnicy, mogłyśmy iść za róg i kupić sobie dużo słodczy w cukierni nawet z ogromną ilością białego cukru.

– Nigdy nie miałaś próchnicy? – Kay pomyślała o swoich własnych, biednych i udręczonych zębach. Dopiero co, w tym roku, przeżywała

torturę wymiany wszystkich metalowych plomb, a teraz jeszcze zużyły się koronki wskutek zgrzytania zębami, co Kay uznała za efekt rozwodu. Tarła zębami tak, aż dwa popękały i ich kawałki pojawiły się w jej ustach wraz z herbatnikiem z płatków owsianych, który akurat jadła. Korony doprowadziły do wywiązania się infekcji i leczenia kanałowego, a dentysta twierdził, że wciąż jeszcze może być potrzebny dodatkowy zabieg. Wiedziała, że te stomatologiczne problemy nie wynikły z jej winy, mimo to czuła się brudna, niehigieniczna.

– Nie. W wieku dwudziestu kilku lat nie chodziłam do dentysty, bo nie miałam ubezpieczenia, a zęby i tak były w idealnym stanie. Teraz odwiedzam gabinet stomatologiczny co pół roku. – Pokazała ładne zęby. Wspaniała budowa ciała, smukła postura, znakomita cera... – gdyby Kay nie wiedziała, co ta kobieta przeszła, trochę by jej nie lubiła. – Możemy się zatrzymać? – zapytała Heather, trzymając się za brzuch, jakby ją rozboleł.

– Już jesteśmy spóźnione, ale jeśli źle znosisz jazdę samochodem albo chcesz coś zjeść...

– Pomyślałam, że mogłybyśmy zajrzeć do centrum handlowego.

– Do centrum handlowego?

– Security Square.

Kay zerknęła na Heather. Ciężko było utrzymywać kontakt wzrokowy, gdy się prowadziło auto, jednak rozmowy z Grace nauczyły ją, że patrzeć sobie w oczy jest przeceniane. Więcej wyciągnęła od córki, kiedy obie spoglądały wprost, przez przednią szybę samochodu.

Centrum handlowe znajdowało się jeden zjazd dalej od miejsca, gdzie w środę wieczór Heather miała wypadek.

– Czy właśnie tam cały czas zamierzałaś dotrzeć?



– Nieświadomie, ale chyba tak. W każdym razie chcę tam iść teraz, zanim to wszystko zrobię. Proszę, Kay. Świat się nie zawali, jak się spóźnimy.

– Ja się tak bardzo nie przejmuję detektywami jak Glorią. Ona nie szanuje niczyjego czasu poza swoim własnym.

– Zadzwońię do niej z twojej komórki, wyjaśnię, o co chodzi.

Nie czekając na zgodę, Heather sięgnęła po telefon stojący w kubkowanym schowku między siedzeniami i wśród odebranych połączeń znalazła numer Glorii. Zręcznie manipulowała telefonem, jak ktoś przywykły do gadżetów, jak Seth albo Grace.

– Gloria? Tu Heather. Zaraz wyjeżdżamy. Były mąż Kay spóźnił się po dzieci, a my nie mogliśmy zostawiać ich samych. – Nie dała Glorii czasu na odpowiedź. – Zobaczymy się za chwilę.

Co za wspaniała wymówka, pomyślała Kay. Zwaliła wszystko na człowieka, którego nikt nie zna.

To wszystko zabrało ułamek sekundy, ale w konsekwencji Kay zanurzyła się w długi, ciemny wjazd do Security Boulevard.

– Myślałam, że jak się dorasta, to różne rzeczy wokół robią się mniejsze – powiedziała Heather. – A to zdaje się większe. Rozbudowali tę część?

Stały w korytarzu, gdzie zgodnie ze wspomnieniami Heather kiedyś było kino z dwiema salami. Jak na sobotę, po centrum handlowym kręciło się niewiele osób. Kay widziała kilka znajomych szyldów, Old Navy, sklep muzyczny, Sears, Hechfs, ale pozostałych sklepów nie знаła. Wyczuwała natomiast atmosferę porzucenia. W jednym z zakątków zlikwidowano dawny sklep wielobranżowy – Heather twierdziła, że

Hoschilda. Usunięto jego ściany, zostały tylko ruchome schody. Teraz prowadziły klientów do azjatyckiej restauracji. W okolicy musiało mieszkać wielu Azjatów, skoro na fasadzie południowego krańca centrum handlowego przymocowano napis *Seoul Plaza*. Kay poczuła odrobinę otuchy: różne rzeczy się zmieniają i adaptują. Ekscytujące, że w tej części Baltimore potrzebny był taki specjalistyczny sklep. Ale Kay nie należała do grona fanów centrów handlowych, a już akurat to wydawało się takie opuszczone, brudne, zapomniane.

Zastanawiała się, jak ono wygląda w oczach Heather.

– Nadal czuć zapach karmelkorna – mówiła. – Wypełnia całą przestrzeń. To właśnie tutaj miałyśmy się spotkać tamtego dnia. – Heather zaczęła iść ze zwieszoną głową, tak jakby kroczyła po czyichś śladach. Docierając do atrium, skręciła w prawo. – Tutaj był sklep z organami, obok księgarni. Z drugiej strony przybory do szycia, Singera, nie JoAnn, razem z Harmony Hut. Miałyśmy spotkać się z ojcem obok sklepu ze zdrową żywnością, GNC, o piątej trzydzieści. Kupował tam drożdże piwne i sezamki. Wtedy było tu ładnie, gwarnie, wesoło.

Wszystko wyglądało, jakby kobieta przygotowywała się do egzaminu, odświeżała sobie wiedzę. Ale jeśli ona rzeczywiście była Heather Bethany, dlaczego miałyby się przejmować tym, czy udzieli prawidłowych odpowiedzi? A jeśli nie była, musiała dostrzec, że centrum handlowe tak się zmieniło, że nikt nie zdoła sprawdzić jej wspomnień.

– Ochrona centrum handlowego. – Zatrzymała się, aby obejrzeć szklaną budę, gdzie mężczyźni w mundurach wpatrywali się w monitory, a Kay zastanawiała się, czy Heather myśli sobie, że ci ludzie mogli ją ocalić, wtedy, trzydzieści lat temu. – To tutaj, gdzie karmelkom... Nie, nie, nie. –

Odwróciła się. – To nowe skrzydło z Hechfs mnie zmyliło, to nie centrum zrobiło się większe, tylko ja trochę się pogubiłam w korytarzach. – Zaczęła iść tak prędko, że Kay niemal musiała biec, aby dotrzymać jej kroku. – Kina były tutaj – oznajmiła, zatrzymując się z poślizgiem, a potem odwróciła się i znowu przyspieszyła. – A jeśli pójdziemy... Tak, zgadza się. Ruchome schody nie były w Hoschikfs, ale w J. C. Penney. Tutaj, tutaj znajdował się sklep z organami, gdzie pan Pincharelli pracował w weekendy.

Teraz „tutaj” działał sklep KidGoRound, ze świątecznymi ubraniami dla dzieci. Zaraz obok był sklep „Dotyk Przeszłości”, co Kay uznała za trochę niesamowite, póki nie zorientowała się, że są tam sprzedawane pamiątki po Negro League, drogie pulowery z nazwami takich drużyn, jak Homestead Grays i Atlanta Black Crackers.

– Pan Pincharelli?

– Nauczyciel muzyki z Rock Glen Junior High. Przez jakiś czas strasznie się podobał Sunny.

Heather stanęła nieruchomo, lekko kołysała się na boki, znowu zaczęła mruzczyć i oplotła się ramionami, jakby poczuła chłód.

– Spójrz na te ubrania – powiedziała. – Dziewczynki z kwiatami, druhenki. Miałaś taki ślub?

– Nie całkiem. – Kay uśmiechnęła się do wspomnień. – Pobraliśmy się pod gołym niebem, w ogrodzie domu naszego przyjaciela nad Severn River. Wpięłam sobie kwiaty we włosy. To były lata osiemdziesiąte – dodała, trochę się usprawiedliwiając. – A ja miałam dwadzieścia trzy lata.

– Ja nigdy nie szłam do ślubu, nie tak naprawdę. – Heather oznajmiła bez cienia tęsknoty ani żalu w głosie.

– No, ale przynajmniej nigdy nie musiałaś się rozwodzić – zauważyła Kay.

– Moi rodzice się rozwiedli, prawda? Przez to, co... się stało. Myślisz, że żałoba ich rozdzieliła?

– Uważam, że... – zaczęła Kay, dobierając słowa tak starannie, jak tylko się dało – żałoba, tragedia powiększa to, co już jest; poszerza pęknięcia, które istnieją. Dobre małżeństwa stają się silniejsze. Słabe cierpią i bez pomocy mogą się rozpaść. Wiem to z doświadczenia.

– Twierdzisz, że moi rodzice nie byli wcześniej dobrym małżeństwem?

– W głosie pojawiła się zawiść, taka prosto ze szkolnego podwórka, instynktowna obrona przed chociażby sugestią obrazy rodziców.

– Nie wiem. Skąd mogłabym wiedzieć. Mówiłam tak ogólnie, Heather. Otrzymała pogodny uśmiech – nagroda za użycie właściwego imienia.

– Ja po prostu przyjąłam, że wszyscy już nie żyją. Poza mną.

Kay wycelowwała spojrzenie w zwiewne spódnice, widoczne za szybą witryny – rozbrajające, wręcz dziewczęce stroje, których Grace za nic nie chciała nosić. „Ja po prostu przyjąłam, że wszyscy już nie żyją”. Gdyby nie żyli, znacznie łatwiej byłoby nie mówić prawdy. Ale czy ktokolwiek sięgałby po takie kłamstwa tylko po to, by uniknąć sądu za wypadek drogowy? Teraz, gdy okazało się, że mały chłopiec wydobrzeje, to czy nie mogłaby po prostu się wszystkiego wyprzeć? Była bardzo wiarygodna, chociaż sam fakt, że w rozważaniach Kay pojawił się cień wątplenia, mógł stanowić dowód, jak to wszystko zostało znakomicie wystudiowane.

Patrząc prosto przed siebie, Kay widziała odbicie Heather w gładkiej szybie, tam gdzie kiedyś znajdował się sklep z organami. Po twarzy spływały jej łzy, drżała tak mocno, aż szczykała zębami – idealnymi,

wolnymi od próchnicy.

– To się tu zaczęło – powiedziała. – Właśnie tutaj.

## Rozdział 31

Handlowa część Saint Simons – „wsi”, jak twierdzili miejscowi, wskazujący Kevinowi drogę – niewiele miała uroku. Wzdłuż głównej ulicy stały drogie sklepy, gdzie sprzedawano bezużyteczne rzeczy ludziom, którzy kupowali impulsywnie, traktując to jako rozrywkę. Nie był to co prawda ten rodzaj wyszukanych, nastawionych na markę szalu zakupów, jaki widywało się w Hamptons, gdzie Kevin pracował przy ogródkach jako nastolatek, ale i tak dostrzegł tu znaczny krok naprzód w porównaniu z Brunswick. Zrozumiał teraz, dlaczego Penelope Jackson mieszkała na stałym lądzie – jakże niedostępne musiały zdawać się tutejsze domy ludziom, którzy nakładali lody, nalewali piwo i sprzedawali różowo-zielone sukienki.

Do Mullet Bay wybrał się w porze szczytu, późnym popołudniem, zanim na dobre nadeszła pora kolacji. Restauracja stanowiła typowe miejsce relaksu – kolejna wariacja na temat amerykańskiego snu w wersji Jimmy’ego Buffeta. Papugi, tropikalne drinki, bez martwienia się o pieniądze. Ciężko było wyobrazić sobie, jak kobieta po czterdziestce mogła pasować do tych młodych ludzi, do lokalu, gdzie personel nosił szorty i koszulki polo. Ale menedżer, ciemnooka, słodka dziewczyna z błyszczącą skórą wszystko wyjaśniła – Penelope pracowała jako kucharka.

– Była super – oznajmiła z entuzjazmem, który zdawał się jej podstawowym nastrojem. Wymówiła to jak „suuupaa”. Plastikowa tabliczka przypięta nad piękną lewą piersią oznajmiała, że dziewczyna na imię ma Heather, a ta zbieżność zdawała się zwiastunem... no czegoś tam. Zresztą Heather to całkiem popularne imię.

– Dobra pracownica, bardzo odpowiedzialna. Potrafiła zastąpić kogoś nawet w ostatniej chwili, nawet raz czy dwa zastępowała barmana. Szefowie z całego serca chcieli ją zatrzymać.

– Dlaczego przestała tu pracować?

– Po prostu musiała zacząć wszystko na nowo. Po pożarze i... po wszystkim. – Nawet wyrażając szczery smutek, ta Heather wciąż pozostawała pełna nieposkromionego entuzjazmu, tak jakby jej uroda, piękne, młode ręce i nogi były dla niej źródłem ciągłego, aż wibrującego zadowolenia. Infante wyobraził sobie, jak te ręce i nogi oplatają się wokół niego, jak czerpie z nich słoneczne zadowolenie.

– A ta kobieta? – Wyciągnął zdjęcie rzekomej Heather. – Czy wygląda znajomo? Widziała pani Penelope w towarzystwie kogoś takiego?

– Nie. Ale ja prawie nigdy nikogo z nią nie widziałam, nawet słabo kojarzę jej faceta. Mówiła o nim, raz nawet tu przyszedł, ale to wszystko.

– Zmarszczyła nos. – Starszy chłop, taki niechlujny. Powiedział mi kilka rzeczy, ale nie powtórzyłam tego Penelope. To była tylko taka gadanina po piwie.

– Powiedziała, dokąd jedzie?

– Nie. Złożyła wymówienie i nawet urządziłyśmy małe przyjęcie na koniec jej ostatniej zmiany. Ale ona była taka zamknięta w sobie. Myślę...

– Zawahała się. Wyraźnie nie chciała plotkować i dlatego Infante jeszcze bardziej ją polubił. Zbyt wiele osób, które przesłuchiwał, ulegało pokusie obmowy innych w imię obywatelskiego obowiązku, ochoczo ujawniało na ich temat wszelkie uwłaczające i wstydlive informacje.

– Sądzi pani, że była skryta przez tę swoją sytuację domową? Pełne energii i ulgi skinięcie głową. O Boże, jak on chciał się z nią pieprzyć. To

byłoby jak... leżenie na plaży, na najdelikatniejszym piasku, ciepłym i miłym, ani trochę szorstkim. Dziewczyna wydawała się uosobieniem dobra, bez żadnej skazy pozostawionej przez życie. Jej rodzice pewnie nadal byli małżeństwem, może nawet wciąż się kochali. Tej Heather dobrze się wiodło w szkole, lubili ją koledzy. Potrafił sobie wyobrazić ptaki siadające na jej ramionach, jak królewnie z kreskówki Disneya.

– Kiedyś przyszła z posiniaczoną twarzą. Ja tylko spojrzałam, tylko rzuciłam na nią okiem, a ona się bardzo zdenerwowała. „Pani nie wie, co się stało”, zawołała wzburzona. A ja na to: „Nikommu nic nie powiem, Penelope, ale jeśli mogę ci pomóc... „ „Nie, nie, nie, Heather, ty nie rozumiesz, to był tylko wypadek”. A potem... potem... – Dziewczyna nerwowo przełknęła ślinę, a Infante z całych sił starał się skupić na jej słowach, nawet jeśli już się zastanawiał, jak nakłonić tę piękną młodą kobietę, żeby poszła z nim do jego wynajętego samochodu.

– Ona powiedziała: „Nie przejmuj się, to wszystko będzie tego warte. Odbiję się od dna”. To działo się około Święta Dziękczynienia.

– Co miała na myśli?

– Nie wiem. Nigdy o tym więcej nie rozmawiałyśmy. Czy to... Czy źle zrobiłam? Powinnam zadzwonić do kogoś, starać się ją namówić, żeby zwróciła się o pomoc? Przecież była dorosła, starsza ode mnie. Nie wiedziałam, jak jej pomóc.

– Wszystko w porządku. – Infante skorzystał z okazji i pogłaskał Heather po rękę. Ta chwila się wydłużyła, ale bez przesady.

– Podać panu coś? Jedzenie, picie? – Głos miała teraz trochę niższy, prawie zachrypnięty.

– Myślę, że nie powinienem niczego zamawiać. Za godzinę muszę



jechać na lotnisko, złapać samolot do Baltimore.

Przylapał ją na tym, że ukradkiem spogląda na jego lewą dłoń.

– Kursuje tam dużo samolotów z Jacksonville. Mógłby pan polecieć pierwszym porannym, to by chyba nie zrobiło wielkiej różnicy. Dotarłby pan do domu na dziewiątą.

– Już wyprowadziłem się z motelu.

– Och, na pewno znalazłby się jakiś nocleg. Ludzie są tutaj bardzo życzliwi. I fajnie jest w Saint Simons. Założę się, że nie zwiedził pan okolicy.

Zastanowił się. No jasne. Tutaj była piękna młoda kobieta, która robiła wszystko poza złożeniem wprost obietnicy, że pójdzie z nim się pieprzyć, kiedy tylko skończy zmianę. Mógł siedzieć przy barze i pić piwo, pozwalając, by napięcie rosło, gdy będzie na nią patrzył, jak krząta się w szortach koloru khaki. Pewnie zaniżyłaby mu rachunek albo przynajmniej dała coś gratis. I cóż to za różnica, sobotnia noc czy niedzielny poranek? Nancy prowadziła dzisiaj przesłuchanie. Jeśli się nie mylił, zaczynała właśnie teraz. On został odsunięty, chociaż nie ze swojej winy. Dobra, z niczyjej winy. W tych okolicznościach – a okoliczności zaczynały już kształtować mu się w głowie – to może jakiś wypadek na szosie, nic wielkiego, nic o czym trąbiłyby media, ale coś na tyle dużego, aby uwięzić go na wyspie tak długo, że spóźniłby się na samolot do Baltimore z Jacksonville? Kto by mu udowodnił, że stało się inaczej? Nikt by się nie przejął, jeśli Infante wróciłby do domu jutro. Nie potrzeba znakomitego detektywa, aby odebrać kogoś z lotniska. Niech kto inny poniańczy mamuśkę, zawiezie do Sheratona i zapewni towarzystwo. Cholera, Lenhardt pewnie by się ubawił, słuchając o jego przygodzie na południu.

„Dobrze się najadłeś tam u nich w departamencie?” „Nie, ale za to zaliczyłem niezłą dupę!”

Pogłaskał jej nadgarstek koniuszkami palców, czując przyjemne ciepło, żywotność młodości, siłę, którą się czerpie ze szczęśliwego i beztroskiego życia. Kevin nie przepadał za dziewczycami, ale lubił ten szczególny rodzaj niewinności zrodzony z wiary, że istnieje gwarancja, iż los okaże się wspaniałomyślny. Może dla tej właśnie Heather taki będzie. Może każdy, kogo kocha, umrze we śnie w odpowiednio sędziwym wieku. Może nigdy nie będzie siedziała z mężem przy kuchennym stole, płacząc nad niepopłaconymi rachunkami; nie zacznie się z nim kłócić z powodu różnych rozczarowań, jakich jej przysporzył. Może urodzi dzieci, które przyniosą tylko chlubę i radość. Może. Ktoś w końcu musiał mieć takie życie, prawda?

Zsunął dłoń z jej nadgarstka, potrząsnął małą dłonią i pożegnał się, starając, aby poznała po jego głosie i wyrazie twarzy, jak bardzo żałuje, że nie zostaje na dłużej.

– Och – westchnęła z zaskoczeniem, najwyraźniej przyzwyczajona, że dzieje się tak, jak ona chce.

– Może kiedy indziej – dodał, myśląc: jutro, za tydzień, pewnie wrócę do domu z inną młodą kobietą spotkaną w barze. Ale dzisiaj zamierzam oddać wynajęty samochód i pozostać częścią zespołu.

Po drodze do miasta zatrzymał się przy grillu w Brunswick i kupił Lenhardtowi koszulkę, na której muskularna świnka prezentowała biceps, a napis głosił: „Nikt nie pobije naszego mięsa”. Mimo tego przystanku na kanapkę z wieprzowiną dotarł na lotnisko w Jacksonville tak wcześnie, że udało mu się jeszcze zdążyć na pierwszy samolot. Lot był bez

międzylądowania, dlatego trwał niemal o połowę krócej.

## Rozdział 32

Chce pan lepsze krzesło? – Nie, nie – Willoughby czuł się zakłopotany propozycją, wielką troską, z jaką traktował go sierżant.

– Mogę panu przynieść coś wygodniejszego.

– Wszystko w porządku.

– Ale po kilku godzinach...

– Sierzancie. – Starał się mówić dystyngowanie i spokojnie, ale osiągnął tylko, że jego głos zabrzmiał nieprzyjemnie. – Wystarczy mi to, co mam.

Budynek różnił się od tego, w którym przepracował wiele lat. Uznał, że jest z tego powodu zadowolony. Nie przyszedł tutaj, żeby kroczyć śladami wspomnień. Został sędzią liniowym, miał ocenić, co dobre, a co złe. U jego stóp leżała koperta z mocnego brązowego papieru, czekała na swoją chwilę. Dochodziła godzina czwarta trzydzieści po południu, dość ciekawy czas, jak na początek długiego przesłuchania. Była to senna pora dnia, kiedy spadał poziom cukru we krwi i ludzie zaczynali myśleć o kolacji, może koktajlu. Wcześniej Willoughby zobaczył, jak ładna pani detektyw zjada jabłko i kilka kawałków sera, popijając butelką wody.

– Proteiny – wyjaśnił, kiedy spostrzegła, że jej się przygląda. – Nie dają zastrzyku energii, ale pozwalają przetrwać długotrwały wysiłek.

Chciałby mieć córkę. Zresztą syna też, ale córka troszczy się o starych rodziców, syna natomiast wciąga rodzina żony, przynajmniej zawsze tak słyszał. Córkę miałby na zawsze. I wnuki. Nie, wcale nie czuł się samotny. Jeszcze kilka dni temu uważał się za całkiem zadowolonego ze swojego życia. Był zdrowy, miał golfa, kolegów, a jeśli zapragnąłby towarzystwa

kobiety, w Edenwald mieszkało kilka takich, które zgłosiłyby się na ochotnika. Dwa razy w miesiącu spotykał się ze starymi przyjaciółmi, chłopakami Gilmana w Starbucksie przy York Road, tam gdzie była stacja Citgo. Rozmawiali o polityce i dawnych czasach. Mówili o sobie ROMEO – Ramole Obecnie Mocno Eksploatujące Obiadki – prowadzili bardzo ożywione rozmowy. To przykre, ale Evelyn tak długo była chora i słaba, że naprawdę nie potrafił za nią tęsknić. Albo może raczej tęsknił za nią przez całe lata, przez ostatnią dekadę jej życia i łatwiej było tęsknić za nią wtedy niż teraz, kiedy już naprawdę odeszła.

Zabawne, Evelyn nie lubiła, jak mówił o siostrach Bethanych. Inne sprawy, nawet pełne okropnych szczegółów, tak bardzo jej nie poruszały. Szczerze mówiąc, lubiła to, kim był. Praca w policji w ich kręgach towarzyskich czyniła go bardzo atrakcyjnym, nawet bardziej seksownym, a Evelyn rozkoszowała się tym, że jej przyjaciółki kręcą się wokół niego i starając się zwrócić na siebie uwagę, zasypują pytaniami o pracę. Ale nie o siostry Bethany, nigdy o siostry Bethany. Doszedł do wniosku, że ta sprawa jest dla niej za bardzo przykra. Sama nie mogła mieć dzieci, więc nie potrafiła słuchać o innej bezpłodnej parze, która dostała je niemal w cudowny sposób, a potem straciła. Teraz, po raz pierwszy, zastanawiał się, czy tak naprawdę nie chodziło o to, że tej zagadki nigdy nie rozwiązał. Czy Evelyn czuła się nim rozczarowana?

– Spóźniłaś się – rzuciła Gloria do Kay, biorąc Heather pod ramię.

– Heather wyjaśniła ci, co się stało – odpowiedziała Kay, starając się rozpaczliwie przekonać siebie samą, że wcale nie kłamie, po prostu nie zaprzecza kłamstwu. Ale kiedy chciała wejść razem z nimi do windy, Gloria ją powstrzymała.

– Nie możesz tam iść, Kay. Chyba że zostaniesz później w jakimś pustym biurze albo sali konferencyjnej.

– Och. Wiedziałam – odparła. Po raz drugi skłamała w ciągu minuty, lecz akurat teraz tylko po to, żeby skryć własne zakłopotanie.

– Kay, przesłuchanie potrwa bardzo długo. Godziny. Sama odwożę Heather do domu, – Ale to ci bardzo nie po drodze. Mieszkasz niedaleko stąd, a ja na południowym zachodzie.

– Kay...

To Gloria powinna iść do domu, pomyślała Kay. Sama stała się tak bliska Heather, jak tylko się dało, przekraczając wszystkie granice. Już sam fakt, że Heather mieszkała w jej domu, to znaczy na terenie posiadłości, mógł zakończyć się naganą, groźbą odebrania licencji. Zgubiła swoją drogę, ale skoro dotarła już tak daleko, nie zamierzała wracać.

– Zabrałam ze sobą książkę, *Jane Eyre*. Będę miała co robić.

– Jane Eyre? Nic jej nie czytałam.

Kay uwiadomiła sobie, że Gloria pomyliła bohaterkę powieści Bronte z Jane Austen, pisarką z XIX wieku. Pewnie w głowie prawniczki nie było wiele miejsca na cokolwiek innego poza klientami, pracą. Czy Heather na ochotnika zgodziła się na wszystko? Zresztą, nieważne. Gdy Kay została sama, tępo wodziła wzrokiem po stronach. Nie potrafiła się skupić.

Nie była zadowolona, że w sali jest jakaś kobieta detektyw, ale próbowała ukryć irytację i zaskoczenie.

– Czekamy na Kevina? – zapytała.

– Kevina? – powtórzyła pulchna policjantka. – Och, na detektywa Infante’a.

Tak jakby nie miała prawa mówić o nim po imieniu. Ona mnie nie lubi, nie lubi, bo jestem znacznie szczuplejsza. Wydaje się zazdrosna o Kevina.

– Detektyw Infante musiał wyjechać. Do Georgii.

– Jak przypuszczam, ma to coś wspólnego ze mą?

Gloria rzuciła jej wymowne spojrzenie. I co z tego? Wiedziała, co robi i co ma robić.

– Nie wiem. Czy to dla pani ważne?

– Nigdy tam nie mieszkałam.

– A gdzie pani mieszkała przez ostatnich trzydzieści lat?

– W tym wypadku ona odwołuje się do Piątej Poprawki – powiedziała szybko Gloria w imieniu swojej klientki.

– Nie wiem, czy Piąta Poprawka jest akurat do tego odpowiednia. Przypominam, że możemy zabrać pani klientkę przed ławę przysięgłych i zagwarantować jej immunitet, który obejmie wszystko, co zrobiła, nawet kradzież tożsamości, ale... w porządku.

Udawany luz.

Już ja ciebie znam, pani detektyw. Jesteś jedną z tych grzecznych dziewczynek, które zostają przewodniczącymi klasy, zawsze mają przystojnego chłopaka i trzymają go krótko. Taka mała szesnastoletnia żona. Ale ja wiem, jak to jest być prawdziwą nastoletnią panną młodą i to by ci się nie spodobało.

– Powtarzam po raz kolejny: tu nie chodzi o prawny aspekt tych spraw – mówiła Gloria. – Tylko o myszkowanie, wścibianie nosa. Jeżeli Heather wyjawí swoją obecną tożsamość, zaczniecie rozmawiać z jej współpracownikami i sąsiadami, prawda?

– Niewykluczone. Z pewnością przejrzymy dokładnie nasze dane.

Kogo to, cholera, obchodzi?

Jednak Gloria stwierdziła:

– Sądzi pani, że ona jest przestępcą?

– Nie, absolutnie nie. Po prostu mamy trudności ze zrozumieniem, dlaczego nigdy nic nie powiedziała, aż do chwili, gdy wzięła udział w wypadku drogowym i zagroziła jej kara za ucieczkę z miejsca zdarzenia.

Postanowiła rzucić detektyw bezpośrednie wyzwanie.

– Ty mnie nie lubisz.

– Dopiero co panią spotkałam – odpowiedziała policjantka. – Ja pani nie znam.

– Kiedy wraca Kevin? Czy nie on powinien mnie przesłuchiwać? Bez niego będziemy musieli przebrnąć przez mnóstwo rzeczy, które już opowiadałam.

– To pani chciała dzisiaj zeznawać. Dlatego jesteśmy. Proszę to zrobić.

– Takie były ostatnie słowa Gary’ego Gilmore’a, w 1977 roku. Kiedy się urodziłaś?

– Właśnie w 1977 – odpowiedziała Nancy Porter. – A pani ile ma lat? Gdzie pani była, że śmierć Gary’ego Gilmore’a wywarła na pani tak duże wrażenie?

– Miałam trzynaście lat wieku Heather. Na zewnątrz byłam w innym wieku.

– Lata wieku Heather? To brzmi trochę jak lata wieku psa.

– Proszę mi wierzyć, detektywie, ja aspirowałam do życia psa.



## Rozdział 33

17.45

Sunny powiedziała, że mogę jechać z nią do centrum handlowego, ale nie wolno mi było się koło niej plątać. A ja, może właśnie dlatego, nie chciałam się od niej odczepić. Poszłam za nią na *Ucieczką z Góry Czarownic*. Kiedy zaczęły się reklamy, wstała i wyszła. Myślałam, że do łazienki, ale kiedy film się zaczął, a jej ciągle nie było, wymknęłam się na korytarz jej poszukać.

– Martwiła się pani o siostrę? Bała się pani, że coś się jej stało? Przesłuchiwana głęboko zastanowiła się nad tym pytaniem. Willoughby nie potrafił jeszcze myśleć o niej jako o Heather, choćby w odruchu samoobrony. Nie chciał inwestować za dużo nadziei w tę kobietę, w to rozwiązanie. Dlaczego się namyślała? Może to wynikało z jej ostrożności, ale podejrzewał, że kobieta lubi dramatyczny efekt swoich pauz i wahania. Wiedziała, że gra przed publicznością większą niż Nancy i Gloria.

– Interesujące, że pani o to pyta. Właśnie tak, martwiłam się o Sunny. Tak, to brzmi dziwnie. Przecież byłam młodsza. Ale ona wydawała się... nie wiem, jak to nazwać. Naiwna? Wtedy na pewno nie umiałabym znaleźć właściwego określenia. Wiem tylko, że czułam się za nią odpowiedzialna. Zaniepokoiłam się, kiedy nie wróciła. Nie mieściło mi się w głowie, że kupiła bilet i zrezygnowała z filmu.

– Mogła wyjść na zewnątrz i poprosić o zwrot.

Kobieta zmarszczyła czoło, jakby się nad tym zastanawiała.

– Tak. To mi nigdy nie przyszło do głowy. Miałam jedenaście lat. Poza

tym bardzo szybko odkryłam, czemu wyszła. Wśliznęła się na *Chinatown*, od osiemnastu lat. A to nie było takie proste. Obsługa pilnowała. Ale dało się ją zmylić. Wystarczyło skłamać, że jedna z toalet jest brudna albo zajęta i trzeba iść do tej w przeciwnym końcu, przy drugiej sali. Robiliśmy to już wcześniej, żeby obejrzeć dwa filmy za cenę jednego, ale nie, żeby pójść na film od osiemnastu lat. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby obejrzeć film dla dorosłych. Byłam trochę taka porządnicza.

Wślizgiwanie się na filmy dla dorosłych – czy dzieci musiały jeszcze w ogóle coś takiego robić? A *Chinatown* – jakie to musiało być rozczarowanie, jeśli miało się nadzieję na świńskie kawałki. Willoughby zastanawiał się, czy jedenastolatka, w 1975 roku, mogła w ogóle ogarnąć całą intrygę, wątek kazirodczy, a co dopiero zrozumieć złożony układ z ziemią, będący osią filmu.

– Znalazłam ją w ostatnim rzędzie. Wściekła się na mnie, kazała mi sobie iść. Zwróciła uwagę obsługi i wyrzucili nas. Była na mnie strasznie zła. Tak zła, aż się przestraszyłam. Potem powiedziała, że ma mnie dość, że nie kupi mi nawet karmelkornu, jak obiecała, i nie chce mnie więcej oglądać do piątej, kiedy odbierze nas ojciec.

– I co pani zrobiła?

– Łaziłam. Oglądałam różne rzeczy.

– Widziała pani kogoś, rozmawiała z kimś?

– Nie, z nikim nie rozmawiałam.

Willoughby zapisał coś w notesie, który mu dali. To był klucz. Jeśli Pincharelli pamiętał Heather, ona powinna pamiętać jego. Przynajmniej tyle nauczyciel muzyki powiedział sam z siebie. Widział Heather wśród publiczności. Słuchała jego gry.

Nancy Porter, dzięki Bogu, też to załapała.

– Dobrze, z nikim pani nie rozmawiała. Ale czy widziała pani kogoś znajomego?

– Nic takiego nie pamiętam.

– Sąsiada, przyjaciela rodziców?

– Nie.

– A więc chodziła pani po centrum handlowym sama przez trzy godziny...

– Tak właśnie spędzają czas dziewczynki w centrach handlowych od niepamiętnych czasów. Łażą i oglądają. Pani tak nie robiła, pani detektyw?

Zarobiła karcące spojrzenie od Glorii, której nie podobało się wojownicze nastawienie klientki. Detektyw Porter uśmiechnęła się – promiennie, szczerze. Przesłuchiwana nie zdobyła się na taki uśmiech pewnie przez całe życie.

– Tak, tyle że ja chodziłam do White Marsh i kręciłam się przy restauracjach, blisko pizzerii Mamy Hardo.

– Ładna nazwa.

– Robili dobrą pizzę.

Nancy pochyliła się nad notesem i zaczęła coś pisać zawzięcie. Tylko na pokaz, pomyślał Willoughby.

*18.20*

– Niech mi pani opowie, co się zdarzyło pod koniec pobytu w centrum, kiedy miałyście się spotkać.

– Już mówiłam.

– Niech pani opowie jeszcze raz. – Nancy napiła się wody z butelki. Kilka razy częstowała kobietę napojami gazowanymi, proponowała wyjście do łazienki, ale tamta zawsze odmawiała. Szkoda, bo gdyby zdobyli jej odciski palców, mogliby sprawdzić je w systemie w kilka minut, przekonać się, czy dobrze trafili. Czyżby o tym wiedziała?

– Dochodziła piąta, a ja wróciłam na środek centrum, pod wielki zielony światek, gdzie było jedzenie. Karmelkom, BaskinRobbins. Myślałam, że Sunny może zmienić zdanie i zafunduje mi jednak coś dobrego. Postanowiłam, że jeśli nie kupi, powiem rodzicom o filmie dla dorosłych. Tak czy inaczej dostałabym to, czego chciałam. W tamtych czasach... byłam w tym dobra.

– W tamtych czasach?

– Zdziwiłaby się pani, jak lata seksualnego niewolnictwa łamią człowiekowi wolę.

Willoughby'emu spodobało się, jak detektyw pokiwała głową, niby współczująco, ale nie pozwalając, by ta informacja zbiła ją z tropu. Tak, tak, lata seksualnego niewolnictwa, jasna sprawa.

– To już... która godzina, kiedy idzie pani na karmelkom?

– Prawie piąta. Mówiłam.

– Skąd pani wiedziała, która jest godzina?

– Miałam zegarek ze Snoopym – wyrecytowała znużonym tonem. – Z żółtym cyferblatem, na szerokim skórzanym pasku. Tak naprawdę należał do Sunny, ale ona go już nie nosiła. Mnie się podobał. Ale trudno było odczytać na nim dokładną godzinę. Mogę więc powiedzieć tylko tyle, że dochodziła piąta.

– A gdzie było stoisko z karmelkornem?

– Nie umiem określić w kategoriach północ-południe. Security Square miał kształt plusa, tyle że jeden koniec był o wiele dłuższy niż pozostałe. Karmelkom sprzedawano na krótkim końcu, tam gdzie otwierał się J. C. Penney. Fajne miejsce. Nawet żeby tylko sobie posiedzieć. Wokół mocno pachniało słodyczami.

– A więc siedziała pani?

– Tak, na krawędzi fontanny. Ludzie wrzucali do niej drobniaki. Pamiętam, jak się zastanawiałam, czy miałabym kłopoty, gdybym kilka wyłowiała.

– Ale mówiła pani, że była porządnicka.

– Nawet porządnickie tak kombinują. Powiedziałabym nawet, że to nas właśnie definiuje. Ciągłe myślimy o rzeczach, których nie śmiałybyśmy zrobić. Określamy, gdzie przebiega granica, żeby móc posunąć się jak najdalej, a potem zasłaniać się niewinnością.

– Czy Sunny była porządnicka?

– Nie, kimś jeszcze gorszym.

– Czyli?

– Kimś, kto chciał być zły, ale nie wiedział jak.

19.10

Kay skończyła *Jane Eyre*. Nie miała już nic do czytania. Pewnie wozila jeszcze jakąś książkę w bagażniku, ale nie wiedziała, czy wpuszczą ją z powrotem do budynku, jeśli wyjdzie. Mogła kogoś zapytać, ale czuła dziwny, właściwy ludziom niedojrzałym brak pewności siebie, który ciągle jej towarzyszył. Zaczęła oglądać zawiadomienia na tablicy

ogłoszeń. Szkolenie uczulające na narkotyki DARE – *Drug Awareness Education*. Nie, chwila, to się nie zgadza... *Drug Abuse Resistance Education*, uczenie odporności na nadużywanie narkotyków. Nieszczęśliwa nazwa, zdaniem Kay, stworzony na siłę akronim, który nie zdał egzaminu. Za bardzo kusiło rozwinąć go do *Drug Abuse Resists Education* – używanie narkotyków odporne na edukację.

Wciąż nie dawała jej spokoju wyprawa do centrum handlowego. Czy powinna komuś o tym powiedzieć? Wobec kogo powinna być lojalna, jeśli w ogóle? Może wyjść? Ale czekał na nią tylko pusty dom w sobotni wieczór.

19.35

– Chce pani coś do picia?

– Nie.

– A ja tak. Zaraz wracam, dobrze? Tylko przyniosę sobie wody.

Glorio?

– Dziękuję.

Prawniczka została sama ze swoją klientką.

– Słuchają nas teraz. Mówię, żebyś wiedziała – wyjaśniła. – Ale jeśli chcemy porozmawiać na osobności, wystarczy, że poprosisz.

– Wiem. Nie trzeba.

19.55

– Gdzie byliśmy?

– Pani poszła po wodę.

– Nie, chodzi mi o to, na czym skończyłyśmy. Ach tak, siedziała pani na skraju fontanny, myśląc o monetach.

– Mężczyzna postukał mnie w ramię...

– Niech pani pokaże.

– Co pokazać?

Nancy przysiadła na krawędzi biurka.

– Ja jestem panią. Podszedł do pani z tyłu? Z której strony? Proszę zademonstrować.

Kobieta podeszła do Nancy z tyłu i szturchnęła ją w lewe ramię, trochę mocniej niż trzeba.

– A więc odwraca się pani i widzi mężczyznę... jak wyglądał?

– Po prostu starszy facet. Bardzo krótkie włosy, siwe i brązowe. Zupełnie zwyczajny. Miał pięćdziesiąt kilka lat, ale tego dowiedziałam się już później. Wtedy pomyślałam tylko, że jest stary.

– Powiedział coś?

– Spytał, czy jestem Heather Bethany. Wiedział, jak się nazywam.

– I wydało się to pani dziwne?

– Nie. Byłam dzieckiem. Dorośli zawsze o mnie coś wiedzieli, tak jakby sami z siebie. Wydawali się bogami. Wtedy.

– Znała go pani?

– Nie, ale od razu pokazał mi odznakę. Wyjaśnił, że jest policjantem.

– Jak wyglądała odznaka?

– Jak odznaka. Nie nosił munduru, ale nie przyszło mi do głowy wątpić w cokolwiek, co powiedział.

– Czyli w co?

– „Twoja siostra miała wypadek. Chodź ze mną”. No i poszłam za nim

korytarzem. Tam było wyjście awaryjne, no ale to była sytuacja awaryjna, więc wydawało mi się logiczne, że tamtędy wychodzimy.

– Uruchomił się alarm?

– Alarm?

– Kiedy wychodzi się przez drzwi awaryjne, z reguły włącza się alarm.

– Nie pamiętam alarmu. Może go wyłączył. Nie wiem.

– Korytarz był... gdzie?

– Między centralnym atrium a Searsem, gdzie toalety. Robili tam też badania rynku.

– Badania rynku?

– Zbierali opinie klientów. Sunny mi o tym opowiadała. Podobno dawali pięć dolarów za odpowiadanie na pytania. Ale trzeba było mieć co najmniej piętnaście lat, więc nigdy mi się nie udało.

20.40

Infante wśliznął się do pokoju, z którego Willoughby i Lenhardt obserwowali przesłuchanie.

– Miałeś być na lotnisku, czekać na mamuszkę – powiedział Lenhardt, ale nie groźnie, agresywnie, nie przy Willoughbym.

– Wcześniej wróciłem, a ona się spóźni co najmniej dwie godziny, według tablic przylotów. Pomyślałem, że zdążę tu wpaść, zobaczyć, jak się sprawy mają.

– Nancy dobrze idzie – odparł Lenhardt. – Nie spieszy się. Trzyma ją już prawie cztery godziny, co chwila dochodzi do momentu porwania, a potem wraca do początku. Tamtą doprowadza to do szału. Aż tupie



nogami, żeby wyrzucić z siebie najgorsze gówno.

Infante zerknął na zegarek.

– Będę musiał pojechać na lotnisko o dziewiątej trzydzieści. Myślisz, że załapię się na najważniejsze?

Lenhardt zwinął dłonie w pięści i pokręcił nimi w nadgarstkach.

– Czarodziejska kula mówi, że wszystkie znaki są pomyślne.

20.50

– A więc jesteście na zewnątrz i... jest ciemno?

– Nie, ciągle widno. Był dwudziesty dziewiąty marca. Dni robiły się coraz dłuższe. Wyszliśmy na zewnątrz...

– Nie uruchomił się alarm w drzwiach?

– Nie. I stała tam furgonetka. Otworzył drzwi, a w środku była Sunny. Zanim cokolwiek zarejestrowałam... że leży, że jest związana, że to nie policyjny samochód, złapał mnie i wrzucił do środka. Walczyłam, jeśli tak to można nazwać, kiedy dziewczynka okłada rękami dorosłego mężczyznę. Bez efektu. Tak się zastanawiam... Myśli pani, że on zwabił Sunny taką samą historyjką? Skąd nas znał? Ustaliliście to, pani detektyw? Skąd Stan Dunham nas znał? Dlaczego nas namierzył?

– Stan Dunham przebywa w domu starców w Sykesville. – Pauza. – Wiedziała pani o tym?

– Raczej do siebie regularnie nie pisywaliśmy – odparła z suchym obrzydzeniem.

Ale bez żalu, zauważył Willoughby. Dokładnie rozważyli, co powiedzą o Dunhamie. Nie zamierzali zdradzać, że nie jest w stanie zaprzeczyć

żadnym oskarżeniom. Ale fakt, że wciąż żył, nie zrobił na kobiecie większego wrażenia. Nawet jeśli mówiła prawdę, czy nie powinna być bardziej zaskoczona, słysząc, że porywacz, człowiek, który zrujnował jej życie, znajdował się zaledwie pięćdziesiąt kilometrów na zachód stąd?

– Dobrze... kiedy panią złapał, czy... zgubiła pani coś? Zostawiła?

– Co pani ma na myśli?

– Tylko tyle.

Kobieta szerzej otworzyła oczy.

– Torebka. Oczywiście, upuściłam torebkę. Jak ja ją opłakiwałam. Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale było mi łatwiej, w tamtej furgonetce, martwić się o torebkę, niż myśleć o... – Zaczęła płakać, prawniczka podała jej chusteczkę, chociaż zwykła jednorazówka nie mogła powstrzymać strumienia łez.

– Może pani opisać tę torebkę?

– O... o... o... opisać?

Willoughby z trudem się pohamował, żeby nie chwycić sierżanta za rękę. To było to, chwila, którą razem z Nancy zaplanował dziś rano.

– Tak. Proszę opowiedzieć, jak wyglądała, co było w środku? Kobieta się namyślała, co Willoughby’emu wydawało się podejrzanym.

Albo wiedziała, albo nie. Odezwała się prawniczka.

– Daj spokój, Nancy. Jakie to ma znaczenie, czy umie opisać torebkę, którą miała jako jedenastolatka?

– Zegarek ze Snoopym opisała dość dokładnie.

– To było trzydzieści lat temu. Takie rzeczy się zapominają. Ja nie pamiętam, co jadłam wczoraj na obiad...

– Dżinsowa z czerwoną tasiemką w zygzak – powiedziała stanowczo

kobieta, zagłuszając Glorię. – Przymocowana do drewnianych rączek białymi guzikami. Miała muślinową podszewkę i inne torby na wymianę.

– A co było w środku?

– Dlaczego... pieniądze, oczywiście. I mały grzebyk.

– A klucz? Szminka?

– Sunny miała klucz; a wtedy jeszcze nie mogłam się malować.

Czasami używałam tylko pomadki do ust.

– To wszystko?

– Co?

– Grzebyk, pomadka i pieniądze. Ile?

– Bardzo mało. Może pięć dolarów, minus to, co wydałam na bilet do kina. I nie jestem pewna, czy miałam pomadkę. Powiedziałam, że czasami jej używałam. Nie pamiętam wszystkiego. Boże, a pani wie, co ma w tej chwili w torebce?

– Portmonetkę – odparowała bez namysłu Nancy Porter. – Tiktaki. Chusteczki odświeżające. Szminkę. Paragony...

– Dobrze, pani wie. A ja nie. Kiedy mnie zatrzymali we wtorek wieczorem, nie wiedziałam nawet, że w torebce nie mam portfela.

– Do tego jeszcze dojdziemy.

*21.10*

– A więc kiedy znalazła się pani w furgonetce...

– Ruszyliśmy. Jechaliśmy i jechaliśmy. Wydawało mi się, że bardzo długo, ale może straciłam poczucie czasu. Zatrzymał się w pewnym momencie i wysiadł. Spróbowałyśmy otworzyć drzwi...

– Nie była pani związana, jak siostra?

– Nie, spieszyło mu się. Złapał mnie tylko i wrzucił do środka. Nie mam pojęcia, jak obezwładnił Sunny.

– Ale powiedziała pani: „Spróbowaliśmy otworzyć drzwi”...

– Rozwiązałam ją oczywiście. Nie zostawiłam Sunny związanej. Zatrzymał się, my spróbowaliśmy otworzyć drzwi, były zamknięte od zewnątrz. A między tyłem samochodu a kabiną pasażerską wisiała naciągnięta siatka, więc tamtędy nie mogliśmy uciec.

– Krzyczałyście?

Kobieta popatrzyła na Nancy nierozumiejącym wzrokiem.

– Kiedy wysiadł z samochodu. Krzyczałyście, próbowaliście zwrócić czyjąś uwagę?

– Nie. Nie wiedziałyśmy, gdzie jesteśmy, czy ktoś może nas usłyszeć. A on nam groził, mówił, że zrobi nam coś strasznego... więc nie, nie krzyczałyśmy.

Nancy spojrzała na dyktafon, ale się nie odezwała. Dobrze, pomyślał Willoughby. Prowokowała kobietę milczeniem, wyczekiwała.

– Byłyśmy na wsi. Słyszałyśmy... świerszcze.

– W marcu?

– Jakiś dziwny dźwięk. Dziwny dla nas. Może to cisza tak dzwoniła. – Spojrzała na Glorię. – Muszę to omawiać ze szczegółami? To naprawdę konieczne? – Potem, nie czekając na reakcję prawniczki, zaczęła opowieść, której podobno tak bardzo nie chciała opowiadać. – Zabrał nas do domu na pustkowiu. To była farma. Chciał... robić różne rzeczy. Sunny się broniła, więc ją zabił. Chyba niechcący. Wyglądał na zaskoczonego. Nawet przygnębionego. Czy to możliwe? Że był przygnębiony? Może od

początku chciał nas pozabijać, obie, ale potem to się stało i zrozumiał, że z zabijaniem nie da sobie rady. Zabił Sunny, a mnie powiedział, że nigdy nie mogę go opuścić. Że będę musiała zostać z nim i jego rodziną, stać się jej członkiem. A jeśli nie... no, jeśli nie, nie miałby wyboru. Zrobi ze mną to samo, co z Sunny. Ona nie żyje, powiedział. Nie mogę jej ożywić. Ale tobie mogę dać nowe życie, jeśli mi pozwolisz.

Willoughby wyobraził sobie autostradę, migoczącą światłem tak jak czasem późnym latem, kiedy powietrze o zachodzie słońca zaczyna falować. Ta opowieść miała w sobie coś podobnego, chociaż nie umiał tego dokładnie wskazać. Zaczęło się od świerszczy, chociaż je zlekceważył. Wiedział tylko, że kobieta co chwila omija prawdę, że niektóre fragmenty są prawdziwe, ale inne zostały... uformowane. Dopasowane. Do czyich oczekiwań? Po co?

– Z jego rodziną? A więc brały w tym udział też inne osoby?

– Nie znały całej prawdy. Nie wiem, co powiedział żonie i synowi. Może, że uciekłam z domu, a on zabrał mnie z ulic Baltimore, dziewczynę, która z jakiegoś powodu nie chce wrócić do domu. Wiem tylko, że poszedł do biblioteki i czytał stare gazety, aż znalazł to, czego potrzebował: artykuł o pożarze w Ohio, sprzed kilku lat. Zginęła w nim cała rodzina. Zanotował imię i nazwisko najmłodszego dziecka i wystąpił o nadanie numeru ubezpieczenia na te dane. Mógł mnie zapisać do szkoły parafialnej w Yorku.

– Tylko na podstawie numeru ubezpieczenia?

– To była szkoła parafialna, powiedział im, że nic więcej nie mam, że wszystko zostało zniszczone i minie wiele miesięcy, zanim zdobędzie świadectwo urodzenia. Był powszechnie szanowanym policjantem. Ludzie

szli mu na rękę.

– A więc zapisał panią do szkoły, wysyłał tam codziennie, a pani nie próbowała wyjaśnić nikomu, kim pani jest ani co pani przeszła?

– To nie stało się tak od razu. Zaczekał do jesieni. Przez prawie pół roku mieszkałam pod jego dachem, pozbawiona wolności. Kiedy zaczęłam chodzić do szkoły, byłam już zupełnie złamana. Przez pół roku codziennie powtarzał mi, że nikogo nie obchodzę, nikt mnie nie szuka, we wszystkim jestem zależna od niego. Tak mówił dorosły, policjant. A ja, jak to dziecko, wierzyłam mu. Poza tym... co noc byłam gwałcona.

– A jego żona to tolerowała?

– Udawała, że nic nie widzi. A może tłumaczyła sobie, że to moja wina. Mała prostytutka uwiodła jej męża. Nie wiem. Z czasem człowiek się znieczula. To był mój obowiązek, tego ode mnie oczekiwano. Mieszkaliśmy między Glen Rock a Shrewsbury, a to wydawało się milion kilometrów od Baltimore. Tam nikt nawet nie mówił o małych Bethanych. Dziewczynki zaginęły w mieście. A sióstr Bethanych już nie było. Została tylko jedna.

– Tam pani mieszkała przez cały czas? Uśmiechnęła się.

– Nie, pani detektyw. Wyjechałam stamtąd bardzo dawno temu. Kiedy skończyłam osiemnaście lat. Dał pieniądze, wsadził mnie do autobusu i powiedział, że teraz jestem zdana na siebie.

– Dlaczego nie wróciła pani do Baltimore, nie znalazła rodziców i nie opowiedziała o wszystkim?

– Bo już nie istniałam. Byłam Ruth Leibig, jedyną ocalałą z tragicznego pożaru w Columbus w Ohio. Zwyczajną nastolatką w dzień, prostytutką w nocy. Nie było już Heather Bethany. Nie było do czego wracać.

– A więc takiego nazwiska pani używała. Ruth Leibig. Szerszy uśmiech.

– Tak łatwo pani nie pójdzie, pani detektyw. Stan Dunham dobrze mnie wyszkolił. Ja też nauczyłam się przeszukiwać stare gazety, wynajdować porzucone tożsamości i przywłaszczać je sobie. Teraz oczywiście jest trudniej.

Ludzie dostają numery ubezpieczenia coraz wcześniej. Ale dla kogoś w moim wieku wciąż jest pod dostatkiem nazwisk małych martwych dzieci. I byłaby pani zaskoczona, jak łatwo zdobyć świadectwo urodzenia, jeśli posiada się pewne podstawowe informacje i kilka... umiejętności.

– Jakich konkretnie?

– To nie pani sprawa. Gloria pokręciła głową.

– Opowiedziała wam całą historię. Teraz już wiecie.

– W tym sęk – odparła Nancy. – Wszystko, co nam dotąd dała, prowadzi donikąd. Farma, na której to wszystko się działo? Zniknęła, podzielona lata temu, a w archiwach nie ma żadnej wzmianki o znalezionych tam ludzkich szczątkach.

– Sprawdźcie szkołę parafialną. Znajdziecie Ruth Leibig w listach uczniów.

– Stan Dunham jest w hospicjum, umiera...

– To dobrze.

– Jego żona nie żyje od prawie dziesięciu lat. Och, a syn? Zginął w przypadkowym pożarze zaledwie trzy miesiące temu. W Georgii. Gdzie mieszkał z Penelope Jackson.

– Nie żyje? Tony nie żyje?!

Gdyby Willoughby był młodszy, mógłby zerwać się z krzesła. Infante i

Lenhardt, już stojący, zeszywnieli, nachylili się do głośnika, z którego padały słowa.

– Czy ty... – zaczął Lenhardt. Infante mu przerwał:

– Nie zaskoczył jej fakt, że ojciec żyje, w dupie miała Penelope Jackson i Georgię, ale syn wytrącił ją z równowagi. I знаła jego imię, chociaż Nancy go nie podała.

Po drugiej stronie:

– Spokojnie, Heather – powiedziała Gloria. – Spokojnie. Nancy, daj nam chwilę, jeśli można.

– Jasne. Nie spieszcie się.

Nancy spokojnie wyszła z sali, ale kiedy dołączyła do kręgu detektywów, prawie skakała z podniecenia. Dziewczyna jest z siebie zadowolona, pomyślał Willoughby, i ma powód. Dobrze się spisała. Pominięcie Pincharellego było kluczową sprawą. A Miriam upierała się, że Heather zabrała tego dnia do centrum handlowego wyjątkowo dużo pieniędzy, bo jej skarbonka w domu została pusta.

Ale to nie wystarczyło. Tylko on jeden w pomieszczeniu wiedział, że nie udało im się dowieść, że to nie Heather Bethany. Postawiłby swoje życie w zakład, że kobieta kłamie, ale nie umiał tego udowodnić.

– No i? – spytała Nancy.

– Czekaliśmy na ciebie – odparł Lenhardt.

Willoughby podniósł leżącą u stóp kopertę i otworzył ją, chociaż wiedział, co znajdzie w środku. Niebieską, dzinsową torebkę z czerwoną wstążką. Nawet w chroniącej przed światłem kopercie trochę wyblakła przez lata, mimo to wyglądała dokładnie tak, jak została opisana, nie licząc zawartości. Ale tylko dlatego, że żadnej zawartości nie było. Torebka



została znaleziona przy kontenerze na śmieci, wywrócona na lewą stronę, ze śladem opony. Zakładano, że Heather upuściła ją podczas uprowadzenia i jakaś łajza natknęła się na nią, opróżniła z pieniędzy i wszystkich rzeczy, a potem wyrzuciła.

Nie mogli jednak zaprzeczyć wspomnieniu kobiety o zawartości, ponieważ nic o tym nie wiedzieli. Sama torebka została dokładnie opisana. A więc jeśli to była Heather Bethany, dlaczego nie pamiętała nauczyciela muzyki swojej siostry? Czy Pincharelli kłamał? Czy załamał się i powiedział Willoughby'emu to, co ten chciał usłyszeć, bo skrywał inny sekret? On też nie żył. Gdziekolwiek się zwrócili, ludzie nie żyli albo umierali. Po trzydziestu latach to była naturalna kolej rzeczy. Dave nie żył. Evelyn nie żyła. Żona i syn Staną Dunhama nie żyli, a on sam też już był jedną nogą na drugim świecie. Penelope Jackson zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie zielonego valianta. A policji udało się ustalić tylko tyle, że kobieta siedząca w pokoju przesłuchań nie była Penelope Jackson. Mimo to opisała torebkę. Czy to czyniło z niej Heather Bethany? Willoughby wrócił pamięcią do migoczącego powietrza, do chwili, kiedy był pewny, że kobieta kłamie.

– Jasna cholera – zaklął Lenhardt.

– No, niedługo zjawi się tu mamuśka – powiedział Infante. – Byłoby fajnie, gdybyśmy nie musieli jej ciągnąć na konfrontację, gdybyśmy mogli wyjaśnić nieporozumienie. Ale nawet badanie DNA zajmie ponad dzień.

– Aha – mruknął Willoughby. – Jeśli o to chodzi...

Samolot mrucał tak samo sennie jak jego pasażerowie, w większości zmęczeni i poirytowani ponaddwugodzinnym spóźnieniem. Siedząc w fotelu pierwszej klasy, luksusie wynikłym z konieczności kupna biletu last minute, Miriam nie mogła zasnąć i wpatrywała się w pokrywę chmur pod samolotem. Długo trwało, zanim się przez nią przebili, ale w końcu wyłoniło się Baltimore; po dwudziestu latach. Miasto było olbrzymie, inne niż pamiętała – jego światła zajmowały o wiele większy obszar, ale Miriam nie przylatywała do Baltimore samolotem od 1968 roku. Lotnisko nazywało się wtedy Przyjaźń, a ona wracała z Kanady przez Nowy Jork. Lato po zamieszkach wydawało się dogodną porą, by zabrać dzieci do Ottawy, na dłuższe wakacje u dziadków. Och, jak one się wystroiły na podróż powrotną, w takie same sukienki, kupione przez matkę Miriam w Holt Renfrew – pasiaste, z szarfami mocowanymi do kołnierzyków na zatraski. Sunny uświła się już po dwudziestu minutach, ale Heather przy lądowaniu nie miała na sukience nawet jednego zagniecenia. W tamtych czasach można było wychodzić na spotkanie przylatującym pod bramki. Miriam pamiętała Dave’a – czekał na nie w terminalu, blady i zgarbiony, przybity pracą. Kilka lat później, kiedy przyszedł do niej z pomysłem otwarcia sklepu, przypomniała sobie ten widok i bez wahania się zgodziła. Chciała, żeby czuł się szczęśliwy. Nawet kiedy ona sama była nieszczęśliwa, pragnęła tylko, żeby Dave miał przynajmniej spokój ducha.

Nagle pod samolotem rozpostarła się martwa przestrzeń, niemal pozbawiona światła, otchłań. Odrzutowiec skręcił i ruszył nad zatokę Chesapeake. Chociaż ostatnie zejście do lądowania było gładkie, żołądek Miriam znów się boleśnie skurczył; na oślep sięgnęła do kieszeni fotela po torebkę, ale jej tam nie znalazła. Może w samolotach już ich nie dawali,

może ludzie powinni umieć latać i nie chorować, przynajmniej w pierwszej klasie. A może ktoś ją zabrał, a przepracowana stewardesa tego nie zauważyła. Miriam zrobiła więc jedyną możliwą rzecz w tych okolicznościach. Przełknęła.

## **Część VIII**

Stan rzeczy

(1989)

## Rozdział 34

Ostatni etap wyprawy Miriam do szkoły językowej skomplikował się przez fakt, że wciąż nie mówiła po hiszpańsku. Normalnie paragraf 22, pomyślała, stojąc na wielkim, pogrążonym w chaosie dworcu autobusowym, gdzie udało się jej kupić bilet pierwszej klasy do Cuernavaca przy minimum nieporozumień. Przedostała się przez cło, zdołała nawet złapać taksówkę w mieście Meksyk, by się tu dostać. Czuliła się bardzo dumna z siebie do chwili, kiedy odeszła od kasy biletowej, drżącą dłonią ściskając bilet do Cuernavaca.

Ale jak znaleźć swój autobus wśród tych wszystkich stojących na przystankach, warczących i plujących czarnym dymem? Ogłoszenia z głośników były tylko pasmami trzasków, niezrozumiałych w żadnym języku. Nie widziała nigdzie żadnej informacji, nikt tu chyba nie mówił po angielsku, a kulawy hiszpański, który opanowała na kursie dla początkujących w Teksasie, na nic się nie zdawał. Ludzie patrzyli na nią bez zrozumienia, kiedy dukając, zadawała pytania, a potem wypuszczali z siebie lawinę słów. Chcieli jej pomóc. Mieli uprzejme miny, ich gesty były przyjazne. Po prostu nie rozumieli, co mówiła.

Przyjrzała się swojemu biletowi, zauważyła, że jest niebieski, i zaczęła patrzeć na bilety trzymane przez innych. Zobaczyła kobietę też z niebieskim biletem, wyglądającą na zmęczoną, z profilem, który Miriam widywała w sztuce Majów – orli nos, płaskie czoło.

– Cuernavaca? – spytała.

Kobieta zastanowiła się, jakby w życiu słyszała już mnóstwo prostych pytań, które okazywały się złowróżbne i niebezpieczne.

– *Si* – powiedziała. – *Ya me voy*. – Odwróciła się, a pytanie Miriam potraktowała jako delikatną sugestię, by przesunąć się dalej. Kiedy obejrzała się przez ramię i zauważyła, że Miriam za nią idzie, przyspieszyła kroku, z trudem, ponieważ dźwigała dwie wielkie torby z zakupami. Ale Miriam było jeszcze ciężiej z walizką przypiętą do wózka, więc zaczęła zostawać z tyłu. Kobieta obejrzała się jeszcze raz, zobaczyła, jak Miriam się szarpie, potem zerknęła na bilet w jej dłoni, taki sam jak jej własny.

– *Cuernavaca* – powiedziała ze zrozumieniem. Zaczekała, aż Miriam ją dogodni, a potem zaprowadziła do właściwego autobusu. – *Cuernavaca* – powtórzyła z uśmiechem, jakby Miriam była dzieckiem, uczącym się ważnego słowa. – *Cuernavaca* – powiedziała jeszcze raz po wejściu do środka, kiedy usiadła na fotelu po drugiej stronie przejścia. Zaryzykowała kilka nowych słów. Miriam powinna je znać, kiedyś się ich uczyła, ale teraz nie pamiętała. Kobieta znów spróbowała, mówiąc wolniej. Miriam zaśmiała się i załamała ręce, kpiąc z własnej niewiedzy. Kobieta uśmiechnęła się, jakby z ulgą, że nie będzie musiała rozmawiać z tą nieznaną przez godzinę podróży na południe. Rozsiadła się wygodnie, sięgnęła do jednej ze swoich toreb i wyjęła coś zawiniętego w woskowany papier. Odwinęła go, ukazując mango na patyku, grubo obsypane mieloną papryką. Teraz już bezpieczna w autobusie, prawie u celu, Miriam odprężyła się na tyle, by uznać mango z papryką za ciekawy smakołyk. Jeszcze pięć minut temu, gdy wciąż była zagubiona, pomyślałaby, że to obrzydliwe.

*De dónde es?* To właśnie powiedziała kobieta. Skąd pani pochodzi? Na odpowiedź było już za późno, a nawet gdyby nie, to co Miriam miałyby

powiedzieć? Do samolotu wsiadła dziś rano w Austin. Czy była przez to Teksanką? A może powinna powiedzieć „Kanada”, gdzie się urodziła? Odkąd zmarli jej rodzice, nic ją z Kanadą nie łączyło. Za dom wciąż uważała Baltimore, ale mieszkała tam ledwie piętnaście lat, a w Teksasie co najmniej trzynaście. Skąd pochodziła? Jednego była pewna: uciekła z Teksasu w samą porę, uchodząc przed recesją jak przed rozpędzoną falą zalewającą plażę.

To nie był spryt, zwykle szczęście. Dom sprzedała półtora roku wcześniej, zanim ceny na rynku poleciały na łeb, na szyję. W tym samym czasie pozbyła się niektórych długoterminowych inwestycji, które odziedziczyła po rodzicach. Ale nie dlatego, że przewidziała krach giełdy w 1987 czy załamanie teksańskiego rynku nieruchomości, które nastąpiło zaraz potem. Bawiła się myślą o wcześniejszej emeryturze, ulokowała więc swoje pieniądze w kolekcji CD i poczyniła inne, mało konserwatywne inwestycje. Nowego domu natomiast nie kupiła, bo nie była pewna, czy chce zostać w Teksasie. Ze swoimi pieniędzmi mogła działać o wiele więcej gdzie indziej. Wielu ludzi nie chciało w tym okresie zostawać w Teksasie; przez ostatnie kilka miesięcy płakali w biurze Miriam, nie rozumiejąc istoty marzy negatywnej. Jak to możliwe, że jesteśmy zadłużeni? – łkała pewna młoda kobieta. Kupiliśmy dom, płaciliśmy raty w terminie, a teraz go sprzedajemy. Dlaczego musimy dopłacić siedem tysięcy dolarów? Odważniejsi sprzedający próbowali sugerować, że pośrednik nie powinien dostawać prowizji, jeśli sprzedaż nie przynosiła zysków. To były paskudne czasy.

Jednak nawet gdyby rynek przeżywał rozkwit, Miriam podjęłaby te same decyzje. Jej partnerzy, patologiczni optymiści, uznali, że zwariowała,

biorąc miesiąc wolnego na samym początku wiosennego sezonu. Jak możesz teraz wyjeżdżać? – pytali. Sytuacja na pewno się poprawi. Mieliby o niej jeszcze gorsze zdanie, gdyby wiedzieli, że w ogóle nie zamierzała wracać do pracy. Chciała nauczyć się hiszpańskiego na intensywnym miesięcznym kursie, a potem znaleźć sobie nowe miejsce do życia. W Stanach Zjednoczonych takie marzenie musiałoby czekać na spełnienie jeszcze dziesięć lat. Ale nie tutaj, w Meksyku, gdzie za dolara kupowało się tysiąc sześćset peso. Nie żeby była w stu procentach zdecydowana na Meksyk. Rozważała też wyjazd na Belize albo Kostarykę.

W zamęcie przygotowań do pierwszego etapu podróży nie od razu zwróciła uwagę na datę. Było tyle do zrobienia: mnóstwo dokumentów, czeki podróżne, umowa podnajmu mieszkania, sprzedaż samochodu. Już samo to powinno zdradzić jej kolegom, że nie zamierza wracać. Kto mógłby żyć w Teksasie bez samochodu? Ale trzy tygodnie temu, kiedy w końcu zarezerwowała bilet na samolot, popatrzyła na datę w organizerze – szesnasty marca. Miriam uznała, że to dobry znak – ucieczka z kraju przed kolejnym dwudziestym dziewiątym.

Autobus piał się krętą drogą na górską przełęcz, a Miriam zauważyła maleńkie białe krzyże wzdłuż trasy. Czy autobusy w Meksyku nie spadały bez przerwy z urwisk? Takie informacje były chyba podstawą każdego wydania wiadomości. Wypadki autobusów, lawiny błota, tajfuny i trzęsienia ziemi. Jadąc taksówką z lotniska na dworzec, Miriam widziała budynki opuszczone po trzęsieniu z 1987 roku, o których losie wciąż jeszcze nie zdecydowano. Większość jej znajomych uwielbiała CNN, uważała, że inteligentny człowiek ma obowiązek oglądać kanał kablówki, który podaje tyle wiadomości z zagranicy. Niektórzy nazywali go Crisis



News Network, Siecią Wiadomości Kryzysowych, ale Miriam uważała, że Ted Turner chce wszystkim powiedzieć: „Cieszcie się, że jesteście właśnie tutaj”. Reszta świata była ukazywana jako dzika i nieprzewidywalna, podatna na katastrofy, niepokoje i wojny domowe. Jeśli człowiek odpowiednio długo słuchał CNN, Stany Zjednoczone zaczynały wyglądać sielsko i spokojnie.

Autobus dotarł w końcu do śródmieścia Cuernavaca. Miriam miała rezerwację w hotelu i adres w kieszeni, ale zanim tam ruszyła, czekała ją jeszcze jedna językowa łamigłówka. Według rad z kursu, w taksówkach należy się targować, z góry uzgadniając opłatę. Jak to zrobić bez płynnej znajomości hiszpańskiego? Kiedy podeszła do pierwszej taksówki w szeregu, zaproponowała kierowcy tysiąc pesos, potem tysiąc pięćset, potem dwa tysiące, ale wciąż jej odmawiał. Była już bliska złości, kiedy uświadomiła sobie, że to różnice rzędu kilku centów.

Taksówka ruszyła zatłoczonymi ulicami, a wzrok Miriam upajał się tym, co próbował ogarnąć – zamek, jeden z kortezowskich, przyozdobiony murałem Diego Rivery; *zócalo*, tłumne w niedzielne popołudnie, pełne mężczyzn w ludowych strojach. Kierowca skręcił w końcu w brudną, nijaką ulicę. Miriam była przerażona. Zarezerwowała pokój w Las Mananitas, hotelu szokująco droгим na meksykańskie standardy, odpowiedniku lotniskowego Marriotta w Stanach. To miało być jej ostatnie szaleństwo, finalna ekstrawagancja. Założyła, że cena gwarantuje wysoką jakość, i była zrozpaczona, kiedy kierowca zatrzymał się przed obskurnym budynkiem.

– Tutaj? – spytała, potem przypomniała sobie:

– *Aquí?*

Taksówkarz mruknął coś, niemal wyrzucił jej bagaż na chodnik i odjechał. Nagle ciężkie drewniane drzwi otworzyły się i pojawił się w nich szczupły, jasnowłosy mężczyzna w towarzystwie dwóch miejscowych, którzy bez słowa wzięli jej torby. Zaproszona do recepcji zobaczyła, że hotel został zaprojektowany jako ukryta wspaniałość. Ku ulicy zwracał brzydki front, ale usytuowany był przy rozległym dziedzińcu, z pokojami otaczającymi szmaragdowy trawnik, po którym przechadzały się pawie. Miriam poczuła się jak Dorota w *Czarnoksiężniku z Oz*, zmieniająca czarnobiałe Kansas na technicolor baśniowej krainy.

Przypomniało jej to o dziewczynkach, o ich dorocznym rytuale oglądania telewizyjnej wersji filmu pod starą kołdrą, którą zarzucały sobie na głowy w niektórych strasznych momentach – przy wojowniczych drzewach albo latających małpach. Co ciekawe, nigdy przy wiedźmie, chociaż jej pierwsze wcielenie Elviry Gulch nieco je niepokoiło. Margaret Hamilton jednak osłabiła swoją zdolność wzbudzania strachu, występując w reklamach kawy.

Pod Miriam ugięły się kolana. Zaczęła płakać, ale tylko trochę. Jak wyjaśnić, w jakimkolwiek języku, dlaczego tak się zachowywała? Przyjechała do Meksyku w nadziei, że raz na zawsze przestanie wyjaśniać. Ucieknie przed głuchymi telefonami. Dave? – krzyczała w ciszę. Kto tam? Po co do mnie dzwonicie?

Tylko raz zapomniała się i powiedziała: „Kochanie?” – by usłyszeć raptowne sapnięcie. Przyjechała do Meksyku, żeby zacząć od początku, a tu, proszę, znów uwięzła w tym samym starym życiu. Niesamowite były poziomy cierpienia, jego subtelne wariacje, nawet po przeszło dziesięciu latach. Miriam przeżywała każdy dzień z tępy, chronicznym bólem, jak z

permanentnym uszkodzeniem nerwu, które nauczyła się znosić, bo nie dawało się go usunąć operacyjnie. Ale nieważne, jak była ostrożna, jak czule chroniła niesprawne stawy i ścięgna, zdarzały się rzeczy, od których ból wzbierał, nagły i przeszywający. Wszystko mogło obudzić wspomnienia, nawet nowe doświadczenie, takie jak to, wyszukane w nadziei znalezienia kontekstu, w którym dziewczynki by się nie zmieściły. Miriam popatrzyła na białe pawie, spacerujące po trawniku hotelu w Cuernavaca, i zalała się łzami na myśl o dzieciach – ten widok bardzo by im się podobał.

Ale piękno hotelu pierwszej klasy, cały sens płacenia siedemdziesięciu pięciu dolarów za noc, kiedy równie wygodnie można by przenocować za trzydzieści, to personel wyszkolony w niewzruszonej uprzejmości. *Señora* musi być zmęczona po długiej podróży, powiedział blondyn po hiszpańsku, ale Miriam go rozumiała. Mówił wolno, słowa nie zlewały się i nie zderzały ze sobą. Zaprowadzono ją do lśniącego czystością pokoju, a pokojówka przyniosła świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Potem prezentowała wszystkie wygody pomieszczenia. Nic nie było dla niej zbyt trywialne. Dywan na podłodze. „Dla pani stopek”. Misa owoców. „Jeśli będzie pani głodna”. Na końcu ułożyła małą poduszkę na śnieżnobiałym łóżku i zachęciła Miriam, żeby się położyła. „Dla pani główki”.

Miriam na migi pokazała, że chciałyby się napić wody, którą należało destylować albo oczyszczać, nawet w tak porządnym hotelu. Potem spróbowała spytać, czy trzeba się ubierać elegancko na kolację, czy może włożyć spodnie; otworzyła nawet walizkę i pokazała swoje niegniotaące się, jedwabne spodnie spakowane na wierzchu. *Como no*, odparła pokojówka, Nie „czemu nie”, ale, jak nie”, zauważyła Miriam. Kolejny

idiom do opanowania.

– *Tiene sueño?* – zagadnęła pokojówka.

Miriam się wzdrygnęła. Pytano ją jednak tylko, czy jest śpiąca, a nie, czy ma sny.

Położyła się na łóżku, a kiedy się obudziła, zapadła już noc. Na hotelowym trawniku ludzie pili drinki i jedli kolację. Miriam upiła łyk kir royale, skubnęła pieczonych orzechów pinii i spróbowała zapomnieć o języku, który już rozumiała, wpuszczając tylko hiszpański do głowy i serca. Przyjechała tu nauczyć się nowych słów, nowego sposobu mówienia, nowego sposobu życia. Kilka rzeczy już dziś opanowała. Teraz „miała głód”, a nie: „była głodna”. Zaimka pierwszej osoby używać tylko dla podkreślenia. I, co najważniejsze, zamieniać „dlaczego” na Jak”.  
*iCómo no?*

## Rozdział 35

Barb, straciłam artykuł! Krzyk, zupełnie normalny o tej godzinie, dobiegł ze swojego zwykłego źródła, zabałaganionego biurka w rogu sali, zawalonego papierami i raportami tak wysoko, że siedząca przy nim osoba byłaby niewidoczna, gdyby nie wysoka fryzura. Drobna, bardzo dbająca o wygląd pani Hennessey często traciła swoje prace tuż przed terminem oddania, rzadko jednak z powodu rzeczywistej awarii komputera. Miała zwyczaj chowania tego, nad czym pracowała, albo kopiowania całego tekstu do schowka, a potem kasowania go z ekranu przed sobą.

– Już patrzę, pani Hennessey.

Barb próbowała obrócić komputer na podstawie, która umożliwiała korzystanie z niego dwóm reporterom, ale pani Hennessey sprytnie zablokowała leniwą Susan, obkładając go bibliografią, rzadko więc musiała się nim dzielić. Barb zaczęła stukać w klawisze, sprawdzając najczęstsze usterki, ale pani Hennessey w końcu trafiła w sedno: naprawdę straciła artykuł. Kiedy Barb znalazła kopię w systemie awaryjnym, był to tylko pusty szablon z nagłówkiem i datą utworzenia, nic więcej.

– Zapisywała pani tekst w trakcie pracy? – spytała, znając odpowiedź.

– No, po każdym akapicie wciskałam tabulator.

– Tabulator nie zapisuje. Musi pani kliknąć na ikonę dyskietki lub wcisnąć F2, pani Hennessey.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Pani Hennessey pracowała tu od czasów, kiedy Bóg był małym chłopcem, by użyć miejscowego powiedzenia. Pracownica „Fairfax Gazette” z trzydziestopięcioletnim stażem, zaczynała w tak zwanym dziale

kobiecy i przedarła się do działu wiadomości, gdzie od dwudziestu lat zajmowała się edukacją. Jej staż pozostawał nie do pobicia, choćby dlatego, że najbardziej obiecujący reporterzy gazety rzadko zostawali w niej dłużej niż dwa lata. Chodziły także plotki, że ocalała z holocaustu, ale jej gęste złote loki ukrywały wszelkie tatuaże, jakie mogła mieć. Była, krótko mówiąc, twarda jak zelówka, ale popadała w bezbronny, miaukliwy ton, kiedy nawalał jej komputer. Czy też raczej – kiedy to ona sama psuła komputer, ustawicznie zaniedbując najprostsze działania mające chronić jej pracę.

– Jeśli wciśnie pani F2 po każdym akapicie, komputer zapisze kopię pliku i będzie ją aktualizował na bieżąco. Tego artykułu ani razu pani nie zapisała. Z punktu widzenia komputera on nie istnieje. Nie może zachować tego, czego nie widzi.

– Co to znaczy, że go nie widzi? Jest tutaj. – Pani Hennessey wskazała monitor swoimi upierścienionymi palcami. – Był tutaj – poprawiła, ponieważ ekran był pusty. – Widziałam go. Te maszyny są do niczego.

Barb zawsze brała w obronę system komputerowy, choć znała jego wady. „Gazetka”, należąca do niewielkiej sieci wydawniczej, posiadała wzajemnie się znoszące zwyczaje – postępowego myślenia i niechętnego rozstawania z gotówką. Dzięki tej kombinacji zafundowała sobie przedpotopowy system komputerowy, do tego nieprzeznaczony do pracy w redakcji gazety.

– To narzędzie takie samo jak każde inne. Kiedy używało się maszyn do pisania, nie było kopii, jeśli nie włożyło się kalki. Tylko kiepski rzemieślnik wini swoje narzędzia.

To jedno z powiedzeń ojca. Przyszło jej do głowy nie wiadomo skąd.

Jak zwykle poczuła tęsknotę, smutek i niepokój, wszystko naraz, jakby ten strzęp echa mógł zdradzić historię jej życia.

– Coś ty powiedziała? – Głos pani Hennessey przeszedł z miauczenia do lwiego ryku. – Ty bezczelna... – Tu wykrzyczała obelgę po niemiecku albo w jidysz, Barb nie umiała tego rozróżnić. – Zobaczysz, wywalą cię za to. Ja ci...

Wygramoliła się zza stosów raportów, z których usypała prowizoryczną zaporę dookoła swojego biurka, i pobiegła do narożnego gabinetu naczelnego, tupocząc obcasikami, cała rozdygotana, jakby Barb zagroziła jej użyciem przemocy. Nawet jej kok – bezwzględnie farbowany i poprawiany co dwa tygodnie, tak że przez ognistą rudość nie prześwitywał ani jeden odrościk – trząsł się jak osika.

Barb mogłaby się zdenerwować, gdyby nie była świadkiem tego przedstawienia co najmniej dwa razy w miesiącu, odkąd zaczęła pracować w redakcji w zeszłe lato. Pani Hennessey miotała się po gabinecie naczelnego, wymachując drobnymi piąstkami i domagając się zwolnienia Barb. W końcu wyszła, sapiąc gniewnie, a chwilę później Barb została wezwana elektroniczną wiadomością.

– Gdybyś chociaż spróbowała traktować ją z większym taktem... – zaczął naczelny, Mikę Bagley.

– Spróbuję – powiedziała Barb. – Już próbuję. Prosisz ją, żeby ona traktowała z większym taktem mnie? Uważa, że jestem jej służącą. Nie posługuje się komputerem, tak jak trzeba. Nie jestem jej aniołem stróżem.

– To... – Rozejrzał się, jakby się bał, że ktoś może usłyszeć. – .. . starsza kobieta. Ma swoje przyzwyczajenia. Już jej nie zmienimy.

– Czyli ogon macha psem, tak?

Bagley, zwalisty mężczyzna z rzadkimi rudawymi włosami, które z wiekiem nabierały koloru oranżady w proszku, skrzywił się.

– Właśnie to sobie wyobraziłem. Rety! Ale posłuchaj, Barb. Przebieg twojej kariery był w najlepszym wypadku niestandardowy. Twoje zdolności interpersonalne są...

Czekała, ciekawa, jakiego szef użyje określenia. Zerowe? Upośledzone? Ale Bagley nie próbował nawet kończyć zdania.

– Jesteśmy od ciebie całkowicie zależni. Kiedy system się wiesza, a ty go z powrotem stawiasz, twoja praca oszczędza nam tysiące dolarów. Ty to wiesz i ja to wiem. Pozwólmy więc pani Hennessey udawać, że jest kimś, a nie wiszącym w powietrzu pozwem o dyskryminację ze względu na wiek. Po prostu ją przeprosź.

– Przeprosić? To nie była moja wina.

– Nazwałaś ją badziwną dziennikarką.

– Ja... ? – Barb się zaśmiała. – Stwierdziłam, że tylko kiepski rzemieślnik wini swoje narzędzia. Stare powiedzenie. Nawet słowem nie wspomniałam o jej pisaniu. Ale jest badziwną, prawda?

Barb sama się zastanowiła nad swoimi słowami. Do tej pory nie przychodziło jej do głowy, że ma prawo wyrażać opinię na temat tekstów pojawiających się w komputerach, którymi się zajmowała. Została wyciągnięta z działu Poufne, specjalistka od komputerów odkryta w redakcyjnym odpowiedniku Schwabsa. Nie była nawet świadoma, że czyta gazetę, ale zdała sobie sprawę, że jednak ją czytała, a pani Hennessey rzeczywiście pisała do kitu.

– Po prostu powiedz, że ci przykro, Barb. Czasami doraźne działanie jest najwłaściwsze.



Wściekła popatrzyła na niego spod przymkniętych powiek. Wiesz, co mogłabym zrobić z tym systemem? Zdajesz sobie sprawę, że potrafiłabym zablokować działanie całej redakcji? – spytała w duchu. W jej półroczej ocenie Bagley – który nie miał prawa jej nadzorować, ponieważ w ogóle nie znał się na nowych technologiach – napisał, że Barb musi „popracować nad swoim gniewem”. Och, pracowała nad nim. Co wieczór podsycala go jak ognisko, wiedząc, że to jej najlepsze źródło energii.

– A kto mnie przeprosi?

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Posłuchaj, zgadzam się, że pani Hennessey jest męcząca. Ale nie powiedziała ci nic przykrego. Poza tym sądzi, że nazwałaś ją kiepską dziennikarką. Będzie po prostu łatwiej, jeśli przeprosisz.

– Dla kogo łatwiej?

– Komu – poprawił. Co za dupek. – W porządku, mnie będzie łatwiej. A ja jestem szefem, tak? Dlatego wykrztuś płynne „przepraszam” i dajcie mi wszyscy święty spokój.

Znalazła panią Hennessey w pokoju socjalnym, zapuszczonym składowisku automatów z napojami i stolików krytych formiką.

– Przepraszam – powiedziała sztywno.

Starsza kobieta równie sztywno skinęła głową – królowa patrząca z góry na chłopkę. To znaczy – patrzyłaby z góry, gdyby nie siedziała.

– Dziękuję.

– To było tylko takie powiedzenie. – Barb nie wiedziała, dlaczego poczuła się zmuszona mówić dalej. Zrobiła już, co jej kazano. – Nie sugerowałam nic na temat pani pisania.

– Jestem reporterką od trzydziestu pięciu lat – oznajmiła pani

Hennessey. Miała imię, nawet dwa: Mary Rosę. Pojawiały się w jej podpisie, ale nikt ich nie wypowiadał. Zawsze była panią Hennessey. – Pracuję w tej gazecie dłużej, niż ty żyjesz. Dzięki kobietom takim jak ja twoja praca tu w ogóle jest możliwa. Pisałam o desegregacji.

– Tak? To była głośna sprawa...

Ugryzła się w język, w samą porę. Już miała dodać: „... tam, gdzie się wychowywałam”. Ale była Barbarą Monroe z Chicago w Illinois. Chodziła do wielkowiejskiego liceum, Macher. Z dużych szkół mało kto kogo pamięta. Nie wiedziała jednak, czy desegregacja była głośna w Chicago. Pewnie tak, ale po co ryzykować.

– ... głośna sprawa w latach siedemdziesiątych, prawda?

– Tak. A ja opisałam ją sama, własnoręcznie.

– Świetnie.

Barb chciała, żeby to zabrzmiało przekonująco i szczerze, ale głos ją zdradził, jak to się czasem zdarzało, i słowo zabrzmiało kwaśno, sarkastycznie.

– Jasne! Miało jakieś znaczenie. Większe niż twoje grzebanie w maszynach. Ja zapisuję pierwszy szkic historii. A kim ty jesteś? Zwykłym mechanikiem!

Barb się roześmiała. Śmieszyło ją, że według pani Hennessey tak brzmi cięta uwaga. Ale to tylko rozjuszyło starszą kobietę.

– Och, uważasz, że jesteś wyjątkowa, chodzisz po redakcji w obcisłych bluzeczkach, krótkich spódniczkach, a wszyscy faceci się na ciebie gapią. Wydaje ci się, że jesteś kimś.

Naczelny ją doceniał i to się najbardziej liczyło.

– Nie rozumiem, co ma z tym wspólnego moja garderoba, pani

Hennessey. I naprawdę uważam, że pani praca była świetna...

– Była? Jest! Moja praca jest świetna, ty, ty... łajzo!

Barb znów miała ochotę się rozeźmiać. Ale ta obelga okazała się skuteczniejsza, trafiła w czuły punkt. Seksualność była dla Barb drażliwym tematem. Nie flirtowała z mężczyznami w redakcji ani nigdzie indziej; nie nosiła też krótkich spódnic. A nawet były długie, według standardów obecnej mody; poza tym ciągle opadały jej z wąskich bioder. Ze sterczącym kokiem i wysokimi obcasami pani Hennessey niemal dorównywała jej wzrostem.

Co być może tłumaczyło, dlaczego Barb uznała za fair play zabranie starszej kobiecie dietetycznej pepsi i wylanie jej na wspaniały, trzęsący się kok.

Zwolnili ją. Oczywiście. Konkretnie, dali jej wybór między pójściem na terapię a odejściem z dwutygodniową odprawą. Bez referencji, dodał Bagley. Jakby zamierzała o nie prosić, jakby miały jakiegokolwiek zastosowanie, kiedy Barbara Monroe zniknie, a jej miejsce zajmie inna kobieta. Wybrała odprawę.

W nocy zakradła się z powrotem, by wykorzystać narzędzia badawcze gazety, w sumie dość prymitywne. Jedyne archiwista redakcji był jej dłużnikiem i nigdy by się nie domyślił, dlaczego Barb chciała tak dużo wiedzieć o archiwum i jego możliwościach. Podobało mu się, że może jej pokazać wszystko, co dobrze wyuczony archiwista potrafi zrobić, korzystając z telefonu i listy katalogów w miejskich bibliotekach. Szukanie po tytułach, które wywoływało archiwa nieruchomości i sądowe, również było przydatne, ale wymagało czasu i pieniędzy. Chociaż przez

ostatni rok trochę się dowiedziała, posługując się kontem gazety. Dave Bethany wciąż mieszkał na Algonquin Lane. Miriam Bethany: adres nieznany już od kilku miesięcy. Stan Dunham nigdzie się nie przeprowadził... ale ze Stanem Dunhamem nigdy tak naprawdę nie straciła kontaktu.

W końcu wybrała nowe nazwisko i tożsamość, tak jak nauczył ją Stan. Pora zacząć od początku. Po raz kolejny. Szkoda, że nie mogła wpisać ostatniej posady do CV, ale uznała, że rezygnuje z gazet. Skoro posiadała już niezbędne umiejętności, zamierzała znaleźć dla nich bardziej dochodowe zastosowanie, w branży, która przywykła do płacenia za talent. Stać ją było na coś lepszego niż „Fairfax Gazette”, nawet jeśli to gazeta wypchnęła ją z gniazda. W końcu chyba zawsze tak się to działo... Nawet w najgorszych sytuacjach zawsze to ktoś inny musiał ją popchnąć, zachęcić, by dała krok naprzód. Jak ona płakała wtedy na dworcu autobusów, a ludzie uśmiechali się i kiwali głowami, myśląc, że to po prostu wystraszona nastolatka, której trudno się rozstać z rodzinnym miastem.

Kiedy już skończyła poszukiwania, napisała jeszcze krótki kod, prezent pożegnalny dla gazety. Następnego dnia, kiedy pani Hennessey się zalogowała, cały system padł, kasując wszystkie bieżące artykuły, nawet te, które bardziej odpowiedzialni reporterzy zapisali w kopiach zapasowych. Barb była już wtedy w restauracji w Anacostia, czekając na Staną Dunhama. Próbował ją nakłonić, żeby pojechała dalej na północ, ale powiedziała mu, że nie zamierza przekraczać granicy okręgu Maryland. A do tej pory, czegokolwiek chciała od Staną Dunhama, dostawała to.

## Rozdział 36

Bo była adoptowana, wiesz? Dave stał w kolejce po ciastko z cynamonem, kiedy to pojedyncze zdanie wyrwało się z ogólnego gwaru dookoła i uderzyło go jak mały kamień. Nie było jednak skierowane do niego, lecz padło w rozmowie dwóch spokojnych pań w średnim wieku, czekających w kolejce.

– Co? – włączył się do rozmowy. – Kto był adoptowany?

– Lisa Steinberg – odparła jedna z kobiet.

– Mała dziewczynka z Nowego Jorku, którą zakatował przybrany ojciec? Bardzo dobrze, że drań idzie do więzienia. Ale jego żonę też powinni zamknąć. Żadna prawdziwa matka nie siedziałaby beczynn timer, kiedy działałoby się coś takiego. Nie ma mowy.

Obie pokiwały głowami, pewne siebie i zadowolone, wiedzące wszystko na każdy temat. Były kluchowate i blade, chodzące ostrzeżenia przed smakołykami sprzedawanymi w cukierni Bauhofa. Dave'owi przypomniła się książka, którą Heather i Sunny uwielbiały, *Potworni chłopcy i upiorne dziewczyny*, z zabawnymi ilustracjami. Addamsa? Goreya? Nieważne, bardzo fajne rysunki. Jedna historyjka była o chłopcu, który jadł tylko słodczy, aż rozpuścił się na słońcu w kałużę galaretowatego ciała z rysami twarzy.

– Jak można... – zaczął Dave.

Ale panna Wanda, rozpoznająca nastroje Dave'a po tylu latach, natychmiast go zagadnęła. Odwróciła jego uwagę jak matka rozkapryszzonego syna.

– Dzisiaj jabłkowe przekładance, panie Bethany. Jeszcze ciepłe.

– Nie powinienem... – zaczął Dave. Wciąż utrzymywał wagę z liceum, ale też zrobił się kluchowaty. Nie mógł sobie poradzić z obwisłymi fałdami. Przestał biegać już kilka lat wcześniej. Nie miał na to czasu.

– Och, niech pan da spokój. Tam jest jabłko. Jabłka są zdrowe.

I tak, za pomocą ciastka z jabłkiem, panna Wanda pozbyła się go z cukierni, zanim się zdenerwował. Ciepły, łagodny przekładaniec uśmierza zapalczywość.

Dave był trochę nie w sosie od samego rana, z tych samych powodów co zwykle, a także z kilku nowych. Jego doroczny rozmówca nie zadzwonił. Minęły lata, odkąd cokolwiek powiedział, preferując teraz dręczenie głuchymi telefonami, ale dzwonił co roku, dwudziestego dziewiątego marca. Dziwne, że Dave myślał właśnie o tym, ale to go gryzło. Facet wykitował? A może dał sobie spokój? Nawet zboczeńcy żyli własnym życiem. Potem zadzwonił do Willoughby'ego. Detektyw nie zapomniał o dacie, wręcz przeciwnie. Zaoferował stoickie zrozumienie i milczące współczucie, którego Dave nauczył się już oczekiwać. Żadnych radosnych pozdrowień: „Cześć, Dave, co słychać?” Żadnego udawania, że nastąpi jakiś przełom. Tylko: „Dzień dobry, Dave. Właśnie patrzę na akta”. Willoughby przeglądał je bez przerwy i dopilnował, żeby mieć teczkę przed sobą tego konkretnego dnia.

Potem zrzucił na Dave'a bombę.

– Idę na emeryturę. Z końcem czerwca.

– Co? Jesteś przecież młody. Młodszy ode mnie.

– Możemy przechodzić na pełną emeryturę po dwudziestu latach pracy, ja mam już za sobą dwadzieścia dwa. Moja żona... Evelyn zawsze nękały jakieś problemy ze zdrowiem. Chciałbym spędzić z nią trochę czasu,

zanim... Są takie miejsca, gdzie mieszka się samodzielnie, ale kiedy się zachoruje, można tam zostać. Jeszcze do tego nie doszliśmy, ale za pięć lat... Chciałbym... jak by to ująć? Poświęcić się Evelyn.

– Będiesz w ogóle pracował? Freud uważał, że praca jest konieczna dla dobrego samopoczucia mężczyzny. Człowieka.

– Może jakiś wolontariat. Nie potrzebuję... No, mam dużo różnych zajęć, nie umrę z nudów.

Prawdopodobnie chciał powiedzieć: „Nie potrzebuję pieniędzy”. Ale nawet teraz, znając Dave’a od czternastu lat, rozmawiając z nim o rzeczach zarazem intymnych i strasznych, Willoughby miał swoje prywatne tematy. Być może tak już przywykł do ukrywania się w pracy ze swoim odziedziczonym bogactwem, że nie umiał się z tego wyrwać przy Davie. Raz, tylko raz, zaprosił go na Wigilię Bożego Narodzenia, z litości. Dave spodziewał się rubasznej glińskiej imprezy. Nawet jej pragnął – nareszcie coś nowego. Ale przyjęcie okazało się rodzinno-sąsiedzkie – i jaka to była rodzina, jakie sąsiedztwo. Elegancka, pewna siebie swoboda, którą rodziny z Pikesville z czasów młodości Dave’a próbowały osiągnąć swoimi hałaśliwymi pretensjami, ale na tym poziomie bogactwa nie dawało się go już udawać. Kraciaste spodnie, chrupki serowe, martini z dżinem, szczupłe kobiety i mężczyźni z czerwonymi twarzami, wszyscy mówiący po cichu, nieważne, ile wlewali w siebie procentów. To było wydarzenie, które z przyjemnością opisałby Miriam, gdyby ze sobą wciąż rozmawiali. Miriam wyłączyła telefon. Dave wiedział o tym, bo próbował do niej zadzwonić poprzedniego wieczoru.

– Co będzie... kto będzie... – Gardło mu się ścisnęło i poczuł, że ogarnia go panika.

– Sprawa już została przydzielona – odparł szybko Willoughby. – Młodemu, bystremu detektywowi. A ja dopilnuję, żeby informował cię na bieżąco. Nic się nie zmieni.

W tym właśnie problem, pomyślał ponuro Dave. Nic się nie zmieni. Tropcy będą się pojawiać i znikać jak poranna rosa. Co pewien czas jakiś wariat albo więzień liczący na specjalne traktowanie wyskoczy z fałszywymi rewelacjami. Nic się nie zmieni. Jedyna różnica, że nowy detektyw, cokolwiek by wiedział, wyczytałby z akt, nie był ze mną od samego początku, pomyślał Dave. To przeżycie okazało się bardziej druzgoczące niż rozstanie z Miriam, a na pewno bardziej nieoczekiwane.

– Czy będziemy jeszcze... rozmawiać?

– Oczywiście. Kiedy zechcesz. Cholera, nadal zamierzam trzymać rękę na pulsie, nie myśl sobie, że nie.

– W porządku – powiedział Dave.

– Oczywiście muszę działać dyplomatycznie. Nie mogę temu nowemu za bardzo wchodzić w drogę. Ale ta sprawa zawsze będzie należała do mnie. To jedna z dwóch najbliższych mojemu sercu.

– Jedna z dwóch? – Dave nie zdołał się powstrzymać. Był wstrząśnięty, że jakaś inna sprawa przykuwała uwagę Willoughby'ego.

– Tamta została rozwiązana – wyjaśnił szybko detektyw. – Dawno temu. Chodziło o... porządną policyjną robotę w obliczu przeważających trudności. Nie ma porównania.

– Tak, rzeczywiście, sprawa polegająca na dobrej policyjnej robocie nie może się równać z moją.

– Dave.

– Przepraszam. Ale dzisiaj jest ten dzień. Czternaście lat i żadnego



tropu, choćby dziadowskiego. Cisza przez ostatnie dwa lata. Wciąż nie wiem, jak sobie z tym poradzić, Chet.

„Z tym”, czyli ze wszystkim – nie tylko ze statusem wiecznej ofiary przestępstwa, ale z całą swoją egzystencją. Dave nauczył się „ciągnąć dalej”, bo to określenie oznaczało długie brnięcie donikąd, czystą inercję. Ciągnięcie dalej było proste. Ale on dawno temu zapomniał, jak „być”. Po raz pierwszy od wielu lat pomyślał o przyjaciółkach z Pięciokrotnej Ścieżki, rytualnym paleniu ofiar i medytacjach, które zarzucił, bo nie mógł już dłużej udawać, że żyje w określonej chwili. W Krainie Czarów Alicji zasada brzmiała: dzem jutro i dzem wczoraj, ale nigdy dzem dziś. W świecie Dave’a również nie było dziś, tylko wczoraj i jutro.

– Nikt nie jest przygotowany do tego, co przeszedłeś, Dave. Nawet policja. Pewnie nie powinienem ci tego mówić, ale... akta przez większość czasu mam u siebie w domu. Teraz, w związku z emeryturą... muszę je oddać, ale na zawsze pozostaną w mojej głowie. Daję słowo. Będę zawsze do twojej dyspozycji. Nie tylko dzisiaj, nie tylko w ten dzień. W każdy dzień do końca życia. Zostanę tutaj. Nie pojedę na Florydę czy do Arizony.

Słowa detektywa uspokoiły Dave’a, przynajmniej powierzchownie. Ale cały ranek szykował się do walki i ten nastrój mu nie minął. Sprawa Steinbergów doprowadzała go do szału, odkąd trafiła na pierwsze strony gazet półtora roku wcześniej, a wyrok z zeszłego tygodnia znów rozpętał w nim burzę uczuć. Każda historia molestowania dziecka albo rodzicielskich zaniedbań doprowadzała go do szału. Lisa Steinberg została zabita dwa tygodnie po tym, jak dziewczynka w Teksasie, Jessica, wpadła do studni, a to też go złościło. Gdzie byli rodzice? Jego doświadczenie, co

dziwne, sprawiło, że miał w sobie mniej współczucia. Rozbierał innych na części tak samo, jak inni rozbierali jego. Adam Walsh, Etan Patz, całe to smutne, dziwne bractwo żałoby – nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

Dzwonki wiatrowe zadzwoniły, kiedy wszedł do sklepu, teraz nazywanego się po prostu BG – czy też, jak widniało na szyldzie, „bg”, małymi literami. Najpierw chciał skrócić nazwę do „czbg”, ale sam się przekonał, że to niezbyt dobrze brzmi. Dział ubrań zajmował już tyle samo miejsca, ile dział sztuki ludowej. Sklep przekształcił się w dokładnie taki, na jaki próbowała go namówić Miriam, o wiele bardziej dostępny. Okazał się strzałem w dziesiątkę. Dave go nienawidził.

– Cześć, szefie – powiedziała Pepper, jego obecna kierowniczka, szczupła młoda kobieta z trzynastoma kolczykami w lewym uchu, i ciemnymi włosami, krótko przystrzyżonymi z tyłu, lecz dłuższymi z przodu, tak że spadały jej na oczy. Myła płynem do szyb gabloty. Pepper nie mogłaby bardziej troszczyć się o sklep, nawet gdyby należał do niej, a Dave wciąż jeszcze nie odgadł, co sprawiało, że była tak odpowiedzialna w młodym wieku. Miała talent do odwracania od siebie uwagi, unikała zwierzeń. Dave miał tę samą skłonność, ale on znał przyczynę. Pepper być może zaznała cierpienia złamanego serca, ale nie umiał sobie wyobrazić, by przeszłość tej promiennej, zdrowej dziewczyny – mimo fryzury i trzynastu kolczyków była typową, ładną Amerykanką – kryła prawdziwą tragedię. Przeszło mu przez myśl, by poprosić Willoughby’ego, żeby sprawdził ją dokładniej, pod pretekstem, że zgłosiła się do niego do pracy, bo wiedziała o kimś lub o czymś, co wiązało się ze zniknięciem dziewczynek. Ale nigdy nie wysługiwał się w ten sposób swoimi córkami i

nie chciał zaczynać.

Pepper była też piękna, zauważali ją mężowie i przyjaciele, zaciągani na siłę do sklepu. Dave dostrzegał to jednak tylko jako abstrakcję. Za każdym razem, kiedy spotykał kobietę, oceniał jej wiek, porównując z tym, ile miałyby teraz jego córki, i jeśli nie była przynajmniej piętnaście lat starsza, nie chciał mieć z nią nic wspólnego. Sunny kończyłaby w tym roku dwadzieścia dziewięć, pomyślał z bólem. Dlatego nawet nie spojrziałby na kobietę poniżej czterdziestu pięciu. Co powinno być dobrą wiadomością dla mieszkanki Baltimore w średnim wieku – zamożny, wolny mężczyzna, który nie obejrzy się za młodszą – tyle że związki Dave'a nigdy się nie udawały. Często mówiło się o czyjejś przeszłości jako o bagażu, ale przeszłość Dave'a była o tyle większa, o tyle cięższa, że trudno by ją określić jako jeden przedmiot, który ciągnąłby się za nim jak kula u nogi. Jego przeszłość przypominała jazdę wierzchem na smoku wymachującym ogonem. Trzymał się go kurczowo, wiedząc, że jeśli puści, zostanie zmiażdżony przez nieczułe łapy.

Poranek był spokojny, więc omówił z Pepper księgowość, dopuszczając ją do sekretów „bg” o wiele głębiej niż jakiegokolwiek innego dotychczasowego pracownika. Przypomniał jej o wiosennych targach rzemiosła. Spytał, czy chciałaby pojechać tam jako przedstawicielka. Zapiszczała z radości i przygryzła pięść.

– Ale pojechałby pan ze mną, prawda? Bałabym się sama wybierać.

– Na pewno dasz sobie radę. Masz świetne oko, Pepper. Doskonale ustawiasz wystawy, dużo wagi przywiązujesz do wyglądu sklepu. Słowo, nawet kiedy ja kupię jakiś ciuch, ty znajdujesz sposób, żeby ludzie go zapragnęli.

– Te rzeczy, które sprzedajemy... To marzenia, wie pan? Wizje tego, czym ludzie chcieliby być. Nikt nie potrzebuje naszych towarów, nawet ubrań. Dlatego trzeba je grupować tak, żeby opowiadały jakąś historię. Sama nie wiem, to na pewno głupio brzmi...

– Masz sto procent racji. Zanim cię zatrudniłem, rzadko brałem dzień wolnego. A teraz jestem w stanie oddalić się od sklepu nawet na... dwadzieścia minut.

Pracoholizm Dave'a był ich starym dowcipem. Pepper zaśmiała się głośno i ostro, aż się skrzywił. Nie wiedziała, jaki dziś dzień. Pewnie nie orientowała się nawet, że Dave Bethany miał kiedyś dwie córki, nie mówiąc już o tym, co się z nimi stało. Fakt, ich zdjęcie żyło w srebrnej ramce na zapleczu, na jego biurku, ale Pepper nigdy nie zadawała pytań. Nie to, że nie była ciekawa, raczej uważała, żeby nie zagłębić się za bardzo w przeszłość szefa i żeby nie oczekiwał takiego samego przywileju w zamian. Naprawdę ją lubił. Żałował, że nie może jej kochać albo traktować po ojcowsku. Nawet gdyby Pepper była mniej skryta, nie pozwoliliby sobie na ojcowskie uczucia wobec żadnej dziewczyny. Przez ostatnie czternaście lat miał kochanki, kobiety w łóżku. Ale nigdy nie zastanawiał się nad powtórny ożenkiem i nie zamierzał robić córek z nieznajomych. Pepper u niego pracowała, nic więcej.

Oczywiście później ludzie plotkowali, że prywatnie coś ich łączyło. Następnego dnia pracownicy pogotowia odcięli Dave'a z gałęzi starego wiązku rosnącego za jego domem, tej samej gałęzi, na której wisiała huśtawka, dopóki nie przegniły sznury. Znaleźli list kierujący ich do stosu papierów na biurku, w gabinecie, gdzie kiedyś medytował, pałac *ghee* o wschodzie i zachodzie słońca. Nikt nie potrzebuje rzeczy, które

sprzedajemy, powiedziała Pepper, więc trzeba je pogrupować tak, żeby opowiadały jakąś historię. Dave miał nadzieję, że to, co on pogrupował – własne ciało, papiery, książeczkę czekową boleśnie czysty dom – zostanie zrozumiane. Jego list nie był oficjalnym testamentem, ale zamiary autora zostały wyrażone wystarczająco jasno. Chciał, żeby Pepper przejęła sklep. Pozostały majątek, w tym pieniądze ze sprzedaży domu, miał być umieszczony na funduszu powierniczym na nazwisko córek, które wszyscy inni uważali za zmarłe, a potem rozdany wskazanym instytucjom charytatywnym w 2009 roku.

– Czuję się okropnie – przyznał Willoughby przez trzask połączenia międzynarodowego; odszukał Miriam przez jej dawnych kolegów z agencji nieruchomości. – Właśnie tego dnia ja...

– Nie miej do siebie żalu, Chet. Ja nie mam ani odrobiny. Przynajmniej nie o Dave'a.

– Tak, ale... – Zdanie, choć niedokończone, zabrzmiało okrutnie.

– Ja też nie zapomniałam – powiedziała Miriam. – Po prostu nie pamiętam tego tak samo. Czyli nie budzę się co rano i nie walę głową w mur, a potem nie zastanawiam się, dlaczego boli mnie głowa, a to było rozwiązanie Dave'a. Ból jest. I pozostanie na zawsze. Po prostu nie trzeba go podtrzymywać ani podsycać. Dave i ja wybraliśmy różne sposoby żałoby, ale oboje opłakiwaliśmy tak samo.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej, Miriam.

– Chodzę na kurs językowy. Wiedziałaś? Uczę się nowego języka w wieku pięćdziesięciu dwóch lat.

– Ja mógłbym coś takiego zrobić – powiedział, ale jej nie interesowało, co on robił. Dave przynajmniej udawał, że go obchodzi, pomyślał

Willoughby.

– W hiszpańskim jest cała grupa czasowników, w których to, co w angielskim byłoby dopełnieniem, zostaje podmiotem. *Me falta un tenedor*. Dosłownie: „Widelec mi brakuje”. *Se me cayó*. *Se me ofoidó*. „Się mi upadło”. „Zapomniało mi się”. Po hiszpańsku jest jasne, że czasami różne rzeczy się człowiekowi przydarzają.

– Miriam, nigdy nie krytykowałem niczego, co ty albo Dave robiliście.

– Gówno prawda, Chet. Ale najczęściej zachowywałeś swoją opinię dla siebie, i za to cię kocham.

Żałował, że te słowa – ulotne, puste – tak mocno go uderzyły. „Za to cię kocham”.

– Zostań w kontakcie – powiedział. – To znaczy, z departamentem. Jeśli cokolwiek się pojawi...

– Nie pojawi.

– Zostań w kontakcie – powtórzył, wiedząc zarazem, że zignoruje tę prośbę.

Kilka tygodni później, na dzień przed oficjalnym przejściem na emeryturę, wyjął jeszcze raz akta sprawy Bethanych. Kiedy zostały zwrócone, zniknęły z nich wszystkie informacje o biologicznych rodzicach dziewczynek. Dave Bethany zawsze się upierał, że ten temat to ślepy zaułek, jak sama Algonquin Lane, przylegająca do porządniejszych skrajów Leakin Park, będącego zaniedbanym chaszczem w środku miasta. Na początku, tuż po tym, jak dziewczynki zniknęły, różni nieczuli ciekawscy przejeżdżali powoli pod domem, a ich gapiowskie zamiary wychodziły na jaw, kiedy musieli zawracać na końcu uliczki. Inni przychodzili do sklepu i kupowali drobiazgi, żeby uspokoić sumienie. Jak

ci ludzie mężczyli Dave'a, ile się przez nich nacierpiał.

– Czuję się jak pieprzony dziwoląg – skarżył się nieraz Chetowi.

– Zapisuj numery rejestracyjne – poradził Chet. – Notuj nazwiska, jeśli płacą czekiem albo kartą. Nigdy nie wiesz, kto się kręci koło ciebie.

A Dave, jak to Dave, tak właśnie robił. Zapisywał numery, każdy głuchy telefon, potrząsał życiem swojej rodziny, jakby to była zabawka – śniegowa kula, a potem odstawiał je na stół i czekał, jak zmieni się krajobraz. Ale nieważne, ile razy coś zmieniał przez czternaście lat, wszystkie elementy wracały na swoje miejsce – z wyjątkiem Miriam.

## **Część IX**

Niedziela



## Rozdział 37

Możemy skłamać o kościach – powiedział Infante. – Ale nie mamy żadnych kości – odparł Lenhardt. – Nie możemy ich znaleźć.

– Otóż to.

Infante, Lenhardt, Nancy i Willoughby stali w holu Sheratona, czekając, by zabrać Miriam Toles na śniadanie. Zamierzali przyznać, że nie znają tożsamości kobiety, z którą Miriam miała nadzieję się dziś spotkać, dla której przeleciała ponad trzy tysiące kilometrów. To mogła być Heather Bethany. Albo genialna kłamczyni, która po prostu postanowiła przez tydzień popieprzyć wszystkim w głowach. Po co? Dla pieniędzy? Z nudów? Bo miała nie po kolei pod sufitem? A może chroniła swoją obecną tożsamość, ponieważ po wpisaniu jej prawdziwego nazwiska wyskoczyłby nakaz aresztowania? Tylko to ostatnie brzmiało dla Infante'a przekonująco. Nie wierzył ani przez chwilę, że troszczyła się o swoją prywatność. Z tego, co zaobserwował, wynikało, że łaknęła uwagi, cieszyło ją każde spotkanie z ekipą detektywów. Nie, ukrywała coś innego pod tożsamością Heather Bethany, wykorzystując słynne morderstwo sprzed lat, żeby ich zmylić.

– Gdybyśmy tylko mieli te kości, moglibyśmy ustalić mnóstwo rzeczy. Rodzice nie są biologiczni, ale siostry są, tak?

Willoughby kiwnął głową. Dwadzieścia cztery godziny temu Nancy musiała go namawiać, żeby wziął udział w przesłuchaniu. Teraz nie mogli się go pozbyć, a Lenhardt szedł mu na rękę, zamiast ryzykować, że urazi uczucia Cheta, a potem zobaczy go w wieczornych wiadomościach. Infante wciąż nie mógł wybaczyć Willoughby'emu tego, że tak namieszał

w aktach sprawy, a potem namawiał ich, żeby ściągnęli Miriam do Baltimore, zanim się dowiedzieli, co jest co i kto jest kim. Co on sobie wyobrażał? Jak mógł usunąć ważne informacje? Infante uważał, że żadnej ewentualności nie można wykluczyć. Tak jak mówiła mu Nancy – w starych sprawach nazwisko zawsze było w aktach.

– Już jej powiedzieliśmy, że nie znaleźliśmy kości – stwierdził Lenhardt.

– To znaczy nie znaleźliśmy ich pod podanym adresem. Aleja właśnie wróciłem z Georgii, gdzie mieszkał Tony Dunham. Może syn wykopał je i zabrał, zanim ojciec sprzedał posesję, żeby ich nie znaleziono.

– To by było coś – mruknął Lenhardt. – Swojego syna nie mogę zagonić nawet do skoszenia trawnika.

– Ale poważnie...

– Nie, masz rację, staram się tylko wszystko poukładać. A więc mówimy jej, że mamy kości siostry. Jeśli kłamie, podda się, bo wie, że testy wykażą, że nie jest spokrewniona. Ale to niezła cwaniara. Co będzie, jak powie: „No, to mogą być inne szczątki, kto wie, ile dziewczyn Stan Dunham zabił?”

– Mimo wszystko warto spróbować. W tej chwili wykorzystałbym każdy sposób, żeby dostać odpowiedź jak najszybciej i uspokoić matkę bez zmuszania jej do konfrontacji. Gdyby udało się nam nakłonić tę niby-Bethany do przyznania się...

– Przed śniadaniem i tak nic nie zdziałamy – uciał Lenhardt, patrząc na Willoughby'ego. – Musimy powiedzieć matce, że sprawa jest jeszcze niejasna. Nie powinna tu przyjeżdżać. Jako rodzic mogłem się domyślić, że nic jej nie powstrzyma, kiedy zadzwoniliśmy.

Infante z reguły nie znosił, kiedy Lenhardt przywoływał swój status rodzica, zwłaszcza teraz, kiedy Nancy też należała do tego klubu i chętnie przytakiwała podobnym wypowiedziom. Ale w tym przypadku Lenhardt chyba starał się uspokoić poczucie winy Willoughby'ego, więc Infante'owi aż tak to nie przeszkadzało.

Odezwała się Nancy.

– Poszłaby na wszystko, co byśmy jej powiedzieli. Tak mi się wydaje. Widzieliście kiedyś program na kablówce z tym grubasem w okularach, który improwizuje?

Trzej mężczyźni popatrzyli na nią – Lenhardt i Willoughby z całkowitym niezrozumieniem. Infante natomiast był wtajemniczony w jej popkulturowe gusta po krótkim okresie, kiedy pracowali jako partnerzy.

– To gówno? Nie obejrzałbym tego, nawet jakbyś mi zapłaciła. Chociaż podobało mi się, kiedy ten czarny, taki superfajny, nabijał się sam z siebie w innym programie. „Czy Wayne Brady ma udusić dziwkę?” Naprawdę niezłe.

Nancy się zaczerwieniła.

– Wstaniesz parę razy w środku nocy do dziecka, to zobaczymy, co będziesz oglądał. Mówię o tym tylko dlatego, że mnie się z nią skojarzyło. Jest bardzo szybka, błyskawicznie myśli i rozumie to, czego nie kapuje wielu kłamców: że można się pomylić, bo ludzie się mylą bez przerwy. Jak z tymi świerszczami. Nawet się nie zająknęła, kiedy wytknęłam, że to był marzec. Wie, że przyłapałam ją na kłamstwie. Ale mówiła dalej. Sierżant ma rację. Jak spróbujemy tego numeru z kośćmi, nawet nie mrugnie okiem.

Drzwi windy się otworzyły. Miriam Toles rozejrzała się szybko po holu

i rozpoznała Infante'a. Poprzedniego wieczoru, kiedy spotkali się na lotnisku, Kevin spodziewał się kogoś ubranego bardziej... no, po meksykańsku. Nie w sombrero, aż takim naiwniakiem nie był. Ale może w pasiastej sukience w jasnych kolorach albo haftowanej bluzce. Założył też, że będzie wyglądała na więcej lat niż w rzeczywistości – według akt sześćdziesiąt osiem. Ale Miriam Toles miała wycucie stylu, które widywał u nowojorskich kobiet, kiedy jeździł do miasta jako dziecko – siwe włosy mocno ściągnięte w nisko upięty kok, duże srebrne kolczyki, żadnej innej biżuterii. Zobaczył, że Nancy zerka na własny strój, różową bluzkę i spódnicę khaki, i zgadł, że poczuła się jak kocmołuch. Mógłby się założyć, że Miriam Toles często tak działała na inne kobiety. Trudno by ją nazwać ładną kobietą – prawdopodobnie nigdy taka nie była. Wyglądała jednak elegancko i nadal miała piękną figurę.

Infante kątem oka zauważył, że Chet Willoughby wyprostował się nieco, nawet wciągnął brzuch.

– Miriam – powiedział stary detektyw trochę sztywnym tonem. – Dobrze znów cię widzieć. Chociaż, oczywiście, nie w takich okolicznościach.

– Chet... – Wyciągnęła dłoń, a z Willoughby'ego uszło powietrze.

Miał nadzieję na cmoknięcie w policzek, uścisk? To był dziwny widok – sześćdziesięcioparolatek, cały trzęsący się w szczenięcym zadurzeniu. Takie rzeczy w ogóle miały? Anie powinny? Ostatnio, kiedy mnóstwo reklam dotyczyło impotencji – „zaburzeń erekcji”, jakby to miało brzmieć lepiej – Infante doszedł do wniosku, że bez sensu jest walczyć z własnym ciałem. To musi być prawie ulga, kiedy twój fiut nie chce się podnieść, że to wreszcie koniec. Jego własny oczywiście nigdy by się nie poddał, na

tylko Kevin samego siebie znał. A gdyby został impotentem na skutek efektów ubocznych jakiegoś leku, bardzo by go to zabolalo. Ale liczył, miał nadzieję, na koniec emocjonalnego obłądzenia, tego przyprawiającego o zawrót głowy zabiegania o względy drugiej osoby. Patrząc na Willoughby'ego, zrozumiał, że taki stan kończy się tylko ze śmiercią.

Miriam popatrzyła na marne owoce, jakie nałożyła sobie ze szwedzkiego stołu – twarde, małe, nie do końca dojrzałe. Nie chciała być męczącym typem i bez przerwy wychwalać własny styl życia, ale już tęskniła za Meksykiem, za rzeczami, które przez ostatnie szesnaście lat nauczyła się uważać za oczywiste – wspaniałymi owocami, mocną kawą, świetnymi ciastkami. Była zawstydzona kiepskim jedzeniem, tak samo jak czwórka policjantów uważała je za przysmak. Nawet młoda kobieta jadła z apetytem, choć Miriam zauważyła, że na jej talerzu są same białka.

– I tak bym przyleciała – stwierdziła. – Kiedy tylko usłyszałam o torebce. Fakt, wolałabym, żeby wasze informacje były bardziej... konkretne. Ale nawet jeśli to nie jest moja córka, najwyraźniej wie coś o dniu, kiedy dziewczynki zniknęły. Być może wszystko. Co teraz robimy?

– Chcielibyśmy sporządzić biografię pani córki, z dużą ilością szczegółów, które tylko ona znała. Rozkład domu, rodzinne historie, prywatne żarty. Wszystko, co tylko zdoła sobie pani przypomnieć.

– To by zajęło wiele godzin, może nawet dni. – I złamałoby mi serce tysiąc razy, dodała w myślach. Przez trzydzieści lat Miriam rozumiała, że musi dzielić się najsmutniejszymi rodzinnymi sekretami ze śledczymi; mówić o podupadającym sklepie męża, swoim romansie, procesie adopcyjnym Sunny i Heather. Ale zazdrośnie strzegła wesołych wspomnień, codziennych, przyziemnych szczegółów. Te należały

wyłącznie do niej i do Dave'a. – Może zdradzicie mi państwo, co zeznała do tej pory, a ja ocenię, czy coś z tego wydaje się podejrzane? Może po prostu się z nią zobaczę?

Detektyw Nancy – Miriam czuła się trochę przytłoczona w towarzystwie tak wielu nowych osób – przejrzała swoje notatki.

– Trafnie podała daty urodzin, nazwy szkół, adres. Ale większość z tego można znaleźć w Internecie albo innych źródłach, jeśli ktoś ma skłonność do grzebania i przeszukiwania archiwów. Wspomniała też coś o wakacjach na Florydzie i kimś nazywanym BopBop...

– Zgadza się. To matka Dave'a. Sama tak kazała na siebie mówić. Nie cierpiała życia rodzinnego. Źle zniosła macierzyństwo, a bycie babcią zupełnie jej nie odpowiadało.

– Ale to o niczym nie świadczy, prawda? Heather mogła o tym opowiedzieć dzieciom w szkole, na przykład.

– Ale czy ktoś by pamiętał taki szczegół trzydzieści lat później? – spytała Miriam, a potem sama sobie odpowiedziała. – Na pewno nikt by nie zapomniał BopBop, gdyby ją spotkał. To była niezła agentka.

Willoughby się uśmiechnął.

– Co, Chet? – spytała Miriam ostrzej, niż zamierzała. – Co cię tak rozbawiło?

Tylko pokręcił głową, ale Miriam podchwyciła jego spojrzenie. Nie powinna być jedyną osobą, która tego ranka odpowiada na pytania.

– Jesteś po prostu taka sama, jak cię zapamiętałem. Bardzo... szczerą. To się nie zmieniło.

– Nawet się pogorszyło. Na stare lata. Nie obchodzi mnie, co ktoś pomyśli. Dobrze, a więc ta kobieta zna BopBop, wie, jak wygląda torebka

Heather. W takim razie dlaczego jej nie wierzycie?

– Na przykład nie pamięta, czy widziała nauczyciela muzyki, a on stanowczo twierdził, że ją widział – wyjaśniła Nancy. – W pierwszym zeznaniu powiedziała pani, że Heather miała w pokoju pudełko, gdzie trzymała pieniądze z urodzin i Gwiazdki, ale pieniędzy, od czterdziestu do sześćdziesięciu dolarów, nie było. Heather zabrała więc oszczędności tamtego dnia do centrum handlowego, ale kiedy zapytaliśmy o zawartość torebki...

– Była pusta, kiedy ją znaleziono.

– Tak. My to wiemy. Ale Heather nie, chyba że sama opróżniła torebkę i wyrzuciła, co bardzo wątpliwe. Ta kobieta jednak o tym nie wspomniała. Powiedziała, że miała tam trochę gotówki, grzebień i pomadkę do ust, bo szminki nie mogła używać.

– Nie zabranialiśmy córkom robić sobie makijażu. Stwierdziłam tylko, że to głupio wygląda u dziewczynek, ale decyzja należała do nich. Co do pomadki... to brzmi wiarygodnie.

Nancy westchnęła.

– Wszystko, co ona mówi, brzmi wiarygodnie. A przynajmniej kiedy przedstawia wydarzenia tamtego dnia. Kiedy opisuje swoje porwanie i... – Załamał się jej głos.

– Zamordowanie Sunny – dokończyła Miriam. – Unikaliście państwo rozmowy na ten temat.

– To takie okrutne – powiedziała młoda kobieta. – Szczegóły tamtego dnia, co jadły na śniadanie, jak pojechały do centrum piętnastką, były w wiadomościach. Informacja o bileterze, który wyrzucił dziewczynki z *Chinatown*, też brzmi autentycznie. Następnie policjant je porywa, zabiera

na opuszczoną farmę i postanawia zatrzymać Heather po tym, jak była świadkiem zamordowania siostry. Kiedy dochodzi do tego momentu, wszystkie szczegóły się sypią i opowieść przestaje być wiarygodna.

– Bo to policjant? – spytała Miriam. – To jest takie niewiarygodne?

Cóż, detektywi nie zaprotestowali za szybko ani za ochoczo, nie zaklinali się na wszelkie świętości, że bez trudu przyszło im myśleć o kimś z własnych szeregów jako o mordercy i dewiancie seksualnym. Infante, ten przystojny, który odebrał ją z lotniska, odezwał się pierwszy.

– To, że policjant okazał się porywaczem, akurat ma sens. Tak można zwabić dwie dziewczynki: pokazać każdej odznakę, powiedzieć, że siostra wpadła w tarapaty. Każde dziecko poszłoby za policjantem.

– Raczej nie dzieci Dave’a Bethany’ego w 1975 roku. Dave nazywał policjantów świniami, zanim staliśmy się ich dłużnikami, zanim Chet został naszym zaufanym przyjacielem. – To był rozmyślny prezent dla Cheta z jej strony, próba wynagrodzenia wcześniejszego ostrego tonu. – Ale w porządku, rozumiem, o co panu chodzi.

– Nie zgadza się nam ten konkretny policjant – ciągnął Infante. – Pracował w wydziale kradzieży, porządny facet, lubiany. Żadne z nas go nie znało, ale jego koledzy osłupieli, kiedy usłyszeli, że mógł być w to zamieszany. Poza tym nie ma z nim nawet kontaktu, więc jest bardzo wygodnym celem.

– Dunham – powiedziała Miriam. – Dunham. Stan, tak?

– Zgadza się, a jego syn miał na imię Tony. Coś pani mówi to nazwisko?

– Brzmi znajomo. Znaliliśmy kogoś o nazwisku Dunham.

– Nigdy mi o tym nie wspominałaś – zaczął Chet obronnym tonem.



Miriam położyła dłoń na jego ręce, chcąc go pocieszyć, ale także uciszyć, żeby się nie rozpraszać.

– Dunham. Dunham. Ściga nas Dunham, Miriam wyobraziła sobie siebie przy starym stole kuchennym w domu na Algonquin Lane. Stół był zdezelowany, mało wartościowy i trafił do nich z mieszkania BopBop, kiedy wyjechała z Baltimore. A raczej został im wciśnięty. Jeszcze jeden grat do zagraconego domu. Bywały dni, kiedy miała wrażenie, że nie może przejść przez pokój, nie wpadając na stół, podnózek czy inny przedmiot, który przywlókł mąż. Dave pomalował stół na żółto i pozwolił dziewczynkom okleić go kalkomaniami z kwiatami, co wyglądało dobrze przez całe dwa tygodnie; potem naklejki zaczęły odłazić, zostawiając plamy kleju i odrywając kawałki lakieru. Zieleń książeczki czekowej gryzła się z tym żółtym okropnie. A może tylko tak się wydawało, bo Miriam zawsze denerwowała się, płacąc co miesiąc rachunki. Patrzyła, jak coraz bardziej wciąga ich czarna dziura. Losowali, któremu wierzycielowi zapłacić w tym miesiącu, a komu kazać jeszcze czekać. Kłócili się o wydatki, ale nigdy nie umieli ustalić, z czego mogą zrezygnować. *Ghee* kosztuje grosze, mówił Dave, kiedy Miriam sugerowała, że Pięciokrotna Ścieżka to zbyt droga praktyka. Czemu nie możesz wozić Sunny i zabierać ze szkoły? Odpowiadała: Mam teraz pracę... której ta rodzina potrzebuje. Nie mogę wszystkiego rzucić, żeby wozić Sunny tam i z powrotem.

Mogłabyś wozić ją rano... Ale kto by wziął popołudnia?... Facet i tak nas dyma, zmienia trasę powrotną... Musimy znaleźć sposób, żeby obciąć wydatki.

To była kłótnia, którą w tamtym roku powtarzali prawie co miesiąc. Miriam zawsze zwyciężała, po raz kolejny wysyłając czek do Mercer

Transportation w Glen Rock w Pensylwanii. Nie wiedziała nawet, gdzie to jest. Ale kiedy czeki wracały, były zaakceptowane przez...

– Stan Dunham był właścicielem prywatnej firmy przewozowej, Mercer, która codziennie woziła Sunny do szkoły i z powrotem.

– Do Mercera należała posesja... – wtrąciła z zapalem dziewczyna. – To była spółka z o. o. , poprzedni właściciel, zanim wszedł tam deweloper. Myślałam, że Dunham sprzedał ziemię Mercerowi, ale musiał po prostu przenieść akt własności na własną firmę. Cholera, nie mogę uwierzyć, że to przeoczyliśmy.

– Ale sprawdziliśmy kierowcę. W pierwszej kolejności – powiedział Chet. – Miał alibi na dzień, kiedy dziewczynki zniknęły. Stan nie był kierowcą. Nigdy nie wspominałaś mi o Stanie.

Miriam rozumiała jego frustrację, bo też ją czuła. W dochodzeniu każdego brali pod uwagę. Wywrócili swoje życie do góry nogami i na lewą stronę, szukając nazwisk i powiązań. Krewni, sąsiedzi, nauczyciele – wszystkich sprawdzali. Pracowników Security Square zweryfikowano pod kątem wykroczeń na tle seksualnym, potem zostali przesłuchani przez policję, jakby wizyta u prostytutki logicznie łączyła się z porwaniem dwóch nieletnich dziewczynek. Jej koledzy z pracy, znajomi Dave'a. Wyśledzili nawet człowieka, który tamtego dnia kierował autobusem linii piętnaście. Miriam zawsze uważała, że zawiózł jej córki na śmierć, tak jak Charon przewoził zmarłych przez Styks. Podejrzenia były nieskończone, ale energia i czas w końcu się wyczerpały. Dave bał się – to był olbrzymi, paniczny strach, przez który życie z nim stało się niemożliwe – że nie zrobili wystarczająco dużo, że zawsze było coś jeszcze, co powinni sprawdzić, zbadać.

I, jak się okazało, miał rację. Ściga nas Dunham, śpiewał. Znów nas ściga Dunham? Dunham był uprzejmy, ale stanowczy, i szybko nauczyli się nie włączać go do comiesięcznej ruletki rachunków, które można zapłacić lub nie. Nie mogli sobie pozwolić na urażenie go, bo wykluczyłby Sunny z trasy. Ale Dunham był tylko podpisem, czarnym i wyrazistym, na odwrocie czeku, który wracał co miesiąc z banku w Pensylwanii.

## Rozdział 38

Lenhardt wciąż starał się ustalić wysokość napiwku za śniadanie, kiedy Infante zadzwonił do dyżurnego sędziego i uprzedził go, że będą potrzebowali nakazu przeszukania pokoju Staną Dunhama w Sykesville. Spotkali się z sędzią pod Cross Keys Inn, gdzie jadł niedzielne drugie śniadanie, i w niecałą godzinę później Infante i Willoughby byli w drodze do domu starców. Kevin nie chciał, żeby stary policjant z nim jechał, ale nie umiał mu odmówić. Lata temu coś przeoczono, szczegóły. Niczyja wina – kiedy kierowca został wyeliminowany. Kto pomyślałby o anonimowym gościu w Pensylwanii, podpisującym czek? A mimo to widać było, że Willoughby się tym gryzie.

– Wie pan, jak trafiliśmy na Penelope Jackson? – spytał Infante. Willoughby wyglądał za okno, przyglądając się polu golfowemu po północnej stronie autostrady.

– Jak zrozumiałem, za sprawą komputerowego poszukiwania.

– Tak, przez Nancy. Pierwszego dnia zrobiłem to, co zwykle: krajowy rejestr skazanych, wszystkie bazy danych. Ale nie przyszło mi cholera do głowy, żeby sprawdzić w gazetach, na wypadek gdyby Penelope Jackson trafiła do wiadomości z jakiegokolwiek powodu. Gdyby Nancy tego nie zrobiła, nie powiązalibyśmy Tony’ego i Staną Dunhamów. Nawet wiedząc, co zrobiliśmy, pokręciliśmy chronologię. Prawnik Dunhama powiedział mi, że Stan sprzedał posesję kilka lat temu, ale nie przycisnąłem go co do daty. Założyłem, że chodzi o sprzedaż Mercerowi, ale on mówił o sprzedaży deweloperowi przez Mercera.

– Dziękuję panu, Kevin – powiedział Willoughby szorstkim głosem,

jakby Infante zaproponował mu miętówkę. – Ale opowiada pan o przeoczeniu, które popełnił w pierwszych godzinach śledztwa w sprawie ucieczki z miejsca wypadku i podejrzanej kobiety. Ja miałem do dyspozycji czternaście lat. A jeśli informacje na temat Dunhama są prawdziwe, to znaczy, że w zniknięciu małych Bethanych nie zrobiłem ani jednego znaczącego odkrycia. Niech pan tylko o tym pomyśli. Tyle pracy, tyle lat, i nie dowiedziałem się niczego. Żałosne.

– Kiedy Nancy zaczęła pracować nad starymi sprawami, zauważyła, że, jak na ironię, nazwisko sprawcy niemal zawsze pojawia się w aktach. Ale danych Staną Dunhama nie ma. Dzwonił pan do firmy przewozowej, podali panu nazwisko kierowcy. Ustalił pan, że to nie mógł być on. Poza tym wciąż nic konkretnego nie wiemy oprócz tego, że istniało jakieś powiązanie między Stanem Dunhamem a rodziną Bethanych.

– Powiązanie, o którym dziecko nie mogło wiedzieć, bo żadna jedenastolatka nie orientuje się, kto indosuje czek. – Willoughby znów zapatrzył się na uciekający za oknem krajobraz, chociaż nie było tam nic wartego uwagi. – Nie umiem zdecydować, czy łatwiej mi przez to uwierzyć tej tajemniczej kobiecie, czy trudniej. Może to ktoś, komu Stan Dunham się zwierzył. Albo Tony Dunham, co bardziej prawdopodobne. Krewna, przyjaciółka. Nancy powiedziała mi, że kobieta bardzo nalegała, żeby sprawdzić szkolne akta, że znajdziemy Ruth Leibig w archiwach tej katolickiej szkoły w Yorku.

– Ale to nie dowiedzie, że ona jest Ruth Leibig, tylko że Ruth Leibig istniała i chodziła do tej szkoły. Mówi się, że nie można udowodnić przeczenia, ale okazuje się, że cholernie trudno dowieść, kim ta kobieta jest. A jeśli po prostu powoła się na inną tożsamość, a potem jeszcze inną?

W końcu Ruth Leibig nie żyje. Ta kobieta to Królowa Umarłych.

Zjechali z autostrady i ruszyli na północ. Przedmieścia ciągnęły się o wiele dalej niż dziesięć lat temu, kiedy Infante sprowadził się do Baltimore, ale tutaj, w Sykesville, wciąż były ślady wiejskiego życia. Sam dom starców był dość elegancki, nowoczesny i zadbane, nawet bardziej imponujący niż ten, w którym mieszkał Willoughby. Jak stary gliniarz, bez funduszu powierniczego, mógł sobie pozwolić na taki luksus? Potem Infante przypomniał sobie sprzedaż nieruchomości w Pensylwanii, zainteresowanie Dunhama funduszami emerytalnymi, kiedy wciąż był jeszcze żwawy. Facet bez wątpienia miał wszystko porządnie zorganizowane. Jedyne pytanie brzmiało: Czy zbrodnie zaplanował tak samo starannie jak finansowe zabezpieczenia?

Willoughby zadrżał lekko, kiedy skierowano ich do skrzydła, gdzie przebywał Stan Dunham. Infante'a w pierwszej chwili to zdziwiło, potem jednak sobie przypomniał: żona Willoughby'ego umarła w takim miejscu. Odbyła krótką podróż w jedną stronę z apartamentu do hospicjum, kiedy miała dopiero pięćdziesiąt kilka lat.

– Pan Dunham już nie mówi – powiedziała Terrie, ładna, młoda pielęgniarzka, która im towarzyszyła.

Infante stwierdził w duchu, że powinien częściej umawiać się z pielęgniarzkami. Pasowały do policjantów. Żałował, że nie noszą już białych mundurków, obcisłych w talii, i czepeczków. Ta miała na sobie zielone spodnie, kwiecisty top i paskudne zielone chodaki, ale i tak była uderzająco piękna.

– Wydaje czasem dźwięki – tłumaczyła dalej. – Niektóre oznaczają, co

czuje, ale nie potrafi się komunikować poza wyrażaniem najbardziej podstawowych potrzeb. To już końcowe stadium.

– Dlatego został przeniesiony do hospicjum? – spytał Willoughby. Na ostatnim słowie lekko się zająknął.

– Nie przyjmujemy ludzi do hospicjum, dopóki ich przewidywana długość życia przekracza pół roku. U pana Dunhama miesiąc temu zdiagnozowano raka płuc czwartego stopnia. Biedak. Miał strasznego pecha.

Tak, pomyślał Kevin, biedaczysko.

– Czy syn go odwiedzał? – spytał.

– Nie wiedziałam, że jego syn żyje. Jako osobę kontaktową podał tylko prawnika. Może byli skłóceni. To się zdarza.

A może syn nie chciał mieć nic wspólnego z ojcem. Wiedział, co się stało lata temu, i opowiedział swojej dziewczynie, Penelope, a ona powiedziała jeszcze komuś, kogo przypadkiem podwoziła.

Kevin wiedział, że ktoś z zaawansowanym alzheimerem nie może podać żadnych sensownych informacji, ale i tak był zawiedziony, kiedy zobaczył Staną Dunhama. Wrak człowieka, w kraciastej piżamie i szlafroku. Jedyne oznaki życia były uczesane włosy i świeżo ogolona twarz. Pielęgniarka to zrobiła? Oczy Dunhama pojaśniały na jej widok; jego wzrok przesunął się po Kevinie i Willoughbym z umiarkowanym zainteresowaniem, potem wrócił do dziewczyny.

– Dzień dobry, panie Dunham. – Głos Terrie był wesoły i pełen entuzjazmu, ale nie przesadnie głośny albo dziecinny. – Ma pan gości. Kogoś, kto z panem pracował.

Dunham dalej na nią patrzył.

– Ja nie pracowałem z panem – sprostował Infante. Starał się naśladować sposób mówienia Terrie, ale wyszedł mu ton krzepkiego i serdecznego sprzedawcy samochodów. – Ale Chet tak. W wydziale zabójstw. Pamięta pan? Był chyba najbardziej znany z tego, że dostał sprawę Bethanych. Sprawę Bethanych.

Ostatnie dwa słowa powtórzył wolno i wyraźnie, ale bez efektu. Oczywiście. Wiedział, że tak będzie, ale nie mógł się powstrzymać. Dunham wciąż wpatrywał się w ładną Terrie. Miał spojrzenie psa, pełne miłości i całkowitego oddania. Jeśli ten człowiek porwał małe Bethany, był potworem. Ale nawet potwory się starzeją, słabną. Umierają.

Infante i Willoughby zaczęli systematycznie otwierać szuflady i szafki, szukając czegokolwiek. Wszystkiego.

– Nie ma wiele dobytku – stwierdziła Terrie. – Bez sensu... – Ucichła, jakby człowiek siedzący na fotelu, który śledził jej twarz i głos z taką uwagą, mógł być zaskoczony wiadomością, że umiera. – Ale jest album ze zdjęciami. Czasem przeglądamy. Prawda, panie Dunham?

Wyciągnęła spod otomany duży, pożółkły album oprawiony w białą satynę. Na okładce niemowlak w niebieskiej pieluszce wołał: „To chłopiec!” W środku Infante zobaczył odręczne pismo, wyraźnie kobiece. Ktoś drobną kursywą opisywał życie Anthony’ego Juliusa Dunhama od urodzenia (trzy kilo, sześćdziesiąt gramów), przez chrzciny, do ukończenia liceum. Jego matka, w przeciwieństwie do niektórych, nigdy nie straciła cierpliwości do zapisywania każdego sukcesu syna. Certyfikat ukończenia wakacyjnego kursu czytania, karta Czerwonego Krzyża odnotowująca, że osiągnął „średnio zaawansowany” poziom pływania w Camp Apache. Do kart albumu czarnymi trójkącikami przymocowano szkolne świadectwa –



niezbyt imponujące.

Na widok zdjęć Infante zatęsknił za własnym tatą. Nie dlatego, że między nim a młodszym, bardziej krzepkim Stanem Dunhamem było jakieś podobieństwo, ale dlatego, że na zdjęciach uchwycono najważniejsze chwile rodzinnego życia. Krzątanie się po domu, wakacyjny wypoczynek, oczy zmrużone przed słońcem podczas różnych ceremonii. Każde dokładnie podpisano – ten sam kobiecy charakter pisma. „Stan, Tony i ja, Ocean City, 1962”. „Tony na szkolnym pikniku, 1965”. „Zakończenie liceum Tony’ego, 1970”. W ciągu dziewięciu krótkich lat Tony zmienił się z krótko przystrzyżonego blondyna w pasiastej *koszulce* w długowłosego, niedoszęłego hipisa. Gliniarzowi musiało z tym być niełatwo, pomyślał Infante, zwłaszcza w tamtych czasach. Ale jakkolwiek Tony się ubierał, rodzice, którzy obejmowali go na zdjęciu, promienieli dumą.

Ostatnie zdjęcie – chłopak w czymś, co wyglądało jak uniform pracownika stacji benzynowej – było podpisane: „Nowa praca Tony’ego, 1973”. Album na tym się kończył, chociaż zostało kilka wolnych kartek. Dwa lata przed zniknięciem Bethanych. Dlaczego matka przestała dokumentować każdy etap życia swojego syna? Wyprowadził się w 1973? Mieszkał z nimi, kiedy ojciec sprowadził do domu dziewczynkę w 1975? Co Stan Dunham im powiedział, jak wytłumaczył nagłe pojawienie się niepełnoletniej?

– Kevin, niech pan spojrzy.

Willoughby odsunął poduszki, które ułożono – może specjalnie, może nie – tak, by zakrywały duże kartonowe pudło na górnej półce w szafie. Terrie zdjęła je sama, zachwiała się lekko pod ciężarem, a Infante

pospieszył z pomocą, kładąc dziewczynie dłoń na ramieniu. Spojrzała na niego z rozbawieniem, jakby przywykła do takich zagrywek, a on poczuł się jak stary pierdziel, kolejny z jej podopiecznych, który próbuje sobie pomacać.

Pudło było pełne śmieci, które zbierają uczniowie i studenci. Świadectwa, programy zajęć, szkolne gazetki. Wszystkie z katolickiej szkoły w Jorku, zauważył Infante – i z nazwiskiem Leibig. Ruth nie miała swojego albumu, kimkolwiek była, choć uczyła się znacznie lepiej niż Tony. Zdjęć też nie, i nic, co pochodziło sprzed wiosny 1975. Był za to dyplom z 1979. Co najdziwniejsze, w pudle leżał stary taśmowy magnetofon, jasnoczerwone pudełko w kształcie torebki. Kevin wcisnął przycisk, ale oczywiście urządzenie nie zadziało. W środku znajdowała się kasetka Jethro Tuli, *Aqualung*. Na dole magnetofonu widniała równie staromodna naklejka z wypisanym „Ruth Leibig”.

Infante zaczął kopać głębiej i znalazł coś jeszcze dziwniejszego: akt ślubu, również z datą 1979, Ruth Leibig i Tony’ego Dunhama, poświadczony przez jego rodziców, Irenę i Staną Dunhamów.

Tony nie żyje? Ta informacja, według Nancy i Lenhardta, zaskoczyła kobietę podczas przesłuchania. Ale nieznajoma nie była smutna. Wstrząśnięta i wzburzona, może nawet rozzłoszczona. W żadnym razie nie smutna. Zarazem nie wspomniała o Tony’u ani razu, nie z nazwiska.

– Co się stało? – zapytał Infante Staną Dunhama, który chyba przestraszył się tonu jego głosu. – Kim była Ruth Leibig? Porwałś dziewczynkę, potem ją pieprzyłeś, aż dorosła, wtedy oddałeś swoją zdobycz synowi? Co się działo na farmie, ty stary, zboczony sukinsynu?

Pielęgniarka była przerażona. Chyba nie umówiłaby się z nim na

randkę, gdyby zadzwonił za tydzień. Pamięta mnie pani? To ja jestem tym detektywem, co wyzywał starca, którego pani uważa za uroczonego człowieka. Wskoczmy gdzieś razem?

– Proszę pana, nie wolno tak się zwracać... Dunham chyba nie zauważył, że cokolwiek się stało.

Infante otworzył album ze zdjęciami, wskazał ostatnią fotografię Tony'ego.

– On nie żyje. Zginął podczas pożaru. Może został zamordowany. Wiedział, co zrobiłeś? Jego dziewczyna wiedziała?

Starzec pokręcił głową westchnął i wyjrzał za okno, jakby to Infante był niespełna rozumu – bełkoczący szaleniec, którego należy zignorować. Czy cokolwiek zrozumiał? Czy fakty były zamknięte w jego mózgu, czy przepadły na zawsze? Zresztą co za różnica, Infante nie miał do nich dostępu. Stan Dunham znów zaczął przyglądać się pielęgniarce, jakby oczekując zapewnienia, że to zakłócenie codziennej rutyny wkrótce się skończy. Kiedy znów zostaniemy sam na sam? – pytał wzrokiem. Mówiła cichym, dodającym otuchy głosem, głaszcząc go po dłoni.

– Właściwie nie wolno tego robić – powiedziała, zerkając ze zmartwieniem na Infante'a. – Dotykać pacjentów. Ale on jest przemiły, lubię go najbardziej ze wszystkich podopiecznych. Nawet pan sobie nie wyobraża.

– Nie – odparł Kevin. – Nie wyobrażam sobie.

Bóg jeden wie, co by z panią zrobił, gdyby panią spotkał jako nastolatkę.

Chet Willoughby dalej przesiewał pudło papierów. Wrócił do dyplomu i aktu małżeństwa, którym przyjrzał się przez okulary w szylkretowych

oprawkach.

– Coś tu się nie zgadza, Kevin. Trudno powiedzieć na pewno, ale na podstawie tego jest mało prawdopodobne, że Ruth Leibig to Heather Bethany.

## Rozdział 39

Jadalnię oddzielały od salonu podwójne przeszklone drzwi. Z biegiem lat I Kay zauważyła, że kiedy były zamknięte, jej dzieciom wydawało się, że są niewidzialne. Często to wykorzystywała, ustawiając swój ulubiony fotel do czytania tak, by mogła ukradkiem zerkać na Grace albo Seta – co zdarzało się coraz rzadziej z każdym upływającym rokiem. Dojrzewanie było jak wielki strup albo blizna, stopniowo zarastające duszę, aby ją chronić przed działaniem żywiołów. Kay lubiła to, jak Grace przygryza włosy, kiedy odrabia lekcje z matematyki – pamiętała ten nawyk z własnego dzieciństwa. Seth, jedenastoletni, wciąż mówił do siebie, prowadził narrację swojego życia cichym, niespiesznym monologiem, który kojarzył się Kay z komentowaniem zawodów golfowych. Oto moje drugie śniadanie, mówił, ustawiając ciastka w precyzyjne wzory i struktury. Oreo, prawdziwe. Bo Oreo nie da się podrobić. A tutaj mleko, pół procent, z Gianta. Bo mleko to mleko. To ostatnie zdanie, które sama często wypowiadała, wracało do niej jak bumerang. Tuż po rozwodzie bez przerwy martwiła się o pieniądze i porzuciła wszystkie firmowe towary. Urządzała nawet dzieciom testy, żeby im udowodnić, że z zamkniętymi oczami nie są w stanie odróżnić różnych marek ciastek i chipsów. Ale okazało się, że potrafiły, więc w tej sprawie osiągnęli kompromis. Markowe ciastka, chipsy i napoje, sklepowe mleko, makarony, chleb i przetwory.

Czasami dzieci przyłapywały matkę, jak je obserwuje zza szyby, ale chyba nie miały nic przeciwko temu. Może nawet im się to podobało, bo Kay nigdy nie śmiała się ani z nimi nie drażniła. Tylko wzruszała ze

skrucną ramionami i wracała do lektury, jakby to ona została na czymś przyłapana.

Dzisiaj jednak w jadalni siedziała Heather i skrzywiła się, kiedy zobaczyła Kay za szkłem. Kay czytała niedzielną gazetę i myślała, jak ładnie Heather wygląda w szarawym świetle. Trzymała gazetę na wyciągnięcie ręki, jakby była dalekowszkiem. Nie miała zmarszczek na czole, a linia szczęki wciąż pozostawała gładka i jędrna. Tylko głęboka bruzda między oczami zdradzała zacięte skupienie.

– Kiedy w niedzielnym komiksie przestali rysować „Księcia Valianta”?  
– spytała, gdy Kay przyniosła do jadalni swój kubek z kawą. Ale zanim Kay zdążyła zareagować, Heather sama sobie odpowiedziała. – Nie, to nie „Beacon” drukował „Księcia Valianta”. To „Star”. „Beacona” dostawaliśmy w dni powszednie, ale w niedzielę obie gazety. Mój tata był uzależniony od wiadomości.

– Już dawno nie słyszałam o „Beaconie”. Połączył się z „Lightem” jeszcze w latach osiemdziesiątych, mniej więcej wtedy, kiedy zamknięto redakcję „Stara”. Ale Baltimore to Baltimore, niektórzy wciąż mówią o „Beaconie”, jakby cały czas istniał. Powiedziałaś jak prawdziwa baltimorianka z dawnych czasów.

– Jestem prawdziwą baltimorianką z dawnych czasów – odparła Heather. – Albo byłam. Teraz moje miejsce jest chyba gdzie indziej.

– Urodziłaś się tutaj?

– A co, nie znalazłaś tego w Internecie? Pytasz od siebie, czy od nich?  
Kay się zaczerwieniła.

– To nie fair, Heather. Nie stoję po niczyjej stronie. Jestem neutralna.

– Mój ojciec zawsze mówił, że nie ma neutralności, że nawet samo

bycie neutralnym oznacza wzięcie czyjejs strony. – Wyzywała Kay, oskarżała ją o coś, ale o co?

– Nie mówiłam nikomu, że wczoraj wpadłyśmy do centrum handlowego.

– A dlaczego miałybyś mówić?

– No, sama rozumiesz, to ich mogło zainteresować. Gdyby wiedzieli... Kay była wdzięczna, że jej niezręczne tłumaczenie przerwał dzwonek telefonu, chociaż sama nie rozumiała, czemu to ona się rumieni i wstydzi. Z góry dobiegł głos Grace, pełen zwykłego, szalonego entuzjazmu, który wzbudzał w niej telefon.

– Ja odbiorę! – A potem ponurym, martwym tonem, zdradzającym milion zawiedzionych nadziei: – Jakaś Nancy Porter. Chce porozmawiać z Heather.

Heather poszła do kuchni i ostentacyjnie zamknęła za sobą drzwi. Mimo to Kay słyszała jej krótkie, szorstkie odpowiedzi. Co? Skąd ten pośpiech? Nie można zaczekać do jutra?

– Chcą, żebym tam znów pojechała – warknęła Heather, odpychając drzwi z taką siłą, że zatrzymały się otwarte. – Podwiesz mnie za pół godziny?

– Nowe pytania?

– Nie wiem. Trudno uwierzyć, że mogą jeszcze o coś pytać, po tym, co mi wczoraj urządzili. Ale przyjechała moja matka i chcą, żebym się z nią zobaczyła. Fajne spotkanie po latach, co? W policyjnej sali przesłuchań, gdzie każde słowo może być nagrane. Założę się, że od rana ją maglują. Mówią, że uważają mnie za oszustkę. Błagają, żeby udowodniła, że nie jestem tym, za kogo się podaję.

– Matka cię pozna – powiedziała Kay, ale Heather jakby nie zauważyła tonu pocieszenia. Kay jej wierzyła. Pomyślała nawet, że Heather jest bardziej wiarygodna, gdy nie próbowała udowodniać swojej wiarygodności. Kiedy rozmawiały o niedzielnych komiksach i dawnych czasach, była sobą bez żadnego wysiłku.

– Pójdę do siebie, umyję zęby i uczeszę się. Potem pojedziemy, dobrze? Zaraz wracam.

Poszła wąską, wyłożoną kamieniami ścieżką, prowadzącą przez podwórko do garażu stojącego w głębi posesji, na granicy zaułka. Niepotrzebnie wyskoczyła z tym Internetem. A jeśli dostali się do komputera Kay, prześledzili, co ostatnio było na nim robione? Każdy informatyk mógł znaleźć stronę jej firmy i emaila, którego wysłała szefowi. Czy musiała iść do swojego pokoju? Po co? Policja zabrała kluczyki do samochodu. Jaka była wtedy wdzięczna, że nawet breloczek nie może jej zdradzić. Kawalek turkusu na srebrnej belecze, kupiony w sklepie z drobiazgami, przedmiot bez żadnego znaczenia. Z oczywistych powodów nigdy nie personalizowała swoich rzeczy, nie haftowała monogramów, chociaż sugerowano jej, że powinna to robić na serwetkach i fartuszkach, kiedy miała naście lat i była „zaręczona” z Tonym Dunhamem. Jasne, ciociu. Po prostu nie mogę się doczekać, kiedy wezmę sobie pieprzoną skrzynię z posagiem. Dostała w twarz za słowo „pieprzoną”, ale za samo pieprzenie nie. Co za dom. Co za cholerny, pochraniony dom, za zasłonkami w kratkę i petuniami w skrzynkach na oknach.

Żałowała, że nie ma pieniędzy albo przynajmniej karty kredytowej. Och, gdyby tylko nie straciła portfela – ukradła go Penelope, tej



manipulantce niezdolnej do wdzięczności – i gdyby nie była tak zagubiona i zdezorientowana pierwszej nocy, jakoś by się wyłgała z naruszenia przepisów, nawet bez prawa jazdy i z dowodem rejestracyjnym na kogoś innego. Chociaż z tego, na ile znała Penelope, samochód mógł być bez ważnych badań technicznych albo mieć na koncie kary za niewłaściwe parkowanie.

Obejrzała się przez ramię. Kay wciąż była w kuchni, piła kawę przy zlewie. Cholera. Będzie trzeba wejść na górę. I co potem?

Ciężko było otworzyć okno w łazience, zapierając się tylko jedną ręką o stare, pokrzywione drzewo; jeszcze trudniej przecisnąć się przez maleńki otwór i zeskoczyć z pierwszego piętra, ale udało się. Adrenalina to coś wspaniałego. Otrzepała swoje spodnie – a właściwie Grace. Miała wyrzuty sumienia, ze wszystkich rzeczy, które zrobiła, żałowała tylko, że zabrała ulubione spodnie nastolatki i ubrudziła je na kolanach. Zorientowała się w okolicy. Najbliższą ruchliwą ulicą była Edmondson po prawej. Prowadziła prosto do Beltway, ale tam nie dałoby się złapać stopa. Powinna spróbować Route 40, ta jednak biegła ze wschodu na zachód, a ona musiała jechać na południe. Da sobie radę. Zawsze jakoś sobie dawała.

Zaczęła zwawo iść przed siebie, pocierając ramiona. Po zachodzie słońca pewnie zrobi się zimno, ale może do tej pory dotrze do domu. Gdyby ktoś ją podwiózł na lotnisko i pojechała pociągiem... Czy lokalne jeździły w niedziele? Amtrak tak, a gdyby nie złapali jej do New Carrollton, dalej już by poszło. Nawet w lokalnym pociągu zdołałaby zwodzić konduktora przez kilka stacji, przekonać go, że zgubiła bilet. Może nawet została okradziona – ryzykowne, bo kazałby zgłosić to na

policję. Gdyby tylko wsiadła do pociągu we wtorek, tak jak zamierzała... Mogłaby powiedzieć konduktorowi, że pokłóciła się z... chłopakiem, a on wypchnął ją z wagonu, właśnie, i teraz musiała się dostać do domu. Umiałaby sprzedać taką historyjkę. Cholera, kiedyś widziała bezdomną, która przejechała za darmo z Richmond do Waszyngtonu, trajkocząc przy tym, że jedzie na spotkanie z prezydentem. W końcu nie wysadzali człowieka na środku pustkowia. A gdyby dotarła do Union Stadion, byłoby po wszystkim. Zadzwoiłaby do kolegi z pracy albo do szefa. Przeskoczyłaby bramki w metrze – wszystko, byle tylko znów dostać się do domu. Ledwie się powstrzymywała, żeby nie ruszyć truchtem w stronę ruchliwej ulicy, pełnej śmigających w obie strony samochodów. Czuła się, jakby biegła do prawdziwego świata, pełnego ruchu i zamieszania, w którym znów bezpiecznie by zniknęła; jakby musiała mocno się rozpędzić, by przebić ścianę oddzielającą ją od wymyślonego królestwa, w którym żyła przez ostatnie pięć dni.

Ale kiedy dotarła do końca zaułka, zza zakrętu wyskoczył radiowóz i zablokował jej drogę. Z samochodu wysiadła ta pulchna, wygadana detektyw.

– Dzwoniłam do pani z komórki – powiedziała Nancy Porter. – Byliśmy ciekawi, co pani robi, kiedy wezwiemy panią na spotkanie z Miriam. Infante czeka na drugim końcu zaułka. A od frontu, jak zawsze, stoi mundurowy policjant.

– Idę na spacer – odparła. – To wbrew prawu?

– Infante odwiedził dziś Staną Dunhama. Dowiedział się kilku ciekawych rzeczy.

– Stan Dunham nie jest w stanie powiedzieć nic nikomu, nawet gdyby

był skłonny to zrobić.

– Bardzo ciekawe, że pani o tym wie. Ja nie powiedziałam ani słowa na ten temat. Wczoraj mówiła pani, że nie miała z nim żadnego kontaktu od lat.

– Bo to prawda.

Detektyw otworzyła tylne drzwi radiowozu – prawdziwego patrolowca, z siatką oddzielającą przednie i tylne fotele.

– Nie chcę pani zakładać kajdanek z powodu obrażeń ręki, a także dlatego, że nie postawiono pani żadnych zarzutów... jeszcze. Ale to pani ostatnia szansa, żeby nam powiedzieć, co się naprawdę stało z siostrami Bethany, Ruth. Zakładając, że pani wie.

– Nie byłam Ruth od lat – oznajmiła, wsiadając do samochodu. – Ze wszystkich swoich imion Ruth nie cierpiałam najbardziej. Nienawidziłam być Ruth.

– Cóż, albo poda nam pani swoje obecne nazwisko, albo spędzi noc w areszcie. Szliśmy pani na rękę przez pięć dni, ale czas się skończył. Pora na zeznania: kim pani jest i co wie o rodzinie Dunhamów i siostrach Bethany.

Gdyby musiała nazwać swoje uczucia, stwierdziłaby, że to ulga. Wreszcie wszystko się skończy, raz na zawsze. Z drugiej strony jednak... absolutne przerażenie.

## Rozdział 40

Moglibyśmy ją pani pokazać na obrazie z kamery – zaproponował Infante Miriam. – Albo przeprowadzić koło pani w korytarzu.

– Nie ma możliwości, żeby to była Heather?

– Nie, jeśli to Ruth Leibig, a ona prawie przyznała, że tak się nazywała. Ruth Leibig skończyła liceum w Yorku w Pensylwanii w 1979 roku i zaraz potem wyszła za syna Dunhama. Heather miałyby wtedy szesnaście lat. Małżeństwo byłoby legalne, zwłaszcza że poświadczyli je Dunhamowie.

Ale na ile jest prawdopodobne, żeby Heather ukończyła szkołę z dwuletnim wyprzedzeniem?

– To ja na to wpadłem – wtrącił Willoughby, ale Infante nie miał mu za złe tej odrobiny samochwalstwa. Sam też w końcu by zauważył tę rozbieżność dat. Ale fakty takie jak daty urodzenia Bethanych były wypalone na zawsze w mózgu Willoughby’ego, choć on sam próbował temu zaprzeczać.

– Nie, Heather była bystra, ale nie aż tak, żeby przeskoczyć dwie klasy – przyznała Miriam. – Nawet w parafialnej szkole w pensylwańskiej wiosce.

Infante chodził do katolickiej szkoły i uważał, że była całkiem wymagająca, ale w tej chwili nie zamierzał się z Miriam o nic spierać.

– A więc co się stało z moimi córkami? – spytała. – Gdzie one są? Co to wszystko ma wspólnego ze Stanem Dunhamem?

– Podejrzewamy, że porwał i zabił pani córki, a żona jego syna, Ruth, poznała szczegóły – powiedział Infante. – Jeszcze nie odgadliśmy, dlaczego ta kobieta tak chroni swoją obecną tożsamość. Może jest

poszukiwana? Albo wie na pewno, że Penelope Jackson podłożyła ogień, który zabił Tony'ego Dunhama, i stara się ją chronić, chociaż wciąż się upiera, że nie zna żadnej Jackson. Kiedy pytamy o samochód, zasłania się Piątą Poprawką. Kiedy pytamy o cokolwiek, zasłania się Piątą Poprawką.

Nancy pochyliła się nad stołem i przysunęła Miriam szklanek wody.

– Zaproponowaliśmy, że jeśli wyda nam Penelope Jackson za morderstwo Tony'ego Dunhama w Georgii, zawrzemy z nią układ co do ucieczki z miejsca wypadku – może całej reszty, przed którą ucieka, zależnie od tego, na ile to będzie poważne. Ale poza przyznaniem, że była kiedyś Ruth Leibig, po prostu nic nie mówi, nawet swojej prawnicze. Gloria namawiała ją, żeby się z nami dogadała, żeby wyjawiała wszystko, co wie, ale ona zachowuje się jak katatonik.

Miriam pokręciła głową.

– I jak ja. Jestem zupełnie otepiała. Cały czas powtarzałam sobie, że to niemożliwe, że to na pewno oszustka. Myślałam, że... zamknęłam się przed nadzieją. Teraz zrozumiałam, że chciałam, żeby to była prawda; że przyjeżdżając tutaj, sprawię, że to stanie się prawdą.

– Oczywiście – powiedział Lenhardt. – Każdy rodzic by tak zrobił. Proszę posłuchać, niech pani przyjdzie jutro, w poniedziałek, poskładamy wszystkie informacje. Sprawdzimy, czy Tony i Ruth się rozwiedli, pod czyją to było jurysdykcją i tak dalej. Wytropimy ludzi ze szkoły, nawet jeśli parafia już nie istnieje. Po raz pierwszy mamy solidne poszlaki.

– To nie Heather – wtrącił Willoughby. – Ale zna odpowiedzi, Miriam. Wie, co się stało, nawet jeśli tylko z drugiej ręki. Może Dunham zwierzył się swojej synowej po diagnozie; stała się jego powierniczką.

Miriam oklapła na fotelu Lenhardta. W tej chwili wyglądała na swoje

lata, a nawet starzej; figura się zniekształciła, oczy zapadły. Infante chciał jej powiedzieć, że wiele osiągnęła, przylatując tu, że ta podróż była coś warta, ale nie miał pewności, czy to prawda. Pokój Dunhama i tak by w końcu przeszukali, nawet gdyby Miriam nie wskazała ogniwa łączącego ich rodziny. Odwiedziny u starca nie wydawały się pilne, kiedy jego nazwisko pojawiło się po raz pierwszy, z powodu demencji, ale niedługo zaczęliby wokół niego węszyć. Cholera, aż do dzisiaj Infante nie był nawet przekonany, że Dunham miał związek z kimkolwiek oprócz Tony'ego Dunhama i nieuchwytniej Penelope Jackson. To jedyna zależność, którą ustalili niezależnie – tajemnicza kobieta, Penelope Jackson, Tony Dunham, Stan Dunham.

Mimo to, jeśli chciał być ze sobą szczery, musiał zastanowić się, dlaczego nie odwiedził Dunhama, kiedy tylko poznał jego nazwisko. Czy dlatego, że Stan Dunham był z policji? Czy zawahał się, podjął złą decyzję, tylko dlatego, że po prostu nie mógł uwierzyć, iż jeden z jego kolegów po fachu brał udział w tak potwornej zbrodni? Czy powinni zamknąć ją pierwszego wieczoru i wierzyć, że pobyt w areszcie okaże się wystarczającą zachętą do mówienia? Bawiła się nimi wszystkimi, nawet Glorią, własną prawniczką. Grała na zwłokę, próbowała wymyślić, jak ukryć tożsamość. Ale nie była dość cwana albo zdeprawowana, by spróbować tak zagrać matką. Może to ostatni strzęp przyzwoitości, miejsce, gdzie wyrysowała sobie linię. Uciekała, bo nie chciała konfrontacji z matką.

A może wierzyła, że Miriam jednym spojrzeniem dokona tego, co nie udało się im wszystkim przez ostatni tydzień – z całą pewnością wyeliminuje możliwość, że to Heather Bethany.

– Przeprowadźcie ją obok mnie – poprosiła Miriam. – Nie chcę z nią rozmawiać... to znaczy chcę na nią wrzeszczeć, zadać jej tysiąc pytań, a potem znów wrzeszczeć... ale wiem, że mi nie wolno. Po prostu na nią popatrzę.

Miriam czekała na korytarzu Gmachu Bezpieczeństwa Publicznego. Przeszło jej przez myśl, że powinna założyć ciemne okulary, a potem prawie roześmiała się na głos ze swojego pomysłu pełnego dramatyzmu. W końcu ta kobieta jej nie znała. Jeśli kiedykolwiek widziała Miriam, to na zdjęciach z dawnych lat. Owszem, Miriam postarzała się wyjątkowo ładnie, ale nie wyglądała inaczej niż w wieku trzydziestu dziewięciu lat. Właściwie Miriam trzydziestodziewięcioletnia ledwie przypominała swoje własne wyobrażenie o Miriam trzydziestoosmioletniej. Pamiętała, jak to zauważyła, kiedy gazety wydrukowały zdjęcia z pierwszej rocznicy – nieodwołalnie się zmieniła. To nie była kwestią wieku ani żałoby, ale czegoś o wiele głębszego. Prawie jakby przeżyła wypadek, a potem poskładano kości z powrotem do kupy, pozostawiając ją podobną do poprzedniej, ale trochę nie taką.

Windy poruszały się nieznośnie powoli, jak się przekonała, kiedy sama zjeżdżała na parter, a oczekiwanie w korytarzu ciągnęło w nieskończoność. W końcu jednak Infante i Nancy wysiedli z windy. Prowadzili między sobą szczupłą blondynkę, trzymając ją lekko za łokcie. Głowę miała pochyloną do przodu, więc trudno było zobaczyć twarz, ale Miriam się jej przyglądała – Ruth, tak się nazywała? – najuważniej, jak mogła; obejrzała wąskie ramiona, szczupłe biodra, komicznie młodzieżowe spodnie, nieodpowiednie dla każdej kobiety w średnim wieku. Moja córka miałaby lepszy gust, pomyślała.

Kobieta podniosła głowę i Miriam zobaczyła jej twarz. Nie chciała patrzeć w oczy, ale nie mogła się odwrócić. Powoli wstała, zagradzając drogę całej trójce, co wyraźnie zaniepokoiło Infante'a i Nancy. Tego nie było w planie. Miała po prostu siedzieć i obserwować, nic więcej. Obiecała. Pewnie myśleli, że uderzy albo popchnie kobietę, splunie stekiem wyzwisk na szarlatanę, wykorzystującą cudzą historię życia dla własnej rozrywki.

– Mi... proszę pani – zareagował szybko Infante, choć z tego wszystkiego omal nie zdradził jej imienia. – Eskortujemy więźnia. Ta pani nie jest w kajdankach tylko ze względu na swoją kontuzję. Proszę się odsunąć.

Miriam go zignorowała, wzięła w dłonie lewą rękę kobiety i ścisnęła ją, jakby chcąc powiedzieć: „To nie będzie bolało”. Potem podwinęła rękaw rozpinanego swetra, który tamta miała na sobie, uważając, by nie dotknąć zabandażowanego przedramienia. Na górnej części ramienia znalazła ślad, którego szukała – nieforemną, ledwie widoczną bliznę po szczepionce rozerwanej packą na muchy. Mucha uciekła, ale trysnęły ropa i krew, tworząc ranę, która goiła się tygodniami. Córka bez przerwy zdrapywała strup mimo upomnień, żeby go nie ruszać, że takie skubanie zostawi bliznę. I rzeczywiście pozostał ledwie widoczny ślad, tak drobny, że nikt inny by go nie zauważył. Właściwie może nawet go tam nie było, ale Miriam wierzyła, że go widzi, więc widziała.

– Och, Sunny – powiedziała. – Co tu się w ogóle dzieje?



## Rozdział 41

Koła autobusu kręcą się wraz, kręcą się wraz, kręcą się wraz. Chcieli wiedzieć, co sobie wyobrażała, co miała w głowie, a to było właśnie to: piosenka z dzieciństwa, która wróciła do niej tamtego dnia w autobusie linii piętnaście. Heather siedziała po drugiej stronie przejścia, nucąc w ten swój wesoło wkurzający, wkurzająco wesoły sposób. Heather wciąż była małą dziewczynką. A Sunny nie. Sunny miała zostać kobietą. Ten autobus, numer 15, wiozł innych ludzi do centrum handlowego, w codziennych sprawach, ale ona jechała nim na spotkanie ze swoim mężem.

Autobusy były magiczne. Inny autobus przywiózł ją w to miejsce jej życia, do tej chwili, w której wszystko miało się zmienić. Uciekała, tak samo jak kiedyś matka. Ta prawdziwa, z blond włosami i niebieskimi oczami. Prawdziwa matka by zrozumiała wszystkie rzeczy, które córka skrywała w sercu, sekrety tak wielkie, że nigdy nie zostały zapisane w pamiętniku.

Sunny Bethany miała piętnaście lat i była zakochana w Tonym Dunhamie. Każda piosenka, jaką słyszała, każdy dźwięk, pulsowały tą wiadomością, nawet szum kół autobusu.

„Koła autobusu kręcą się wraz, kręcą się wraz, kręcą się wraz”.

Wszystko zaczęło się w innym autobusie, szkolnym, kiedy odwrócono trasę po naleganiach pozostałych rodziców i Sunny popołudniami zaczęła jeździć sama.

– Będzie ci przeszkadzało, jeśli włączę radio? – zapytał któregoś dnia kierowca. To był zastępca, młody i przystojny, zupełnie niepodobny do pana Madisona, który zwykle jeździł na tej trasie. – Ale musisz obiecać, że

to pozostanie tajemnicą. Nie wolno nam włączać radia. Mój ojciec, właściciel firmy przewozowej, jest bardzo surowy.

– Jasne – zgodziła się, zawstydzona tym, jak piskliwie zabrzmiał jej głos. – Nic nie powiem.

Potem – nie następnym razem, kiedy prowadził, ani jeszcze następnym, ale za czwartym, w listopadzie, kiedy robiło się już zimno:

– Może przesiądziesz się tu do przodu i porozmawiasz ze mną, dotrzymasz mi towarzystwa? Strasznie nudno tak siedzieć tu samemu.

– Pewnie. – Przycisnęła książki do piersi i poczuła się głupio, kiedy autobus wpadł w dziurę na drodze, a ona mocno uderzyła biodrem w jeden z foteli. Ale Tony nie śmiał się z niej ani nie przedrzeźniał.

– Przepraszam – powiedział. – Od tej pory będę prowadził ostrożniej, moja pani.

Kolejny raz – piąty, może szósty. Ich spotkania zlewały się już w jedno, chociaż bardzo rzadko widywała go częściej niż dwa, trzy razy w miesiącu.

– Fajna piosenka? Ma tytuł *Samotna dziewczyna*. Kojarzy mi się z tobą.

– Naprawdę? – Nie była pewna, czy piosenka się jej podoba, ale wysłuchiwała uważnie, zwłaszcza ostatniego wersu, o samotnym chłopaku. Czy to znaczyło... ale nie odrywała wzroku od swojego niebieskiego zeszytu. Inne dziewczyny wypisywały na okładkach imiona sympatii, ale ona nigdy się nie odważyła. Kilka tygodni później spróbowała i wykaligrafowała maleńkie „TD” w dolnym prawym rogu.

– Co to znaczy? – spytała Heather, wścibska Heather, wiecznie szpiegująca Heather.

– Tylko dotknij, a dostaniesz w zęby – odparła szybko Sunny. Potem

przerobiła inicjały na figury trójwymiarowe, tak jak nauczyła się na geometrii.

Tony, przy muzyce, coraz więcej mówił o sobie. Próbował wstąpić do wojska, pojechać do Wietnamu, ale nie chcieli go przyjąć, ku uldze matki i rozczarowaniu jego samego. Sunny nie przypuszczała, że istnieją ludzie, którzy z własnej woli chcą jechać na wojnę. Tony miał wadę serca, wypadanie płatków zastawki dwudzielnej. Sunny nie mogła uwierzyć, że z jego sercem może być coś nie w porządku. Miał gęste włosy z przedziałkiem na środku, które często czesał małym grzebieniem, trzymanym w kieszeni dżinsów; nosił też złoty łańcuszek. Palił pall maile, ale tylko kiedy pozostałe dzieci wysiadły z autobusu.

– Nie wydaj mnie. – Mrugnął do niej w lusterku. – Ładna z ciebie dziewczyna. Mówił ci to już ktoś? Powinnaś nosić fryzurę jak Susan Dey. Ale i bez tego jesteś niezła.

„Koła autobusu kręcą się wraz”.

– Bardzo bym chciał spędzić z tobą trochę czasu. Nie tylko w autobusie. Nie byłoby fajnie, gdybyśmy mogli być gdzieś sami?

Pewnie że tak, ale jak to załatwić. Nawet bez pytania rodziców wiedziała – choć uważali się za otwartych i wyluzowanych – że nie pozwoliliby się jej spotykać z dwudziestotrzyletnim kierowcą autobusu. Tylko ciekawe, co by im przeszkadzało najbardziej – te dwadzieścia trzy lata, kierowca czy to, że chciał jechać do Wietnamu.

W końcu Tony oznajmił, że chce się z nią ożenić. Jeśli spotka się z nim w centrum handlowym w którąś sobotę, pojedą do Elkton i pobiorą się w małej kaplicy, gdzie brali ślub ludzie z Nowego Jorku, bo tam sprawę załatwiano od ręki i nie wymagano badań krwi. Powiedziała „nie”. Na

pewno żartował.

– Mówię poważnie. Jesteś taka ładna, Sunny. Kto by nie chciał się z tobą ożenić?

Przypomniała sobie, że jej prawdziwa matka uciekła w wieku siedemnastu lat, by wyjść za swoją prawdziwą miłość, prawdziwego ojca Sunny, a ludzie przecież teraz dużo szybciej dorastali. Rodzice bez przerwy powtarzali: „Dzieci teraz tak szybko dorastają”.

Następnym razem, kiedy się spotkali, dwudziestego trzeciego marca, powiedziała, że tak, spotka się z nim; a teraz, ledwie sześć dni później, jechała innym autobusem, na spotkanie z Tonym. Wieczorem miała ruszyć na miesiąc miodowy. Trochę się tego bała. Do tej pory udało się im tylko pocałować, a i tak wszystko się jej w środku przewracało. Ojciec Tony’ego bardzo dobrze znał rozkład jazdy. O wszystko wypytywał dokładnie, jeśli syn spóźnił się do domu. Obwąchiwał wnętrze autobusu i pytał, czy Tony palił. Zabawne, ale bycie dzieckiem właściciela firmy przewozowej nie dawało Tony’emu żadnych przywilejów, wręcz przeciwnie. W wieku dwudziestu trzech lat wciąż mieszkał z rodzicami tylko z jednego powodu – gdyby się wyprowadził, matce pękłoby serce.

– Ale po ślubie nie będziemy z nimi mieszkali – obiecał. – Wynajmiemy sobie jakiś kąt w mieście, a może w Yorku.

„Koła autobusu kręcą się wraz”.

A potem Heather musiała wszystko zepsuć, ciągnąc się nie tylko do centrum handlowego, ale i na *Chinatown*, gdzie Sunny miała się spotkać z Tonym. Kiedy je wyrzucono, Sunny uciekła. Nie wiedziała, co robić. Jak miała teraz znaleźć Tony’ego? Poszła do Harmony Hut. Przecież właśnie

muzyka ich połączyła. W końcu jednak się spotkali, ale Tony był zdenerwowany i wzburzony, jakby wyłącznie przez nią plan legł w gruzach. Wtedy Heather znalazła ich oboje. Zauważyła, że Sunny stoi w Harmony Hut, przed płytami The Who, i trzyma za rękę mężczyznę. Zaczęła wołać, że to jakiś podejrzany facet, który zaczepia dziewczynki przed sklepem z organami. Zagroziła, że powie rodzicom. Musieli ją ze sobą zabrać, prawda? Inaczej rodzice by się o wszystkim dowiedzieli. A wtedy to już koniec. Obiecali jej słodycze i pieniądze. Powiedzieli, że wróci do domu, kiedy się pobiorą, że zostanie druhną i świadkową. To ją chyba przekonało. Ale na parkingu Heather uznała, że jednak nie chce jechać, więc Tony złapał ją, trochę brutalnie, i wepchnął do samochodu. Podczas szarpaniny upuściła torebkę, ale Tony nie chciał wracać, a Heather przez całą drogę po autostradzie płakała i marudziła: „Nie mam swojej ulubionej torebki. Z pomadką. I z grzebieniem, pamiątką z Rehoboth Beach. Nie mam mojej torebki”.

W Elkton jednak nie wzięli ślubu. Sąd był zamknięty, więc nie mogli dostać zaświadczenia. Tony udawał, że jest zaskoczony. Pojechali do zarezerwowanego pokoju w motelu w Aberdeen. „Dlaczego zrobiłeś rezerwację, a nie sprawdziłeś, czy sąd jest otwarty?” Sunny zrobiło się niedobrze – to było zupełnie inne uczucie niż skurcze żołądka, które czuła, kiedy się całowali. Tony był wściekły, bo nie mógł zostać w pokoju sam na sam z Sunny, Heather wciąż zawodziła, że nie ma torebki. Sunny poczuła się uwięziona, skołowana. Nie wiedziała, czy jest zła na Heather za pokrzyżowanie planów, czy jej wdzięczna. Wszystko to zaczynało wyglądać na głupi pomysł. Chciała iść do liceum, a potem na studia, zwiedzić świat, jak ojciec, tylko z samym plecakiem. Zaproponowała, że

pójdzie na drugą stronę ulicy i kupi wszystkim obiad. Postanowiła nie wspominać, że zapłaci pieniędzmi podebranych ze skarbonki Heather.

Bar nazywał się Nowy Ideał i był staroświecki, dokładnie taki, jakie najbardziej lubił ojciec, gdzie wszystko robiono na miejscu. Na hamburgery czekało się dość długo, ale było warto. Nawet ktoś, kto ma świra na punkcie zdrowego jedzenia, raz na jakiś czas musi sobie pofolgować, mawiał ojciec. Rano zrobił im naleśniki z posypką czekoladową, a ona swojego nie dojadła. Teraz żałowała. W ogóle żałowała, że nie może się cofnąć do poranka. Mogła za to wrócić do domu. Postanowiła, że poprosi Tony'ego, aby je odwiózł. Wymyśli jakieś kłamstwo i przekona Heather, żeby ją poparła. Przekupi siostrę jej własnymi pieniędzmi.

Zapłaciła za hamburgery, nie mając pojęcia, że jej życie się skończyło, kiedy czekała w barze Nowy Ideał.

Wróciła do pokoju. Heather leżała na podłodze, bez ruchu. Wypadek, powiedział Tony. „Skakała po łóżku i robiła straszny jazgot, kazałem jej przestać, próbowałem ją złapać za rękę, a ona spadła”.

– Musimy wezwać lekarza albo zabrać ją do szpitala. Może jeszcze żyje.

Słowa bez nadziei, wypowiedziane nad ciałem Heather z roztrzaskaną potylicą. Krew wsiąkała w ręcznik, plamiła jasne włosy. Dlaczego podłożył jej ręcznik pod głowę? I jak można się tak mocno uderzyć, spadając z łóżka? Ale nad tymi pytaniami Sunny nie śmiała się zastanowić jeszcze przez kilka następnych lat.

– Nie – powiedział Tony. – Ona nie żyje. Musimy zadzwonić do mojego taty. On będzie wiedział, co zrobić.

Stan Dunham był o wiele sympatyczniejszy niż tyran opisywany przez syna w czasie rozmów od serca w autobusie. Nie wrzeszczał, nie krzyczał, nie robił awantur, jak czasami jej matka, „O czym ty myślałaś, Sunny? Gdzie zgubiłaś głowę?” Sunny zorientowała się, że mógł być surowy, ale na pewno nie groźny. Jeśli miało się poważne kłopoty, dobrze było pogadać z kimś takim, jak Stan Dunham.

– Ja to widzę tak – zaczął, siadając na podwójnym motelowym łóżku, z rękami na kolanach. – Straciliśmy jedno życie i nie możemy go odzyskać. Jeśli wezwiemy policję, mój syn zostanie aresztowany i oskarżony. Nikt nie uwierzy, że po prostu zdarzył się wypadek. A Sunny resztę życia spędzi z rodzicami, którzy będą ją winić o śmierć siostry.

– Ale ja... – zaprotestowała. – Ja poszłam... Podniósł rękę, a Sunny ucichła.

– Twój rodzice nie zdołają myśleć inaczej. Nie rozumiesz? To też ludzie. Nie będą chcieli cię nienawidzić, ale będą nienawidzić. Wiem. Sam jestem rodzicem.

Spuściła głowę; nie miała żadnych argumentów.

– Ale wiesz, co myślę, Sunny? Nazywasz się Sunny, tak? Ty i Tony ułożyliście sobie plan. Tony chyba się nie orientował, że piętnastolatka w tym stanie nie może wyjść za mąż bez zgody rodziców... – Rzucił synowi spojrzenie. – ... ale chcieliście się pobrać, więc teraz dokończymy wasz plan. Tak jest honorowo, robić to, co się powiedziało. Zamieszkaś z nami, pod nowym nazwiskiem. W domu będziesz mogła być żoną Tony’ego. Nawet zamieszkacie w jednym pokoju. Mnie to nie przeszkadza. Ale musisz jeszcze przez jakiś czas chodzić do szkoły, więc na zewnątrz będziesz kimś innym. A kiedy osiągniesz odpowiedni wiek, urządzimy

wam ślub, jak należy. Załatwię to. Wszystko załatwię. Masz moje słowo.

Potem podniósł Heather, jak ojciec śpiące dziecko, przytulił jej strzaskaną głowę i przewiesił ją sobie przez ramię. Ruszył do samochodu, a Sunny kazał iść za sobą. Ku swojemu zaskoczeniu, posłuchała go bez słowa sprzeciwu – weszła do samochodu, do innego życia, innego świata, gdzie nie musiała być dziewczynką, która spowodowała śmierć siostry. Tony miał zostać w pokoju i posprzątać, a potem spędzić tam noc, żeby obsługa motelu nie nabrała podejrzeń. Tony nigdy nie zamierzał się ze mną ożenić, przyznała przed sobą samą Sunny, siedząc w samochodzie Staną Dunhama, w którego bagażniku leżały zwłoki jej siostry. Zamierzał ją zabrać do tego wstrętnego motelu przy autostradzie, namówić na seks, a potem odwieźć do domu. Liczył, że będzie się za bardzo wstydziła, żeby komukolwiek powiedzieć prawdę.

I pewnie by mu się udało. Wróciłaby na Algonquin Lane, wymyśliła jakąś historyjkę, dlaczego na kilka godzin zniknęła. Ale teraz już nie mogła pokazać się w domu, nie bez Heather. Pan Dunham miał rację. Nigdy by jej nie wybaczyli. Ona sama nigdy by sobie nie wybaczyła.

Nazwali ją Ruth, ludziom powiedzieli, że to daleka kuzynka. Jej cała rodzina zginęła w pożarze. W domu była żoną Tony'ego od chwili, kiedy przestąpiła próg. Dzieliła z nim łóżko – i szybko się przekonała, że to nic przyjemnego. Urok, komplementy z chwil spędzonych w autobusie – wszystko zniknęło, zastąpione pospiesznym, nawet niezbyt brutalnym, ale zawsze krótkotrwałym seksem. Kiedy zatęskniła za dawnym domem, kiedy ośmieliła się wspomnieć, że może powinna wrócić, Stan Dunham powiedział, że nie ma już tamtego domu. Rodzice rozstali się i wyjechali. Jej ojciec był nieudacznikiem, matka cudzołożnicą. Poza tym gdyby się



ujawniła, zostałaby oskarżona o współudział w przestępstwie.

– Byłem kiedyś policjantem – oznajmił. – Wiem, jak idzie śledztwo. Lepiej dla ciebie, żebyś została z nami.

Nie uszło jej uwagi, że Dunhamowie byli taką rodziną, za jaką w ostatnich latach tęskniła. Normalną, z ojcem na porządnej posadzie, i matką, która siedziała w domu i piekła, zawiązując na sukienkach kolorowe fartuchy. Irenę Dunham miała chyba więcej fartuchów niż sukienek, i piekła codziennie. Jej kruchy placek był wręcz słynny. Ale mimo wszystkich nagród, jakie zdobył, w ustach Sunny smakował jak kurz i nigdy nie dojadła ani kawałka. Irenę za nianie przepadała, winiła ją za wszystko, co się stało, stojąc murem za synem bez względu na okoliczności.

Kiedy Sunny podrosła, czasami próbowała odmawiać Tony'emu, kiedy chciał seksu. Wtedy dostawała lanie. Raz podbił jej oko, kiedy indziej przestawił szczękę, bił w brzuch tak mocno, że myślała, że się udusi. A raz, ostatni raz, prawie ją zabił. Fakt, po tym, jak uderzyła go pogrzebaczem z kominka w salonie, tym samym, którym potłukła głowy ukochanych lalek Irenę.

To była ich oficjalna noc poślubna.

Dochodziła północ, ale starsi Dunhamowie nie mogli zasnąć. Z pokoju Tony'ego dobiegały hałasy większe niż zwykle. Irenę Dunham natychmiast wzięła stronę syna, chociaż miał tylko strużkę jasnej krwi na policzku po jedynym ciosie, jaki Sunny mu zadała, zanim wyrwał jej pogrzebacz i zaczął ją bić, a potem kopać. Za to Stan Dunham zajął się synową. Kiedy się nad nią pochylił, spojrzeli sobie w oczy. Wtedy Sunny zrozumiała, że on zawsze wiedział, że to jego syn zabił Heather, że śmierć

dziewczynki nie była wypadkiem. Nie spadła i nie uderzyła się w głowę. Tony ją pobił albo rzucił na podłogę i tłukł jej głowę, dopóki czaszka nie pękła. Dlaczego? Kto wie? Był gwałtownym, sfrustrowanym człowiekiem. A Heather, pyskata dziewczynka, zrujnowała jego plan. Może to wystarczający powód. A może wystarczających powodów tego, co zrobił, w ogóle nie było.

– Musisz wyjechać – powiedział Stan Dunham, a jeśli jego rodzina zrozumiała te słowa jako karę, wygnanie, Sunny wiedziała, że starał się ją ratować. Następnego dnia znalazł dla niej nowe nazwisko, nauczył ją sztuczki znikania w pustej tożsamości małych, martwych dziewczynek.

– Musisz szukać osoby urodzonej w odpowiednim czasie. Kogoś, kto zginął, zanim dostał kartę ubezpieczenia społecznego.

Kupił bilet na autobus i obiecał, że będzie jej pomagał. A Stan Dunham zawsze dotrzymywał słowa. Kiedy miała dwadzieścia pięć lat i postanowiła, że chce się nauczyć prowadzić samochód, przyjeżdżał weekendami do Wirginii i cierpliwie uczył ją na pustych parkingach. W 1989 uznała, że zapisze się na kurs informatyki. Stan Dunham wyłożył pieniądze. Kiedy Irenę zmarła i Stan nie musiał się już martwić niechęcią żony, wykupił dla Sunny pensję. Nie była to oszałamiająca suma, ale dzięki niej mogła spłacić samochód, a ostatnio nawet trochę odłożyć – miała nadzieję kupić mieszkanie, kiedy rynek nieruchomości się uspokoi.

Dopiero kiedy Penelope Jackson stanęła w jej drzwiach tydzień temu – co do dnia – Sunny dowiedziała się, że Tony Dunham też miał pensję. I że po pijanemu opowiadał o swoich zbrodniach i wczesnym małżeństwie, mówiąc Penelope, że nigdy od niego nie ucieknie, bo kiedyś zabił dziewczynkę i ukrył to, z pomocą ojca i siostry tej dziewczynki.

– Tutaj wyrwał mi garść włosów. – Penelope pokazała łysinę za uchem. Potem postukała się w poszarzały przedni ząb. – A to korona, i to nie za dobra. Sukinsyn zepchnął mnie ze schodów, kiedy zaczęłam na niego bluzgać. Potem dowiedziałam, że jego ojciec płacił pensję innej kobiecie, pomyślałam więc, że powinnam ją odwiedzić, zobaczyć, co takiego przeszła, że zasłużyła na pieniądze od Dunhamów. Bo jedyne, co ja dostałam od Tony’ego, to obietnicę, że mnie znajdzie i zabije, jeśli go zostawię. Teraz mnie ściga. Musisz mi pomóc albo pójdę na policję i powiem, co o tobie wiem. Pomogłaś ukryć morderstwo, a to prawie tak samo, jakbyś sama kogoś zamordowała.

Zabrało jej to prawie trzy dni, ale wykorzystwała metody, których dawno temu nauczył ją Stan Dunham, i znalazła Penelope nowe nazwisko, a potem zdobyła dokumenty potrzebne do stworzenia nowego życia. Wyjęła także pięć tysięcy dolarów z lokaty i dała je kobiecie, która następnie zarezerwowała bilet do Seattle z międzynarodowego lotniska Baltimore-Washington. Sunny błagała ją, żeby wybrała inne linie, kursujące z Dulles albo lotniska krajowego, ale Penelope uparła się przy Southwest.

– Szybko zbiera się u nich punkty na darmowe bilety – wyjaśniła.

I tak, po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat, Sunny przekroczyła Potomac i wjechała do stanu Maryland, a potem ruszyła autostradą BaltimoreWashington Parkway. Zatrzymaj sobie samochód, jak chcesz, powiedziała Penelope, ale Sunny nie spodobał się ten pomysł. Jak wytłumaczyłaby się z posiadania gruchota z tablicami z Karoliny Północnej? Planowała zaparkować go na lotnisku i wrócić pociągiem do D. C. , resztę drogi przejechać metrem. Ale skoro była tak blisko domu, nie widziała nic złego w tym, żeby zboczyć kilka kilometrów na północ.

Kiedy zbliżyła się do trasy 70, zaczęła myśleć o odwiedzeniu Stana – nigdy dotąd nie odważyła się na to, nieważne, jak bardzo chorował, bo wizyta oznaczałaby pozostawienie śladu. Ale Penelope mówiła, że źle z nim, że stary ma demencję i ledwie żyje. Jeśli nie kazaliby pokazać dowodu tożsamości, podałyby fałszywe nazwisko. A może przejechałaby Algonquin Lane, przekonała się, czy to naprawdę ukochany dom z jej snów, czy ledwie zapuszczona chałupa w niezbyt ciekawej okolicy Baltimore.

Potem straciła panowanie nad samochodem, nad swoim życiem. W panice i zamieszaniu zaczęła mówić prawdę, by natychmiast tego pożałować. „Jestem jedną z sióstr Bethanych”. Gdyby powiedziała im całą resztę, ściągnęliby Tony’ego i kazali jej przyznać się przed światem, że była winna śmierci siostry. Poza tym kto wie, jakich kłamstw Tony by naopowiadał, jak mógłby ją skrzywdzić? Dlatego zwała winę na Stana, bo na swój sposób był bezpieczny, i skłamała, że jest Heather Bethany. Heather, która nigdy nie zrobiła nic gorszego niż szpiegowanie Sunny. Zawsze były do siebie bardzo podobne, a o życiu siostry wiedziała wszystko. Udawanie Heather powinno być łatwe.

Kiedy dowiedziała się, że Miriam żyje, zrozumiała, że zostanie zdemaskowana. Mimo to próbowała się wyłgać, udzielać im wiarygodnych odpowiedzi, żeby się zawczasu wymknąć. Irene nie żyła, a Stan był poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. Gdyby od początku wiedziała, że Tony nie żyje, może nie zawahałaby się opowiedzieć całej prawdy. Ale Penelope Jackson stwierdziła, że sama potrzebuje pieniędzy, bo drań chce ją dopaść i ukarać za to, że go zostawiła. Penelope dała do zrozumienia, że to wina Sunny, iż Tony wciąż żyje i krzywdzi kobiety. I

czy nie miała racji? Gdyby tamtej nocy wezwała policję, w motelu. Gdyby zaczęła wrzeszczeć, ściągnąc innych gości, kierownika. Ale ona była przerażona i cicha. Bała się rodziców i własnego sumienia. Opiekuj się siostrą, powiedział ojciec. Któregoś dnia mnie i matki zabraknie i będziecie miały tylko siebie. Nie tak się to wszystko ułożyło.

– Ale... – zaczęła Miriam i umilkła, głos jej się załamał, jakby miała tak dużo pytań, że nie wiedziała, które wybrać.

Sunny wspomniała dawne czasy i pytania matki zadawane dzień po dniu. Gdzie byłaś? Co robiłaś? Co słyszałać w szkole? Przypomniała sobie, jak zaczęła się zżymać na ciekawość Miriam, kiedy poszła do dziewiątej klasy i poznała Tony'ego. Jak nauczyła się ukrywać wszystkie uczucia i tajemnice za murem dojrzewania. Nigdzie. Nic. Nic. Teraz z radością odpowiedziałaby na wszystko, gdyby tylko matka potrafiła ustalić, czego chce się dowiedzieć. Sunny postanowiła zdradzić najprostszą i najbardziej prywatną informację, jaką posiadała. To, czego tak bardzo nie chciała ujawniać, wierząc, że to ostatnia, jedyna rzecz, która należy naprawdę do niej.

– Jestem informatyczką w firmie ubezpieczeniowej w Reston w Wirginii. Posługuję się nazwiskiem Cameron Heinz, ale wszyscy mówią na mnie Ketch.

– Catch?

– Ketch, skrót od Ketchup. Heinz, rozumiesz? Zginęła na Florydzie, w połowie lat sześćdziesiątych, w pożarze. Pożary zawsze są dobre. Chciałabym nią pozostać. Ale pragnę też być Sunny i wrócić do ciebie, skoro wiem, że żyjesz. Czy można to pogodzić? I żeby nikt się nie dowiedział prawdy?

– Myślę, że tak – odezwał się po chwili Lenhardt. – Jeśli tylko jest pani zdolna do małego oszustwa.

– Chyba udowodniłam, że jestem zdolna do czegoś więcej niż tylko do małego oszustwa – odparła Sunny.

Dwa tygodnie później Departament Policji Hrabstwa Baltimore wydał oświadczenie, że kości Heather Bethany zostały znalezione przez psy tropiciele w Glen Rock w Pensylwanii. Było to bezczelne kłamstwo i Lenhardt miał ubaw, widząc, jak reporterzy i opinia publiczna to łyknęli – psy tropiciele znajdujące trzydziestoletnie kości, zidentyfikowane szybko i automatycznie, jakby nie było kolejki do badań DNA, jakby teoretyczne możliwości nauki mogły przewyciężyć codzienną rzeczywistość przeciążonej biurokracji i okrojonych stanowych budżetów. Policja stwierdziła, że zidentyfikowała miejsce pochówku dzięki informacjom udzielonym przez tajnego informatora. Zasadniczo była to prawda, jeśli uznać Cameron Heinz za tajnego informatora, osobę różną i odrębną od Sunny Bethany. Policja ustaliła, że mordercą był Tony Dunham, a jego rodzice współuczestniczyli w ukryciu zbrodni, biorąc jako zakładnika ocalałą siostrę. Sunny uciekła od Dunhamów w nieokreślonym czasie i wciąż żyła, posługując się innym nazwiskiem. Przez swoją prawniczkę, Glorię Bustamante, poprosiła, by reporterzy uszanowali jej prywatność i pozwolili zachować anonimowość należną ofierze przemocy seksualnej. Nie miała ochoty rozmawiać o tym, co się stało. Mogę zdradzić tylko tyle, oświadczyła Gloria, która uwielbiała rozmawiać z prasą, że moja klientka mieszka w innym kraju, tak samo jak jej jedyna żyjąca krewna, matka.

– To prawda – powiedział później Lenhardt do Infante’a. – Reston w

Wirginii to dla mnie obcy kraj. Widziałeś kiedyś to miasto, pełne biurowców i wieżowców? Każdy mógłby tam zniknąć.

– Jak wszędzie – odparł Infante.

W końcu Sunny Bethany właśnie to robiła, przez ponad trzydzieści lat – jako uczennica szkoły parafialnej, sprzedawczyni szwajcarskich serów, pracownica redakcji małej gazety, informatyczka w dużej firmie komputerowej . Jak ptak zajmujący porzucone gniazda, zajmowała życia dawno martwych dziewczynek, licząc, że nikt jej nie zobaczy. A świat aż nazbyt chętnie udzielał jej tego przywileju. Była jedną z anonimowych kobiet, których tłum przelewał się przez ulice, centra handlowe i biurowce każdego dnia – atrakcyjna, warta drugiego spojrzenia, ale odsuwająca od siebie uwagę. Czy Infante, wytrawny kolekcjoner kobiet, kiedyś by ją zauważył? Pewnie nie. Teraz jednak, skoro już dobrze się przyjrzał, zdał sobie sprawę, że twarz Sunny była uderzająco podobna do szkicu wygenerowanego przez komputer, choć program dodał jej więcej zmarszczek, rysując wyraźne kurze stopki i głębokie bruzdy po obu stronach ust. Sunny mogła uchodzić za pięć, dziesięć lat młodszą, gdyby się postarała. Ale jej wystarczyły ledwie trzy.

Kto by zgadł, pomyślał Infante, zamykając okno komputera, w którym widniały podobizny dwóch siostr. Sunny Bethany nie ma zmarszczek uśmiechu.

## **Część X**

### **Swadhayaya**

*Piąty i ostatni krok Pięciokrotnej Ścieżki,  
swadhayaya, to wyzwolenie przez samoświadomość:*

*Kim jestem? Dlaczego tu jestem?*

**Zebrane z różnych nauk na temat Agnihotry**



## Rozdział 42

Kiedy tylko Kevin Infante wszedł na bożonarodzeniowe przyjęcie Nancy Porter, zorientował się, że szykują się swaty. Nieszczęśliwą damę potrafił dostrzec z odległości kilometra – brunetkę w jasnoczerwonej sukience. Była całkiem ładna. Właściwie wyjątkowo ładna, choć w stylu, który uważały za atrakcyjny inne kobiety – szczupła sylwetka, jasne oczy, bujne włosy. To go ostrzegło. Wybrała ją Nancy i musiał przyznać, że miała dobry gust. Mimo to nie znosił nawet biernego swatania na zasadzie „spikniemy ich i zobaczymy, co się stanie”, które sugerowało, że nie potrafi sobie sam znaleźć partnerki. Albo wybiera nieodpowiednie.

A jeśli nawet, to co z tego? Był już dużym chłopcem. Nancy nie powinna się wtrącać.

Rozejrzał się po pokoju, szukając towarzystwa do konwersacji, w którym mógłby się schronić. Na takich przyjęciach nie było sensu zagadywać gospodyni. Nancy biegała między kuchnią i jadalnią, uzupełniając talerze i piętrząc jedzenie na bufecie. Lenhardt jeszcze się nie pojawił, a mąż Nancy nigdy nie przepadał za Infante’em, ale z drugiej strony Andy Porter nie przepadałby za żadnym mężczyzną, który spędzałby długie godziny sam na sam z jego żoną, choćby w najbardziej niewinnych okolicznościach. Rozglądając się i czując, że brunetka jest coraz bliżej, Infante zobaczył znajomą twarz, choć potrzebował chwili, by skojarzyć tę kobietę – pulchną, sympatyczną. Kay jakaś tam, pracownik społeczny.

– Dzień dobry. – Wyciągnęła dłoń. – Kay Sullivan. Z St. Agnes.

– Tak, ta, która...

– Właśnie.

Przez chwilę stali w niezręcznym milczeniu. Kevin uświadomił sobie, że musi się bardziej postarać, jeśli chce uciec choćby na chwilę przed machinacjami szanownej pani Porter.

– Nie wiedziałem, że przyjaźnicie się z Nancy.

– Poznałyśmy się w Domu Ruth. Robiła dla nas prezentację na temat jednego z najstarszych nierozwiązanych morderstw w hrabstwie, sprawy Powers.

Kevin pamiętał. Nigdy nie zapominał spraw, które sam prowadził. Młoda kobieta, w separacji z mężem, zacięta walka o prawa do opieki nad dziećmi. Któregoś popołudnia wyszła z pracy. Nikt więcej nie widział ani kobiety, ani jej samochodu.

– A, tamtej. Ile to już czasu?

– Prawie dziesięć lat. Ich córka jest teraz nastolatką. Wyobrażasz sobie? Musi wiedzieć, że ojciec był głównym podejrzanym. Ale nie pamiętałam, że pracował w policji, zanim przeszedł do prywatnej ochrony.

– Aha.

Kolejna niezręczna pauza; Infante zastanawiał się, po co Kay Sullivan o tym wspomniała. Zamierzała zasugerować, że baltimorscy gliniarze z natury byli złoczyńcami? Stan Dunham tylko ukrył morderstwo.

– Czy... ?-zaczęła.

– Nie.

– Nawet nie wiesz, o co chciałam zapytać.

– Założyłem, że o Sunny Bethany – wyjaśnił, a Kay zaczerwieniła się, jakby zawstydzona. – Nie mam z nią kontaktu. Chyba stary Willoughby od czasu do czasu sprawdza, co słyhać u jej matki. A skoro o nim mowa...

Rozejrzał się. Willoughby też powinien być wśród gości. W końcu Kevin go zobaczył, w swetrze w romby – rozmawiał z brunetką w czerwonej sukience. Willoughby miał oko do kobiet, o czym Infante się przekonał, kiedy zaczęli razem grać w golfa. Ku swojemu zaskoczeniu – i zadowoleniu, choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać – zauważył, że Willoughby chyba wolał jego towarzystwo od nadętej zgrai z Elkridge. Był jednak bardziej policjantem niż bogaczem. A także jednym z tych dystyngowanych lubieżników, którzy lubią pławić się w blasku pięknych kobiet. Nadszukiwał Nancy, jadł z nią obiad przynajmniej raz w miesiącu. Teraz pewnie próbował zaprowadzić brunetkę pod jemiołę, namówić na małego buziaka.

– Powiniennem się przywitać.

– Jasne – powiedziała Kay. – Rozumiem. Ale gdyby Sunny się do ciebie odezwała...

– Tak?

– Przekaż, proszę, że to było miłe z jej strony, że odesłała spodnie Grace wyprane i zacerowane. Jestem wdzięczna.

Mówiła smutnym, zrezygnowanym tonem, jakby przywykła już do tego, że ludzie ją porzucają. Infante nadział na widelec pieroga z tacy i przeciągnął go przez śmietanę – dzięki Bogu za polskie korzenie Nancy, dziewczyna wiedziała, co podać na święta. Wydarzenia zeszłej wiosny dla niego stanowiły element pracy, ale dla Kay Sullivan musiały być ekscytującą przygodą. Mogła oderwać się od... no, od tego, czym zajmują się pracownicy socjalni szpitali. Pewnie szarpania się z formularzami Medicaidu.

– Grace? – zagadnął. – To twoja córka? Ile ma lat? Jedynaczka?

Kay rozpromieniła się i zaczęła mu opowiadać ze szczegółami o swoich dzieciach, a Infante słuchał i kiwał głową, nakładając sobie więcej pierogów. Gdzie tu się spieszyć? Brunetka nie ucieknie.

– *Como se llama?* – spytał mężczyzna pod galerią, a Sunny zmusiła się, żeby nie gapić się na jego górną wargę. Matka wspominała o kalectwie Javiera. Uprzedziła, że przy pierwszym spotkaniu jego wygląd może trochę wytrącać z równowagi, a Sunny automatycznie założyła, że mężczyźnie odebrało też mowę. W Wirginii, pogrążona w planowaniu tej podróży, wyobrażała go sobie jako niemego Quasimodo, porozumiewającego się chrząkaniem i wzdychaniem.

Javier dalej pytał, niezrażony tym, jak odwróciła wzrok od jego twarzy, pewnie przyzwyczajony do takich uników, może nawet za nie wdzięczny. Sunny byłaby wdzięczna.

– *Es la hija de Señora Toelez, ¿verdad?*

Jak się nazywasz? Jesteś córką señory Toles, prawda? Sunny przez kilka tygodni słuchała taśm z hiszpańskim i radziła sobie z tym językiem w piśmie, ale nadal musiała w myślach tłumaczyć słowo po słowie, ułożyć odpowiedź po angielsku, a potem przetłumaczyć ją na hiszpański, co nie ułatwiało porozumiewania się. Matka ostrzegła, że zawsze już tak będzie.

– *Soy...* – zaczęła, a potem się poprawiła. Nie: „Ja jestem”, tylko: *Me llamo*. „Mówię na siebie”. – *Me llamo Sunny*.

Co Javiera mogły obchodzić inne tożsamości i nazwiska, to, co miała napisane w prawie jazdy, i czy zgadzało się z paszportem albo świadectwem maturalnym? Jako Cameron Heinz dostała się z lotniska na lotnisko, potem taksówką na tę ulicę w San Miguel de Allende, odtwarzając podróż matki sprzed szesnastu lat, choć wtedy jeszcze o tym

nie wiedziała. Miała się dowiedzieć później, w drodze do Cuernavaca. Tymczasem w Stanach Gloria Bustamante czekała, aż Cam Ketch Barb Syl Ruth Sunny zdecyduje się, kim chce być. Wybór okazał się niełatwy, zwłaszcza że Stan zmarł tego lata, pozostawiając mały majątek, o który – według Glorii – Sunny powinna się upomnieć jako pośrednia ofiara Dunhama i przez krótki czas jego synowa. Czy mogła przyjąć spadek? Czy powinna? A gdyby przyjęła z powrotem prawdziwe nazwisko, wraz z oszczędnościami Staną Dunhama, ile czasu by trwało, zanim by ją odkryto? Jako Sunny wiedziała lepiej niż inni, że każde stuknięcie w klawisz komputera pozostawia ślad.

Tutaj jednak mogła się nazywać, jak chciała. Przez najbliższe dwa tygodnie.

– *Me llamo Sunny.*

Javier się zaśmiał i wskazał niebo.

– *Como elsol? Que bonita.*

Wzruszyła ramionami, zagubiona. Takie rozmowy były dla niej trudne nawet po angielsku. Pchnęła drzwi do sklepu, potrącając cichy dzwonek wiatrowy. W Człowieku z Błękitną Gitarą też taki wisiał, przypomniała sobie, ale dźwięczał mocniej.

Jej matka – jej matka! – rozmawiała z klientką, niską, przysadzistą kobietą ze zgrzytliwym głosem, która szturchała i dźgała palcem kolczyki na ladzie, jakby ją rozczarowały.

– To moja córka, Sunny – oznajmiła Miriam, ale stała wciśnięta między ladę i cielsko klientki, więc nie mogła podejść i uściskać Sunny, tak jak wyraźnie chciała.

Kobieta zerknęła na Sunny, a potem wróciła do dręczenia biżuterii.

Zdawało się, że ozdoby śniedzieją pod jej dotykiem, ciemnieją i wyginają się w krótkich, grubych palcach. Sunny zastanawiała się, czy kiedykolwiek przestanie tak postrzegać nieznajomych. Ciagle skupiała się na ich defektach i próbowała błyskawicznie ocenić: pomogą czy skrzywdzą. Z tej wyraźnie nie miałyby żadnego pożytku.

– Poszła chyba w ojca – stwierdziła kobieta, a Sunny przypomniała sobie radość po wylaniu dietetycznej pepsi na głowę pani Hennessey w pokoju socjalnym „Gazette”.

Czasami miała wyrzuty sumienia, łagodnie rzecz ujmując, ale akurat nie wtedy. Przeciwnie, to było jedno z najmiłszych wspomnień. Powinna opowiedzieć tę historię matce, kiedy pojedą w podróż. Zresztą to jedna z niewielu anegdot, które mogła opowiedzieć bez smutku ani strachu.

Trochę się denerwowała, szukając tematów do rozmowy z matką, ale ostatecznie okazało się to o wiele prostsze, niż się spodziewała. W pociągu do miasta Meksyk następnego dnia podjęły temat Penelope Jackson. Jej miejsca pobytu wciąż nie ustalono. Na szczęście przestała używać kart kredytowych Sunny po pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach w Seattle. Kiedy przesiadły się do autobusu do Cuernavaca, Miriam zebrła się na odwagę i zapytała Sunny, czy uważa, że Penelope naprawdę zabiła Tony’ego, a Sunny odpowiedziała: „Tak, ale nie dla pieniędzy”.

– Mimo to mogła zabić. Miała takie podłe oczy... mamó. Ja się jej bałam. Od chwili, kiedy ją zobaczyłam, wiedziałam, że muszę zrobić wszystko, czego zażąda.

Rozmawiały o detektywie Willoughbym, który ciągle przysyłał emailem długie i zawile sugestie przyjazdu do Meksyku na golfa i zastanawiał się, czy w pobliżu San Miguel de Allende są dobre pola.

Miriam stwierdziła, że nie chce go zachęcać, ale Sunny uważała, że matka powinna. Czemu nie?

W końcu – nie następnego dnia ani nawet jeszcze następnego, ale kilka dni później, siedząc z drinkami, kiedy słońce zaszło, a białe pawie przechadzały się dumnie po Las Mananitas – Sunny zapytała Miriam, czy uważa, że to prawda, co powiedziała Kay – kilka miesięcy wcześniej, że tragedia tylko ukazuje siły i słabości człowieka, rodziny. Kay nazwała je „szczelinami”.

– Pytasz, czy to twoja wina, że rozstałam się z ojcem. Sunny, to nigdy nie jest wina dziecka. Jeśli już, twoje zniknięcie być może opóźniło moje odejście. Byłam nieszczęśliwa od lat.

~ Ale właśnie o to chodzi – odparła Sunny. – Kiedy wspominałam dom, mówiłam sobie, że tworzyliśmy szczęśliwą rodzinę, że byłam głupia, tęskniąc za czymś innym. Pamiętasz, jak znaleźliśmy zastawę dla lalek pod krzakami? Jak tata wykleił kartkami książki pokój Heather tak, że powstała cała historia Maksa i jego podróży? Dom na Algonauin Lane uważałam za magiczne miejsce, ale dla ciebie był więzieniem. Jedna z nas musi się mylić.

– Niekoniecznie – odpowiedziała Miriam. – Przy okazji, to ja wykleiłam pokój Heather. Ale gdybym ci tego nie przypomniała, czy wspomnienie byłoby nieprawdą, czy wasz ojciec kochałby was mniej? Nie sądzę.

W końcu, kiedy zrobiło się zupełnie ciemno, kiedy nie widziały już za dobrze swoich twarzy i zostały w ogrodzie same, a przynajmniej tak się czuły, zeszły na temat Stana Dunhama.

– Ojciec kochałby was tak samo, nawet gdybyś ty albo Heather zrobiła

coś źle.

– Ja zrobiłam... – zaczęła Sunny, ale matka nie dopuściła jej do głosu.

– Właśnie tacy są rodzice. Starają się naprawiać błędy dzieci, zawsze je chronić. Dzieci mogą być szczęśliwe, kiedy ich rodzice cierpią. Ale żaden rodzic nigdy nie jest szczęśliwy, widząc nieszczęśliwe dziecko.

Sunny powtórzyła to sobie w myślach. Musiała uwierzyć matce na słowo. Jeśli wiedziała cokolwiek o sobie samej, to tyle, że nie nadawała się na matkę. Nie przepadała za dziećmi. Właściwie większości z nich wprost nie znosiła, jakby ukradły jej życie, choć wiedziała, że to zupełnie nielogiczne. To ona kradła życia, przywłaszczając sobie nazwiska i historie dziewczynek, które nie poszły nawet do pierwszej klasy.

– Mimo to chciałabym myśleć, że twój ojciec nie przysporzyłby nikomu tyle cierpienia, ile Stan Dunham nam – ciągnęła Miriam. – Mówisz, że był dla ciebie dobry, i jestem za to wdzięczna. Ale nie mogę mu wybaczyć tego, co nam zrobił. Nawet teraz, kiedy nie żyje.

– Ale mnie wybaczasz.

To była rana, którą ciągle rozdrapywała, tak samo jak strup po szczepionce.

– Sunny, miałaś dopiero piętnaście lat. Co tu wybaczać? Oczywiście, że nie mam do ciebie pretensji. Ojciec też by nie miał. Ale już zmarł. I to też nie twoja wina.

– Heather by miała. Pretensje.

W tym momencie matka zaskoczyła ją śmiechem.

– Całkiem możliwe. Potrafiła pamiętać urazy tak samo mocno, jak trzymać każdy grosz. Ale nawet ona musiałaby przyznać, że nigdy jej źle nie życzyłaś.



Jeden z pawi krzyknął nieprzyjemnie ludzkim głosem. To odezwała się Heather? Sunny nigdy nie była tak mocno przekonana o dobrej woli siostry, jak matka.

Ale wszystkie te rozmowy miały nastąpić później. Teraz stały w galerii, wciąż trochę sobie obce i skrępowane, a Miriam nagle wykrzywiła się nieuprzejmie nad głową marudnej klientki, przewróciła oczami i pokazała język. Ja robię taką minę, uświadomiła sobie Sunny, kiedy ktoś ściąga pirackie programy, zawiesza system, a ja muszę to naprawiać.

– Tak, wdała się w ojca – przyznała matka. – To jej pierwsza podróż do Meksyku, a na święta wyruszamy do Cuernavaca, będziemy mieszkać w Las Mafianitas.

– Nie pojechałabym do Cuernavaca za żadne pieniądze – odparła kobieta. – A Las Mafianitas jest za drogie.

Odepchnęła się od lady jak od stołu po ciężkim posiłku, który jej nie smakował, i wymaszerowała ze sklepu bez żadnego „dziękuję” ani „do widzenia”.

– I pomyśleć – powiedziała Miriam, wychodząc zza lady, by uściskać córkę – że miałam to na końcu języka. Zaproszenie dla tej uroczej pani, żeby pojechała z nami. Jak tam twoja podróż, Sunny? Jesteś zmęczona? Chcesz pojechać do mojej *casita* i się zdrzemnąć czy najpierw coś zjemy? O której rano wstałaś? Ile ci zajęło dojechanie tutaj?

Tylko trzydzieści lat, chciała powiedzieć Sunny. I pomogła mi w tym plama oleju na autostradzie.

Zamiast tego wybrała prostszą odpowiedź, taką, jaką matka na pewno mogła zrozumieć. Jak Maks z dziecięcej powieści zmęczyła się jazgotem dziczy, przypląnęła do domu i zdjęła wilczą skórę. Chciała być tam, gdzie

ktoś ją kochał, nawet jeśli wierzyła, że dawno temu zaprzepaściła prawo do bezwarunkowej miłości.

– Jestem głodna – powiedziała. – W samolotach nie dają już porządných posiłków, w autobusach też nie. Nie leciałam samolotem od czasu, kiedy jako dziecko byłam z tobą w Ottawie.

Wspomnienie dziewczynek w takich samych sukienkach. Sunny wysmarowana czekoladą, Heather nieskazitelnie czysta i schludna. Cholera, Heather wiedziała nawet, że Tony jest podejrzany, od razu, jak tylko go zobaczyła. Jedenastolatka, prawie dwunastolatka, była o wiele mądrzejsza od swojej piętnastoletniej siostry.

– Możemy zjeść na mieście?

Wzięły się pod ramię i wyszły na jasną, pogrążoną w chaosie ulicę, gdzie Javier musiał przekrzykiwać ryk przejeżdżającego autobusu. Sunny nie rozumiała ani słowa, ale biorąc pod uwagę jego zamaszyste gesty, chyba się upierał, że są do siebie bardzo podobne – takie piękne, matka i córka, wreszcie razem. Splótł palce dłoni, pokazując to, co je łączy.

Spojrzała mu w oczy. Już nie bała się widoku jego twarzy, bo wiedziała, czego tam brakowało. Gdyby tylko tak samo łatwo mogła pokazać światu swoje kalectwo. Kto odwróciłby oczy od jej twarzy, kto nie zdołałby popatrzeć jej prosto w oczy?

– *Gracias*. – Przypomniała sobie najważniejsze słowo, jakie można usłyszeć. Tak wiele dla niej znaczyło, nawet jeśli było fałszywe i niezasłużone, zupełnie niewłaściwe. Udając Heather, w jakiś sposób ją ożywiła, wraz z jej doprowadzającą do szału pewnością siebie. I tego jednego nigdy nie żałowała. Ze wszystkich osób, którymi była lub miała być, najbardziej lubiła Heather Bethany.

– *Gracias*, Javier.